




*Making
faces*

*Czy masz odwagę spojrzeć
w utraconą twarz?*

AMY HARMON

Bestsellerowa pisarka „New York Timesa”

 editored

Amy Harmon

Making Faces

Dla rodziny Roosów:

Davidą, Angie, Aaroną,

Garretta i Cameron

Jestem tylko jednostką,

Ale wciąż jestem kimś.

Nie mogę zrobić wszystkiego,

Ale wciąż mogę zrobić coś;

A ponieważ nie mogę zrobić wszystkiego,

Nie odmówię zrobienia czegoś,

co mogę zrobić.

— Edward Everett Hale

Prolog

— Starożytni Grecy wierzyli, że wszystkie dusze, zarówno dobre, jak i złe, idą po śmierci do podziemnego świata, królestwa Hadesu, które znajduje się w głębi ziemi, i tam pozostają na całą wieczność — odczytał na głos Bailey, wędrując wzrokiem po kartce.

— Podziemny świat był strzeżony przed światem żywych przez Cerbera, ogromnego, wściekłego, trzygłowego psa ze smoczym ogonem i węzowymi głowami na grzbiecie.

Bailey wzdrygnął się na samą myśl o tym potworze i zaczął sobie wyobrażać, jak mógł się czuć Herkules, gdy zobaczył tę bestię po raz pierwszy, wiedząc, że musi ją pokonać gołymi rękami.

— To było ostatnie zadanie Herkulesa; jego ostatnia praca i najtrudniejsza misja ze wszystkich. Herkules wiedział, że gdy zejdzie do podziemnego świata i stanie do walki z potworami i duchami, demonami i wszelkiego rodzaju mitycznymi stworzeniami, być może już nigdy nie zdoła powrócić do świata żywych. Ale śmierć go nie przerażała. Herkules już wiele razy stawał z nią oko w oko i marzył o dniu, w którym zostanie zwolniony z tej niekończącej się służby. Dlatego poszedł tam, skrycie marząc, że w królestwie Hadesu spotka dusze tych, których kiedyś kochał i utracił, a teraz pokutuje za ich śmierć.

Rozdział 1.

Zostać gwiazdą albo superbohaterem

Rozpoczęcie roku szkolnego — wrzesień 2001

W sali gimnastycznej było tak głośno, że Fern musiała krzyżeć Baileyowi prosto do ucha. Bailey mógłby z powodzeniem sam manewrować swoim wózkiem inwalidzkim w tłumie uczniów, ale Fern wołała go pchać, żeby być bliżej niego.

— Widzisz Ritę? — zawołała, przemierzając wzrokiem całą salę.

Rita wiedziała, że muszą usiąść na najniższych trybunach, żeby Bailey mógł ustawić swój wózek obok nich.

Bailey uniósł rękę, a Fern podążyła wzrokiem za jego palcem i zobaczyła Ritę, która intensywnie do nich machała. Jej piersi delikatnie podskakiwały, a puszyste blond włosy miękko opadały na ramiona. Przedostali się przez tłum i podeszli do niej. Od tego momentu Bailey sam już prowadził swój wózek. Fern usiadła w drugim rzędzie tuż za Ritą, a Bailey ulokował się obok ławki.

Fern nie znosiła tych szkolnych zgromadzeń organizowanych przed meczami. Była mała, dlatego inni uczniowie często ją popychali i przygniatali, bez względu na to, gdzie usiadła. Dopingowanie drużyny i głośne tupanie w ogóle jej nie interesowało. Westchnęła na myśl o trzydziestu minutach krzyków, głośnej muzyki i pozostałych rytuałów, których celem było wprawianie wszystkich obecnych w zbiorowy amok.

— Proszę wstać do hymnu narodowego — zadudnił głos, a mikrofon zaskrzeczał w proteście, sprawiając, że wiele osób obecnych na sali zaczęło się krzywić i zasłaniać uszy.

Po chwili zrobiło się cicho.

— Chłopcy i dziewczęta, dzisiaj mamy dla was niespodziankę.

Słowa te wypowiedział Connor O'Toole, znany również jako Beans, który trzymał w ręce mikrofon i uśmiechał się tajemniczo. Beans zawsze miał mnóstwo pomysłów i umiał przyciągnąć uwagę publiczności. Miał korzenie irlandzko-hiszpańskie, a jego zadarty nos, błyszczące orzechowe oczy i złowieszczy uśmiech kontrastowały z ciemną karnacją. Miał dar przemawiania. Od razu było widać, że mając w ręce mikrofon, czuje się jak ryba w wodzie.

— Wasz i mój przyjaciel, Ambrose Young, przegrał zakład. Obiecał, że jeśli wygramy nasz pierwszy mecz, zaśpiewa dzisiaj hymn narodowy na oczach wszystkich kibiców.

Przez salę przebiegła fala szeptów; na trybunach zrobiło się głośniejsze.

— Ale my nie tylko wygramy nasz pierwszy mecz. Wygramy też drugi! — Publiczność odpowiedziała mu radosnymi okrzykami i tupaniem. — Oto człowiek, który dotrzymuje słowa. Ambrose Young zaśpiewa teraz hymn narodowy — skończył zapowiedź Beans i skinął mikrofonem na przyjaciela.

Beans, mimo że chodził już do najstarszej klasy, był jednym z najniższych zawodników w drużynie i bardziej nadawał się na zapaśnika niż na futbolistę. Ambrose również był uczniem najstarszej klasy, jednak on miał zupełnie inną sylwetkę. Wyraźnie górował nad Beansem, a obwód jego bicepsa był taki sam jak obwód głowy Beansa. Wyglądał jak bohater z okładki romansu. Nawet jego imię brzmiało tak, jakby należało do amanta z jakiejś erotycznej powieści. Fern się na tym znała. Przeczytała tysiące takich książek. Ich schemat był zawsze taki sam: samiec alfa, pięknie wyrzeźbione mięśnie brzucha, oszałamiający wygląd i zawsze to samo szczęśliwe zakończenie. Ale z Ambrose'em Youngiem nikt nie mógł się równać. Ani w fikcji, ani w prawdziwym życiu.

Ambrose Young był dla Fern ideałem piękna, greckim bogiem wśród śmiertelników, bohaterem bajek i kinowych romansów. W przeciwieństwie do innych chłopców miał długie włosy, które opadały mu na ramiona. Czasami odgarniał je do tyłu, żeby odsłonić oczy — piękne, brązowe, otoczone długimi rzęsami. Doskonale zarysowana kwadratowa szczeka nadawała mu surowego wyglądu i sprawiała, że nie był przesadnie ładny. Męskość dodawało mu również to, że w wieku osiemnastu lat miał 190 cm wzrostu bez butów, ważył 97 kilogramów, a jego ciało było pięknie umięśnione, od ramion aż po doskonale ukształtowane łydki.

Po mieście krążyła plotka, że matka Ambrose'a Lily Grafton dawno temu, gdy pojechała do Nowego Jorku w poszukiwaniu sławy, wdała się w romans z włoskim modelem prezentującym bieliznę. Ich

związek gwałtownie się zakończył, gdy mężczyzna dowiedział się, że Lily jest z nim w ciąży. Skruszona wróciła do domu, gdzie znalazła pocieszenie w ramionach starego przyjaciela, Elliotta Younga. Po sześciu miesiącach wzięli ślub, a Elliott powitał na świecie jej synka. Całe miasteczko bacznie obserwowało chłopca. Im był starszy, tym bardziej widoczna była różnica między drobnym jasnowłosym Elliottem Youngiem a jego przystojnym synem o ciemnych włosach i oczach, który wyglądał jak — no cóż — model z reklamy bielizny. Kiedy Ambrose miał czternaście lat, Lily odeszła od Elliotta Younga i przeprowadziła się do Nowego Jorku, żeby odnaleźć prawdziwego ojca Ambrose'a. Nikogo w miasteczku szczególnie to nie zdziwiło. Powszechne zdumienie budził jednak fakt, że czternastoletni Ambrose pozostał z Elliottem w Hannah Lake.

W tamtym czasie wszyscy już dobrze znali Ambrose'a i zastanawiali się, dlaczego postanowił zostać z ojcem. Chłopiec umiał rzucać oszczepem jak mityczny wojownik. Kiedy grał w futbol, przebijał się przez drużynę przeciwników tak, jakby to była armia plastikowych żołnierzyków. To dzięki niemu lokalna drużyna wyszła z małej ligi i dostała się do okręgowych mistrzostw. Kiedy miał zaledwie piętnaście lat, opanował wsad do kosza. Te wszystkie osiągnięcia budziły podziw, ale w Hannah Lake w Pensylwanii najważniejszym sportem były zapasy — do tego stopnia, że w dniach, w których odbywały się walki, firmy kończyły pracę wcześniej, żeby wszyscy mogli obejrzeć zawody, a stanowe rankingi były śledzone tak pilnie jak wyniki loterii. Dlatego to właśnie umiejętność walki na macie sprawiła, że Ambrose zyskał status miejscowej gwiazdy.

Gdy Ambrose wziął do ręki mikrofon, na trybunach natychmiast zrobiło się cicho. Wszyscy z napięciem czekali, aż zacznie śpiewać, spodziewając się spektakularnej porażki. Ambrose był znany ze swojej siły, doskonałego wyglądu i sprawności fizycznej, ale jeszcze nikt nigdy nie słyszał, jak śpiewa. Cisza zaczęła gęstnieć pod ciężarem oczekiwania. Ambrose odrzucił włosy do tyłu i włożył rękę do kieszeni, jakby czuł się trochę skrępowany. A potem wbił wzrok we flagę i zaczął śpiewać.

— *Oh, say can you see, by the dawn's early light...*

Z trybun dało się słyszeć stłumione westchnienie. Nie dlatego, że Ambrose śpiewał źle, lecz dlatego, że robił to wspaniale. Głos Ambrose'a Younga idealnie pasował do jego doskonałej całości. Był aksamitny, głęboki i bogaty. Gdyby czekolada umiała śpiewać, to brzmiałaby właśnie jak Ambrose Young. Fern zadrżała, czując, jak jego głos owija się wokół niej, zakotwicza się w jej brzuchu i ciągnie ją w dół. Nieświadomie zamknęła oczy ukryte za grubymi okularami i pozwoliła, żeby te cudowne dźwięki ją obmyły. To było niesamowite.

— *O'er the land of the free...* — Głos Ambrose'a wzniósł się na najwyższy ton, a Fern poczuła się tak, jakby weszła na Mount Everest: bez tchu, pełna energii i triumfująca. — *... and the home of the brave!* — Tłum wokół niej zaryczał, ale ona ciągle jeszcze słyszała w głowie ostatnią nutę.

— Fern! — zadźwięczał głos Rity.

Rita kopnęła lekko koleżankę, lecz ta ją zignorowała. Fern była teraz w innym świecie. W świecie, w którym rządził najpiękniejszy (jej zdaniem) głos, jaki istnieje.

— Fern przeżywa swój pierwszy orgazm — zachichotała jedna z koleżanek Rity. Fern otworzyła szeroko oczy i zobaczyła Ritę, Bailey'a i Cindy Miller, którzy przyglądali się jej z szerokim uśmiechem na twarzy. Na szczęście oklaski i wiwaty były tak głośne, że nikt inny nie usłyszał upokarzającego komentarza Cindy.

Fern — niska i blada, rudowłosa i całkowicie nijaka — wiedziała, że należy do tych dziewczyn, które łatwo się ignoruje i o których nikt nigdy nie marzy. Przeszła przez okres dzieciństwa bez żadnych dramatów, ale również i bez większych sukcesów, doskonale świadoma swojej przeciętności.

Rodzice Fern, podobnie jak Zachariasz i Elżbieta, rodzice biblijnego Jana Chrzciciela, byli dość wiekowi, gdy dowiedzieli się, że ich rodzina się powiększy. Pięćdziesięcioletni Joshua Taylor, popularny pastor w małym miasteczku Hannah Lake, był w szoku, gdy kobieta, którą poślubił piętnaście lat wcześniej, ze łzami w oczach wyznała mu, że jest w ciąży. Nie potrafił wydusić z siebie słowa i zaczął się trząść. Gdyby twarz jego 45-letniej żony Rachel nie promieniowała radością, pewnie uznałby, że ta po raz pierwszy zrobiła mu psikusa. Fern urodziła

się siedem miesięcy później. Była nieoczekiwanym cudem, a całe miasto świętowało jej narodziny razem z uwielbianą przez wszystkich parą jej rodziców. Dla Fern było to dość ironiczne, że chociaż została uznana za cud, jej życie było bardzo dalekie od cudu.

Zdjęła okulary i zaczęła je czyścić rąbkiem koszulki. Dzięki temu rozbawione twarze otaczających ją koleżanek nieco się rozmyły. A niech się śmieją. Liczyło się tylko to, że jest podekscytowana i oszołomiona, zupełnie jak po przeczytaniu satysfakcjonującej sceny miłosnej w ulubionej powieści. Fern Taylor kochała Ambrose'a Younga, od kiedy skończyła dziesięć lat. Już raz kiedyś słyszała, jak jego młody głos wznosi się wysoko w zupełnie innej piosence. Jednak w tym momencie osiągnął on zupełnie nowy poziom piękna, wprawiając Fern w zachwyt połączony z niedowierzaniem, że jeden chłopiec może być aż tak utalentowany.

Sierpień 1994

Fern postanowiła odwiedzić Bailey'a. Nudziło jej się. Przeczytała już wszystkie książki, które wypożyczyła z biblioteki tydzień temu. Bailey siedział nieruchomo na cementowych schodach prowadzących do drzwi wejściowych swego domu i skupiał wzrok na czymś znajdującym się na chodniku tuż naprzeciwko. Z zadumy wytrąciła go stopa Fern, która prawie dotknęła przedmiotu jego fascynacji. Głośno wrzasnął, a Fern zapiszczała, gdy zobaczyła ogromnego brązowego pająka zaledwie kilka centymetrów od swojej stopy.

Pająk kontynuował swój spacer, powoli przemierzając długi odcinek betonowego chodnika. Bailey wyjaśnił, że obserwuje go od pół godziny, ale woli to robić z daleka, bo to w końcu jest pająk i jest obrzydliwy. Fern nigdy nie widziała większego pająka. Jego ciało miało wielkość pięciocentówki, ale razem z chudymi odnóżami był tak duży jak moneta pięćdziesięciocentowa. Bailey był nim wyraźnie zachwycony. W końcu był chłopcem, a pająk był obrzydliwy.

Fern usiadła obok niego i razem z nim patrzyła, jak pająk przemierza chodnik przed domem Bailey'a. Pająk szedł powoli, niczym starzec na spacerze, który nigdzie się nie spieszy, niczego nie boi i nie

ma żadnego konkretnego celu — starszy mieszkaniec miasta o długich, patykowatych nogach, który starannie stawia każdy krok. Obserwowali go, oczarowani jego przerażającym pięknem. Wtedy Fern przysłała do głowy zaskakująca myśl. On był piękny, mimo że się go bała.

— Jest fajny — powiedziała z zachwytem.

— No ba! Jest wspaniały! — powiedział Bailey, nie odrywając od pająka wzroku. — Szkoda, że nie ma ośmiu nóg. Ciekawe, dlaczego Spider-Manowi nie urosło osiem nóg po tym, jak został ukąszony przez radioaktywnego pająka. Zyskał doskonały wzrok, nadludzką siłę i zdolność do tkania sieci. Ale czemu nie urosły mu dodatkowe nogi? Hej, a może jad pająka leczy dystrofię mięśniową i jeśli koleżka mnie ukąsi, urosnę duży i silny? — zastanawiał się na głos Bailey, drapiąc się po policzku. Wyglądał, jakby na serio rozważał tę opcję.

— Ja bym nie ryzykowałam. — Fern się wzdrygnęła. Oboje znów wpadli w trans i żadne z nich nie zauważyło chłopca jadącego po chodniku na rowerze.

Chłopiec zobaczył, że Bailey i Fern siedzą w milczeniu i w ogóle się nie ruszają. Od razu go to zainteresowało. Zsiadł z roweru i położył go na trawie, a potem spróbował prześledzić wzrok Bailey'a i Fern, żeby dowiedzieć się, co ich tak zainteresowało. Zaraz potem zobaczył wielkiego brązowego pająka, który powoli spacerował po chodniku. Jego mama straszliwie bała się pajaków. Gdy tylko jakiegoś zobaczyła, od razu nakazywała mu go zabić. Zabił tak wiele pajaków, że w ogóle się ich nie bał. Może Bailey i Fern się bali? Może byli śmiertelnie przerażeni — tak bardzo, że nie byli nawet w stanie się ruszyć? On im pomoże. Wbiegł na chodnik i zgniótł pająka swoim dużym białym adidasem. Gotowe.

Zaraz potem poczuł na sobie przeszywający wzrok dwóch par oczu.

— Ambrose! — krzyknął Bailey przerażony.

— Zabiłeś go! — wyszeptała zszokowana Fern.

— Zabiłeś go! — zaryczał Bailey, po czym zerwał się na nogi i ruszył w kierunku chodnika. Spojrzał na brązową miazgę, która przez ostatnią godzinę stanowiła centrum jego zainteresowania.

— Potrzebowałam jego jadu! — Bailey wciąż miał nadzieję na to, że pająk może uleczyć człowieka z choroby, a nawet zrobić z niego

superbohatera. Zaraz po tych słowach wybuchnął niespodziewanym płaczem.

Ambrose patrzył ze zdziwieniem na Bailey'a, który na chwiejnych nogach wszedł po schodach do domu, po czym głośno zatrzasnął za sobą drzwi. Ambrose zamknął usta i wsunął ręce do kieszeni spodni.

— Przepraszam — powiedział do Fern. — Myślałem... myślałem, że się boicie. Oboje siedzieliście i gapiliście się na niego w milczeniu. Ja się nie boję pajków. Chciałem tylko pomóc.

— Myślisz, że powinniśmy go pochować? — spytała Fern, skrywając zaszklony wzrok za grubymi okularami.

— Pochować? — zapytał zdumiony Ambrose. — Czy on do kogoś należał?

— Nie, dopiero go poznaliśmy — odpowiedziała mu Fern z powagą. — Ale może to choć trochę poprawi humor Baileyowi.

— Dlaczego on się tak zdenerwował?

— Bo pajak zginął.

— No i co z tego?

Ambrose nie chciał wyjść na bezdusznego drania. Po prostu nie mógł tego zrozumieć. A ta mała rudowłosa dziewczynka z burzą loków na głowie trochę go przerażała. Widział ją już wcześniej w szkole i wiedział, jak ma na imię. Ale nie znał jej. Zastanawiał się, czy nie jest upośledzona. Tata zawsze mu powtarzał, że trzeba być miłym dla dzieci, które są upośledzone, bo one nie mogą nic na to poradzić, że takie są.

— Bailey jest chory. Jego mięśnie są coraz słabsze. Ta choroba może go zabić. Dlatego nie lubi, gdy jakieś stworzenie umiera. Dla niego to jest trudny temat — wyjaśniła Fern prosto i szczerze. Jej słowa brzmiały mądrze. Nagle Ambrose przypomniał sobie sytuację z obozu zapaśniczego sprzed kilku tygodni i wszystko nabrało sensu. Bailey nie mógł brać udziału w zawodach, bo był chory. Ambrose znów poczuł się głupio. Usiadł obok Fern.

— Pomogę ci go pochować.

Zanim skończył mówić, Fern wstała i pobiegła na ukos przez trawnik do swojego domu.

— Mam małe pudełko, będzie idealne! Sprawdź, czy dasz radę zeskrobać go z chodnika — krzyknęła przez ramię.

Ambrose wziął kawałek kory z klombu przy domu Sheena i spróbował zebrać resztki pająka. Fern wróciła po trzydziestu sekundach. W ręku trzymała otwarte białe pudełeczko na pierścionek. Ambrose umieścił to, co pozostało po pająku, na nieskazitelnie białej bawelnie. Fern zamknęła pokrywkę i uroczystym gestem skinęła na Ambrose'a. Ten podążył za nią do ogródka za jej domem. Razem wykopali rękami mały dołek w narożniku ogródka.

— Tyle powinno wystarczyć — powiedział Ambrose, po czym wziął pudełko z ręki Fern i włożył je do dołka.

Przez chwilę oboje patrzyli na białe pudełko.

— Powinniśmy coś zaśpiewać? — spytała Fern.

— Ja znam tylko jedną piosenkę o pająku.

— „Taki tyci pająk”?

— Tak.

— Ja też ją znam.

I tak Fern razem z Ambrose'em zaśpiewali piosenkę o pajączku, który został splukany przez deszcz, ale potem zaczął ponownie wspinać się po rynnie, gdy na niebo wyszło słońce.

Kiedy piosenka się skończyła, Fern wzięła Ambrose'a za rękę.

— Powinniśmy zmówić krótką modlitwę. Mój tata jest pastorem. Wiem, co trzeba zrobić.

Ambrose poczuł się trochę dziwnie. Ręka Fern była wilgotna i brudna od kopania w ziemi. W dodatku była bardzo mała. Zanim jednak zdążył zaprotestować, Fern już odmawiała modlitwę. Miała zamknięte oczy, a na jej twarzy było widać duże skupienie.

— Ojczy w niebie, jesteście Ci wdzięczni za wszystko, co stworzyłeś. Z radością obserwowaliśmy tego pająka. Był fajny i przez chwilę dawał nam szczęście, zanim Ambrose zgniótł go swoim butem. Dziękujemy, że dzięki Tobie nawet brzydkie rzeczy stają się piękne. Amen.

Ambrose nie zamknął oczu. Gapił się na Fern. A ona otworzyła oczy, uśmiechnęła się uroczo i puściła jego dłoń. Przysypała białe pudełko ziemią, aż zakryła je całkowicie, a potem jeszcze przydeptała ziemię nogą. Ambrose znalazł kilka kamieni i ułożył z nich literę P jak pająk. Fern również poszukała kilku kamieni i ułożyła obok jeszcze dwie

litery: B i S.

*— Co oznaczają te litery? — zastanawiał się na głos Ambrose.
Pomyślał, że może pająk miał imiona, o których on nie wiedział.*

*— Boskie Stworzenie — odpowiedziała po prostu. — Tak chcę go
zapamiętać.*

Rozdział 2.

Mieć odwagę

Wrzesień 2001

Fern uwielbiała okres wakacji, te leniwe dni i długie godziny spędzane z Baileyem i książkami, ale jesień w Pensylwanii była naprawdę przecudna. Lato dopiero się skończyło — była pierwsza połowa września — ale w Hannah Lake liście zaczęły już zmieniać kolor, kontrastując z głęboką zielenią odchodzącego lata. Nowy rok szkolny już się zaczął. Teraz byli w najstarszej klasie, na samym szczycie. Za rok zaczniesz się dla nich prawdziwe życie.

Jednak dla Bailey'a prawdziwe życie zaczęło się już dużo wcześniej, a każdy kolejny dzień był dla niego krokiem po równi pochyłej. Nie robił się coraz silniejszy, tylko coraz słabszy. Nie zbliżał się do dorosłości, tylko do końca. Dlatego nie patrzył na życie tak, jak wszyscy inni. Osiągnął mistrzostwo w życiu chwilą obecną; nie patrzył w przyszłość i nie zastanawiał się, co może mu przynieść.

Choroba odebrała Baileyowi zdolność do podnoszenia rąk nawet do wysokości klatki piersiowej, przez co nie był w stanie robić wielu zwykłych rzeczy, które inni robili codziennie w sposób zupełnie automatyczny. Jego mama martwiła się, czy poradzi sobie w szkole. Większość dzieci z dystrofią mięśniową Duchenne'a nie dożywała 21. roku życia, a to oznaczało, że dni Bailey'a były policzone. Codzienne zmaganie się z chorobą było dużym problemem, ale to, że Bailey nie był w stanie dotknąć własnej twarzy, chroniło go przed zarazkami, które inne dzieciaki regularnie roznosiły po całym swoim ciele. Dzięki temu rzadko opuszczał lekcje. Kiedy trzymał podkładkę do pisania na kolanach, jakoś sobie radził, ale wtedy wyglądał dziwnie, a gdy podkładka wyslizgnęła mu się z rąk i upadła, nie był w stanie się pochylić, żeby po nią sięgnąć. Dużo łatwiej było mu pracować przy komputerze albo przysunąć wózek inwalidzki do stolika i położyć na nim rękę. Liceum w Hannah Lake było bardzo małe i niedofinansowane, ale dzięki niewielkiej pomocy mieszkańców i kilku zmianom zwykłej rutyny Bailey miał szansę na to, żeby ukończyć szkołę średnią i to prawdopodobnie z najlepszym wynikiem w klasie.

Był ranek, druga lekcja — matematyka. Sala była pełna. Bailey i Fern usiedli z tyłu przy stoliku, który miał wysokość dostosowaną do wózka Bailey'a. Fern zawsze starała się być blisko Bailey'a, żeby mu pomóc w razie potrzeby, chociaż na lekcjach to bardziej on pomagał jej niż ona jemu. Ambrose Young i Grant Nielson również siedzieli z tyłu sali. Fern była przejęta tym, że siedzi tak blisko Ambrose'a, choć on nawet nie wiedział o jej istnieniu. Był zaledwie metr od niej, wciśnięty w ławkę, która była zdecydowanie zbyt mała dla kogoś o tak potężnej posturze.

Pan Hildy spóźnił się na lekcję. Często mu się to zdarzało, a uczniom to oczywiście nie przeszkadzało. Na pierwszej godzinie lekcyjnej nie miał żadnych zajęć i zazwyczaj przesiadywał wtedy z kubkiem kawy przed telewizorem w pokoju nauczycielskim. Jednak w tamten wtorek zaraz po wejściu do sali włączył telewizor, który wisiał w rogu sali po lewej stronie tablicy. Telewizory były nowe, tablica stara, a nauczyciel jeszcze starszy, więc nikt nie zwrócił na niego uwagi, gdy tak stał i gapił się w ekran, oglądając wiadomości na temat katastrofy samolotu. Była godzina dziewiąta rano.

— Proszę o ciszę! — warknął pan Hildy, a klasa z niechęcią go posłuchała. Na ekranie było widać dwa wysokie wieżowce. Z boku jednego z nich wylatywały kłęby dymu.

— Czy to jest Nowy Jork, proszę pana? — zapytał ktoś z pierwszej ławki.

— Hej, czy Knudson nie jest właśnie w Nowym Jorku?

— To jest World Trade Center — odpowiedział pan Hildy. — Nie obchodzi mnie to, co mówią, to nie mógł być samolot pasażerski.

— Patrzcie! Jeszcze jeden!

— Jeszcze jeden samolot?

Cała sala wstrzymała oddech.

— O ku...! — nie dokończył Bailey, a Fern przyłożyła dłoń do ust, patrząc z przerażeniem, jak inny samolot wbija się w drugą wieżę; tę, która jeszcze nie płonęła.

Reporterzy reagowali podobnie jak uczniowie w klasie — byli zszokowani, dezorientowani i próbowali powiedzieć coś mądrego, gapiąc się z coraz większym przerażeniem na coś, co z pewnością nie

było wypadkiem.

Tamtego dnia nie było lekcji matematyki. Zamiast tego cała klasa patrzyła, jak na ich oczach dzieje się historia. Być może pan Hildy uważał, że uczniowie najstarszej klasy są wystarczająco duzi, żeby oglądać obrazy pokazywane w telewizji i słuchać spekulacji na temat tego, co się stało.

Pan Hildy był weteranem wojny w Wietnamie i zawsze mówił wprost, co myśli. Nie tolerował polityki. Kiedy razem z uczniami oglądał atak na Amerykę, nawet powieka mu nie drgnęła. Ale wewnątrz był roztrzęsiony. Wiedział, być może lepiej niż ktokolwiek, jaką cenę zapłaci za to jego naród. Będą nią życia młodych ludzi. Zbliżała się wojna. Po czymś takim musiało do niej dojść. Musiało.

— Czy Knudson nie jest właśnie w Nowym Jorku? — powtórzył ktoś na sali. — Mówił, że jego rodzina chce zobaczyć Statuę Wolności i odwiedzić inne znane miejsca.

Landon Knudson był wiceprzewodniczącym szkoły i członkiem drużyny futbolowej. Był znany i lubiany w całej szkole.

— Brosey, czy twoja mama nie mieszka w Nowym Jorku? — zapytał nagle Grant, a jego oczy rozszerzyły się na myśl o tym, co to może oznaczać.

Ambrose utkwiał wzrok w ekranie telewizora. Był cały spięty. Skinął głową. Czuł, że żołądek zaczyna mu się skręcać ze strachu. Jego mama nie tylko mieszkała w Nowym Jorku, ale również pracowała jako sekretarka w agencji reklamowej, która miała swoją siedzibę w północnej wieży World Trade Center. Powtarzał sobie w duchu, że mamie nic się nie stało. Jej biuro znajdowało się na jednym z niższych pięter.

— Może powinieneś do niej zadzwonić — powiedział Grant zatroskany.

— Próbuję. — Ambrose trzymał w ręce telefon, którego nie powinien przynosić na lekcje, ale pan Hildy nie zaprotestował. Wszyscy z napięciem patrzyli, jak Ambrose po raz kolejny próbuje dodzwonić się do mamy.

— Zajęte. Pewnie wszyscy teraz dzwonią. — Głośno zatrzasnął klapkę telefonu. Nikt się nie odezwał. Zadzwonił dzwonek, ale wszyscy

pozostali na swoich miejscach. Do sali weszło kilka dzieciaków, które miały tu mieć następną lekcję, ale cała szkoła trąbiła już o tym, co się stało, i wiadomo było, że w obliczu rozgrywającego się dramatu dalsze zajęcia zostaną zawieszono. Uczniowie, którzy właśnie weszli do sali, usiedli na stolikach przy ścianie i patrzyli na ekran razem z całą resztą.

Wtedy druga wieża się zapadła. Była — i nagle jej nie było. Rozpłynęła się w ogromną chmurę, brudnobiałą, gęstą i wielką, najeżoną odłamkami i całkowicie bezwładną, która runęła na dół i rozniosła się dookoła. Ktoś krzyknął, a wszyscy zaczęli głośno mówić i wskazywać na telewizor. Fern złapała Baileyę za rękę. Dwie dziewczyny zaczęły płakać.

Twarz pana Hildy'ego była równie biała jak ściana, przy której stał. Popatrzył na uczniów siedzących w ławkach i pomyślał, że włączenie telewizora było jednak błędem. Oni nie powinni tego widzieć. Są młodzi, niewinni i jeszcze niedoświadczeni przez życie. Otworzył usta, żeby ich jakoś pocieszyć, ale w obliczu takiej tragedii nie był w stanie wydusić z siebie ani słowa. Nie był w stanie powiedzieć niczego, co nie byłoby wierutnym kłamstwem albo nie przeraziłoby ich jeszcze bardziej. To nie działało się naprawdę. To była jakaś iluzja, magiczna sztuczka z użyciem dymu i luster. Ale wieży nie było. Uderzona jako druga, runęła jako pierwsza. Od momentu uderzenia do zapadnięcia się wieży minęło zaledwie pięćdziesiąt sześć minut.

Fern mocno ścisnęła dłoń Baileyę. Kłęby dymu i pyłu przypominały jej tworzywo wypełniające jej starego pluszowego misia. Wygrała go na jakimś festynie. Był wypchany tanią, napuszoną syntetyczną bawełną. Kiedyś Fern uderzyła nim Baileyę w głowę, a wtedy misiowi odleciała prawa ręka, uwalniając we wszystkich kierunkach białe, puszyste kłęby. Teraz jednak nie był karnawał. Telewizja pokazywała labirynty ulic pełnych ludzi pokrytych pyłem. Wyglądali jak zombie. Zombie, które płakały i błagały o pomoc.

Kiedy uczniowie usłyszeli, że następny samolot rozbił się niedaleko Shanksville — zaledwie trzydzieści pięć mil od Hannah Lake — zaczęli wychodzić z sali, ponieważ nie byli w stanie znieść już więcej. Całymi grupami wybiegali ze szkoły, szukając kogoś, kto zapewni ich, że świat jeszcze się nie skończył. Chcieli się zobaczyć ze

swoimi najbliższymi. Ambrose Young został w sali razem z panem Hildy i patrzył, jak godzinę po upadku wieży południowej zapada się wieża północna. Jego mama wciąż nie odpowiadała. Nic dziwnego, skoro za każdym razem, gdy próbował do niej zadzwonić, słyszał w słuchawce tylko dziwne brzęczenie. Poszedł do sali gimnastycznej dla zapaśników. Tam w rogu — w miejscu, gdzie czuł się najbezpieczniej — usiadł na luźno zrolowanej macie i rozpoczął dziwną modlitwę. Źle się czuł z tym, że prosi o coś Boga w momencie, gdy Jego ręce są pełne roboty. Gdy ze ściśniętym gardłem zakończył modlitwę słowem „amen”, po raz kolejny spróbował dodzwonić się do mamy.

Lipiec 1994

Fern i Bailey siedzieli na samej górze rozklekotanych brązowych trybun, liżąc fioletowe lody na patyku wykradzione z zamrażarki w pokoju nauczycielskim, i z fascynacją typową dla osób spoza kręgu wtajemniczonych obserwowali z góry postacie, które chwytaly się i obracały na macie. Tata Bailey, trener drużyny zapaśniczej ze szkoły średniej, co roku organizował obóz dla młodych zapaśników, w którym nie uczestniczyło żadne z nich: dziewcząt nie zachęcano do uprawiania tego sportu, a Bailey miał zbyt słabe kończyny.

Mówiąc obrazowo, mięśnie, z którymi urodził się Bailey, musiały mu starczyć na całe życie, dlatego jego rodzice starannie podejmowali decyzje o tym, w jakich aktywnościach powinien uczestniczyć. Zbyt duży wysiłek fizyczny mógłby doprowadzić do rozdarcia mięśni. U zdrowego człowieka rozdarte mięśnie same się naprawiają i odbudowują, dzięki czemu stają się silniejsze i większe. Mięśnie Bailey nie potrafiły się odbudowywać. Z drugiej strony, niewystarczająca aktywność przyspieszyłaby proces ich osłabiania. Od kiedy w wieku czterech lat zdiagnozowano u niego dystrofię mięśniową Duchenne'a, mama kontrolowała jego aktywność niczym surowy sierżant: kazała mu pływać z kamizelką ratunkową, mimo że pływał jak ryba, i wydzielała w jego napiętym grafiku określone pory na drzemkę, wyciszenie i spokojne spacerki, tak aby jak najdłużej zdołał uniknąć wózka inwalidzkiego. Jak dotąd skutecznie pokonywali przeciwności losu. Większość dzieci

chorych na dystrofię mięśniową w wieku dziesięciu lat jest już przykuta do wózka, a Bailey wciąż jeszcze mógł chodzić.

— Może nie jestem tak silny jak Ambrose, ale myślę, że mógłbym go pokonać — powiedział Bailey, patrząc w skupieniu na zawodników na macie na dole.

Ambrose Young wyróżniał się na tle innych zawodników. Chodził do klasy z Baileyem i Fern, ale miał już jedenaście lat i był o jakieś dziesięć centymetrów wyższy od pozostałych dzieciaków w jego wieku. Czasami walczył z chłopcami z licealnej drużyny zapaśniczej, którzy pomagali trenerowi na obozie, i całkiem nieźle sobie radził. Trener Sheen obserwował go z linii bocznej, wykrzykując polecenia i często przerywając walkę, żeby zademonstrować jakiś chwyt albo ruch.

Fern prychnęła i polizała fioletowe lody, żałując, że nie wzięła ze sobą żadnej książki. Gdyby nie te lody, poszłaby sobie już dawno temu. Spoceni chłopcy za bardzo jej nie interesowali.

— Nie mógłbyś pokonać Ambrose'a, Bailey. Ale nie martw się. Ja też bym z nim przegrała.

Bailey spojrzał na Fern wściekłym wzrokiem. Obrócił się do niej tak szybko, że kapiące lody wyślizgnęły mu się z ręki i odbiły od kościstego kolana.

— Może i nie mam dużych mięśni, ale jestem bardzo mądry i znam różne techniki. Mój tata pokazał mi wszystkie ruchy. Mówi, że mam umysł wielkiego zapaśnika! — wykrzyknął rozgniewany i wykrzywił twarz w grymasie, zupełnie zapominając o lodach, które trzymał w ręce.

Fern poklepała go po kolanie i dalej lizała swoje lody.

— Twój tata tak mówi, bo cię kocha. Tak samo jak moja mama mi powtarza, że jestem ładna, bo mnie kocha. Ja nie jestem ładna... a ty nie pokonałbyś Ambrose'a.

Bailey nagle wstał i trochę się zachwiał. Fern poczuła obezwładniający strach na myśl o tym, że jej kolega może spaść z wysokich trybun na sam dół.

— Nie jesteś ładna! — wykrzyknął Bailey, a Fern aż zawrzała ze złości. — Ale mój tata nigdy by mnie nie okłamał, tak jak twoja mama. Tylko poczekaj! Kiedy dorosnę, będę najsilniejszym i najlepszym zapaśnikiem we wszechświecie!

— *Moja mama mówi, że nie zdążysz dorosnąć, bo umrzesz!* — odgryzła się Fern, powtarzając słowa, które kiedyś powiedzieli jej rodzice, gdy myśleli, że ich nie słyszy.

Bailey nachmurzył się i zaczął schodzić chwiejnym krokiem z trybun, trzymając się poręczy. Fern poczuła, że do oczu napływają jej łzy, a twarz wykrzywia się podobnie jak przed chwilą twarz Bailey'a. Poszła za nim, mimo że ani razu nie obrócił się w jej kierunku. Oboje płakali przez całą drogę do domu. Bailey jechał na rowerze najszybciej, jak potrafił, nie odwracając się do Fern i nie uznając jej obecności. Fern jechała obok niego i ciągle wycierała nos w klejące się dłonie.

Gdy przyszła do domu, wyznała ze wstydem mamie to, co wykrzyczała w złości Bailey'owi. Mama w milczeniu wzięła ją za rękę i zaprowadziła do domu obok, gdzie mieszkał Bailey.

Kiedy weszły na górę po schodach, zobaczyły na ganku Angie — ciocię Fern i mamę Bailey'a — która trzymała chłopca na kolanach i cicho z nim rozmawiała. Rachel Taylor usiadła na fotelu bujanym stojącym obok i również wzięła Fern na kolana. Angie spojrzała na Fern i uśmiechnęła się łagodnie na widok fioletowych policzków poprzecinanych smugami od łez. Bailey ukrył twarz na jej ramieniu. Zarówno Fern, jak i Bailey byli już trochę za duzi na to, żeby siedzieć na kolanach u mamy, ale ta wyjątkowa sytuacja najwyraźniej tego wymagała.

— *Fern* — odezwała się ciepłym głosem ciocia Angie. — *Właśnie mówiłam Bailey'owi, że to jest prawda. On umrze.*

Fern od razu się rozplakała, a mama przytuliła ją do piersi. Fern poczuła bicie serca mamy tuż pod swoją brodą, ale ciocia miała pogodną twarz i wcale nie płakała. Chyba rozumiała coś, czego zaakceptowanie zabierze Fern całe lata. Bailey mocno objął mamę i jęknął.

Ciocia Angie pogłaskała go po plecach i pocałowała w głowę.

— *Bailey? Posłuchasz mnie przez minutę, synku?*

Bailey podniósł twarz i popatrzył zapłakаныmi oczami na mamę, a potem spojrział spode łba na Fern, jak gdyby to ona była sprawcą całego tego nieszczęścia.

— *Ty umrzesz, ja umrę i Fern też umrze. Wiedziałeś o tym, Bailey?*

Ciocia Rachel też umrze. — Angie spojrzała na mamę Fern i uśmiechnęła się, jakby przepraszając, że uwzględniła ją w swoich ponurych prognozach.

Bailey i Fern spojrzeli na siebie z przerażeniem, zbyt zszokowani, żeby płakać.

— Każda żywa istota umiera, Bailey. Niektórzy żyją dłużej niż inni. Wiemy, że przez tę chorobę twoje życie może być krótsze niż życie niektórych innych ludzi. Ale nikt z nas nie ma pojęcia, jak długo będzie żył.

Bailey spojrzał na nią, a przerażenie i rozpacz częściowo zniknęły z jego twarzy.

— Tak jak dziadek Sheen?

Angie przytaknęła i pocałowała go w czoło.

— Tak. Dziadek nie miał dystrofii mięśniowej, ale miał wypadek samochodowy, prawda? Odszedł od nas wcześniej, niż byśmy tego chcieli, ale takie jest życie. Nie decydujemy o tym, kiedy umrzemy ani w jaki sposób. Żaden człowiek nie ma takiej mocy. — Angie spojrzała synowi prosto w oczy i powtórzyła stanowczo: — Słyszysz mnie, Bailey? Żaden człowiek.

— Czyli Fern może umrzeć przede mną? — spytał Bailey z nadzieją w głosie.

Fern poczuła stłumiony śmiech w klatce piersiowej mamy i spojrzała na nią zdziwiona. Rachel Taylor uśmiechała się i zagryzała wargę. Fern nagle zrozumiała, do czego zmierzała ciocia Angie.

— Tak! — Podskoczyła, kiwając energicznie głową, a jej sprężyste loki entuzjastycznie uniosły się do góry. — Mogę utonąć w wannie, gdy dzisiaj będę się kąpać. Albo mogę spaść ze schodów i złamać kark, Bailey. Mogę nawet zostać potrącona przez samochód, jak jutro będę jechać na rowerze. Widzisz? Nie musisz się smucić. Wcześniej czy później każdego z nas to czeka!

Angie i Rachel chichotały, a na twarzy Bailey'a pojawił się szeroki uśmiech. Natychmiast zaczął snuć przypuszczenia razem z Fern.

— A może spadniesz z drzewa w swoim ogródku? Albo przeczytasz tyle książek, że głowa ci eksploduje!

Angie mocno objęła syna i stłumiła śmiech.

— *Myślę, że wystarczy, Bailey. Nie chcemy, żeby głowa Fern eksplodowała, prawda?*

Bailey spojrział na Fern i wszyscy zrozumieli, że wziął to pytanie zupełnie na poważnie.

— *Nie. Chyba nie. Ale wciąż mam nadzieję, że wykituje przede mną.*

A potem wyzwiał Fern na pojedynek zapaśniczy na trawniku przed domem. Przygniótł ją do ziemi już po pięciu sekundach. Kto wie? Może naprawdę byłby w stanie powalić Ambrose'a Younga?

2001

Kilka tygodni po atakach z 11 września życie powróciło do normalności, ale wszystko było nie tak — jakbyś założył ulubioną koszulkę na lewą stronę. Wciąż jest to twoja koszulka, dobrze ją rozpoznajesz, ale wytarcia są w innych miejscach, widać szwy, metki wystają, kolory są zmatowiały, a słowa napisane od tyłu do przodu. Jednak w przeciwieństwie do koszulki, którą można po prostu wywrócić z powrotem na właściwą stronę, tej sytuacji nie dało się naprawić. Poczucie, że coś jest nie tak, było trwałe. Stało się nową normalnością.

Bailey oglądał wiadomości jednocześnie zafascynowany i przerażony, siedząc przy komputerze i notując swoje obserwacje. Szczegółowo opisywał wszystkie wydarzenia przedstawione na nagraniach filmowych i dokumentował całą tragedię własnymi słowami. Tak jak Fern potrafiła całkowicie pogрузić się w romansach, tak Bailey fascynował się historią. Już kiedy był dzieckiem, czytał opowieści z przeszłości, których ponadczasowość przynosiła mu swoisty komfort. Opowiadania o królu Arturze, który żył i umarł ponad tysiąc lat temu, świadczyły o jego nieśmiertelności, a dla chłopca, który czuł, jak czas przecieka mu przez palce niczym drobne ziarenka piasku, nieśmiertelność była wysoce atrakcyjną koncepcją.

Bailey prowadził dziennik, od kiedy nauczył się pisać. Jego zeszyty wypełniały całą półkę w szafce w jego pokoju i zawierały mnóstwo spostrzeżeń młodego, aktywnego umysłu, który był pełen myśli i marzeń. Ale mimo tej obsesji na punkcie spisywania historii Bailey był

jedynym, który śledził te wszystkie wydarzenia bez większych emocji. Nie bał się bardziej niż przedtem ani nie był bardziej poruszony. Nadal lubił te same rzeczy i droczył się z Fern tak samo jak zawsze, a gdy ona nie była już w stanie znieść tego, co pokazywano w telewizji, i znalazła się na krawędzi emocjonalnego urwiska, to właśnie on przeprowadził z nią rozmowę, dzięki której odzyskała grunt pod nogami.

Fern stała się bardziej płaczliwa, strachliwa i uczuciowa — i nie tylko ona. Oburzenie i smutek przeniknęły codzienne życie mieszkańców miasteczka. Śmierć stała się bardzo rzeczywista, a uczniowie najstarszej klasy szkoły średniej w Hannah Lake odczuwali rozgoryczenie wymieszane ze strachem. Byli w najstarszej klasie! To miał być najlepszy czas w ich życiu. Nie chcieli się bać.

— Szkoda, że życie tak bardzo się różni od tego z moich książek — uskarżała się Fern któregoś listopadowego popołudnia, próbując założyć na chude ramiona dwa plecaki: swój i Bailey'a. — W książkach główny bohater nigdy nie umiera. Gdyby tak było, cała historia zostałaby zepsuta albo po prostu by się skończyła.

— Każdy jest dla kogoś głównym bohaterem — teoretyzował Bailey, torując sobie drogę przez zatłoczony szkolny korytarz do najbliższego wyjścia. — Nie ma drugoplanowych bohaterów. Pomyśl sobie, jak musiał się czuć Ambrose, gdy oglądał wiadomości na lekcji pana Hildy'ego, wiedząc, że jego mama pracuje w jednej z tych wież. Siedział tam, oglądał wszystko w telewizji i prawdopodobnie zastanawiał się, czy jest świadkiem śmierci własnej mamy. Dla nas ona mogła być postacią drugoplanową, ale dla niego była główną bohaterką.

Fern zamyśliła się, kręcąc głową na samo wspomnienie tamtego dnia. Do niedawna nie mieli pojęcia, jak bliskie i osobiste były dla Ambrose'a Younga wydarzenia z 11 września. Siedział spokojny i milczący w sali matematycznej, uparcie wydzwaniając pod numer, który wciąż nie odpowiadał, a nikt dookoła nie wiedział, co się wtedy działo w jego głowie. Trener Sheen znalazł go w sali gimnastycznej ponad pięć godzin po runięciu obu wież, gdy wszyscy już dawno poszli do domu.

— *Nie mogę się do niej dodzwonić, trenerze — wyszeptał Ambrose, jak gdyby powiedzenie czegoś na głos kosztowało go zbyt wiele wysiłku i*

mogło doprowadzić do utraty kontroli nad sobą. — Nie wiem, co robić. Pracowała w północnej wieży. A ona runęła. Co, jeśli ona zginęła?

— Twój tata na pewno cię szuka. Rozmawiałeś z nim?

— Nie. On zwariuje. Udaje, że już jej nie kocha. Ale ja wiem, że to nieprawda. Nie chcę z nim rozmawiać, dopóki nie będę miał mu do przekazania dobrych wiadomości.

Trener Sheen usiadł obok chłopca, który znacznie przewyższał go wzrostem, i objął go ramieniem. Skoro Ambrose nie był gotowy, żeby pójść do domu, to on z nim zostanie. Rozmawiali o różnych rzeczach — o najbliższym sezonie sportowym, o innych zawodnikach z grupy wagowej Ambrose'a i o mocnych stronach drużyn z ich okręgu. Trener wymyślał strategie walki z innymi zawodnikami z drużyny, starając się odwracać uwagę Ambrose'a od ostatnich wydarzeń. Mijały minuty. Ambrose trzymał emocje na wodzy, dopóki w jego telefonie nie zadzwonił głośny dzwonek, który sprawił, że obaj podskoczyli i sięgnęli do kieszeni.

— Synu? — Głos Elliota był na tyle głośny, że Mike Sheen wyraźnie słyszał wszystkie słowa. Jego serce zamarło w przerażeniu na myśl o słowach, które nie zostały jeszcze wypowiedziane. — Wszystko dobrze, Brosey. Nic się jej nie stało. Jedzie do nas.

Ambrose spróbował coś powiedzieć, podziękować tacie za wspaniałą wiadomość, ale nie był w stanie wydusić z siebie słowa. Wstał i podał telefon trenerowi. A potem, przytłoczony całą sytuacją, przeszedł kilka kroków i znów usiadł. Mike Sheen odpowiedział Elliotowi, że zaraz przywiezie jego syna, po czym zamknął klapkę telefonu, żeby go wyłączyć, i objął ramieniem roztrzęsionego chłopca — najlepszego zawodnika ze swojej drużyny. Ambrose nie uрониł żadnej łzy, ale trząsł się tak, jakby miał wysoką gorączkę albo został sparaliżowany. Mike Sheen zmartwił się, że emocje i stres tego dnia mogą rzeczywiście skończyć się chorobą. Po chwili jednak dreszcze ustały i obaj wyszli z sali, wyłączając za sobą światła i zamykając drzwi w to ponure popołudnie, wdzięczni, że w dniu tej niespotykanej tragedii los się jednak do nich uśmiechnął.

— Mój tata martwi się o Ambrose'a — powiedział Bailey. — Twierdzi, że wygląda jakoś inaczej i jest rozkojarzony. Zauważyłem, że

choć trenuje tak intensywnie jak dotąd, czegoś mu brakuje.

— Sezon zapaśniczy zaczął się dopiero dwa tygodnie temu.

Fern broniła Ambrose'a, mimo że wcale nie musiała tego robić. Nikt nie był większym fanem Ambrose'a niż Bailey Sheen.

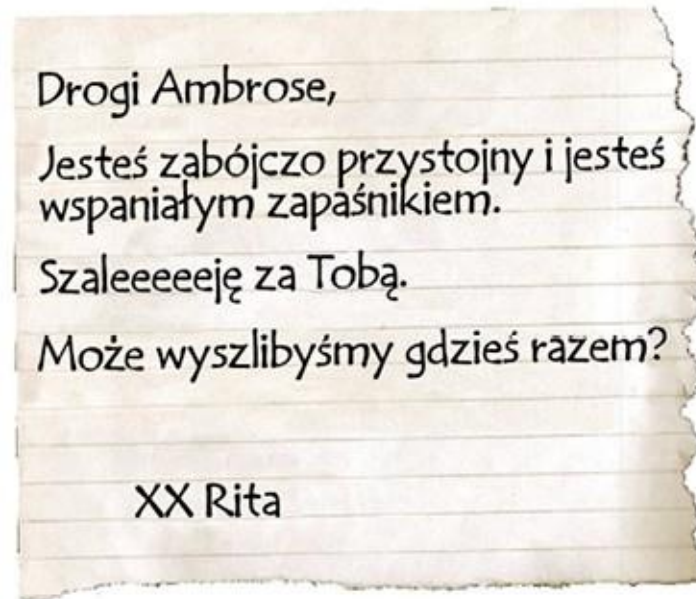
— Ale jedenasty września był dwa miesiące temu, Fern. A on wciąż się jeszcze nie pozbierał.

Fern spojrzała do góry na szare niebo, które wisiało ciężko nad ich głowami, zwiastując zapowiadaną burzę. Chmury kłębiły się, a wiatr zaczął się wzmagać. Burza wyraźnie nadchodziła.

— Nikt z nas się jeszcze nie pozbierał, Bailey. I nie wydaje mi się, że kiedykolwiek się pozbieramy.

Rozdział 3.

Przebrać się za kogoś



Fern zmarszczyła nos, czytając ten dziecinny tekst, i spojrzała na Ritę, której oczy wyrażały głęboką nadzieję. Fern nie była jedyną, która zauważyła Ambrose'a. Był aktywnym zawodnikiem; często podróżował i trenował, więc miał mało czasu wolnego i może dlatego nie miał jak dotąd zbyt wielu dziewczyn. Jego niedostępność czyniła go jeszcze bardziej atrakcyjnym, a Rita postanowiła, że zdobędzie jego serce. Pokazała Fern liścik, który napisała do niego na różowym papierze ozdobionym serduszkami i skropionym dużą ilością perfum.

— No, chyba może być, Rito. Ale nie wolałabyś być oryginalna?

Rita wzruszyła ramionami. Wyglądała na zdezorientowaną.

— Ja tylko chcę, żeby mnie lubił.

— Ale napisałaś do niego ten liścik, żeby zwrócić na siebie jego uwagę, prawda?

Rita z entuzjazmem przytaknęła. Fern spojrzała na jej anielską twarz, na długie blond włosy, które opadały jej na szczupłe ramiona, i na doskonałe piersi. Poczowała bolesne ukłucie w sercu. Była pewna, że Ambrose już dawno zwrócił na nią uwagę.

— *Jest taką piękną dziewczynką.*

Słowa te wypowiedziała mama Fern. Siedziała z ciocią Angie w kuchni, obserwując Baileyę i Ritę bujających się na huśtawkach w ogrodzie na tyłach domu Fern. Fern musiała akurat skorzystać z łazienki. Weszła do domu przez garaż, a nie przez drzwi kuchenne, ponieważ chciała zajrzeć do żółwia, którego razem z Baileyem złapała tego samego dnia rano przy strumyku. Włożyli go do pudełka wyłożonego liśćmi oraz różnymi rzeczami, o jakich inne żółwie mogłyby sobie tylko pomarzyć. Nie poruszał się, więc Fern zaczęła się zastanawiać, czy nie popełnili błędu, wrywając go z jego naturalnego środowiska.

— Wygląda tak, jakby nie była prawdziwa — powiedziała mama Fern, potrząsając z niedowierzaniem głową. Jej słowa sprawiły, że Fern przestała zwracać uwagę na żółwia. — Spójrz na te jej błękitne oczy, ona wygląda jak lalka.

— A te włosy! Są złote od nasady aż po same końce. Chyba nigdy w życiu nie widziałam czegoś takiego — odpowiedziała Angie. — A jednocześnie ma wyjątkowo ciemną karnację. To niezwykle rzadkie połączenie jasnych włosów i opalonej skóry.

Fern stała w korytarzu skonsternowana, słuchając zachwyty na temat Rity. Jej mama i ciocia były przekonane, że Fern jest na podwórku. Rita przeprowadziła się latem do Hannah Lake razem z mamą, a Rachel Taylor, jako żona pastora, czuła się zobowiązana, żeby powitać młodą matkę i jej dziesięcioletnią córkę. Później zaczęła ją zapraszać do domu, żeby Rita mogła się pobawić z Fern. Fern lubiła Ritę, która była urocza i chętnie robiła wszystko to co ona. Nie miała zbyt dużej wyobraźni, za to Fern miała jej aż za dużo.

— Bailey chyba się w niej zadurzył — zaśmiała się Angie. — Od kiedy na nią spojrział, ani razu nie mrugnął. To zabawne, jak dzieci ciągną do piękna, zupełnie tak samo jak my. Zobaczysz, zaraz zaczniesz demonstrować swoje umiejętności zapaśnicze, a ja będę musiała znaleźć sposób, żeby jakoś go odwieść od tego pomysłu. Ostatnio znów błagał Mike'a, żeby pozwolił mu pojechać na obóz zapaśniczy. Co roku jest to samo. Prosi, płacze, a my musimy mu tłumaczyć, dlaczego nie może pojechać.

W kuchni zapadła cisza. Angie zatonęła we własnych myślach, a

Rachel zabrała się za przygotowywanie kanapek dla dzieci. Było jej przykro, że nie jest w stanie ochronić Angie przed problemami związanymi z chorobą Bailey'a.

— *Fern chyba lubi Ritę, prawda?* — Angie zmieniła temat z lekkim westchnieniem, ale oczy wciąż miała utkwione w syna, który bujał się do przodu i do tyłu, prowadząc ożywioną rozmowę z uroczą blondyneczką siedzącą obok. — *To dobrze, że ma koleżankę. Teraz spędza większość czasu z Bailey'em, ale za jakiś czas będzie potrzebowała przyjaciółki.*

Tym razem to Rachel westchnęła.

— *Biedna Fernie.*

Fern właśnie zamierzała przejść po cichu korytarzem do łazienki, ale na dźwięk tych słów zatrzymała się. Biedna Fernie? Zaczęła gorączkowo się zastanawiać, czy nie cierpi na jakąś poważną chorobę, taką jak choroba Bailey'a, o której mama nigdy jej nie powiedziała. „Biedna Fernie” — to brzmiało poważnie. Nadstawiła uszu.

— *Nie jest tak ładna jak Rita. Ma krzywe zęby, ale na razie jest jeszcze mała i większość z nich to mleczaki. Może jak jej urosną stałe zęby, to nie będzie tak źle. Jeśli nadal będzie rosła w takim wolnym tempie, to będzie nosić aparat ortodontyczny w wieku 25 lat.* — Mama Fern się zaśmiała. — *Ciekawa jestem, czy będzie zazdrosna o Ritę. Na razie chyba jeszcze nie zdaje sobie sprawy z tego, jak bardzo się od niej różni pod względem wyglądu.*

— *Nasza mała śmieszna Fernie* — powiedziała Angie z czułością. — *Nie ma lepszego dziecka od niej. Codziennie dziękuję Bogu, że ją mamy. Jest taką wspaniałą towarzyszką dla Bailey'a. Bóg wiedział, co robi, gdy połączył ich więzami rodzinnymi, Rachel. Dał im siebie nawzajem. To ogromna łaska.*

*Fern nie była w stanie ruszyć się z miejsca. Nie usłyszała, że jest wspaniałą towarzyszką. Nie zastanawiała się, co to znaczy być jedną z ogromnych łask Boga. **Nie jest ładna.** Słowa te dudniły jej w głowie, jakby ktoś uderzał w stos garnków i patelni. **Nie jest ładna. Mała śmieszna Fernie. Nie jest ładna. Biedna Fernie.***

— Fern! — zawołała do niej Rita i zamachała jej ręką tuż przed twarzą. — Halo! Gdzie ty byłaś? Co powinnam napisać?

Fern otrząsnęła się ze starych wspomnień. To zabawne, jak

niektóre słowa zostają w głowie na zawsze.

— A może napisz coś takiego: „Nawet jak Cię nie ma obok, to widzę tylko Ciebie. Myślę tylko o Tobie. Chciałabym się dowiedzieć, czy Twoje serce jest tak piękne jak Twoja twarz. Czy Twój umysł jest tak fascynujący jak gra mięśni pod Twoją skórą? Czy to możliwe, że czasami też o mnie myślisz?” — Fern zrobiła pauzę i spojrzała na koleżankę.

Oczy Rity zrobiły się okrągłe.

— To jest dobre. Czy to jest cytat z jednej z tych twoich romantycznych powieści? — Rita była jedną z niewielu osób, które wiedziały, że Fern pisze romanse i marzy o tym, aby zostały wydane.

— Nie wiem. Pewnie tak — Fern uśmiechnęła się z zażenowaniem.

— Masz! Napisz to — zapiszczała Rita i wcisnęła Fern do rąk kartkę i ołówek.

Fern spróbowała sobie przypomnieć słowa, które przed chwilą powiedziała. Za drugim razem wyszło jej jeszcze lepiej. Rita chichotała i tańczyła wokół Fern, a ta zakończyła miłosny liścik pięknym zawijaszem. Podpisała się za Ritę, a potem wręczyła jej gotowy liścik. Rita wyjęła z plecaka perfumy, spryskała nimi kartkę, a następnie złożyła ją i zaadresowała do Ambrose’a.

Ambrose nie odpowiedział od razu. Przez kilka dni milczał. Ale czwartego dnia Rita znalazła w swojej szkolnej szafce kopertę. Otworzyła ją trzęsącymi się dłońmi. Przeczytała po cichu ze skupioną miną, a potem mocno chwyciła Fern za rękę, jakby usłyszała, że wygrała na loterii.

— Fern! Słuchaj! — wyszeptała.

*„Idzie w Piękności, jak noc, która kroczy
W cichym gwiazd gronie przez bezchmurne kraje;*

Co cień i światło w sobie kras jednoczy,

To w jej obliczu i w jej oczach taje”[1]

Fern podniosła ze zdziwieniem brwi, aż schowały się pod jej zbyt długą grzywką.

— On pisze prawie tak dobrze jak ty, Fern!

— Lepiej — powiedziała oschle Fern, zdmuchując z twarzy

niesforny kosmyk. — A w każdym razie ten, kto to napisał, robi to lepiej.

— Podpisał się tylko jedną literą, A — wyszeptała Rita. — Napisał mi wiersz! Nie mogę w to uwierzyć!

— Hej, to przecież lord Byron. To jest bardzo znany wiersz. Ricie zrzęda mina, a Fern spróbowała szybko ją pocieszyć.

— Ale to wspaniale, że Ambrose zacytował... lorda Byrona... w liście... do ciebie — zapewniła Ritę z pewnym wahaniem w głosie.

Ten wiersz *naprawdę* był piękny. A Fern wiedziała, że mało który osiemnastolatek cytuje znaną poezję pięknym dziewczętom. Była pod dużym wrażeniem. Rita też.

— Musimy mu odpisać! Czy my też powinniśmy zacytować jakiś znany wiersz?

— Może — zastanowiła się Fern, przekrzywiając głowę.

— Mogłabym sama napisać wiersz — powiedziała Rita. Przez kilka sekund patrzyła przed siebie niepewnym wzrokiem, a potem jej twarz się rozświeciła.

— Tylko nie pisz „na górze róże, na dole fiołki” — ostrzegła ją Fern, intuicyjnie przewidując, co się zaraz stanie.

— No wiesz? — oburzyła się Rita. — Wcale nie chciałam napisać o fiołkach! Myślałam o czymś takim: „Na górze są róże, ale mogą się schować. Myślę, że chciałabym cię pocałować”.

Fern zachichotała i delikatnie klepnęła koleżankę w ramię.

— Nie możesz tego napisać po tym, jak on ci wysłał fragment *Idzie w ciemności*.

— Zaraz zadzwoni dzwonek. — Rita głośno zatrzasnęła szafkę. — Napiszesz coś dla mnie, Fern? Prooooooszę! Wiesz, że ja nie dam rady wymyślić niczego dobrego!

Rita dostrzegła wahanie w oczach Fern, więc błagała ją tak długo, aż ta w końcu ustąpiła. I tak to Fern Taylor zaczęła pisać liściki miłosne do Ambrose’a Younga.

1994

— *Co robisz?* — zapytała Fern, po czym rzuciła się na łóżko

Baileya i rozejrzała się po jego pokoju.

Dawno tutaj nie była. Zazwyczaj bawili się na dworze albo w salonie. W pokoju Baileya wszędzie na ścianach wisiały akcesoria zapaśnicze, głównie z Uniwersytetu Stanowego Pensylwanii. Pomiędzy biało-niebieskimi gadżetami znajdowały się zdjęcia ulubionych sportowców, zdjęcia członków rodziny, a także stosy książek na rozmaite tematy, od historycznych, przez sportowe, po mitologię grecką i rzymską.

— Robię listę — powiedział krótko Bailey, nie odrywając oczu od kartki.

— Jaką listę?

— Listę wszystkich rzeczy, które chcę zrobić.

— I co tam masz?

— Nie powiem ci.

— Dlaczego?

— Bo niektóre z nich są bardzo osobiste — powiedział Bailey nieurazony jej pytaniem.

— Dobrze. To może ja też zrobię taką listę i też ci nie powiem, co na niej napisałam.

— Proszę bardzo — zaśmiał się Bailey. — Ale ja pewnie wszystko sam zgadnę.

Fern wzięła do ręki kartkę, która leżała na biurku Baileya, i wyjęła długopis z logo Uniwersytetu Stanowego Pensylwanii ze słoika z drobnymi, kamykami i różnymi małymi przedmiotami, stojącego na nocnej szafce. Na samej górze napisała LISTA i zaczęła się zastanawiać.

— Przeczytaj chociaż jeden punkt ze swojej listy — poprosiła potulnie po kilku minutach wpatrywania się w kartkę.

Nie udało jej się wymyślić nic ekscytującego.

Bailey westchnął, zupełnie jak rodzic, którego dziesięcioletnie dziecko właśnie coś zbroiło.

— Dobrze. Ale niektórych z tych rzeczy prawdopodobnie nie zrobię od razu. Zajmę się tym, jak będę starszy... ale i tak chcę to zrobić. Zrobię to! — powiedział stanowczo.

— No, dobra. Powiedz mi tylko jedną — błagała Fern.

Jak na osobę z tak bogatą wyobraźnią miała naprawdę duży problem z wymyśleniem, co chciałaby zrobić. Być może dlatego, że

codziennie przeżywała nowe przygody razem z postaciami z książek, które czytała, i żyła życiem bohaterów historii, które sama pisała.

— Chcę zostać bohaterem. — Bailey spojrział poważnie na Fern, jakby ujawniał jej ściśle tajną informację. — Nie wiem jeszcze, jakim bohaterem będę. Może takim jak Herkules albo Bruce Baumgartner.

Fern wiedziała, kim był Herkules. Znała również Bruce'a Baumgartnera, bo był jednym z ulubionych zapaśników Bailey'a, a także zdaniem Bailey'a jednym z najlepszych zapaśników kategorii ciężkiej w historii. Spojrzała ze z wątpieniem na kuzyna, ale nic nie powiedziała. Herkules nie był prawdziwy, a Bailey nigdy nie będzie tak duży i silny jak Bruce Baumgartner.

— A jeżeli nie mogę zostać bohaterem takim jak oni, to może po prostu uda mi się kiedyś kogoś uratować — kontynuował Bailey, nieświadomy tego, że Fern zupełnie w niego nie wierzy. — Wtedy gazety wydrukują moje zdjęcie i każdy się dowie, kim jestem.

— Ja bym nie chciała, żeby wszyscy wiedzieli, kim jestem — powiedziała Fern po głębszym zastanowieniu. — Chcę być znaną pisarką, ale myślę, że będę używać pseudonimu. Pseudonim to nazwisko, którego używasz, gdy nie chcesz, żeby wszyscy się dowiedzieli, kim jesteś naprawdę — dodała na wypadek, gdyby Bailey nie znał tego słowa.

— Wtedy będziesz mogła zachować swoją tożsamość w tajemnicy, jak Superman — wyszeptał, jak gdyby pisanie powieści przez Fern osiągnęło właśnie zupełnie nowy poziom fajności.

— I nikt nigdy się nie dowie, że to ja — powiedziała Fern z rozmarzeniem w głosie.

To nie były zwykłe liściki miłosne. Fern wkładała w nie całe swoje serce i duszę, a Ambrose chyba robił to samo, ponieważ odpowiadał z taką szczerością i wrażliwością, jakiej zupełnie by się po nim nie spodziewała. Fern nie pisała o rzeczach, które ona i Rita w nim uwielbiały, i nie zachwycała się jego wyglądem, włosami, siłą ani talentem. Mogłaby to robić, ale bardziej interesowało ją to wszystko, czego nie wiedziała. Dlatego starannie dobierała słowa i formułowała pytania, dzięki którym mogła zyskać dostęp do jego najskrytszych myśli.

Wiedziała, że to wszystko jest na niby. Ale nie mogła się powstrzymać.

Zaczął się od prostych pytań: kwaśny czy słodki, zima czy jesień, pizza czy tacos. Ale potem Fern zaczęła poruszać głębsze, poważniejsze, bardziej osobiste tematy. Listy z pytaniami i odpowiedziami krążyły regularnie między szkolnymi szafkami. Przypominało to trochę rozbieranie się — najpierw trzeba pozbyć się nieważnych rzeczy, takich jak kurtka, kolczyki czy czapka z daszkiem. Potem rozpinali guziki i rozporki, a ubrania spadały na podłogę. Serce Fern trzepotało, a w piersiach brakło jej oddechu z każdą kolejną przekroczoną barierą — z każdym zdjętym metaforycznym ubraniem.

Zagubienie czy samotność? Ambrose odpowiedział „samotność”, a Fern odpowiedziała: „Dużo bardziej wolałabym być zagubiona z Tobą niż samotna bez Ciebie, więc wybieram zagubienie z tym jednym zastrzeżeniem”. Ambrose odpisał: „A bez zastrzeżeń?”, na co Fern odpowiedziała: „W takim razie zagubienie, ponieważ samotność wydaje się czymś trwałym, a ten, kto jest zagubiony, może zostać znaleziony”.

Latarnie uliczne czy sygnalizatory świetlne? Fern: Latarnie sprawiają, że czuję się bezpieczna. Ambrose: Światła na ulicy budzą we mnie niepokój.

Nikt czy nigdzie? Fern: Wolałabym być nikim w domu niż kimś gdzie indziej. Ambrose: Ja wolałbym nie być nigdzie. Bycie nikim, gdy inni oczekują od ciebie, że będziesz kimś, jest męczące. Fern: Skąd możesz to wiedzieć? Czy byłeś kiedyś nikim? Ambrose: Każdy, kto jest kimś, staje się nikim, gdy poniesie porażkę.

Mądrość czy uroda? Ambrose wybrał dla siebie słowo „mądrość”, ale zaraz potem dodał komplement na temat jej (czyli Rity) urody. Fern wybrała słowo „uroda” i pochwaliła Ambrose’a za jego błyskotliwą odpowiedź.

Przed czy po? Fern: przed, bo oczekiwanie jest zazwyczaj lepsze niż to, na co czekamy. Ambrose: po. Prawdziwa rzecz, jeśli zrobi się to dobrze, zawsze jest lepsza niż marzenie. Fern tego nie wiedziała, bo skąd niby miałyby wiedzieć? Postanowiła nie ciągnąć tego tematu.

Piosenki o miłości czy poezja? Ambrose: Piosenki o miłości, ponieważ łączą w sobie jedno i drugie — muzykę i poezję. A do samej poezji nie można tańczyć. Potem zrobił listę swoich ulubionych ballad.

Była imponująca, a Fern spędziła cały wieczór na przygotowaniu płyty CD właśnie z tymi piosenkami. Fern wybrała poezję i przesłała Ambrose'owi kilka wierszy, które sama napisała. To było ryzykowne i głupie. Na tym etapie zabawy Fern była już całkowicie naga, ale mimo to grała dalej.

Naklejki czy kredki? Świece czy żarówki? Kościół czy szkoła? Dzwonki czy gwizdki? Stare czy nowe? Pytania krążyły dalej, a odpowiedzi płynęły szerokim strumieniem. Fern czytała powoli każdą literę, siedząc na toalecie w dziewczęcym WC, a potem przez resztę lekcji zastanawiała się nad odpowiedzią.

Kazała Ricie czytać wszystkie liściki, a z każdą kolejną wiadomością Rita była coraz bardziej zdezorientowana. Nie rozumiała rzeczy, o których pisał Ambrose, i odpowiedzi, które wymyślała Fern. Kilka razy zdarzyło jej się zaprotestować: „Nie wiem, o czym wy dwoje rozmawiacie! Nie możesz po prostu napisać czegoś o jego mięśniach? On ma cudowny sześciopak na brzuchu, Fern”. Po jakimś czasie Rita zupełnie straciła zainteresowanie liścikami i ograniczyła się do przekazywania ich Fern i wrzucania odpowiedzi do szafki Ambrose'a.

Fern starała się nie myśleć o sześciopaku Ambrose'a, a także o tym, że Rita zdążyła się już z nim intymnie zapoznać. Około trzech tygodni po napisaniu pierwszego liściku Fern, idąc do swojej szafki po zadanie domowe, zobaczyła Ritę, która stała oparta właśnie o jej szafkę i obejmowała Ambrose'a. Całował ją tak, jakby oboje dopiero co odkryli, że mają usta... i języki. Fern westchnęła ciężko i szybko odwróciła się na pięcie, wracając tam, skąd przyszła. Zrobiło jej się niedobrze, więc szybko przełknęła zawartość przełyku, która cofnęła się jej do gardła. To nie były jednak problemy żołądkowe, tylko złamane serce. Sama była sobie winna. Zastanawiała się, czy jej listy sprawiły, że Ambrose pokochał Ritę jeszcze bardziej. Jeśli tak, to jest jeszcze bardziej żałosna, niż myślała.

[1] Lord Byron, *Idzie w ciemności*, przekład Stanisława Egberta Koźmiana — *przyp. tłum.*

Rozdział 4.

Poznać Herkulesa

Nie minęło nawet półtora miesiąca, gdy podstęp się wydał. Fern zauważyła, że Rita dziwnie się zachowuje. Unikała jej wzroku, gdy Fern podawała jej liścik do Ambrose'a — wiadomość, którą z taką przyjemnością dla niej przygotowała. Patrzyła niepewnie na otwartą dłoń Fern, w której leżała starannie złożona kartka, jakby się jej bała. I nie wyciągnęła ręki, żeby zabrać liścik.

— Wiesz, to już nie będzie potrzebne. Zerwaliśmy. To koniec.

— Zerwaliście? — zapytała Fern zdumiona. — Co się stało? Jak... się czujesz?

— W porządku. To nic wielkiego, naprawdę. On zaczął się dziwnie zachowywać.

— Dziwnie? Jak?

Fern miała ochotę się rozplakać, jakby ona też została rzucona. Z trudem opanowała drżenie głosu. Rita musiała jednak coś zauważyć, bo jej brwi uniosły się i zniknęły pod bujną grzywką.

— Naprawdę nic się nie stało, Fern. On był nudziarzem. Superprzystojnym nudziarzem.

— Był nudny czy dziwny? Zazwyczaj dziwacy nie są nudni.

Fern była kompletnie zdezorientowana. Chyba miała Ricie za złe, że pozwoliła Ambrose'owi odejść. Rita westchnęła i wzruszyła ramionami. Spojrzała na Fern przeproszającym wzrokiem.

— Domyślił się, że ja nie pisałam tych liścików, Fern. To, co było tam napisane, zupełnie nie brzmiało jak moje słowa. — Głos Rity nabrał oskarżycielskiego tonu. — Nie jestem tak mądra jak ty, Fern.

— Powiedziałaś mu, że to ja? — zapiszczała Fern przerażona.

— No... — Rita wahała się z odpowiedzią i znów uciekła wzrokiem gdzieś w bok.

— O mój Boże! Zrobiłaś to!

Fern pomyślała, że zaraz zemdleje na środku zatłoczonego szkolnego korytarza. Przycisnęła czoło do chłodnego metalu szafki i zmusiła się do zachowania spokoju.

— Nie chciał odpuścić, Fern. Był taki wkurzony! Trochę się go

bałam.

— Musisz mi wszystko powiedzieć. Jaką miał minę, gdy mu wyznałaś, że to ja? — spytała Fern, czując, że robi jej się niedobrze.

— Wyglądał... na zaskoczonego. — Rita zagryzła wargę i zaczęła bawić się pierścionkiem na swoim palcu.

Fern domyśliła się, że słowo „zaskoczony” było dużym niedopowiedzeniem.

— Przykro mi, Fern. Ambrose chce, żebym mu oddała wszystkie liściki, które do mnie... do ciebie napisał. Ale ja ich nie mam, Fern. Dałam je tobie.

— To też mu powiedziałaś? — wykrzyknęła Fern, zasłaniając usta dłońmi w geście przerażenia.

— No, tak.

Teraz to Rita się trzęsła, a na jej pięknej twarzy malowała się wielka udręka. Sprzeczka z Ambrose'em wyprowadziła ją z równowagi bardziej, niż była gotowa przyznać.

— Nie wiedziałam, co robić — dodała.

Fern odwróciła się na pięcie i pobiegła prosto do toalety. Zamknęła się w ubikacji, położyła plecak na kolanach i oparła o niego głowę. Mocno zamknęła oczy, żeby powstrzymać łzy. Była wściekła na siebie, że wpakowała się w tę sytuację. Przecież miała już osiemnaście lat! W tym wieku dziewczyny nie chowają się w szkolnych toaletach. Ale nie była gotowa, żeby teraz pójść na lekcję matematyki. Wiedziała, że Ambrose tam będzie, a ona nie była już dla niego niewidzialna.

Najgorsze w tym wszystkim było to, że każde słowo, które napisała, było prawdą. Ale ona pisała te listy tak, jakby miała twarz Rity i jej ciało; jakby była kobietą, która potrafi przyciągać mężczyzn swoją figurą i uśmiechem, a do tego ma umysł, który wspaniale uzupełnia ten doskonały wizerunek. I ta część była kłamstwem. Fern była niska i nieatrakcyjna. Brzydka. Ambrose mógł poczuć się jak głupiec, gdy się dowiedział, że to do niej pisał te wszystkie słowa. Przecież one były skierowane do pięknej dziewczyny. Nie do Fern.

Fern czekała przed salą gimnastyczną. Wcześniej zebrała wszystkie

listy, które Ambrose napisał do Rity, i włożyła je do dużej szarej koperty. Bailey zaproponował, że przekaże ją Ambrose'owi na treningu. Od samego początku wiedział o spisku Fern i Rity. Obiecał, że będzie dyskretny i po prostu poda kopertę Ambrose'owi po skończonym treningu. Bailey był honorowym członkiem drużyny, głównym statystykiem i pomocnikiem trenera. Nigdy nie opuszczał codziennych treningów. Ale dyskrecja nie była jego mocną stroną, a Fern nie chciała jeszcze bardziej pogarszać sytuacji, zawstydzając Ambrose'a przed kolegami z drużyny. Dlatego przyczała się w korytarzu obok sali gimnastycznej, czekając, aż trening się skończy.

Jeden po drugim chłopcy opuszczali salę, niektórzy ubrani, a niektórzy nie, z butami zapaśniczymi przewieszonymi przez ramię i bez koszulek, mimo że na dworze było chłodno. Nie zauważyli Fern. Choć raz przydało się jej to, że jest niewidzialna. Wtedy z sali wyszedł Ambrose. Widać było, że właśnie wziął prysznic, bo jego długie włosy były mokre i zaczesane do tyłu. Na szczęście towarzyszyli mu Paul Kimball i Grant Nielson. Paulie zawsze był miły dla Fern, a Granta znała z kilku wspólnych przedmiotów i wiedziała, że jest raczej typem mózgowca. Na pewno nie będzie robił afery, jak Fern przez chwilę porozmawia z Ambrose'em.

Na widok Fern Ambrose zastygł w miejscu, a uśmiech momentalnie zniknął mu z twarzy. Jego koledzy zatrzymali się, widząc tę nagłą przemianę, i zaczęli rozglądać się dookoła. Nawet przez chwilę nie pomyśleli, że to Fern może być przyczyną tego całego zamieszania.

— Ambrose? Mogę z tobą chwilę porozmawiać? — zapytała Fern słabym głosem.

Miała nadzieję, że nie będzie musiała tego powtarzać.

Ambrose uniósł brodę w stronę kolegów — ten krótki gest wystarczył, żeby zrozumieli, co mają robić. Poszli dalej bez niego, z ciekawością przyglądając się Fern.

— W takim razie pojedę z Grantem, Brosey — zawołał Paulie. — Do jutra!

Ambrose pomachał kolegom na do widzenia, omijając wzrokiem Fern, jakby marzył o tym, żeby jak najszybciej od niej uciec. Fern pomyślała, że dużo lepiej by było, gdyby ta konfrontacja zdarzyła się za

tydzień. W poniedziałek wreszcie zdejmą jej aparat ortodontyczny. Nosiła go przez długie trzy lata. Poza tym gdyby wcześniej wiedziała o tym spotkaniu, to spróbowałaby jakoś zapanować nad swoimi kręconymi włosami. I założyłaby soczewki kontaktowe. A tak — stała przed nim z włosami sterczącymi we wszystkich kierunkach, z okularami na nosie i w swetrze, który należy do jej ulubionych nie dlatego, że wspaniale w nim wygląda, lecz dlatego, że jest wygodny. Był uszyty z grubej wełny i miał bladoniebieski kolor. Zupełnie nie pasował do jej karnacji ani do jej szczupłej sylwetki. Mając świadomość tego wszystkiego, wzięła głęboki oddech i wyciągnęła rękę, w której trzymała dużą kopertę.

— Proszę. Wszystkie twoje listy do Rity. Masz.

Ambrose wziął kopertę. Widać było, że jest zły. Spojrzał jej prosto w oczy, a ona ze strachu oparła się o ścianę.

— Pewnie świetnie się przy tym bawiłaś, co?

— Nie.

Fern wzdrygnęła się na dźwięk własnego głosu, który brzmiał jak głos małego dziecka. Pasował do jej dziecięcej figury i pochylonej głowy.

— Dlaczego to zrobiłaś?

— Ja tylko wymyśliłam pierwszy tekst. Myślałam, że pomogę w ten sposób Ricie. Lubiła cię. A potem wszystko jakoś wymknęło się spod kontroli... Przepraszam.

Mówiła to ze szczerego serca. Naprawdę było jej bardzo przykro — przykro, że to się skończyło i że już nigdy nie zobaczy jego zapisków na papierze, nie przeczyta jego liścików, nie pozna go jeszcze lepiej.

— Dobra, nieważne — powiedział.

Fern i Rita zraniły go i upokorzyły. Fern była załamana. Nie chciała go skrzywdzić. Nie chciała go upokorzyć. Ambrose odwrócił się bez słowa w kierunku wyjścia.

— Podobały ci się? — wyrwało jej się.

Ambrose znów na nią spojrział, a na jego twarzy malowało się niedowierzanie.

— To znaczy, zanim się dowiedziałeś, że to ja pisałam. Podobały ci się? Te listy? — Fern wiedziała, że Ambrose nią gardzi, więc uznała,

że nie ma nic do stracenia. Musiała się dowiedzieć.

Ambrose pokręcił głową i stał osłupiały, jakby nie mógł uwierzyć, że Fern miała czelność zadać mu takie pytanie. Przebiegł dłonią po mokrych włosach i ponownie odwrócił się do Fern.

— Bo ja uwielbiałam twoje listy — zaczęła Fern, a słowa wypływały z niej, jakby gdzieś w środku przerwała się jakaś tama. — Wiem, że nie były pisane do mnie. Ale je uwielbiałam. Jesteś zabawny. I mądry. I rozśmieszałeś mnie. A raz nawet się rozplakałam. Żałuję, że nie były pisane do mnie. Dlatego ciekawi mnie, czy tobie podobało się to, co ja pisałam.

Jego rysy twarzy nieco złagodniały, a zacięcie widoczne od momentu, gdy zobaczył ją na korytarzu, nieco zmalowało.

— Czy to ma jakiegokolwiek znaczenie? — zapytał spokojnie.

Fern próbowała znaleźć właściwe słowa. Oczywiście, że to miało znaczenie. Nawet jeśli nie wiedział, że to ona pisze te listy, to jeśli treść mu się podobała, to znaczy, że ją lubił. Pod pewnym względem. Prawda?

— Ma, bo... to ja je pisałam. Prosto z serca. — Jej słowa wypełniły pusty korytarz, odbijając się od pustych szafek i podłóg z linoleum niczym sto skaczących piłeczek, których nie da się zignorować ani uniknąć. Fern poczuła się słaba i całkowicie obnażona przed chłopakiem, w którym od dawna była zakochana.

Jego twarz wyrażała takie samo zaskoczenie, jakie prawdopodobnie było widoczne na jej twarzy.

— Ambrose! Brosey! Ty jeszcze tu jesteś?

Zza rogu wyłonił się Beans, jakby znalazł się tu zupełnie przypadkowo. Ale Fern od razu zrozumiała, że usłyszał każde słowo. Widziała to w jego uśmiechu. Pewnie uznał, że musi uratować kolegę przed napaścią albo, co gorsza, nie dopuścić do tego, żeby jakaś brzydka dziewczyna zaprosiła go na szkolną potańcówkę.

— Cześć, Fern.

Beans udawał zaskoczonego, gdy na nią spojrział. Była zdziwiona, że w ogóle zna jej imię.

— Potrzebuję pomocy, Brose. Samochód nie chce mi odpalić.

— Tak, jasne — przytaknął Ambrose, a Beans chwycił go za rękaw i poprowadził w kierunku drzwi. Fern czuła się kompletnie upokorzona.

Może była mało atrakcyjna, ale na pewno nie była głupia.

Ambrose poszedł posłusznie za kolegą, ale po chwili się zatrzymał. Wrócił do Fern i oddał jej kopertę, którą wręczyła mu zaledwie kilka minut wcześniej. Beans czekał, wyraźnie zaintrygowany.

— Masz. Są twoje. Tylko... nie pokazuj ich nikomu. Dobrze? — Ambrose posłał Fern krótki, niepewny uśmiech. A potem się odwrócił i poszedł w kierunku wyjścia razem z Beansem. Fern trzymała w ręku kopertę, zastanawiając się, co to może oznaczać.

— Załóż siatkę na włosy, synu. — Elliot Young przypomniał cierpliwie Ambrose'owi, gdy ten pojawił się w tylnych drzwiach piekarni i skierował się do zlewu.

Ambrose zaczesał dłońmi włosy i ściągnął je elastyczną gumką, żeby nie spadały mu na twarz ani do miski z surowym ciastem. Włosy jeszcze mu nie wyschły po prysznicu, który wziął po treningu. Nałożył siatkę na kucyk i założył fartuch, owijając go w talii dokładnie tak, jak nauczył go Elliott wiele lat temu.

— Co mam robić, tato?

— Zaczynaj od bułek. Ciasto jest już gotowe. Ja muszę skończyć dekorowanie tego tortu. Obiecałem Daphne Nielson, że będzie gotowy o wpół do siódmej, a jest już szósta.

— Grant mówił coś o tym torcie podczas treningu. Powiedział, że już niedługo osiągnie taką wagę, że będzie mógł sobie pozwolić na jeden kawałek.

Był to tort urodzinowy dla młodszego brata Granta, Charliego. Składał się z trzech warstw czekoladowego ciasta i był ozdobiony postaciami z animowanego filmu *Herkules*. Był piękny i nietypowy; stanowił kombinację kolorów i chaosu idealną dla sześciolatniego chłopca. Elliott Young miał rękę do szczegółów. Jego torty zawsze wyglądały lepiej niż obrazki w wielkiej księdze tortów, która stała na postumencie wystawionym przed piekarnią. Dzieci lubiły przeglądać te laminowane kartki i wybierać torty na swoje następne przyjęcie urodzinowe.

Ambrose kilka razy próbował swoich sił w dekorowaniu, ale miał

za duże ręce, a narzędzia były dla niego zbyt małe. Mimo że Elliott był cierpliwym nauczycielem, obaj doszli do wniosku, że Ambrose po prostu się do tego nie nadaje. Potrafił zrobić podstawowe dekoracje, ale dużo lepiej szło mu pieczenie. Ta praca zdecydowanie lepiej pasowała do kogoś o jego sile i posturze.

Ambrose zaczął wyrabiać ciasto z dużą wprawą. Ugniatał, wałkował i zawijał kolejne kawałki ciasta w doskonałe kulki, robiąc to wszystko zupełnie mechanicznie. Praca szła mu bardzo szybko. W większych piekarniach te wszystkie prace wykonują maszyny, ale on naprawdę lubił wykładać swoje ręcznie robione bułeczki na wielkie blachy. Tylko zapach pierwszej partii rumianych bułek go wykańczał. Praca w piekarni podczas sezonu zapaśniczego wymagała ogromnego samozaparcia.

— Gotowe. — Elliot odsunął się od tortu i spojrzął na zegar.

— Wygląda ładnie — powiedział Ambrose, patrząc na wyraźnie zarysowane mięśnie mitycznego bohatera, który stał na szczycie tortu z rękami uniesionymi do góry. — Ale prawdziwy Herkules był ubrany w skórę lwa.

— Och, naprawdę? — zaśmiał się Elliott. — A skąd ty to niby wiesz?

Ambrose wzruszył ramionami.

— Bailey Sheen tak mi kiedyś powiedział. Miał fioła na punkcie Herkulesa.

Bailey trzymał na kolanach książkę. Gdy Ambrose zerknął mu przez ramię, zobaczył obrazki nagich wojowników walczących z czymś, co przypominało mityczne potwory. Niektóre z tych obrazków nadawałyby się do oprawienia w ramki i powieszenia na ścianach sali gimnastycznej. Na jednym z nich wojownik zmagał się z lwem, a na innym walczył z niedźwiedziem. Pewnie dlatego Sheen czytał tę książkę. Ambrose nie znał nikogo, kto miałby większą wiedzę na temat zapaśców niż Bailey Sheen.

Ambrose usiadł na macie obok wózka Bailey'a i zaczął sznurować buty zapaśnicze.

— Co czytasz, Sheen?

Bailey spojrzął na niego niewidzącym wzrokiem. Był tak

pochłonięty czytaniem książki, że nawet nie zauważył Ambrose'a. Przez chwilę wpatrywał się w niego, w jego długie włosy i koszulkę założoną na lewą stronę. Czternastoletni chłopcy nie zwracają uwagi na to, jak są ubrani albo uczesani, ale mama Bailey'a nie pozwoliłaby mu wyjść z domu w takim stroju. Wtedy Bailey przypomniał sobie, że Lily Young nie mieszka już z Ambrose'em. Jednocześnie uświadomił sobie, że widzi Ambrose'a po raz pierwszy tego lata. Ale Ambrose wciąż jeździł na obozy zapaśnicze trenera Sheena, tak samo jak co roku.

— Czytam książkę o Herkulesie — odpowiedział Bailey po dłuższej chwili milczenia.

— Słyszałem o nim.

Ambrose skończył wiązać buty i wstał w momencie, gdy Bailey przewrócił stronę.

— Herkules był synem greckiego boga Zeusa — powiedział Bailey. — Ale jego matka była człowiekiem. Był znany ze swojej niezwykłej siły. Musiał wykonać wiele zadań i zabić różne potwory. Pokonał byka z Krety. Zabił złotego lwa, którego futro było nieczule na broń śmiertelników. Uśmiercił dziewięciogłową hydrę, schwytał konie jedzące ludzkie mięso i zniszczył ptaki zjadające ludzi, które miały dzioby z brązu, pióra z metalu i toksyczne odchody. — Ambrose zarechotał, a Bailey cały promieniał. — Tak mówi legenda! Herkules był niesamowity, naprawdę! Był półbogiem i półśmiertelnikiem, prawdziwym bohaterem. Jego ulubioną bronią była maczuga. Zawsze miał na sobie skórę lwa, tego samego złotego lwa, którego zabił w ramach swojego pierwszego zadania.

Bailey spojrzał badawczo na Ambrose'a i kontynuował:

— Teraz, jak zapuścisz dłuższe włosy, jesteś nawet do niego podobny. Powinieneś je tak zostawić albo nawet zapuścić jeszcze bardziej. Może dzięki temu staniesz się jeszcze silniejszy, jak Herkules. A dodatkowo będziesz budził większy strach. Inni zapaśnicy będą sikać w majtki na twój widok.

Ambrose przejechał ręką po włosach, których nie ścinał od zeszłej wiosny. Od wyjazdu mamy on i jego ojciec żyli jak dwaj kawalerowie. Szybko przekonali się, że mogą żyć bez wielu rzeczy, które kiedyś wydawały im się niezbędne. Włosy na pewno nie były czymś, co

zaprzętałoby jego myśli.

— *Masz dużą wiedzę, prawda, Sheen?*

— *Tak. Jak człowiek nie może robić prawie nic poza czytaniem i nauką, to uczy się nowych rzeczy, a ja lubię czytać o gościach, którzy umieli się siłować. Spójrz na to. — Bailey wskazał palcem jeden z rysunków. — To jest Herkules podczas swojej pierwszej pracy. Wygląda, jakby ćwiczył atak na lwie, nie?*

Ambrose przytaknął, ale jego wzrok przyciągnął inny obraz. Przedstawiał on bohatera w dużym zbliżeniu — widać było tylko jego twarz i tors. Herkules wyglądał na poważnego, a nawet smutnego, i trzymał dłoń na sercu, jakby go bolało.

— *O czym mówi ten rysunek?*

Bailey zamyślił się na chwilę i przyjrzał się rysunkowi, jakby nie był pewien.

— *„Twarz bohatera” — głośno przeczytał tytuł widniejący w podpisie pod rysunkiem i spojrzał w górę na Ambrose’a. — Wygląda na to, że nawet zwycięzca miewa trudne chwile.*

Ambrose przeczytał tekst na głos, zerkając Baileyowi przez ramię:

— *„Herkules był najsłynniejszym i najbardziej uwielbianym ze wszystkich starożytnych bohaterów, ale wielu zapomina, że dwanaście prac, które dostał do wykonania, było jego karą. Bogini Hera sprawiła, że oszalał i w amoku zabił swoją żonę i dzieci. Pełen żalu i wyrzutów sumienia Herkules zaczął szukać sposobu na odzyskanie równowagi i ukojenie udręczonej duszy”.*

Bailey jęknął:

— *Jakie to głupie. Gdybym ja zrobił rzeźbę o nazwie „Twarz bohatera”, to ta twarz nie wyrażałaby smutku. Byłaby raczej taka. — Bailey wyszczerzył zęby i spojrzał na Ambrose’a wzrokiem szaleńca.*

Nie za dobrze mu to wyszło, bo jego bujne, jasnobrązowe, kręcone włosy, niebieskie oczy i rumiane policzki nie pasowały do wizerunku groźnego wojownika. Ambrose parsknął śmiechem i machając Baileyowi na pożegnanie, szybko pobiegł do pozostałych zapaśników, którzy rozciągali się na matach. Długo jednak nie mógł wymazać z pamięci Herkulesa z brązu pogrążonego w żalobie.

— Teraz już nie zdążę zrobić skóry lwa z lukru, ale myślę, że mój tort i tak się spodoba — powiedział z uśmiechem Elliott. — Muszę skończyć jeszcze jeden tort, a potem wrócimy do domu. Nie chcę, żebyś znienawidził tej pracy.

— Ty na pewno musisz zaraz wracać do domu — powiedział Ambrose grzecznie.

Elliott Young tak ustawił sobie godziny pracy, żeby wieczory mógł spędzać w domu. Potem wracał do piekarni około drugiej w nocy. Kończył pracę około siódmej, gdy pani Luebke rozpoczynała zmianę, a potem wracał około piętnastej, gdy jej zmiana się kończyła, i pracował do dziewiętnastej albo dwudziestej. Zazwyczaj Ambrose pomagał mu po treningu, dzięki czemu praca szła nieco szybciej.

— No tak. Ale to nie mnie zależy na poprawieniu ocen i trenowaniu zapasów codziennie rano i po lekcjach. Nie masz nawet czasu dla swojej pięknej dziewczyny.

— Pięknej dziewczyny już nie ma — powiedział cicho Ambrose.

— Naprawdę? — Elliott Young przyjrzał się uważnie synowi, ale nie zauważył na jego twarzy przygnębienia. — Co się stało?

Ambrose wzruszył ramionami.

— Powiedzmy, że nie była tą dziewczyną, którą znałem.

— Aha — westchnął Elliott. — Przykro mi, Brosey.

— Uroda czy mądrość? — zapytał Ambrose po długiej pauzie, nie przerywając pracy przy bułkach.

— Mądrość — bez zastanowienia odparł Elliott.

— Ta, jasne. I dlatego wybrałaś mamę, co? Bo była taka brzydka.

Elliott Young zrobił minę, jakby został trafiony prosto w serce.

Ambrose'owi zrobiło się przykro.

— Przepraszam, tato. Nie chciałem, żeby to tak zabrzmiało.

Elliott przytaknął i spróbował się uśmiechnąć, ale Ambrose wiedział, że bardzo go zranił. To zdecydowanie nie był dla niego dobry dzień. Najpierw Fern Taylor, a potem tata. Może powinien zacząć wykonywać jakieś prace, żeby odkupić swoją winę, tak jak Herkules. Przypomniał sobie rzeźbę zatroskanego bohatera. Nie myślał o niej od lat, a mimo to słowa Bailey'a zadźwięczały mu w głowie tak, jakby to było wczoraj.

Wygląda na to, że nawet zwycięzca miewa trudne chwile.

— Tato?

— Tak, Brosey?

— Poradzisz sobie, jak mnie nie będzie?

— Masz na myśli szkołę? Pewnie, że tak. Pani Luebke mi pomoże, a Jamie, mama Paula Kimballa, dzisiaj złożyła podanie o pracę na pół etatu. Chyba ją zatrudnię. Z pieniędzmi zawsze jest problem, ale jeśli dostaniesz stypendium sportowe i zaciśniemy trochę pasa, to jakoś sobie poradzimy.

Ambrose nic nie powiedział. Nie wiedział, czy słowa „jak mnie nie będzie” dotyczyły szkoły. Chodziło mu o to, że po prostu go nie będzie.

Rozdział 5. Poskromić lwa

Transparent zamontowany na rogu ulic Głównej i Centralnej głośił: *Idziemy po czwórkę! Zdobądź stan, Ambrose!* Nie krzyczał: *Zapaśnicy, do boju!* ani *Brawo Lakers!*, tylko *Zdobądź stan, Ambrose!* Jessemu nie spodobał się ten transparent, ale pozostali chłopcy w autokarze nie mieli chyba nic przeciwko. Ambrose jechał razem z nimi. Był kapitanem drużyny. Wszyscy wierzyli, że poprowadzi ich do następnych mistrzostw stanowych, i tylko to się dla nich liczyło.

Ale Ambrose'owi ten transparent nie podobał się tak samo jak Jessemu. Starał się o tym nie myśleć — ta metoda zawsze działała. Jechali do Hershey w Pensylwanii na turniej stanowy, a Ambrose już nie mógł się doczekać, kiedy będzie po wszystkim. Może wtedy wreszcie znajdzie chwilę na to, żeby odpocząć, przemyśleć parę spraw i choć trochę się wyciszyć.

Gdyby zapasy ograniczały się do tego, co się dzieje na macie i w sali gimnastycznej, to uwielbiałby ten sport. Ambrose *naprawdę* uwielbiał ten sport. Podobały mu się techniki, historia sportu, poczucie kontrolowania wyniku i satysfakcja z dobrze wykonanego sprowadzenia przeciwnika do parteru. Uwielbiał proste zasady tego sportu. Uwielbiał walkę. Ale nie znosił wrzeszczących kibiców, ich dopingowania ani tego, że ludzie zawsze traktowali go tak, jakby był jakąś maszyną.

Elliott Young zawoził Ambrose'a na zawody zapaśnicze do różnych miejsc w kraju. Od kiedy chłopiec skończył osiem lat, Elliott inwestował każdego centa w to, aby uczynić z niego mistrza — nie dlatego, że czuł taką potrzebę, lecz dlatego, że taki talent wymagał pielęgnowania. A Ambrose bardzo to lubił: przebywać z tatą, być jednym z tysiąca wspaniałych zapaśników, którzy przyjechali na zawody, i walczyć z nimi o najwyższe miejsce na podium. Jednak w ostatnich latach, gdy Ambrose przyciągnął uwagę całego kraju, a władze miasteczka Hannah Lake uświadomiły sobie, że mają na swoim podwórku gwiazdę, wszystko się popsuło. Ambrose się odkochał.

Przypomniał sobie rekrutera, który miesiąc wcześniej odwiedził ich szkołę, aby zwerbować młodych mężczyzn do wojska. Nie mógł

zapomnieć o tym spotkaniu. Podobnie jak wszyscy inni Amerykanie chciał, żeby ktoś zapłacił za śmierć trzech tysięcy ludzi z jedenastego września. Chciał sprawiedliwości dla dzieci, które straciły matki lub ojców. Pamiętał, jak sam się czuł, gdy nie wiedział, co się dzieje z jego mamą. Lot 93 rozbił się całkiem niedaleko, zaledwie godzinę drogi od Hannah Lake, nadając atakom terrorystycznym jeszcze bardziej rzeczywisty wymiar.

Ameryka zaatakowała Afganistan, a niektórzy przewidywali, że następny będzie Irak. Ktoś musi tam pojechać. Ktoś musi stanąć do walki. Jeżeli nie on, to kto? A co, jeśli nikt nie pojedzie? Czy dojdzie do następnych ataków? Przez większość czasu nie dopuszczał do siebie tych myśli. Ale teraz był niespokojny i zestresowany przed zawodami. Miał pusty żołądek, a w głowie kłębiły mu się różne myśli.

Zamierzał zjeść posiłek dopiero po oficjalnym ważeniu. Ostatnio był na diecie, bo musiał schudnąć do 89 kilogramów i miał spore trudności z utrzymaniem tej wagi. Poza sezonem jego normalna waga była bliższa 97 kilogramów. Zapasy dawały mu przewagę. Ważąc 89 kilogramów, miał siłę 97 kilogramów skondensowanych do czystych mięśni i niczego więcej. W świecie zapaśniczym zawodnicy o takim wzroście należeli do rzadkości. Duża rozpiętość ramion i długość tułowia oraz nóg dawały mu przewagę nad zawodnikami, którzy mogli polegać tylko na własnej sile. A tej też miał pod dostatkiem. Dlatego od czterech sezonów był niepokonany.

Kiedyś jego mama chciała, żeby został futbolistą, bo od dziecka był duży jak na swój wiek. Ale futbol zszedł na drugie miejsce, gdy Ambrose po raz pierwszy zobaczył olimpiadę. Było to w sierpniu 1992 roku, gdy Ambrose miał siedem lat. To właśnie na igrzyskach w Barcelonie John Smith zdobył drugi złoty medal, pokonując w finale zawodnika z Iranu. Elliott Young — niski mężczyzna, który zawsze lubił oglądać zmagania na macie — tańczył wtedy z radości w salonie. W tym sporcie duzi i mali mieli takie same szanse, i chociaż Elliott nie był zawodnikiem w żadnej drużynie, uwielbiał zapasy i przekazał tę miłość synowi. Tamtego wieczora, gdy zmagali się ze sobą na dywanie w salonie, Elliot pokazał Ambrose'owi podstawowe techniki i obiecał mu, że zapisze go na obóz zapaśniczy organizowany przez trenera Sheena w

następnym tygodniu.

Autokar zatrząsł się i szarpnął na ostatnim wyboju, po czym wjechał na drogę krajową, pozostawiając Hannah Lake daleko w tle. Ambrose pomyślał, że gdy wróci do domu, będzie już po wszystkim. Ale potem zacznie się prawdziwe szaleństwo. Będzie musiał zdecydować, do której uniwersyteckiej drużyny dołączy i co będzie studiował. Nie był pewien, jak długo jeszcze będzie w stanie wytrzymać tę presję. Teraz po prostu czuł się zmęczony. Zaczął snuć wizję przegranej. Czy jeśli poniesie porażkę, wszystko minie?

Stanowczo pokręcił głową. Zauważył to Beans i ze zdziwieniem podniósł brwi. Myślał, że Ambrose chce mu coś powiedzieć. Ale ten tylko spojrzał przez okno, zupełnie go ignorując. Nie przegra. Tak się nie stanie. On na to nie pozwoli.

Zawsze gdy Ambrose czuł pokusę, żeby po prostu sobie odpuścić, wszystko mijało po usłyszeniu gwizdka ogłaszającego pierwszą rundę. Silna chęć rywalizacji sprawiała, że nie potrafił dać z siebie mniej niż sto procent. Ten sport naprawdę na to zasługiwał. A także jego tata, trener, drużyna i całe miasteczko. Im też się to należało. On tylko chciał znaleźć sposób na to, żeby zostawić wszystko za sobą... tylko na chwilę.

— Witamy w Hershey w Pensylwanii, najlepszym miejscu na ziemi, i witamy w Giants Center, gdzie rozpoczynamy pierwszy dzień międzyszkolnego turnieju zapaśniczego roku 2002. — Głos prowadzącego zagrział w ogromnej arenie pełnej ludzi: rodziców i zapaśników, znajomych i kibiców, wszystkich ubranych w kolory swojej szkoły, trzymających w rękach transparenty, liczących na zwycięstwo swoich faworytów.

Bailey i Fern dostali doskonale miejsca na podłodze areny wyłożonej matami.

Jak zauważył Bailey, jeżdżenie na wózku inwalidzkim ma czasami swoje zalety. Nie bez znaczenia był też fakt, że Bailey był synem trenera i osobą odpowiedzialną za prowadzenie statystyk, a ta funkcja bardzo mu odpowiadała. Zadaniem Fern było pomaganie Baileyowi w prowadzeniu statystyk, dbanie o to, by zawsze miał co jeść, a także

informowanie trenera Sheena, gdy Bailey będzie musiał iść do toalety albo zrobić coś innego, w czym ona nie będzie w stanie mu pomóc. Ich system był doprowadzony do perfekcji.

Wspólnie planowali przerwy między rundami i szczegółowo organizowali każdy dzień. Czasami rolę asystentki Bailey'a pełniła Angie, a czasami jedna z jego starszych sióstr. Zazwyczaj jednak towarzyszyła mu Fern. Podczas przerw na toaletę Bailey informował ojca o punktacji poszczególnych drużyn i o wynikach wybranych zawodników, a ten pomagał mu w czynnościach, których Bailey nie był w stanie wykonać sam.

Mimo tych wizyt w toalecie, podczas których trener Sheen zajmował się podnoszeniem ciężarów, Bailey nie przegapił żadnej walki. Umiejętne połączenie obowiązków związanych z prowadzeniem drużyny z zaspokajaniem potrzeb swojego syna przyniosło trenerowi Sheenowi rozgłos i szacunek w społeczności zapaśniczej. On sam zawsze twierdził, że doskonale wychodzi na tym układzie — Bailey miał wspaniałą pamięć do faktów i nazwisk, dzięki czemu szybko stał się niezastąpiony.

Bailey widział wszystkie walki Ambrose'a Younga we wszystkich turniejach stanowych. Uwielbiał oglądać walki Ambrose'a bardziej niż któregośkolwiek innego członka drużyny. Gdy Ambrose stanął do pierwszej walki w tym turnieju, Bailey gorąco mu kibicował. Był przekonany, że wynik zawodów jest już przesądzony. Ambrose był lepszy od pozostałych zawodników pod każdym względem, ale pierwsza walka zawsze była najstraszniejsza i każdy chciał mieć ją jak najszybciej za sobą.

Pierwszym przeciwnikiem Ambrose'a był zawodnik z Altoony, który był dużo lepszy, niż wskazywały na to jego statystyki. W pasjonującej dogrywce zdobył trzecie miejsce w swoim rejonie, dzięki czemu dostał się do zawodów stanowych. Był uczniem najstarszej klasy i podobnie jak wszyscy inni zawodnicy marzył o tym, aby strącić mistrza z piedestału. Był żądny zwycięstwa. A Ambrose niestety nie był sobą. Wyglądał na zmęczonego, roztargnionego, a nawet chorego.

Gdy rozpoczęła się walka, ponad połowa oczu na arenie powędrowała w kierunku lewego rogu hali, mimo że jednocześnie na matach odbywało się dziesięć innych walk. Ambrose zastosował typową

dla siebie ofensywną taktykę: atakował jako pierwszy, więcej się ruszał i ciągle był blisko przeciwnika. Wyraźnie jednak było widać, że nie wkłada w to serca. Pierwsze ataki wykonał ze zbyt dużej odległości i nie ukończył ich, tracąc okazję do zdobycia punktów. Potężny chłopak z Altoony poczuł się bardziej pewny siebie, gdy zobaczył, że po dwóch minutach walki żaden z nich nie zdobył jeszcze punktu. Remis po dwóch minutach zmagania na macie z Ambrose'em Youngiem był prawdziwym powodem do dumy. Ambrose powinien zaciekle go atakować, ale tego nie robił. To było oczywiste dla każdego, kto obserwował tę walkę.

Kiedy zabrzmiał gwizdek ogłaszający drugą rundę, sytuacja się powtórzyła, a może nawet pogorszyła. Ambrose próbował coś z siebie wykrzesać, ale robił to bez przekonania, i gdy jego przeciwnik sprowadził go do parteru i zdołał wyjść z uchwytu, wynik zmienił się na 0 dla Ambrose'a i 1 dla lwa z Altoony. Bailey wrzeszczał z trybun, a gdy pod koniec drugiej rundy wynik wciąż pozostawał ten sam, 0:1, Bailey postanowił przyciągnąć uwagę Ambrose'a.

Zaczął skandować:

— Herkules! Herkules! Herkules!

— Pomóż mi, Fern — poprosił.

Fern nie lubiła krzyczeć na trybunach, ale była poważnie zaniepokojona. Widziała, że z Ambrose'em jest coś nie tak. Nie chciała, żeby przegrał w taki sposób. Dlatego wspomogła Bailey'a w skandowaniu. Dwóch kibiców, którzy siedzieli w pobliżu, dołączyło do nich bez pytania.

— Herkules, Herkules, Herkules — krzyczeli, obawiając się, że półbóg z Hannah Lake może wkrótce zostać zdetronizowany. Ambrose Young przegrywał.

Dwadzieścia sekund przed końcem walki sędzia zarządził drugą przerwę, ponieważ 89-kilogramowy lew z Altoony musiał poprawić taśmę na palcach. Z uwagi na to, że walka została zatrzymana po raz drugi, Ambrose mógł wybrać pozycję — górną, dolną albo neutralną — w której zakończy mecz.

Bailey zdołał się przedostać do krawędzi maty leżącej obok dwóch krzeseł dla trenerów z Hannah Lake. Nikt mu nie zagradzał drogi. Oto zalety poruszania się na wózku inwalidzkim. Uchodzi ci dużo więcej niż

zdrowym osobom.

— Herkules! — wykrzyknął do Ambrose'a, ale ten zrezygnowany pokręcił głową.

Trenerzy coś do niego mówili, ale ich nie słuchał. Kiedy Bailey wydał swój okrzyk, trenerzy zamilkli. Na Bailey'a spojrzały trzy pary sfrustrowanych oczu.

— O czym ty mówisz, Sheen? — Ambrose patrzył na niego oziębiającym wzrokiem.

Za dwadzieścia sekund jego udział w czwartym z rzędu turnieju stanowym dobiegnie końca. A on nie mógł wyjść z letargu. Miał wrażenie, że wszystko dookoła niego jest nierzeczywiste.

— Pamiętasz Herkulesa? — zapytał Bailey, domagając się odpowiedzi.

To nie było tak naprawdę pytanie, lecz stanowcze stwierdzenie skierowane wprost do Ambrose'a. Ten najwyraźniej nie rozumiał, o co mu chodzi. Wyglądał na jeszcze bardziej zdezorientowanego.

— Pamiętasz tę historię o lwie? — dopytywał się niecierpliwie Bailey.

— Nie... — Ambrose poprawił nauszники i zerknął przez ramię na przeciwnika, który wciąż miał owijane palce taśmami. Jego trenerzy przekrzykiwali się, dając mu kolejne instrukcje, i starając się nie wyglądać na zbyt ucieszonych tym niespodziewanym biegiem wydarzeń.

— Ten chłopak też jest lwem. Lwem z Altoona Mountain, prawda? Strzały Herkulesa nie mogły pokonać lwa. Twoje ataki też nie działają.

— Dzięki, koleś — powiedział sucho Ambrose, po czym odwrócił się, żeby wrócić na środek maty.

— Wiesz, jak Herkules pokonał lwa? — Bailey podniósł głos, żeby Ambrose go usłyszał.

— Nie — rzucił Ambrose przez ramię.

— Był silniejszy od lwa. Wszedł mu na grzbiet i wycisnął z niego całe życie! — krzyknął do niego Bailey.

Ambrose spojrział na Bailey'a i coś drgnęło w jego twarzy. Gdy sędzia spytał go, jaką chce przyjąć pozycję, wybrał górę. Jego kibice wzięli głęboki oddech, wszyscy mieszkańcy Hannah Lake zrobili to samo, Elliott Young przeklął, a trenerom Ambrose'a Younga szczęki

opadły do samej ziemi. Wszyscy stracili nadzieję na to, że drużyna utrzyma tytuł. Decyzję Ambrose'a odczytali jako kapitulację. Kiedy zostaje 20 sekund do końca walki, nie wybiera się góry. Wystarczy, że chłopak z Altoony nie zostanie położony na plecy — albo, co gorsza, że wydostanie się z uchwytu i zdobędzie następny punkt — i zwycięstwo będzie należeć do niego.

Gdy zadźwięczał gwizdek, wszyscy, którzy obserwowali walkę, mieli wrażenie, że oglądają ją w zwolnionym tempie. Nawet ruchy Ambrose'a wydawały się powolne i precyzyjne. Jego przeciwnik szamotał się, próbując podbić mu ręce, ale znalazł się w zwarciu tak silnym, że przez chwilę zapomniał o dwudziestu sekundach na zegarze, o walce, którą miał zaraz wygrać, i o chwale, która miała towarzyszyć temu zwycięstwu. Z trudem wciągnął powietrze, gdy Ambrose wbił mu twarz w matę, a lewą rękę przeciągnął pod prawą pachą. Kiedy zwarcie zrobiło się jeszcze silniejsze, przeszło mu przez myśl, żeby uderzyć prawą ręką o matę, tak jak to czasami robią mistrzowie sztuk walki, kiedy chcą zakończyć pojedynek. Szeroko rozstawił nogi, próbując wyrwać się z dźwigni i uwolnić lewą rękę. Wiedział, co się zaraz stanie. I nie mógł nic na to poradzić.

Ambrose powoli i precyzyjnie zaczął kręcić się razem z przeciwnikiem, ściskając mu nogi, aż wreszcie przekręcił lwa na plecy, ani na chwilę nie rozluźniając uchwytu. Ręce mu drżały, ale nie od wysiłku, lecz od siły, którą emanowały. A potem zaczęło się odliczanie: jeden, dwa, trzy, cztery, pięć. Trzy punkty. Ambrose pomyślał o Herkulesie i lwie o złotym runie i od razu znalazł w sobie siłę, żeby jeszcze przez chwilę przyciskać lwa z Altoony do maty. Kiedy zegar pokazywał ostatnie dwie sekundy, sędzia uderzył o matę.

Położony na łopatki.

Kibice wpadli w szal. Mieszkańcy Hannah Lake zapewniali się nawzajem, że przez cały czas wierzyli w Ambrose'a. Trener Sheen spojrzał na syna i uśmiechnął się do niego szeroko, Elliott Young próbował ukryć łzy, Fern odkryła, że obgryzła wszystkie paznokcie, a Ambrose pomógł przeciwnikowi wstać. Nie wydał z siebie okrzyku radości ani nie rzucił się w ramiona trenera, ale gdy spojrzał na Bailey'a, w jego oczach było widać ulgę, a na jego ustach ciał się nieśmiały

uśmiech.

Wiadomość o tej walce rozniosła się w szalonym tempie, a imię Herkules było skandowane coraz głośniejsz z każdą kolejną walką. Było strawą dla wiernych kibiców Ambrose'a, a także dla rosnącego grona jego nowych fanów. Przez resztę turnieju Ambrose prezentował najwyższą formę. Można było odnieść wrażenie, że po tym, jak przez chwilę znalazł się na krawędzi, uznał, że nie chce już więcej tam wrócić. W chwili gdy doszedł do finału — do ostatniej walki w swojej bezprecedensowej karierze licealisty — cała arena skandowała imię Herkules.

Po tym, jak wygrał ostatnią walkę, a sędzia podniósł jego rękę, ogłaszając zwycięstwo, kibice zaczęli gorączkowo zastanawiać się, co dalej zrobi niepokonany Ambrose Young, czterokrotny mistrz stanu. On jednak zaszył się w cichym, spokojnym kącie w szatni, ściągnął trykot, nałożył niebieską koszulkę drużyny zapaśniczej z Hannah Lake, a głowę owinął ręcznikiem. Tam znaleźli go koledzy po zakończeniu wszystkich walk, tuż przed ceremonią wręczenia medali.

Rozdział 6.

Zobaczyć świat

Duży krater w ziemi znajdował się pośrodku pustkowia. Wszystkie szczątki zostały już usunięte. Ludzie mówili, że nadpalone kartki, śmieci, kawałki ubrań i bagaży, szkielety siedzeń i pogięte kawałki metalu były porozrzucane wokół miejsca katastrofy w promieniu trzynastu kilometrów. Wiele z nich znaleziono w lasach na południe od krateru. Niektórzy twierdzili, że widzieli kawałki wraku na czubkach drzew albo na dnie pobliskiego jeziora. Pewien farmer znalazł nawet kawałek kadłuba samolotu na swoim polu.

Teraz jednak nie było już żadnych szczątków. Wszystko zostało posprzątane. Nie było już kamer, specjalistów od medycyny sądowej ani żółtej taśmy, która oznaczała teren. Piątka przyjaciół myślała, że będzie mieć trudności z dotarciem w to miejsce, ale nikt nie powstrzymał chłopców przed zabraniem starego samochodu Granta i wybraniem się tam, gdzie lot 93 zderzył się z pensylwańską ziemią.

Wokół całego terenu ustawiono ogrodzenie — dwunastometrowe, z siatki stalowej; w niektórych miejscach zwisały z niego zwiędnięte kwiaty. Gdzie indziej ludzie powtykali zdjęcia i pluszowe zwierzaki. Od ataku na World Trade Center minęło siedem miesięcy, a większość zdjęć i świec, podarunków i liścików została usunięta przez ochotników. Było jednak w tym miejscu coś tak przygnębiającego, że nawet osiemnastolatki kompletnie stracili rezon i zaczęli wsłuchiwać się w wiatr szepczący w pobliskich drzewach.

Był marzec i chociaż tamtego dnia słońce raz po raz przebijało się przez chmury, wiosna najwyraźniej nie dotarła jeszcze na południe Pensylwanii. Chłopcy poczuli na skórze ostry zimowy wiatr, ale to nie on wywołał w nich dreszcze, lecz wspomnienie śmierci, które wisiało w powietrzu.

Stanęli przy ogrodzeniu i przełożyli palce przez oczka siatki. Wyteżyli wzrok, próbując dostrzec krater w ziemi — miejsce spoczynku dla czterdziestu osób, których żaden z nich nie znał osobiście. Chłopcy znali jednak nazwiska kilku ofiar i niektóre ich historie. W niemym podziwie dla tych osób każdy z nich zatonął we własnych

rozmyślaniach.

— Nic nie widzę — przyznał Jesse po dłuższym milczeniu.

Miał inne plany na ten wieczór — chciał go spędzić ze swoją dziewczyną Marley. Bardzo lubił spotykać się ze swoimi kolegami, ale tym razem żałował, że nie został w domu. Było mu zimno, a przytulanie się do dziewczyny było o wiele przyjemniejsze niż wpatrywanie się w pustą przestrzeń, w której zginęła spora grupa ludzi.

— Ciii... — zasyczał Grant, który bał się, że ktoś może ich usłyszeć i wziąć na spytki.

Jego zdaniem spontaniczny pomysł, aby pojechać do Shanksville, był po prostu głupi. Ostrzegał kolegów przed niebezpieczeństwem, ale ostatecznie pojechał razem z nimi — jak zawsze.

— Może i niczego nie widać, ale... czujecie to? — Paulie zamknął oczy i podniósł głowę, jakby naprawdę słyszał coś, czego inni nie słyszeli.

Paulie był marzycielem i wrażliwcem, ale tym razem nikt się z nim nie sprzeczał. Tam rzeczywiście coś było — coś niemalże świętego, co mieniło się w ciszy. To coś nie budziło przerażenia. Było dziwnie spokojne, nawet podczas tej zimnej nocy.

— Czy ktoś chce się napić? Ja tak — wyszeptał Beans po kolejnej długiej chwili milczenia.

Sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki i wyjął z niej piersiówkę, a następnie uroczystym gestem podniósł ją do góry.

— Mam nadzieję, że nie macie nic przeciwko? — dodał.

— Myślałem, że nie pijesz! — powiedział z wyrzutem Grant.

— Sezon już się skończył, więc oficjalnie wracam do picia — zadeklarował Beans radośnie i pociągnął długi łyk z piersiówki, a potem wytarł usta grzbietem dłoni.

Podał piersiówkę Jessemu, który wypił kilka łyków i wzdrygnął się, gdy ognisty napój wypalał ścieżkę do jego żołądka.

Jedynym, który jeszcze nic nie powiedział, był Ambrose. Nie było w tym jednak nic dziwnego. Ambrose rzadko się odzywał, a gdy już otwierał usta, ludzie chętnie go słuchali. To on wpadł na pomysł, aby pojechać na to pustkowie w sobotni wieczór. Od kiedy ich szkołę odwiedził rekruter werbujący młodych mężczyzn do wojska, Ambrose

nie był w stanie myśleć o niczym innym. Wszyscy w piątkę siedzieli wtedy z tyłu auli, chichocząc i żartując, że obóz dla rekrutów to bułka z masłem w porównaniu z musztrą na treningach zapaśniczych trenera Sheena. Tylko Ambrose milczał. Nie dołączył się do tych żartów. Słuchał uważnie słów rekrutera i bacznie mu się przyglądał. Siedział wyprostowany i spięty, a dłonie trzymał na kolanach.

Wszyscy chłopcy byli uczniami najstarszej klasy i za dwa miesiące mieli ukończyć szkołę. Sezon zapaśniczy skończył się przed dwoma tygodniami, a im już brakowało adrenaliny — być może bardziej niż kiedykolwiek. Mieli świadomość, że nie będzie już więcej sezonów, treningów, walk ani zwycięstw. To koniec. Koniec dla wszystkich... oprócz Ambrose'a, o którego zabiegało kilka uczelni, ponieważ poza wspaniałymi wynikami sportowymi miał wystarczająco dobre oceny, żeby mógł się ubiegać o stypendium na Uniwersytecie Stanowym Pensylwanii. Jako jedyny mógł kontynuować sportową karierę w szkole wyższej.

Wszyscy chłopcy znajdowali się na krawędzi. Czekala ich ogromna zmiana i żaden z nich, nawet Ambrose — a zwłaszcza Ambrose — nie cieszył się na myśl o tym, co go czeka. Bez względu jednak na to, czy postanowią zrobić krok w nieznaną, czy nie, to nieznaną w końcu przyjdzie. Ziejąca przepaść pochłonie ich w całości, a życie, które dotąd znali, skończy się na zawsze. Wszyscy doskonale zdawali sobie sprawę z nadchodzącego końca.

— Co ty tutaj robisz, Brosey? — Jesse w końcu powiedział to, co wszyscy inni myśleli.

Cztery pary oczu natychmiast zwróciły się ku Ambrose'owi. Jego twarz była skupiona. Widać było, że nie jest skory do żartów. Miał ten wyraz twarzy, który przyciągał wzrok dziewczyn i którego w tajemnicy zazdrościli mu inni chłopcy. Ambrose Young był typowym facetem i jego koledzy zawsze czuli się bezpiecznie w jego towarzystwie, jak gdyby przebywając z nim, mieli szansę na pławienie się w jego blasku — chociaż przez chwilę. I nie chodziło tylko o jego wzrost, ładną twarz ani włosy jak u Samsona, które opadały mu na ramiona mimo zupełnie innej mody i tego, że przeszkadzały trenerowi Sheenowi. Wszyscy mieli poczucie, że u Ambrose'a Younga wszystko jest na miejscu, i byli

przekonani, że zawsze już tak będzie. Było w tej myśli coś kojącego.

— Zapisalem się — powiedział Ambrose krótko i zwięźle.

— Gdzie? Na uczelnię? No, tak. Wiemy, Brosey. Nie droczyć się z nami — zaśmiał się Grant, ale był to gorzki śmiech.

Żadna szkoła nie zaproponowała mu stypendium, mimo że miał najlepsze oceny w klasie. Grant był dobrym, ale nie wspaniałym zapaśnikiem, a Pensylwania była znana z wybitnych zapaśników. Żeby dostać stypendium, trzeba mieć wspaniałe wyniki w zapasach. Grant nie miał wystarczająco dużo oszczędności, żeby pójść do college'u. Wiedział, że w końcu pójdzie na studia, ale będzie to go kosztowało dużo pracy... i czasu.

— Nie, nie na uczelnię — westchnął Ambrose.

Twarz Granta wyrażała kompletne zdumienie i dezorientację.

— Jasna cholera... — wycedził powoli Beans.

Może i miał zadatki na pijaka, ale nie był opóźniony w rozwoju.

— Tamten rekruter! Widziałem, jak z nim rozmawiasz. Chcesz zaciągnąć się do wojska?

Wszyscy czterej koledzy wstrzymali oddech, czekając na odpowiedź Ambrose'a. Byli zaskoczeni.

— Nie powiedziałem jeszcze Elliottowi. Ale zamierzam to zrobić. Zastanawiam się tylko, czy któryś z was chciałby do mnie dołączyć.

— I co, przywiozłeś nas tutaj, żeby nas zmiękczyć? Żebyśmy poczuli patriotyczny nastrój, czy co? — zapytał Jesse. — Bo to nie wystarcza, Brosey. Czy ty w ogóle wiesz, w co się pakujesz? Możesz przecież stracić nogę albo rękę. A co z twoją karierą zapaśniczą? Skończy się! Na zawsze! Dostałeś stypendium od pieprzonego Uniwersytetu Pensylwanii. Wolałbyś dołączyć do drużyny Hawkeyes na Uniwersytecie Iowy? Też by cię przyjęli, wiesz o tym. Wielki facet z taką gracją, zapaśnik ważący 89 kilogramów, ale zwinny, jakby ważył 69, to genialny nabytek! Co ci odbiło, Brose? Nie ma nikogo, kto mógłby się z tobą równać! Musisz iść na studia!

Jesse kontynuował swój monolog, a chłopcy minęli prowizoryczną tablicę pamiątkową i wrócili do samochodu. Jesse też kiedyś był mistrzem stanowym, tak jak Ambrose. Ale Ambrose dokonał tego więcej niż jeden raz. Był czterokrotnym mistrzem, niepokonanym od ostatnich

trzech lat. Był pierwszym zapaśnikiem z Pensylwanii, który wygrał mistrzostwa stanowe wagi ciężkiej już w pierwszej klasie. W tamtym czasie ważył 72 kilogramy. Przegrał tylko raz, na początku roku szkolnego, z ówczesnym mistrzem stanowym, który wtedy był uczniem najstarszej klasy. Ambrose położył go na łopatki podczas mistrzostw stanowych. To zwycięstwo dało mu miejsce w księgach rekordów.

Jesse podniósł ręce do góry i przeklął. Wydał z siebie taką wiązanekę wulgaryzmów, że nawet Beans, który jest znany z ostrego języka, poczuł się trochę niekomfortowo. Jesse dałby wszystko, żeby być na miejscu Ambrose'a.

— Zaszedłeś tak daleko! — powiedział jeszcze raz, kręcąc głową.

Beans dał Jessemu piersiówkę i poklepał go po plecach, starając się uspokoić poirytowanego kolegę.

Przez jakiś czas jechali w milczeniu. Grant prowadził. Nigdy nie pił alkoholu i od kiedy dostał prawo jazdy, zawsze pełnił rolę kierowcy i opiekuna. Dlatego tym razem również siedział za kierownicą, mimo że Paulie i Ambrose nie skusili się na trunk, którym częstował ich Beans.

— Idę z tobą — powiedział cicho Grant.

— Co? — wrzasnął piskliwym głosem Jesse, wylewając resztki z piersiówki na koszulę.

— Idę z nim — powtórzył Grant. — Pomogą mi zapłacić za szkołę, prawda? Tak powiedział ten rekruter. Muszę coś zrobić. Nie chcę być cholernym farmerem do końca życia, to wiem na pewno. A w tym tempie, w jakim teraz odkładam pieniądze, skończę college, gdy będę miał czterdzieści pięć lat.

— Grant, ty przekląłeś — wyszeptał Paulie.

Nigdy nie słyszał, żeby Grant przeklął. Nigdy. Ani on, ani żaden z pozostałych kolegów.

— No i, kurna, najwyższy czas — powiedział ze śmiechem Beans. — Teraz już tylko musimy znaleźć mu panienkę! Nie może iść na wojnę, nie zaznawszy przyjemności obcowania z kobiecym ciałem — dodał z udawanym akcentem latynoskiego kochanka.

Grant tylko westchnął i pokręcił głową.

— A ty, Beans? — spytał Ambrose, uśmiechając się do kolegi.

— Ja? O, ja wiem wszystko o przyjemnościach obcowania z

kobiecym ciałem — odparł Beans, wciąż z tym samym akcentem, wymownie poruszając brwiami.

— Wojsko, Beans. Mówię o wojsku. Co ty na to?

— Pewnie. Dobrze. A co mi tam — zgodził się Beans, wzruszając ramionami. — I tak nie mam nic lepszego do roboty.

Jesse głośno jęknął i schował głowę w dłoniach.

— Paulie? — zapytał Ambrose, ignorując reakcję Jessego. — A ty?

Paulie wyglądał na zszokowanego. W jego głowie toczyła się walka między lojalnością w stosunku do kolegów a instynktem samozachowawczym.

— Brose... Ja jestem kochankiem, a nie wojownikiem — odpowiedział z powagą. — Jedynym powodem, dla którego dołączyłem do drużyny zapaśników, było to, że chciałem być z wami. Dobrze wiecie, jak tego nie znosiłem. Nie wyobrażam sobie siebie na polu walki.

— Paulie? — wtrącił się Beans.

— Tak, Beans?

— Może nie jesteś wojownikiem, ale kochankiem też nie jesteś. Też potrzebujesz panienki. A za mundurem panny sznurem, wiesz, jak to mówią.

— Panienki kręcą się też wokół gwiazd rocka, a ja dużo lepiej radzę sobie z gitarą niż z bronią — zripostował Paulie. — Poza tym dobrze wiesz, że moja mama nigdy by mi na to nie pozwoliła.

Tata Pauliego zginął w wypadku w kopalni, gdy chłopiec miał dziewięć lat, a jego młodsza siostra jeszcze leżała w kołysce. Niedługo potem jego mama przeprowadziła się z dwojgiem małych dzieci do Hannah Lake, żeby być bliżej rodziców, i tak już zostało.

— Może i nienawidzisz zapasów, ale jesteś w tym dobry. I byłbyś też dobrym żołnierzem.

Paulie zagryzł wargę, ale nie odpowiedział. W samochodzie zapadła cisza. Wszyscy zatopili we własnych myślach.

— Marley chce, żebyśmy wzięli ślub — powiedział Jesse po długiej przerwie. — Kocham ją, ale... to wszystko dzieje się cholernie szybko. Ja chcę tylko walczyć na macie. Na pewno znajdzie się jakaś uczelnia w zachodniej Ameryce, która przyjmie czarnego chłopaka

lubiącego białych ludzi, prawda?

— Chce, żebyście wzięli ślub? — Beans był zszokowany. — Przecież mamy tylko osiemnaście lat! Lepiej dołącz do nas, Jess. Musisz trochę dorosnąć, zanim Marley cię zaobrączkuje. Poza tym faceci muszą trzymać się razem.

Jesse westchnął pokonany.

— A co tam. Ameryka mnie potrzebuje. Jak mogę jej odmówić?

Wszyscy wybuchli śmiechem. Jesse zawsze miał przerośnięte ego.

— Słuchajcie, a może nasza armia ma własną drużynę zapaśników? — Jesse ucieszył się na samą myśl o tym.

— Paulie? — zapytał Ambrose jeszcze raz.

Paulie został sam na placu boju, a Ambrose wiedział, że jego będzie mu najtrudniej zostawić. Miał nadzieję, że to nie będzie konieczne.

— Nie wiem, naprawdę. Gdzieś muszę dorosnąć. Mój tata na pewno byłby ze mnie dumny, gdybym zaciągnął się do wojska. Mój pradziadek walczył w drugiej wojnie światowej. Ale — westchnął — wstąpienie do wojska brzmi jak doskonały sposób na skrócenie sobie życia.

Rozdział 7. Zatańczyć z dziewczyną

W okolicy Hannah Lake nie było żadnego eleganckiego hotelu ani wykwintnej restauracji, gdzie można by zorganizować bal maturalny, dlatego liceum urządzało potańcówki w sali gimnastycznej, co roku przyozdabiając ją setkami balonów, migoczącymi światełkami, snopami siana, sztucznymi drzewami, altankami albo jeszcze innymi akcesoriami zgodnie z tematem balu.

W tym roku tematem przewodnim była piosenka „Mam nadzieję, że tańczysz”, która nie podpowiadała w żaden sposób, jak należałoby udekorować salę, dlatego po raz kolejny zamontowano w sali migoczące światła, nadmuchano setki balonów i ustawiono różne akcesoria, które już wcześniej uświetniały bale maturalne w tej samej szkole. Fern siedziała obok Bailey'a, patrząc na pary wirujące na parkiecie, i doszła do wniosku, że jedyna rzecz, jaka się tu zmieniła w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat, to krój sukienek.

Fern przesuwiała palcami wzdłuż linii dekoltu swojej sukienki, wygładzała dłonią jej fałdy, szeleściła nią, poruszając nogami do przodu i do tyłu, obserwowała, jak sukienka układa się na ziemi, i cieszyła się jak dziecko za każdym razem, gdy światło padło pod takim kątem, że materiał zaczynał się mienić, jakby był ze złota. Znalazła tę sukienkę razem z mamą na wyprzedazy w sklepie Dillards w Pittsburgu. Jej cena była obniżana kilkakrotnie, prawdopodobnie dlatego, że miała kolor, za którym dziewczęta raczej nie przepadają. Ale do jej rudych włosów pasował idealnie i Fern prezentowała się w tej sukience wspaniale.

Kiedy pozowała do pamiątkowych zdjęć razem z Bailey'em w salonie państwa Taylorów, zakryła ramiona, bo wiedziała, że to się spodoba jej mamie, ale już dwie sekundy po wyjściu z domu zsunęła sukienkę tak, aby ukazywała gołe ramiona. Po raz pierwszy w życiu czuła się prawie ładna.

Nikt nie zaprosił jej na wielki bal. Bailey też nikogo nie zaprosił. Żartował, że nie chce, aby jakakolwiek dziewczyna bała się pójść na własny bal. Mówił to z uśmiechem, ale w jego słowach było słycać nutkę smutku. Użalanie się nad sobą nie było w jego stylu, dlatego ten

komentarz zaskoczył Fern. Poprosiła więc Bailey'a, żeby poszedł razem z nią. Mogli zostać w domu i przeklinać los za to, że nie mają pary, albo po prostu pójść tam razem. Byli kuzynostwem, więc stanowili beznadziejną parę, ale z dwojga złego lepiej być nieciekawym niż przegapić taką imprezę. Mieli świadomość, że jeśli pójdą razem na bal, ich wizerunek na tym nie ucierpi. Oboje przecież byli ofiarami losu — Bailey dosłownie, a Fern w przenośni. Wiedzieli, że tego wieczoru nie mają co liczyć na romantyczne uniesienia, ale Fern mimo to kupiła sobie elegancką, choć niekonwencjonalną sukienkę.

Bailey założył czarny smoking, plisowaną białą koszulę i czarną muchę. Starannie ułożył swoje pofalowane włosy na żel, dzięki czemu wyglądał trochę jak Justin z N'Sync... przynajmniej tak uważała Fern. Pary kołysały się do przodu i do tyłu, ledwo poruszając stopami i obejmując się ramionami.

Fern starała się nie wyobrażać sobie, jak by to było, gdyby też mogła przytulić się tak mocno do kogoś wyjątkowego i tańczyć z nim na maturalnym balu. Przez chwilę posmutniała, że nie przyszła na bal z kimś, kto mógłby ją objąć w pasie. Ale zaraz potem zrobiło się jej wstyd i spojrzała na Bailey'a skruszonym wzrokiem. Jego oczy były jednak skupione na dziewczynie z falującymi blond włosami, ubranej w seksowną różową i błyszczącą sukienkę.

Becker Garth mocno ją obejmował i szeptał jej coś do ucha. Jego ciemne włosy mocno kontrastowały z jej blond pasmami. Becker był niezwykle pewny siebie i wyróżniał się zuchwałością typową dla niskich mężczyzn, którzy w ten sposób rekompensują sobie ten niedostatek. Miał 21 lat, czyli więcej niż tegoroczni maturzyści. Rita jednak była w początkowej fazie zakochania, a rozmarzenie widoczne na jej twarzy czyniło ją jeszcze piękniejszą.

— Rita bardzo ładnie wygląda — powiedziała Fern z uśmiechem, ciesząc się szczęściem przyjaciółki.

— Rita zawsze ładnie wygląda — odpowiedział Bailey, nie odwracając od niej wzroku.

W tonie jego głosu było coś, co sprawiło, że Fern poczuła ukłucie w sercu. Być może chodziło o to, że ona, Fern, nigdy nie czuła się ładna. Może chodziło o to, że uwagę Bailey'a przyciągnęło coś, na co według

niej powinien być odporny — coś, co przecież stanowiło dla niego niewielką wartość. A oto proszę, jej kuzyn, najlepszy przyjaciel i najbliższy powiernik, jest tak samo oczarowany jak cała reszta. Skoro nawet Bailey Sheen ogląda się za ładnymi buziami, to dla Fern nie ma już żadnej nadziei. Ambrose Young z pewnością nigdy nie spojrzy na kogoś, kto jest tak bezbarwny i nijaki jak ona.

Wszystko zawsze sprowadzało się do Ambrose'a.

On też był na balu. Stał w towarzystwie kolegów. Ambrose, Grant i Paulie przyszli chyba bez partnerek, ku rozpaczy wielu dziewcząt z klas maturalnych, które zostały w domu, niezaproszone przez nikogo. Elegancko ubrani w czarne smokingi, młodzi i przystojni, świeżo ogoleni i pachnący, świętowali zakończenie szkoły jednocześnie ze wszystkimi i z nikim w szczególności.

— Poproszę Ritę do tańca — powiedział nagle Bailey i ruszył wózkem na parkiet, jakby nagle podjął tę decyzję i postanowił ją zrealizować, zanim zmieni zdanie.

— C-co? — wydusiła Fern.

Miała wielką nadzieję, że Becker Garth nie okaże się durniem. Z fascynacją i lękiem patrzyła, jak Bailey podjeżdża do Rity tuż po tym, jak rozluźniła uścisk z Beckerem z zamiarem opuszczenia parkietu.

Rita uśmiechnęła się do Bailey'a i zaśmiała się z czegoś, co powiedział. Nie było w tym nic dziwnego; czego jak czego, ale uroku nigdy mu nie brakowało. Becker skrzywił się i minął Bailey'a, jakby nie warto było tracić na niego czasu, ale Rita puściła jego dłoń i nie czekając na jego zgodę, usiadła delikatnie na kolanach Bailey'a, a następnie objęła go ramionami. Z głośników popłynęła nowa piosenka. Była to „Get Ur Freak On” Missy Elliot. Bailey kręcił kółka na wózku i wywijał nim tak długo, aż Rita w końcu się roześmiała i mocniej go przytuliła, a jej jasne włosy rozlały się po jego chudym torsie.

Fern kiwała głową w rytm muzyki i dreptała nogami, śmiejąc się z zuchwałości przyjaciela. Bailey był nieustraszony, zwłaszcza że obok wciąż stał Becker Garth ze skrzyżowanymi ramionami i niezadowoloną miną. Czekał, aż piosenka wreszcie się skończy. Gdyby Fern była piękną dziewczyną, być może odważyłaby się, żeby do niego podejść i odciągnąć jego uwagę od Rity. Być może nawet poprosiłaby go do tańca,

żeby Bailey mógł spędzić te chwile bez przyzwoitki w postaci Beckera. Ale nie była. Dlatego w milczeniu skubała paznokiec i obserwowała poczynania przyjaciela, życząc mu jak najlepiej.

— Cześć, Fern.

— Och... cześć, Grant. — Fern wyprostowała się, chowając nadgryziony paznokiec między kolanami.

Grant Nielsen trzymał ręce w kieszeniach. Wyglądał, jakby w smokingu czuł się równie komfortowo co w dżinsach. Uśmiechnął się do niej i ruchem głowy wskazał parkiet.

— Chcesz zatańczyć? Bailey nie będzie miał nic przeciwko, prawda? Skoro tańczy teraz z Ritą?

— Jasne! Pewnie!

Fern wstała trochę za szybko i zakołysała się w butach na obcasach, które dodawały jej całe siedem centymetrów, dzięki czemu urosła do 164 centymetrów. Grant jeszcze raz szeroko się uśmiechnął i wyciągnął dłoń, żeby pomóc jej utrzymać równowagę.

— Ładnie wyglądasz, Fern — powiedział z pewnym zdziwieniem w głosie.

Zmierzył ją wzrokiem i zatrzymał się na twarzy. Przymknął oczy, jakby się zastanawiał, co się zmieniło.

Piosenka skończyła się mniej więcej dwadzieścia sekund po tym, jak weszli na parkiet, a Fern uznała, że to wszystko, co tego wieczora podarował jej los. Zaraz potem jednak zabrzmiały dźwięki ballady, a Grant objął ją mocniej w talii. Wyglądał na zadowolonego, że może zatańczyć z nią jeszcze jedną piosenkę. Fern odwróciła głowę, żeby zobaczyć, czy Bailey skończył tańczyć z Ritą — okazało się, że nie. Leniwie kręcił ósemki wokół innych tancerzy, a Rita oparła głowę na jego ramieniu, naśladując inne tańczące dziewczyny. Becker stał obok misy z ponczem. Miał zaciśnięte usta i kipiał ze złości.

— Sheen oberwie, jeśli nie będzie ostrożny — zaśmiał się Grant, podążając za wzrokiem Fern.

— Bardziej martwię się o Ritę — powiedziała Fern i ze zdziwieniem zauważyła, że rzeczywiście tak jest.

W towarzystwie Beckera Fern zawsze robiła się nerwowa.

— Hm, może masz rację. Tylko skończony idiota uderzyłby

chłopaka na wózku. Poza tym jeśli Garth spróbuje go dotknąć, marnie skończy. Żaden zapaśnik na tej sali nie będzie się temu beczynnie przypatrywał.

— Ze względu na trenera Sheena?

— Tak. I ze względu na Bailey'a. On jest jednym z nas.

Fern uradowała się na myśl o tym, że sympatia Bailey'a jest odwzajemniona. Bailey uwielbiał wszystkich członków drużyny zapaśniczej i uważał się za pomocnika trenera, maskotkę, trenera osobistego, głównego statystyka i guru od wszystkich spraw związanych z zapasami.

Potem do tańca poprosił ją Paulie. Jak zwykle był uroczy i roztargniony. Fern miło się z nim tańczyło, ale kiedy podszedł do niej Beans i zaprosił ją na parkiet, zaczęła się zastanawiać, czy nie padła ofiarą jakiegoś złośliwego żartu albo, co gorsza, zakładu. Może Ambrose będzie następny, a potem wszyscy poproszą ją o wspólne zdjęcie, zaśmiewając się do rozpuku z numeru, jaki wspólnie wywinęli. Jak gdyby była jakąś cyrkową atrakcją.

Ale Ambrose nie poprosił jej do tańca. Nigdy z nikim nie tańczył. Stał nieruchomo, górując nad resztą, z włosami ciasno związanymi w gładki kucyk, które okalały jego ładną twarz, ciemne oczy, proste brwi i mocną szczękę. Raz przyłapał Fern na tym, jak mu się przyglądała. Natychmiast zmarszczył brwi i spojrzał w inną stronę, a Fern zaczęła się zastanawiać, co takiego zrobiła.

W drodze do domu Bailey był niezwykle milczący. Tłumaczył to zmęczeniem, ale Fern wiedziała swoje.

— Wszystko w porządku, B?

Bailey westchnął, a Fern spojrzała w lusterko wsteczne, żeby nawiązać z nim kontakt wzrokowy. Bailey nigdy nie będzie mógł prowadzić samochodu. Nigdy też nie siadał na przednim siedzeniu. Zawsze gdy chciał przejechać się po mieście, Fern pożyczła od trenera Sheena furgonetkę, która była dostosowana do przewożenia wózka inwalidzkiego. Środkowe siedzenie było wymontowane, żeby Bailey mógł wjechać po rampie do samochodu. Potem koła wózka były blokowane, a Bailey był opinany dookoła pasami przymocowanymi do podłogi, tak aby jego wózek stał stabilnie. Dla Bailey'a jazda po ulicach

miasteczka na tylnym siedzeniu furgonetki nie była szczytem marzeń, ale zdążył się do tego przyzwyczaić. Czasami dołączała do nich Rita, żeby Fern nie czuła się jak szofer.

— Nie bardzo, Fern. Dziś jest jeden z tych wieczorów.

— Za dużo rzeczywistości?

— O wiele za dużo.

— Dla mnie też — powiedziała niepewnie Fern, czując, że gardło jej się ściska w reakcji na emocje, które dziś się w niej nagromadziły.

Czasami życie wydaje się wyjątkowo niesprawiedliwe, zbyt okrutne i po prostu nie do zniesienia.

— Wyglądałaś, jakbyś się dobrze bawiła. Sporo chłopaków poprosiło cię do tańca, nie?

— Czy to ty ich o to poprosiłeś, Bailey? — Fern doznała nagłego olśnienia.

— Tak... Nie gniewasz się? — Bailey był bardzo skruszony, więc Fern westchnęła tylko i od razu mu wybaczyła.

— Nie. Było miło.

— Ale Ambrose chyba nie poprosił cię do tańca?

— No nie.

— Przykro mi, Fern. — Bailey dobrze wiedział, co Fern czuje do Ambrose'a Younga. Widział jej rozpacz, gdy jej spisek z liścikami miłosnymi został odkryty.

— Myślisz, że to możliwe, żeby ktoś taki jak Ambrose zakochał się w kimś takim jak ja? — Fern uchwyciła wzrok Bailey'a w lusterku, wiedząc, że ją zrozumie.

— Tylko jeśli będzie miał szczęście.

— Och, Bailey. — Fern pokręciła głową, ale w duchu dziękowała mu za te słowa... a jeszcze bardziej za to, że naprawdę tak uważał.

Oboje uznali, że nie chcą jeszcze wracać do domu, więc jeździli po ulicy Głównej, przyglądając się ciemnym oknom firm, w których odbijały się jasne reflektory starej niebieskiej furgonetki i niewyraźne sylwetki samotnej pary siedzącej w środku. Po jakimś czasie Fern skręciła w stronę domu. Nagle poczuła się zmęczona i zatęskniła za wygodą własnego łóżka.

— Czasami trudno jest się pogodzić — powiedział nagle Bailey.

Fern czekała, aż jej przyjaciel dokończy myśl.

— Czasami trudno jest się pogodzić z tym, że nigdy nie będziemy kochani tak, jak byśmy tego chcieli.

Przez chwilę Fern myślała, że Bailey ma na myśli ją i Ambrose'a. Ale potem uświadomiła sobie, że on nie mówi o nieodwzajemnionej miłości... nie do końca. Chodziło mu o jego chorobę. Mówił o Ricie. O rzeczach, których nigdy nie będzie mógł jej dać, i o rzeczach, których ona nigdy nie będzie od niego chciała dostać. Ponieważ był chory. I nie miał żadnych szans na wyleczenie.

— Czasami mam wrażenie, że już więcej nie znoję — głos Bailey'a się załamał.

Bailey skończył mówić tak samo nagle, jak zaczął.

Fern poczuła, jak do oczu napływają jej łzy współczucia. Szybko je wytarła, po czym zaparkowała furgonetkę w ciemnym garażu Sheena. Po chwili zamigotało automatyczne światło, sennie ich witając. Fern wyłączyła silnik, odpięła pasy i obróciła się na siedzeniu, żeby spojrzeć na kuzyna. Wyglądał mizernie w tym słabym oświetleniu. Fern poczuła przypływ strachu na myśl o tym, że Bailey nie będzie przy niej zawsze. Prawdopodobnie nie zostało mu już dużo czasu. Wyciągnęła do niego dłoń i złapała go za rękę.

— Są takie chwile, Bailey. Kiedy myślisz, że już więcej nie zniesiesz. Ale potem odkrywasz, że jednak dajesz radę. Zawsze dajesz radę. Jesteś twardy. Bierzesz głęboki oddech, zaciskasz mocniej zęby, pokonujesz kolejne przeszkody, aż w końcu wiatr znów zaczyna ci wiać w żagle — powiedziała, choć jej niepewny uśmiech i mokre od łez oczy zaprzeczały tym słowom.

Bailey skinął głową na znak, że się z nią zgadza, ale również miał łzy w oczach.

— Ale są takie chwile, kiedy po prostu musisz się pogodzić z tym głównym, rozumiesz?

Fern skinęła i nieco mocniej ścisnęła dłoń przyjaciela.

— Tak. I nie ma w tym nic złego.

— Po prostu musisz się z tym pogodzić. Stawić czoła tej głównianej sytuacji. — Głos Bailey'a wzmościł się i wyostrzył. — Zaakceptować prawdę. Wziąć to gówna na klatę, wytarzać się w nim i stać się z nim

jednością.

Bailey westchnął, a jego ponury nastrój nieco zelżał dzięki temu, że użył niecenzuralnego słowa. Przeklinanie może być bardzo terapeutyczne.

Fern uśmiechnęła się blado.

— Stać się jednością z gównem?

— Tak! Jeżeli to jest konieczne.

— Mam lody Rocky Road. Wyglądają trochę jak kupa. Możemy zamiast tego stać się jednością z Rocky Road?

— Faktycznie, wyglądają jak małe gówienko. Orzechy i w ogóle. Wchodzę w to.

— To jest chore, Bailey!

Bailey zarechotał, gdy Fern przeszła do tylnej części furgonetki, odpięła pas, który zabezpieczał jego wózek, i odsunęła drzwi samochodu.

— Bailey?

— Tak?

— Kocham cię.

— Ja ciebie też, Fern.

Tamtej nocy, gdy Fern zdjęła elegancką sukienkę, pozbyła się spinek misternie upinających jej loki i zmyła z twarzy cały makijaż, stanęła nago przed lustrem i spojrzała na siebie ze szczerym podziwem. Trochę wyrosła, co? Miała 157 centymetrów. Nie była już taka mała. Wciąż była bardzo drobna, ale już nikt nie brał jej za dwunastolatkę.

Uśmiechnęła się do siebie, ukazując proste białe zęby, dla których tak wiele wycierpiała. Jej włosy wreszcie dochodziły do siebie po katastrofie, która miała miejsce zeszłego lata. Wtedy to, uznawszy, że krótsze włosy będą łatwiejsze do opanowania, poprosiła Connie z zakładu fryzjerskiego Hair She Blows, żeby obcięła ją na chłopaka. Być może fryzjerka nie obcięła jej włosów wystarczająco krótko, ponieważ sterczały jej na wszystkie strony, jak we fryzurze afro. Przez większość roku szkolnego wyglądała jak Annie z musicalu wystawianego na Broadwayu, co jeszcze bardziej podkreślało jej dziewczęcą sylwetkę.

Teraz jej włosy prawie dotykały ramion i mogła je wreszcie związać w kucyk. Obiecała sobie, że już nigdy ich nie zetnie. Pozwoli, żeby rosły, aż osiągną jej talii, a wtedy pod wpływem ciężaru loki się rozciągną. Weźmy na przykład Nicole Kidman z filmu *Szybki jak błyskawica*. Nicole jest piękną rudowłosą kobietą. Ale jest również wysoka. Fern westchnęła i założyła piżamę. Elmo spojrział na nią z koszulki.

— Elmo cię kocha! — powiedziała do siebie, piskliwie naśladowując głos maskotki z telewizji. Może nadszedł czas, żeby kupić sobie trochę nowych ubrań, zmienić styl. Może zacznie wyglądać na starszą, jeśli przestanie nosić piżamę z Elmo. Mogłaby sobie kupić dopasowane dżinsy i kilka koszulek, które pokażą, że wcale nie jest płaska... już nie.

Ale czy wciąż jest brzydka? Możliwe, że przez to, że zawsze była brzydka, wszyscy już wyrobili sobie zdanie na jej temat. Wszyscy to znaczy chłopcy z jej szkoły. Wszyscy, czyli Ambrose.

Usiadła przy swoim małym biurku i włączyła komputer. Pisała nową powieść. Kolejną powieść z tą samą fabułą. We wszystkich jej powieściach schemat był zawsze ten sam: księżę zakochał się w biednej dziewczynie, gwiazdor rocka tracił głowę dla swojej fanki, prezydent ulegał czarowi szkolnej nauczycielki albo miliarder zostawał usidlony przez zwykłą sprzedawczynię. Łatwo dostrzec tutaj podobieństwo, ale Fern nie chciała zbyt uważnie badać tego schematu. Zazwyczaj nie miała problemu ze zidentyfikowaniem się z główną bohaterką swojej powieści. Zawsze pisała w pierwszej osobie, a jej bohaterki miały długie nogi, falujące loki, duże piersi i niebieskie oczy. Dzisiaj jednak jej oczy wędrowały do lustra, do jej własnej bladej twarzy usianej drobnymi piegami.

Przez długą chwilę siedziała nieruchomo, wpatrując się w ekran monitora. Myślała o balu i o tym, jak Ambrose ją zignorował. Wspominała rozmowę z Baileyem i jego chęć zjednoczenia się z „gównem”, nawet jeśli to była tylko chwilowa kapitulacja. Myślała o rzeczach, których nie rozumiała, i o tym, jaki ma stosunek do samej siebie. A potem zaczęła pisać, rymować i przenosić wszystkie swoje uczucia na klawiaturę.

Jeżeli Bóg wymyślił nam twarze, to czy się śmiał, gdy stworzył

mnie?

Czy stworzył nogi, które nie chodzą, i oczy, które widzą źle?

Czy kręci loki na mojej głowie, tworząc z nich dziką burzę?

Czy zatyka uszy głuchemu, robiąc to wbrew ludzkiej naturze?

Czy mój wygląd to przypadek, czy okrutne zrządzenie losu?

Czy mogę obwiniać Go za to, czego u siebie nie znoszę?

Za wady, które mnie prześladują w najgorszych snach,

Za brzydotę, której nie znoszę, za nienawiść i za strach?

Czy czerpie z tego jakąś przyjemność, że wyglądam aż tak źle?

Jeżeli Bóg wymyślił nam twarze, to czy się śmiał, gdy stworzył

mnie?

Fern westchnęła i nacisnęła ikonę drukowania. Kiedy drukarka wypluła z siebie wiersz, Fern przebiła kartkę pinezką i przyczepiła ją do ściany. A potem wczougała się do łóżka i spróbowała wyciszyć słowa, które wybrzmiewały w jej głowie. *Jeżeli Bóg wymyślił nam twarze...*

Rozdział 8.

Porządnie się zabawić

Ambrose nie pił alkoholu. Nie lubił, gdy kręciło mu się w głowie, i bał się, że pod wpływem alkoholu zrobi coś tragicznie głupiego, zawstydzając siebie, swojego ojca albo całe miasto. Trener Sheen nie pozwalał zawodnikom na picie alkoholu podczas sezonu. Żadnych wymówek. Jeżeli ktoś został przyłapany na picciu, od razu wylatywał z drużyny. Dlatego nikt nie chciał ryzykować. Stawka była zbyt wysoka.

Dla Ambrose'a sezon zapaśniczy trwał przez cały rok. Ciągłe trenował i rywalizował. Walczył na macie i w drużynie futbolowej — należał do obu szkolnych drużyn. A ponieważ wciąż trenował, nigdy nie pił.

Teraz jednak już nie trenował, ponieważ sezon się skończył. Było już po wszystkim. Całe miasto uległo cichej panice. Aż pięciu chłopaków postanowiło zaciągnąć się do wojska. Wiadomość rozeszła się w błyskawicznym tempie i choć ludzie klepali chłopców po plecach i zapewniali ich, że są z nich dumni i doceniają ich poświęcenie, w rzeczywistości byli przerażeni. Gdy Ambrose ogłosił tę wiadomość Elliottowi, ten spuścił głowę.

— Naprawdę tego chcesz, synu? — zapytał cicho.

Gdy Ambrose odparł twierdząco, Elliott poklepał go po policzkach i powiedział:

— Kocham cię, Brosey. I będę cię wspierał w każdej twojej decyzji.

Potem jednak Ambrose kilka razy przyłapał go na tym, jak klęczał i gorączkowo się modlił. Wyglądało to tak, jakby Elliott próbował w jakiś sposób dogadać się z Bogiem.

Trener Sanders z Uniwersytetu Stanowego Pensylwanii zapewnił, że szanuje decyzję Ambrose'a. „Bóg, kraj, rodzina, zapasy” — powiedział do niego. I dodał, że jeśli Ambrose czuje potrzebę, żeby służyć swojemu krajowi, to powinien to zrobić.

Po uroczystości wręczenia świadectw pan Hildy, nauczyciel matematyki, wziął Ambrose'a na krótką rozmowę. Pan Hildy był weteranem wojny wietnamskiej. Ambrose zawsze go szanował i cenił

zarówno jako człowieka, jak i nauczyciela.

— Słyszałem, że zaciągnąłeś się do wojska. Wiesz, że pojedziesz na misję, prawda? Wyślą cię szybciej, niż zdołasz wypowiedzieć „Saddam Hussein”. Zdajesz sobie z tego sprawę? — zapytał pan Hildy, stojąc przed Ambrose’em ze skrzyżowanymi ramionami i unosząc pytająco siwe brwi.

— Wiem.

— Dlaczego tam jedziesz?

— A dlaczego pan pojechał?

— Dostałem wezwanie do wojska — odpowiedział pan Hildy beznamiętnym głosem.

— Czyli gdyby miał pan wybór, to nie pojechałby pan na wojnę?

— Nie. Ale gdybym mógł cofnąć czas, to też bym tego nie zmienił. Rzeczy, o które wtedy walczyłem, są dla mnie tak samo ważne dzisiaj, i gdyby było trzeba, zrobiłbym to jeszcze raz. Walczyłem za moją rodzinę, za wolność słowa i za żołnierzy, którzy razem ze mną zostali wysłani na front. Za nich przede wszystkim. Walczysz za ludzi, którzy służą razem z tobą. W ogniu walki to jest jedyne, o czym myślisz.

Ambrose skinął głową, jakby go rozumiał.

— Ale chcę powiedzieć ci jedno. Szczęściarzami są ci, którzy nie wracają. Rozumiesz?

Ambrose ponownie przytaknął, zszokowany tym, co usłyszał. Pan Hildy odszedł bez pożegnania, ale pozostawił za sobą wątpliwości, a Ambrose po raz pierwszy zaczął się zastanawiać nad słusznością swojej decyzji. Może popełniał duży błąd. Wątpliwości wzbudziły w nim złość i niepokój. Zobowiązał się. Nie ma już drogi powrotnej.

Stany Zjednoczone wraz ze swymi sojusznikami wysłały już swoje wojska do Afganistanu. Następny w kolejce był Irak, wszyscy o tym wiedzieli. Ambrose i jego koledzy rozpoczną podstawowe szkolenie we wrześniu. Wolałby, żeby to było już jutro. Ale tak zostało wcześniej ustalone.

To lato było dla nich prawdziwym piekłem. Beans zachowywał się tak, jakby chciał zapić się na śmierć, a Jesse równie dobrze mógłby się ożenić, bo prawie cały czas spędzał z dziewczyną. Grant pomagał na farmie, Paulie pisał piosenki o opuszczaniu rodzinnego domu, z których

każda kolejna była coraz bardziej płaczliwa. Ambrose spędzał większość czasu w piekarni albo na podnoszeniu ciężarów. I tak mijało lato.

W sobotę, dwa dni przed wyjazdem chłopców na szkolenie do Fort Sill w Oklahomie, wszyscy spotkali się nad jeziorem, żeby wspólnie świętować zakończenie lata. Na każdym kroku stały stoiska z napojami gazowanymi i piwem. Wszędzie było mnóstwo balonów i ciężarówek, z których sprzedawano jedzenie. Niektórzy pływali, inni tańczyli przy brzegu, a większość po prostu stała albo siedziała wokół ogniska, a ich rozmowę co chwila przerywał gromki śmiech. Wszyscy próbowali jak najlepiej zapamiętać te ostatnie chwile lata, żeby potem mogli je długo wspominać.

Bailey Sheen też tam był. Ambrose pomógł Jessemu zanieść wózek Bailey'a aż do jeziora, gdzie zebrało się całe towarzystwo. Razem z Baileyem przyjechała Fern, jak zawsze. Nie miała okularów, a swoje loki splotła w warkocz, zostawiając luźno kilka kosmyków. Nie mogła się równać z Ritą, ale była urocza, nawet Ambrose musiał to przyznać. Miała na sobie sukienkę w kwiaty i japonki. Ambrose ze zdziwieniem zauważył, że przygląda jej się przez cały wieczór. Nie wiedział, co go tak pociąga. Mógł zagadać do wielu różnych koleżanek, które prawdopodobnie z chęcią podarowałyby mu szczególny prezent przed wyjazdem do wojska. Ale seks na jedną noc nie był w jego stylu, a to nie był dobry moment na rozpoczęcie trwałego związku. No i ciągle gapił się na Fern.

Tego wieczora wypił więcej piwa, niż powinien, dlatego nie protestował, gdy grupa chłopaków z jego drużyny zapaśniczej wciągnęła go do jeziora. Przez to przegapił moment, w którym Fern odjechała. Widział tylko, jak stara niebieska furgonetka Sheena rusza, krusząc żwir pod kołami. Przez chwilę poczuł ukłucie żalu.

Był mokry, wkurzony i trochę podpity. Nie podobało mu się, że doprowadził się do takiego stanu. Stał przy ognisku, próbując wycisnąć wodę z ubrań, i zastanawiał się, czy żal, który odczuł na widok odjeżdżającej Fern, wynikał z tego, że nie chciał rezygnować ze swojego obecnego życia, zwłaszcza że przyszłość, która się przed nim rysowała, była nieznana i przerażająca.

Stał przy ogniu, czekając, aż jego dzinsy i koszulka trochę

wyschną, i słuchał rozmów, jakie toczyły się dookoła. Płomienie miały kolor włosów Fern. Na myśl o tym głośno zaklął — aż Beans przerwał omawianie zasad nowej gry. Nagle wstał, przewracając plastikowe krzesło ogrodowe, i odszedł od ogniska. Wiedział, że musi gdzieś pójść, bo nie jest sobą. Był takim idiotą. Stracił całe lato, nie robiąc nic. A teraz, w przedostatnim dniu pobytu w rodzinnym mieście, właśnie odkrył, że być może lubi dziewczynę, która ponad pół roku temu niemalże położyła mu się na tacy.

Jego samochód był zaparkowany na szczycie wzgórza, a wszystkie auta obok były puste. Dobrze. Będzie mógł po cichu się wymknąć. Był w kiepskim stanie, a do tego miał na sobie spodnie, które były mokre w kroku, i sztywną koszulkę. Idąc do samochodu, nagle się zatrzymał. Fern właśnie schodziła ze wzgórza w stronę jeziora. Wróciła. Uśmiechnęła się, gdy do niego podchodziła, i odgarnęła kosmyk włosów, który wysunął się z jej warkocza.

— Bailey zostawił czapkę z daszkiem, więc obiecałam mu, że po nią wrócę. Poza tym chciałam się pożegnać. Rozmawiałam już z Pauliem i Grantem, ale z tobą jeszcze nie. Mam nadzieję, że nie będziesz miał nic przeciwko, gdybym czasami do ciebie napisała. Ja bym chciała, żeby ktoś do mnie pisał... gdybym wyjechała... czego prawdopodobnie nigdy nie zrobię, ale wiesz... — Im dłużej mówiła, tym bardziej robiła się nerwowa, a Ambrose uświadomił sobie, że on sam nie powiedział jeszcze ani słowa. Tylko na nią patrzył.

— Tak. Tak, to bardzo miłe — szybko wtrącił, żeby ją uratować. Przeczesał palcami długie, wilgotne włosy. Jutro zostaną ścięte. Tata mu obiecał, że się tym zajmie. Nie ma sensu czekać do poniedziałku. Nie miał krótkich włosów, od kiedy Bailey Sheen powiedział mu, że wygląda jak Herkules.

— Jesteś cały mokry — powiedziała, uśmiechając się. — Chyba powinieneś wrócić do ogniska.

— Chcesz się przejść i chwilę porozmawiać? — zapytał Ambrose. Uśmiechnął się, jakby to nie było nic wielkiego, ale serce mu biło tak mocno, jakby to była pierwsza dziewczyna, do której kiedykolwiek zagadał. Nagle pożałował, że nie wypił więcej, żeby dodać sobie odwagi.

— Czy ty piłeś? — Fern przyjrzała mu się badawczo, jakby czytała

mu w myślach.

Ambrose posmutniał, ponieważ uświadomił sobie, że stan upojenia może być dla Fern jedynym sensownym wyjaśnieniem tego, że chce spędzić z nią czas.

— Hej, Ambrose! Fern! Chodźcie do nas! Zaczynamy nową grę. Potrzebujemy jeszcze dwóch osób — zawołał do nich Beans, który kucnął przy ognisku.

Fern ruszyła do przodu, ucieszona, że została zaproszona do zabawy. Beans nie był dla niej miły od lat. Zazwyczaj ignorował dziewczyny, które według niego nie były atrakcyjne. Ambrose poszedł za nią nieco wolniejszym krokiem. Nie chciał grać w głupie gry. Wiedział, że jeśli to Beans wymyślił zasady, będą one albo złośliwe, albo głupie.

Okazało się, że nowa gra wcale nie była nowa. Była to stara wersja gry w butelkę — ta sama, w którą grali, gdy mieli trzynaście lat i szukali sposobu na to, żeby pocałować dziewczynę siedzącą obok. Ale Fern wyglądała na zafascynowaną. Jej brązowe oczy były szeroko otwarte, a na kolanach trzymała splecione dłonie. Ambrose uświadomił sobie, że Fern prawdopodobnie nigdy wcześniej nie grała w tę grę. Chyba nie była na żadnej z ich wspólnych imprez. Nie była zapraszana. Poza tym jest córką pastora. Prawdopodobnie nigdy nie robiła połowy rzeczy, które zrobili wszyscy inni siedzący wokół ogniska, i to wiele razy. Ambrose ukrył twarz w dłoniach, licząc na to, że Beans nie zamierza zrobić czegoś, co zawstydzi Fern albo zmusi go do wszczęcia bójk. Naprawdę nie chciał psuć relacji między nimi tuż przed wyjazdem na obóz dla rekrutów.

Kiedy butelka wskazała Fern, Ambrose wstrzymał oddech. Beans powiedział coś szeptem do dziewczyny siedzącej obok niego — tej, która kręciła butelką. Ambrose patrzył spode łba na Beansa i czekał, spodziewając się najgorszego.

— Prawda czy wyzwanie, Fern? — zapytał szyderczo Beans.

Fern bała się jednego i drugiego. I powinna. Zagryzła wargę, a dwanaście par oczu obserwowało, jak zмага się z decyzją.

— Prawda — wymamrotała w końcu.

Ambrose rozluźnił się. Prawda była łatwiejsza. No i zawsze można

skłamać.

— Czy to prawda, że w zeszłym roku pisałaś liściki miłosne do Ambrose'a, udając, że są od Rity?

Ambrose poczuł, że robi mu się niedobrze. Fern z trudem złapała oddech, a ich spojrzenia spotkały się. W ciemności i blasku płomieni jej oczy wydawały się czarne na tle jej bladej twarzy.

— Czas jechać do domu, Fern. — Ambrose wstał i pociągnął za sobą Fern, która siedziała obok niego. — Spadamy. Do zobaczenia za pół roku, frajerzy. Nie tęsknijcie za mną za bardzo.

Ambrose odwrócił się od towarzystwa, wziął Fern za rękę i zabrał ją ze sobą. Nie obracając głowy, podniósł lewą rękę, pokazując koledze środkowy palec. Usłyszał za sobą śmiech. Beans miał przechlapane. Ambrose jeszcze nie wiedział kiedy i jak, ale Beans oberwie za to, co zrobił.

Kiedy drzewa za nimi się zamknęły, chowając za sobą plażę, Fern wyrwała rękę z jego dłoni i pobiegła przed siebie.

— Fern! Czeka!

Biegła w kierunku zaparkowanych samochodów, a Ambrose dziwił się, dlaczego nie zwalnia, chociaż na minutę. Zaczął biec za nią. Dogonił ją w momencie, gdy chwyciła klamkę drzwi niebieskiej furgonetki Sheena.

— Fern! — Chwycił ją za ramię.

Próbowała się wyswobodzić. Złapał ją za obie ręce i ze złością przyciągnął do siebie, zmuszając, żeby na niego spojrzała. Wtem zauważył, że Fern się trzęsie. Płakała. To dlatego tak szybko pobiegła do samochodu. Nie chciała, żeby zobaczył jej łzy.

— Fern — wyszeptał, zupełnie bezradny.

— Zostaw mnie! Nie mogę uwierzyć, że im o tym powiedziałaś. Czuję się jak idiotka.

— Powiedziałem Beansowi wtedy w szkole, gdy zobaczył, jak rozmawiamy w korytarzu. Nie powinienem był tego robić. To ja jestem idiotą.

— Nieważne. Skończyliśmy już liceum. Ty wyjeżdżasz. Beans wyjeżdża. Nie obchodzi mnie, czy jeszcze kiedykolwiek zobaczę któregoś z was. — Fern wytarła łzy, które spływały jej po twarzy.

Ambrose zrobił krok do tyłu, zszokowany gwałtownością jej głosu i niezłomnością w jej oczach. To go przeraziło.

Dlatego ją pocałował.

Pocałunek był gwałtowny i na pewno nie odbył się za zgodą obu stron. Ambrose objął twarz Fern dłońmi i przycisnął ją do drzwi starej niebieskiej furgonetki, którą Fern wszędzie woziła Bailey'a. Fern należała do tych dziewczyn, które nie przejmowały się tym, że przyjeżdżają na imprezę starym minivanem dostosowanym do przewożenia wózka inwalidzkiego. Była dziewczyną, która ekscytowała się na samą myśl o tym, że zaproszono ją do zabawy w głupią grę. Była dziewczyną, która wróciła, żeby się z nim pożegnać — z chłopakiem, który traktował ją jak powietrze. A w tej chwili Ambrose bardziej niż cokolwiek innego w życiu pragnął, żeby mógł cofnąć czas.

Chciał, żeby oddała jego pocałunek. Chciał jej powiedzieć, jak bardzo jest mu przykro, ale ona pozostawała niewzruszona w jego ramionach, jakby nie mogła uwierzyć, że po tym wszystkim, co się stało, on wciąż myśli, że może złamać jej serce, a potem ją pocałować.

— Przepraszam, Fern — wyszeptał Ambrose, dotykając ustami jej ust. — Bardzo cię przepraszam.

W magiczny sposób jego słowa stopiły lód, którego pocałunek nie był w stanie stopić, i Ambrose poczuł, że Fern mu ulega. Jej ręce uniosły się do jego ramion i objęły go. Otworzyła usta i wpuściła go do środka. Łagodnie, żeby nie zmarnować tej kruchej drugiej szansy, Ambrose przesunął ustami po jej ustach, delikatnie dotykając jej języka, tak aby to ona zaczęła szukać jego. Nigdy nie postępował tak ostrożnie przy pocałunku i nigdy tak bardzo się nie starał, żeby zrobić to dobrze. A kiedy pocałunek się skończył, pozwolił jej się odsunąć. Oczy miała zamknięte, ale na policzkach wciąż było widać ślady łez, a jej usta wyglądały jak posiniaczone w miejscu, w którym nacisnął zbyt mocno, desperacko próbując wymazać swoją winę.

Potem otworzyła oczy. Przez chwilę jej twarz wyrażała jednocześnie ból i dezorientację. A potem Fern zacisnęła szczęki i odwróciła się od Ambrose'a. Bez słowa weszła do furgonetki i odjechała.

Rozdział 9.

Być dobrym przyjacielem

W sobotę o ósmej rano dzwonek do drzwi zagrał radosną melodyjkę, a dźwięk tak doskonale scalił się ze snem Fern, że uśmiechnęła się do przystojnego mężczyzny w mundurze, który właśnie powiedział „Tak”, podniósł jej welon i mocno ją pocałował.

— Bardzo cię przepraszam, Fern — wyszeptał, zupełnie tak jak wtedy nad jeziorem. — Przepraszam — powtórzył.

Fern pocałowała go z pasją. Nie zależało jej na przeprosinach. Chciała się całować. Całować i przytulać, bo gdzieś w podświadomości czuła, że to jest tylko sen i zaraz się obudzi, a wszystkie szanse na pocałunek ulecą do krainy To Się Nigdy Nie Stanie.

— Bardzo cię przepraszam, Fern!

Fern westchnęła, nie zważając na fakt, że to nie był już głos Ambrose’a.

— Przepraszam, że cię obudziłam, Fern, ale muszę ci coś pokazać. Nie śpisz już?

Fern z trudem otworzyła oczy, ponuro akceptując fakt, że nie jest w kościele, w tle nie słychać marszu weselnego, a Ambrose jest setki kilometrów od niej w Fort Sill.

— Fern? — Rita stała tuż przy jej łóżku i bez ostrzeżenia rozpięła spodnie i zsunęła je z bioder, a potem podniosła koszulkę i wcisnęła ją pod stanik, ukazując swój brzuch w pełnej krasie. Podparła się pod boki i dramatycznym głosem zapytała:

— Widzisz?

Fern sennym wzrokiem przyjrzała się kobiecym kształtom Rity i jej nagiej skórze pod zgrabnymi piersiami, żałując, że Rita nie poczekała choć kilku minut z wtargnięciem do jej pokoju i obnażaniem się przed nią. Wciąż jeszcze miała ciężkie powieki, a zgrabne dziewczyny zdecydowanie nie były w jej typie. Pragnęła jednego, określonego mężczyzny w mundurze. Uniosła pytająco brwi i wymamrotała:

— Hę?

— Patrz, Fern! — Rita wskazała obiema dłońmi na dolną część brzucha, tuż pod pępkiem. — Jest wielki! Nie jestem już w stanie tego

ukryć. Co mam robić?

Nie był wielki. Jej brzuch był delikatnie zaokrąglony i tylko odrobinę wystawał z koronkowych czarnych majtek. Fern miała taką samą parę majtek; trzymała je z tyłu szuflady z bielizną i zakładała je tylko wtedy, gdy planowała napisać miłosną scenę, taką jak poprzedniej nocy... czyli zaledwie kilka godzin temu. Ale Rita nie zamierzała sobie pójść i umożliwić jej powrót do krainy marzeń, więc Fern podniosła leniwie rękę, żeby odgarnąć splątane loki z oczu i zyskać lepszą perspektywę na problem Rity. Przechyliła głowę w jedną i drugą stronę, skupiając wzrok na brzuchu przyjaciółki.

— Czy ty jesteś w ciąży? — wydukała w końcu.

Wybudzenie z głębokiego snu sprawiło, że jej mózg działał na spowolnionych obrotach.

Rita uwolniła koszulkę spod stanika i pośpiesznie zapięła spodnie, jak gdyby pod wpływem słów Fern chciała na nowo ukryć swoją tajemnicę.

— Rita?

— Tak — odpowiedziała Rita i usiadła na łóżku, przygniatając stopy Fern.

Kiedy poczuła, że Fern stara się uwolnić nogi, zaczęła gorąco ją przeproszać, a zaraz potem wybuchła płaczem.

— Weźmiecie ślub? — Fern pogłaskała przyjaciółkę po plecach.

Mówiła do niej łagodnym głosem, takim samym, jakiego używała jej mama, zawsze gdy Fern płakała.

— Becker nie wie. Nikt nie wie! Chciałam z nim zerwać, Fern. A teraz nie mogę.

— Dlaczego? Myślałam, że za nim szalejesz.

— Szaleję. Szalałam. Trochę. Ale to wszystko dzieje się tak szybko. Mam wrażenie, że nie mogę za nim nadążyć. Chciałam zrobić krótką przerwę. Może wyjechać do innego miasta i tam zacząć studia albo coś w tym stylu. Myślałam nawet o tym, żeby zatrudnić się jako niania... może gdzieś w Europie... jako au pair. Tak się tam na to mówi. Czy to nie byłoby fajne? Chciałam być au pair. A teraz nie mogę — powtórzyła i zapłakała jeszcze głośniejsze.

— Zawsze miałaś rękę do dzieci. — Fern z trudem szukała słów,

które byłyby jakimś pocieszeniem dla Rity. — Po prostu będziesz zajmowała się własnym. Może teraz nie jest odpowiedni czas na wyjazd do Europy. Ale może mogłabyś otworzyć małe przedszkole... albo zostać nauczycielką. Na pewno byłabyś wspaniałą przedszkolanką. Jesteś ładna i miła, dzieci na pewno by cię pokochały.

Fern również rozważała wyjechanie z miasteczka. Mogłaby pójść do college'u i tam zacząć zupełnie nowe życie, wolne od starych stereotypów. Ale nie była w stanie opuścić Baileya. Chciała zostać pisarką, autorką romansów. Wtedy mogłaby pracować w Hannah Lake i ciągle być sąsiadką Baileya. Pisanie to praca, którą można wykonywać w każdym miejscu na świecie — tu, w Hannah Lake, albo w Wenecji czy Paryżu.

— Jak to się stało? — lamentowała Rita.

Fern rzuciła jej tępe spojrzenie.

— Znam na pamięć piosenkę o rozmnażaniu z *Grease II*. Chcesz, żebym ci ją powoli zaśpiewała? — zapytała, próbując rozśmieszyć zapłakaną przyjaciółkę.

— Bardzo śmieszne, Fern — powiedziała Rita, ale lekko się uśmiechnęła, gdy Fern zaczęła jej śpiewać o kwiatkach i pręcikach swoim czystym sopranem.

Zaśpiewała nawet razem z nią kilka linijek, odruchowo dołączając do przyjaciółki śpiewającej znany szlagier mimo rozpaczy, jaką czuła w sercu.

— Nie mów Baileyowi, dobrze? — powiedziała Rita, gdy skończyły śpiewać.

Fern pogłaskała ją po włosach.

— Dlaczego? Przecież on jest naszym najlepszym przyjacielem. Wcześniej czy później i tak się dowie, i wtedy będzie się zastanawiać, dlaczego sama mu tego nie powiedziałaś.

— Przy nim zawsze czuję się wyjątkowa... wiesz? Dlatego zawsze, gdy coś spieprzę albo zrobię coś głupiego, czuję się, jakbym go zawiodła. A może po prostu zawiodłam samą siebie i zrzucam winę na niego — powiedziała Rita, wycierając łzy z policzków i biorąc głęboki oddech, jakby przygotowywała się do soku do basenu.

— Ale to właśnie jest najfajniejsze w przyjaźni. Nie musisz być

doskonała ani jakoś szczególnie się starać. My kochamy ciebie, a ty kochasz nas. Zawsze będziemy przy tobie. I ja, i Bailey.

— Kocham cię, Fern, naprawdę. I Bailey'a też. Mam tylko nadzieję, że nie spieprzę czegoś tak, że stracę was oboje.

Rita gwałtownie objęła Fern i mocno ją przytuliła, żeby Fern nie miała żadnych wątpliwości co do jej wdzięczności ani uczucia, którym ją darzy. Fern odwzajemniła uścisk i wyszeptała jej do ucha:

— Nigdy tak się nie stanie, Rito.

1994

— *Dlaczego nie macie więcej dzieci, mamo? Bailey ma starsze siostry. Ja też bym chciała mieć starszą siostrę.*

— *Nie wiem dlaczego, Fern. Chciałam mieć więcej dzieci, ale czasami dostajemy coś tak wyjątkowego i tak wspaniałego, że to jedno wystarczy.*

— *Hm. Czyli ja jedna wystarczę?*

— *Tak. Zawsze wystarczałaś. — Rachel Taylor zaśmiała się, patrząc na swoją dziesięcioletnią córkę z rozczochranymi rudymi włosami i krzywymi zębami, które były za duże w stosunku do jej twarzy i sprawiały, że wyglądała tak, jakby zaraz miała pokicać gdzieś na leśną polankę.*

— *Ale ja potrzebuję brata albo siostry, mamo. Potrzebuję kogoś, kim mogłabym się opiekować, kogo mogłabym uczyć różnych rzeczy.*

— *Masz Bailey'a.*

— *Tak, to prawda. Ale to on bardziej uczy mnie niż ja jego. Poza tym jest kuzynem, a nie bratem.*

— *On jest nie tylko rodziną, ale też wyjątkowym przyjacielem. Kiedy ciocia Angie i ja dowiedziałyśmy się, że jesteśmy w ciąży, świętowałyśmy razem. Ja myślałam, że nie mogę mieć dzieci, a Angie miała dwie starsze dziewczynki i zawsze marzyła o chłopcu. Bailey urodził się przed tobą, ale tylko kilka dni wcześniej. A potem urodziłaś się ty. Oboje jesteście małymi cudownymi dziećmi, wspaniałymi darami od Boga.*

— *W sumie Bailey to prawie tak samo jak brat — zastanowiła się*

Fern.

— *Wiesz, że Jezus też miał wyjątkowego przyjaciela? Miał na imię Jan. Matka Jana, Elżbieta, była starszą kobietą, tak jak ja. I też myślała, że nie może mieć dzieci. Kiedy się dowiedziała, że jest w ciąży, Maria, matka Jezusa, odwiedziła ją. Też były rodziną, zupełnie jak Angie i ja. Kiedy Elżbieta zobaczyła Marię, poczuła w brzuchu pierwsze ruchy dziecka. Maria była w ciąży z Jezusem i już wtedy tych dwóch chłopców łączyła szczególna więź, zupełnie tak samo jak ciebie i Baileyę.*

— *Mówisz o Janie Chrzcicielu, tak? — spytała Fern.*

Dobrze znała wszystkie biblijne historie. Pastor Joshua i Rachel o to zadbali.

— *Tak.*

— *A czy to nie jemu ścięto głowę? — zapytała Fern ze zwątpieniem w głosie.*

Rachel wybuchła śmiechem. No tak, czasami puenta historii jest inna, niż by się tego chciało.

— *Tak, to prawda. Ale nie o to mi chodziło, gdy ci o nim opowiadałam.*

— *I Jezusa też zabili.*

— *Tak, zabili.*

— *Dobrze, że jestem dziewczyną i nie mam na imię Jan. I dobrze, że Jezus już przyszedł na świat i Bailey nie musi być naszym zbawicielem. Gdyby nie to, posiadanie wyjątkowego przyjaciela nie byłoby wcale tak fajne.*

Rachel westchnęła. Fern musi sama sobie to wszystko na spokojnie przemyśleć. Rachel podjęła jeszcze jedną, ostatnią próbę, żeby dać córce ważną lekcję, i powiedziała:

— *Czasami posiadanie wyjątkowego przyjaciela jest trudne. Czasami będziesz cierpieć razem z nim. Życie nie zawsze jest łatwe, a ludzie potrafią być okrutni.*

— *Masz na myśli tych, którzy obcięli głowę Janowi Chrzcicielowi?*

— *Tak, na przykład ich — powiedziała Rachel, tłumiąc śmiech, który teraz zdecydowanie nie byłby na miejscu.*

Przybrała poważną minę i jeszcze raz spróbowała jakoś mądrze zakończyć tę rozmowę, nawiązując do tego, jak Zbawiciel się dla nas

poświęcił.

— Niełatwo jest znaleźć dobrego przyjaciela. Przyjaciele troszczą się o siebie nawzajem, a czasami nawet umierają jeden za drugiego, tak jak Jezus umarł za nas wszystkich.

Fern uroczyście skinęła głową, a Rachel wydała z siebie oddech ulgi. Nie była pewna, kto wygrał tę rundę, ani czy Fern nauczyła się czegokolwiek z tej rozmowy. Wzięła kosz z praniem i poszła w kierunku pralki, do miejsca, gdzie czekała ją cisza i względne bezpieczeństwo. Fern zawołała ją.

— Jak myślisz, czy to ja umrę za Bailey'a... czy on umrze za mnie?

Rozdział 10.

Zostać żołnierzem

Zespół muzyczny ze szkoły średniej grał składankę patriotycznych piosenek starannie przećwiczonych wcześniej z panem Morganem, nauczycielem muzyki. Fern znała wszystkie melodie. Żałowała, że już nie chodzi do szkoły, bo mogłaby zagrać w zespole na klarncie. Dzięki temu mogłaby robić coś więcej niż marznąć, przytulać się do rodziców, klaskać w rytm muzyki i oglądać żałosny występ muzyków na paradzie zorganizowanej na ulicy Głównej. Marzec w Pensylwanii to okropny czas na zorganizowanie parady. Na drogach nie było żadnych samochodów, a pogoda jak na razie sprzyjała, ale nadchodziła burza śnieżna i niebo było zasnute szarymi chmurami. Parada została zorganizowana z okazji wielkiego pożegnania. Chłopcy właśnie ukończyli podstawowe i zaawansowane indywidualne szkolenia i zostali przydzieleni do jednostki, która właśnie została powołana — ot tak, po prostu. Mieli być jednymi z pierwszych żołnierzy, którzy pojedą do Iraku.

Fern chuchnęła na zmarznięte palce. Jej policzki miały kolor podobny do jej płomiennych włosów. Wtedy pojawili się żołnierze. Byli ubrani w mundury w barwach moro i wysokie sznurowane buty, a na ogolonych głowach nosili czapki. Fern odruchowo zaczęła podskakiwać, próbując wypatrzeć Ambrose'a. Oddział składał się z rekrutów z całej południowo-zachodniej Pensylwanii. Żołnierze odwiedzali małe miasta w konwojach składających się z wielu pojazdów terenowych Humvee, a także z jednego czołgu, który pełnił funkcję ozdoby i ciekawostki. Wszyscy żołnierze wyglądali tak samo. Przyglądając się tej jednolitej grupie, Fern zastanawiała się, czy nie jest to swoisty akt litości — odebranie im tożsamości, żeby ich pożegnanie straciło osobisty wymiar.

Wreszcie zobaczyła Ambrose'a. Szedł tak blisko niej, że mogłaby go dotknąć. Jego długie włosy zniknęły. A były takie piękne. Ale jego twarz się nie zmieniła: mocna szczeka, doskonale wyprofilowane usta, gładka skóra, ciemne oczy. Po tamtej nocy nad jeziorem przeszła przez wszystkie etapy. Złość, upokorzenie i znowu złość. A potem gniew osłabł, gdy przypominała sobie, jak cudownie było czuć dotyk jego ust

na swoich.

Tamtej nocy Ambrose ją pocałował. Nie rozumiała, dlaczego to zrobił. Nie pozwoliła sobie na to, aby uwierzyć, że nagle się w niej zakochał. Nie czuła tego. Ten pocałunek nie kojarzył się jej z miłością. Raczej z przeprosinami. Po tygodniach emocjonalnej huśtawki między upokorzeniem a wściekłością zdecydowała, że jest gotowa zaakceptować jego przeprosiny. Po akceptacji przyszła kolej na wybaczenie, a wtedy wszystkie uczucia, które żywiła do niego od tak dawna, wróciły do znajomych miejsc w jej sercu, a złość minęła jak zły sen.

Fern próbowała zawołać Ambrose'a. Chciała wykazać się odwagą, ale wydała z siebie tylko nieśmiały pisk. Imię Ambrose'a wysmyknęło jej się z ust i zginęło w ogólnym zgiełku. Ambrose patrzył prosto przed siebie i nie miał pojęcia, że Fern próbuje przyciągnąć jego uwagę. Był wyższy niż mężczyźni obok niego, dzięki czemu Fern mogła śledzić jego sylwetkę jeszcze przez długi czas, gdy maszerował wzdłuż ulicy.

Nie dostrzegła wśród żołnierzy Pauliego, Granta, Beansa ani Jessego, ale później przy lodziarni Frosty Freeze zauważyła Marley, ciężarną dziewczynę Jessego. Na jej twarzy było widać ślady łez, a jej brzuch wyraźnie wystawał w puchowej kurtce, która nie dopinała się już w talii. Fern poczuła ukłucie zazdrości. Historia kobiety, która musi się rozstać z przystojnym żołnierzem, była tak tragicznie piękna, że Fern po powrocie do domu zaczęła pracować nad nową powieścią o dwojgu kochanków rozdzielonych przez wojnę.

A potem polecili przez ocean do świata upałów i piasku, do świata, który tak naprawdę nie istniał — przynajmniej dla Fern. I dla ludzi z Hannah Lake pewnie też nie, bo znajdował się zbyt daleko i kompletnie różnił się od wszystkiego, co znali. Ale życie toczyło się tak samo jak dotąd. Mieszkańcy miasta modlili się i kochali, ranili się i radowali. Żółte wstążki, które Fern pomogła zawiązać wokół drzew, wyglądały wesoło i świeżo przez jakieś dwa tygodnie. Ale wiosenne deszcze ze śniegiem poszarpały wstążki ostrymi, lodowymi pazurami, zmieniając je w podarte, wyblakłe skrawki materiału. A zegar cicho tykał.

Minęło pół roku. W tym czasie Rita urodziła chłopca. Marley Davis również urodziła chłopca, któremu dała imię Jesse po tacie. Fern napisała nowy rozdział w swoim romansie o kochankach rozdzielonych przez wojnę, którym urodziło się dziecko, dziewczynka o imieniu Jessie. Nie mogła nic na to poradzić. Zawsze gdy Marley przychodziła do sklepu, Fern bardzo chciała wziąć jej dziecko na ręce. Mogła sobie tylko wyobrazić, jak czuje się Jesse tysiące mil stąd. Pisała listy do Ambrose'a, w których opowiadała mu, co się dzieje w Hannah Lake, opisywała różne zabawne sytuacje, prezentowała statystyki drużyn sportowych ze szkoły średniej, streszczała książki, które przeczytała, chwaliła się swoim awansem w sklepie spożywczym na kierownika nocnej zmiany i wyjawiała wszystko, co zawsze chciała mu powiedzieć, ale brakowało jej odwagi. Wszystkie listy podpisywała „Twoja Fern”.

Czy można należeć do kogoś, kto nas nie chce? Fern uznała, że to jest możliwe, ponieważ jej serce należało do niego, a to, czy jemu się to podoba, czy nie, nie miało większego znaczenia. Każdy ukończony list wrzucała do szuflady. Zastanawiała się, co by pomyślał Ambrose, gdyby nagle któryś z nich rzeczywiście wysłała. Prawdopodobnie uznałby ją za psychopatkę i pożałowałby swoich przeprosin z pocałunkiem. Zmartwiłby się, że ten pocałunek znaczył dużo więcej dla Fern niż dla niego. Pomyślałby, że biedna dziewczyna żyje złudzeniami.

Ale Fern wcale nie żyła złudzeniami; po prostu miała bogatą wyobraźnię. Ale nawet mając tak wielki talent do marzeń na jawie i wymyślania historii, nie była w stanie uwierzyć w to, że Ambrose może kiedykolwiek odwzajemnić jej uczucia.

Wtedy przy jeziorze zapytała go, czy może do niego pisać. Nawet dodała, że chętnie to zrobi. Ale w głębi duszy była przekonana, że on wcale tego nie chce, a jej duma była zbyt duża; nie zniosłaby kolejnego ciosu. Dlatego stos listów rósł, a Fern nie była w stanie wysłać żadnego z nich.

Irak

— Czy Fern Taylor dalej pisze do ciebie liściki miłosne, Brosey?

— zapytał Beans.

Obaj leżeli w ciemnym namiocie pośród śpiących żołnierzy.

— Moim zdaniem Fern jest ładna — powiedział Paulie ze swojego łóżka. — Na balu wyglądała naprawdę pięknie. Widziałeś ją? Do mnie może pisać, kiedy tylko zechce.

— Fern nie jest ładna! — zaprotestował Beans. — Wygląda jak Pippi Pończoszanka.

— Kim, do cholery, jest Pippi Pończoszanka? — zajęczał Jesse, próbując zasnąć.

— Moja siostra oglądała kiedyś film o Pippi Pończoszance. Pożyczyła go z biblioteki i nigdy go nie oddała. Pippi miała wystające zęby i dwa rude warkoczyki. Była chuda, dziwna i głupia. Zupełnie jak Fern. — Beans specjalnie przesadzał, drocząc się z Ambrose'em.

— Fern nie jest głupia — powiedział Ambrose.

Zdziwiło go to, że prześmiewcze komentarze Beansa na temat Fern tak bardzo go irytowały.

— No doooobra — zaśmiał się Beans. — Jakby to robiło jakąś różnicę.

— Robi — wtrącił swoje trzy grosze Grant. — Kto chciałby być z dziewczyną, z którą nie ma o czym pogadać?

— Ja! — zawołał ze śmiechem Beans. — Niech nie gada, tylko się rozbiera.

— Jesteś świnią, Beans — westchnął Paulie. — Dobrze, że wszyscy lubimy szynkę.

— Ja nie znoszę szynki — burknął Jesse. — I nie znoszę, gdy zbiera się wam na pogaduszki akurat wtedy, gdy jest pora spania. Zamknijcie się, do cholery.

— Jesse, ty naprawdę jesteś Szaloną Wiedźmą ze Wschodu — zaśmiał się Paulie. — Szaloną Wiedźmą z Bliskiego Wschodu.

Paulie niedawno wymyślił zabawną piosenkę o tym, że Irak jest jak Kraina Oz, i wkrótce każdy żołnierz z ich jednostki dostał jakiś przydomek z *Czarnoksiężnika z Oz*.

— A ty jesteś Strachem na Wróble, durniu. To był ten, co nie miał mózgu, prawda?

— Tak. Strach na Wróble brzmi kozacko, co nie, Grant?

— Na pewno lepiej niż Dorotka — zaśmiał się Grant.

Jakiś czas temu Grant popełnił ogromny błąd, zakładając czerwone buty zapaśnicze na siłownię. Młodzi kadeci, gdy nie byli na patrolu ani nie spali, ćwiczyli na siłowni. W wolnym czasie nie mieli nic ciekawszego do roboty. Reakcja kolegów była do przewidzenia.

— Dlaczego nie stukniesz obcasami, Dorotko, i nie zabierzesz nas do domu? — zapytał Paulie. — Ej, jak to się stało, że ty nie masz przydomka, Beans?

— Hm... mam na imię Connor. Chyba właśnie sam sobie zaprzeczyłeś — Beans powoli zapadał w sen.

— Moglibyśmy go nazwać Karzeł... a może Toto. Za tym małym pieskiem, który potrafił tylko głośno szczekać — powiedział Jesse.

Beans natychmiast się ożywił.

— Spróbuj tylko, Jess, a powiem Marley o tym, jak się całowałeś z Lori Stringham w szatni zapaśniczej.

Beans był zawsze wrażliwy na punkcie swojego niskiego wzrostu, który był idealny dla zapaśnika ważącego 57 kilogramów, ale w innych sytuacjach życiowych nie był zbyt pomocny.

— Brosey jest Blaszanym Drwalem, bo nie ma serca. Biedna Fern Taylor boleśnie się o tym przekonała — Beans starał się zmienić temat, po raz kolejny wbijając szpilę Ambrose'owi.

— Brosey jest Blaszanym Drwalem, bo jest z metalu. Kurczę, ile ty dzisiaj wycisnąłeś na ławce, Brosey? — dołączył do konwersacji inny żołnierz. — Jesteś pieprzonym potworem! Moglibyśmy cię nazwać Iron Man.

— Ojej, znowu to — zajęczał Jesse. — Najpierw Herkules, a teraz Iron Man.

Denerwowało go to, że Ambrose zawsze przyciąga taką uwagę, i nie ukrywał swojej niechęci.

Ambrose zaśmiał się.

— Jutro dam ci wygrać w siłowaniu na rękę, dobrze, Wiedzmo?

Jesse aż się zakrztusił; był bardziej zirytowany, niż był skłonny przyznać.

Cały namiot się uciszył, a za chwilę było już słychać tylko chrapanie i głośne oddechy. Ale Ambrose nie mógł zasnąć. Myślał o

tym, co powiedział Beans. Rita Marsden była piękna. Aż człowiekowi zapierało dech w piersiach. Kiedyś myślał, że jest w niej zakochany, dopóki nie uświadomił sobie, że w ogóle jej nie zna. Rita nie była mądra. Nie w taki sposób, jak on by tego chciał. Nie był w stanie zrozumieć, dlaczego w tych krótkich liścikach była tak interesująca i pociągająca, a gdy byli sami, zachowywała się zupełnie inaczej. Była piękna, ale gdy się zaczęli spotykać, szybko zrozumiał, że wcale nie jest taka atrakcyjna. Ambrose pragnął dziewczyny z liścików.

Otworzył oczy, mimo że w namiocie było zupełnie ciemno. Dziewczyną z liścików była Fern Taylor. Czy on naprawdę pragnął Fern Taylor? Zaśmiał się cicho. Fern była drobną istotką. Razem wyglądaliby komicznie. I nie była seksowna. Chociaż *faktycznie* ładnie wyglądała na balu. Kiedy patrzył na nią, jak stoi w tej złotej sukience lub tańczy z jego głupimi kolegami, poczuł zdziwienie i złość. Chyba nigdy do końca nie wybaczył jej tego numeru, który wywinęła mu razem z Ritą.

Starał się nie myśleć o Fern i o tamtej nocy nad jeziorem. Z całych sił próbował przekonać sam siebie, że to było tylko chwilowe szaleństwo, ostatni akt desperacji przed wyjazdem z rodzinnego miasta. A ona do niego nie pisała, choć obiecała. Nie mógł jej za to obwiniać po tym wszystkim, co się wydarzyło. Ale fajnie byłoby dostać list. Ona pisała świetne listy.

Poczuł silną tęsknotę za domem. To miejsce zupełnie nie przypominało Kansas. Zaczął myśleć nad tym, w co się wpakował. W co wpakował ich wszystkich. A jeśli miałyby być całkowicie szczerzy ze sobą, to musiałby przyznać, że nie jest ani Herkulesem, ani Blaszanym Drwalem. Był Tchórzliwym Lwem. Uciekł z domu i zabrał ze sobą przyjaciół, którzy pełnili rolę jego ukochanej przytulanki i osobistej sekcji dopingowej. Co on, do cholery, robił w tym Oz?

Rozdział 11.

Dać nauczkę draniowi

Irak

— Marley napisała, że Rita wychodzi za mąż — ogłosił Jesse i spojrzał na Ambrose'a. — Twoja była bierze ślub. Co ty na to?

— Jest głupia.

— Ojej! — krzyknął Jesse, zaskoczony ostrym komentarzem kolegi.

Myślał, że Ambrose odkochał się na dobre. Chyba jednak był w błędzie.

— To niemożliwe, że ciągle coś do niej czujesz, Brose? — spytał zdziwiony Grant.

— Nie. Ale jest głupia, że wychodzi za Beckera Gartha.

Beans wzruszył ramionami.

— Nigdy nie miałem nic do Gartha.

— Pamiętasz, jak zostałem zawieszony w pierwszej klasie liceum?

Beans pokręcił przecząco głową, ale Paulie miał lepszą pamięć.

— Stłukłeś mu tę piękną buźkę! Pamiętam. Ale nigdy nie powiedziałeś czemu.

Ambrose poprawił okulary słoneczne i przeniósł ciężar ciała na drugą nogę. Razem z mniej więcej setką innych żołnierzy piechoty morskiej i marynarki pełnili wartę, strzegąc prominentnych uczestników spotkania rządu tymczasowego w Iraku. Fajnie było wyobrażać sobie, że być może w tej chwili różne partie dogadują się ze sobą, żeby stworzyć jakiś rząd, i robią postępy — choć Ambrose czasami zastanawiał się, czy faktycznie tak jest. Nieraz już pełnił funkcję ochroniarza, choć w przypadku Bailey Sheena uświadomił to sobie dopiero po fakcie.

— Faktycznie, przypomniałem sobie! — wrzasnął Grant. — Nie mogłeś wtedy walczyć w pojedynku z Loch Haven. Trener był wściekły.

— Na pewno nie byłby zły, gdyby się dowiedział, dlaczego musiałem pobić Beckera — powiedział cierpko Ambrose.

Uznał, że od tamtego wydarzenia dzieli go wystarczająco dużo czasu i przestrzeni, żeby opowiedzieć o nim, nie łamiąc obietnicy zachowania tajemnicy.

Styczeń 1999

Ambrose znał Beckera Gartha. Becker był uczniem najstarszej klasy i wszystkie dziewczyny go lubiły. Był przystojny i podobał się dziewczynom, co wzbudzało zazdrość u pozostałych chłopców. Ambrose zwrócił na niego uwagę, ponieważ Becker zaczął zapuszczać włosy tak samo jak on, a to mu się nie spodobało. Becker też miał ciemne włosy, które sięgały mu do podbródka, a gdy odrzucał je z twarzy, żeby odsłonić brązowe oczy, był tak podobny do Ambrose'a, że w tym drugim wywoływało to pewien dyskomfort.

Jednak na tym kończyło się podobieństwo między dwoma chłopcami. Becker był niski, dobrze umięśniony i szczupły, przez co wyglądał jak dżokej albo biegacz. Miał około 173 centymetrów wzrostu, więc był wystarczająco wysoki, żeby dziewczyny się wokół niego kręciły. Ambrose był dużo wyższy od niego, mimo że wtedy był dopiero w pierwszej klasie.

Może dlatego, że Becker był niższy niż pierwszoklasista Ambrose, a może dlatego, że czegoś mu zazdrościł, często naśmiewał się z Ambrose'a. Wygłaszał uszczypliwe uwagi i komentarze pod jego adresem, a koledzy Beckera chichotali i odwracali wzrok. Ambrose zazwyczaj to ignorował. Nie musiał niczego udowadniać, a te docinki za bardzo mu nie przeszkadzały. Wzrost i siła Ambrose'a sprawiały, że nie było łatwo go onieśmielić albo zastraszyć tak jak innych chłopców w jego wieku. Pocieszał się, wyobrażając sobie Beckera w sali gimnastycznej, jak próbuje walczyć w zapasach z nim albo z którymś z jego kolegów. Ale Ambrose nie był jedynym obiektem docinków Beckera.

To było na czwartej lekcji, tuż przed przerwą obiadową. Ambrose pod pretekstem konieczności skorzystania z łazienki spytał nauczyciela, czy może na chwilę wyjść z sali. W rzeczywistości chciał sprawdzić, ile waży. Wiedział, że o piętnastej będzie oficjalne ważenie przed pojedynkiem z Loch Haven. Miał walczyć w kategorii wagowej do 72 kilogramów, ale tego ranka ważył 73 kilogramy. Mógł szybko wypocić ten dodatkowy kilogram, ale samo zrzućenie wagi do 73 kilogramów kosztowało go wiele wysiłku. Sezon rozpoczął z wagą 78 kilogramów, a wzięwszy po uwagę jego sylwetkę i wysoki wzrost, nie miał za bardzo z

czego zrzucić. A do tego wciąż jeszcze rósł. Za miesiąc czekały go mistrzostwa rejonowe, a dwa tygodnie później stanowe. Miał przed sobą ciężkie sześć tygodni, podczas których przez większość czasu będzie chodził głodny. A w jego przypadku „głodny” oznaczało kłótniwy — bardzo kłótniwy. Gdy wszedł do szatni, powitała go ciemność. Przeklął, licząc na to, że nie stało się nic poważnego. Musiał jakoś znaleźć wagę. Szedł wzdłuż ściany, szukając włączników. Nagle usłyszał głos i aż podskoczył ze strachu.

— Becker? — powiedział ktoś nerwowo.

Ambrose znalazł włącznik i zapalił światło, a w szatni natychmiast zrobiło się jasno. Na widok tego, co zobaczył, ponownie zaklął. Na środku podłogi wyłożonej kafelkami leżał wywrócony na plecy wózek Bailey Sheena. Bailey leżał w środku, z nogami wiszącymi w powietrzu. Nie był w stanie sam podnieść wózka, więc jedyne, co mu pozostało, to wołać o pomoc w ciemnościach.

— Co, do cholery? — spytał Ambrose. — Sheen, nic ci nie jest?

Ambrose podbiegł do Bailey, postawił wózek z powrotem na koła i usadowił w nim kolegę. Bailey miał rumieńce na twarzy i cały się trząsł. Ambrose poczuł, że ma ochotę komuś przyłożyć. I to porządnie.

— Co się stało, Sheen?

— Nie mów o tym nikomu, dobrze? — błagał Bailey.

— Dlaczego?! — Ambrose był tak wściekły, że aż żyła pulsowała mu na czole.

— Po prostu nie mów... dobrze? To takie żenujące. — Bailey z trudem przełknął ślinę, a Ambrose zdał sobie sprawę, że chłopak wstydzi się tego, co się stało.

— Kto to zrobił? — dopytywał się Ambrose.

Bailey pokręcił głową i nic nie powiedział. Wtedy Ambrose przypomniał sobie, że gdy wszedł do ciemnej szatni i szukał włącznika światła, wystraszył go głos Bailey, wołającego pewne imię.

— Becker? — zapytał, a w jego głosie narastała wściekłość.

— Udawał, że chce mi pomóc, a potem mnie wywrócił. Ale nic mi nie jest! — szybko dodał Bailey, jakby jakikolwiek ból czy uraz uczyniły go jeszcze słabszym. — A potem wyłączył światła i wyszedł. Nic by mi się nie stało. W końcu ktoś by tu przyszedł. Ty przyszedłeś, nie? — Bailey

spróbował się uśmiechnąć, ale usta tylko lekko mu drgnęły. Spojrzał na swoje dłonie. — Cieszę się, że to byłeś ty, a nie cała klasa. To dopiero by było upokorzenie.

Ambrose nie mógł wydusić słowa. Pokręcił tylko głową. Zupełnie zapomniał o wadze.

— Potrzebuję pomocy, żeby tu wejść, bo nie potrafię sam otworzyć drzwi — zaczął wyjaśniać Bailey. — Becker mnie wpuścił, a ja myślałem, że mój tata tu jest. A wyjść już umiem sam, bo drzwi otwierają się na zewnątrz. Wystarczy, że popchnę je wózkami.

— Chyba że ktoś cię wywróci i zostawi cię z nogami wiszącymi w powietrzu — powiedział Ambrose, a w jego głosie słychać było wściekłość.

— No, chyba że — powiedział łagodnie Bailey. — Jak myślisz, czemu to zrobił?

Bailey spojrział na Ambrose'a, wyraźnie zagubiony.

— Nie wiem, Sheen. Bo jest dupkiem z małym fiutkiem — skwitował Ambrose. — Myśli, że jak będzie dokuczać tym, którzy nie są w stanie mu się odgryźć, to będzie miał większego fiutka. Ale im bardziej jest wredny, tym mniejszy jest jego fiutek.

Bailey zaniósł się śmiechem, a Ambrose się uśmiechnął, zadowolony, że dreszcze u Baileya ustały.

— Obiecujesz, że nikomu nie powiesz? — znów poprosił Bailey.

Ambrose przytaknął. Ale nie obiecał, że Becker nie zapłaci za to, co zrobił.

Kiedy Ambrose wszedł do stołówki, zobaczył Beckera siedzącego przy stoliku w rogu, otoczonego przez grupę innych uczniów najstarszej klasy oraz kilka ładnych dziewcząt, z którymi Ambrose nawet chętnie by porozmawiał w innych okolicznościach. Ambrose zacisnął zęby i podszedł do stolika. Nie powiedział swoim kolegom, co się stało. Razem z nim należeli do szkolnej drużyny zapaśniczej, a Ambrose wiedział, że za to, co zaraz robi, zostanie zawieszony. Nie chciał, żeby oni również wpakowali się w kłopoty, rujnując szanse drużyny na zwycięstwo w pojedynku z Loch Haven. Prawdopodobnie dzisiaj nie będzie walczyć na macie. Może to i dobrze, że ma kilogram nadwagi.

Ambrose walnął pięściami o stół najmocniej, jak potrafił,

wywracając szklanki i zrzucając pustą tacę na podłogę. Becker spojrział na niego zdziwiony i zaklął siarczyście, gdy zorientował się, że na spodniach ma plamę z rozlanego mleka.

— Wstań — zażądał Ambrose cicho.

— Spadaj, gorylu — powiedział szyderczo Becker, wycierając mleko ze spodni. — Chyba że chcesz dostać po mordzie.

Ambrose pochylił się w jego kierunku i uderzył go otwartą dłonią w czoło tak mocno, że chłopak walnął głową o ścianę.

— Wstań — powiedział Ambrose donośniejszym głosem.

Becker wyszedł zza stolika i gwałtownie rzucił się na Ambrose'a. Trafił go pięścią prosto w nos. Ambrose poczuł pieczenie w oczach, a z lewego nozdrza zaczęła mu lecieć krew. Oddał cios, trafiając Beckera w usta, a zaraz potem w prawe oko. Becker zawył, skulił się na ziemi i puścił soczystą wiązankę. Ambrose złapał go za kołnierz i tylną część paska spodni i z powrotem postawił go na nogi. Becker zakotłosał się. Naprawdę porządnie oberwał.

— To za Bailey Sheena — Ambrose wyszeptał do ucha Beckerowi, pamiętając o tym, co obiecał Baileyowi: że nikt się nie dowie, co zrobił Becker.

Potem puścił Beckera i odwrócił się na pięcie, wycierając nos w wymiętą białą koszulę.

Trener Sheen właśnie szedł w jego kierunku, czerwony z wściekłości. Najwyraźniej to on dzisiaj miał dyżur w stołówce. Gorzej już być nie mogło. Ambrose potulnie poszedł za trenerem, gotów zaakceptować każdą karę; zgodnie ze złożoną obietnicą ani razu nie wspomniał o Bailey Sheenie.

— Wychodzę za mąż, Fern. — Rita pomachała jej lewą dłonią przed nosem.

Na serdecznym palcu miała pierścionek z imponującym diamentem.

— Jest piękny — powiedziała szczerze Fern i spróbowała się uśmiechnąć.

Chciała zareagować tak, jak oczekiwała jej przyjaciółka, ale w

środku ją mdliło. Becker był bardzo przystojny i oboje razem pięknie wyglądali. A mały Ty, dziecko Rity i Beckera, będzie miał obojga rodziców. Ale Fern bała się Beckera i zastanawiała się, dlaczego Rita nie czuje tego samego. A może też się bała. Niektórym dziewczynom to się podoba.

— Chcemy wziąć ślub w przyszłym miesiącu. Wiem, że to szybko, ale jak myślisz, czy twój tata udzieli nam ślubu? Zawsze był dla mnie taki miły. I twoja mama też. Po ślubie wyprawimy skromne przyjęcie. Może wynajmiemy DJ-a i trochę potańczymy. Becker świetnie tańczy.

Fern przypomniała sobie, jak Rita i Becker tańczyli na balu maturalnym. Rita była wtedy w początkowej fazie zakochania, a Becker starał się nie wpaść w szal, gdy Bailey ukradł mu kilka tańców z Ritą.

— Pewnie. Tata robi to z przyjemnością. Pastorzy uwielbiają śluby. Może moglibyście wyprawić wesele w pawilonie przy kościele. Jest tam prąd, są stoły i krzesła. Możemy ozdobić go kwiatami i załatwić jakieś przekąski, a ty założysz piękną sukienkę. Pomogę ci.

I tak zrobiła. Przez miesiąc gorączkowo wszystko załatwiała. Znalazły dla Rity sukienkę, która była tak piękna, że Sarah Marsden, mama Rity, popłakała się ze wzruszenia i zaczęła tańczyć wokół córki. Wysłały zaproszenia, zatrudniły fotografa, zamówiły kwiaty, a także same zrobiły cukierki miętowe, pianki kremowe i domowe czekoladki. Lodówka w garażu Fern była cała wypełniona ich wyrobami.

Rankiem wielkiego dnia owinęły wszystkie kolumny w pawilonie białymi migoczącymi światełkami, a stoły, które były nakryte białymi koronkowymi obrusami, przeniosły na trawnik przed pawilonem, żeby betonowa podłoga w pawilonie mogła posłużyć za parkiet. Na środku każdego stołu ustawiły żółty wazon ze stokrotkami, a do każdego krzesła przywiązały żółte balony.

Kościół również przyozdobiły stokrotkami. Fern była druhną, a Rita pozwoliła jej wybrać sukienkę w dowolnym odcieniu żółci. Fern kupiła dla Bailey'a żółty krawat, żeby ich stroje do siebie pasowały. Bailey towarzyszył jej w drodze do ołtarza na swoim wózku. Fern trzymała bukiet pięknych kwiatów, a Bailey miał przypiętą stokrotkę do klapy czarnej marynarki.

Becker również był ubrany na czarno, a do klapy garnituru miał

przypiętą żółtą różę, taką samą jak te z bukietu Rity. Włosy miał zaczesane do tyłu, a jego uwydatnione kości policzkowe przypominały Fern Ambrose'a i jego włosy, które opadały mu na ramiona niczym u młodego Adonisa. Ale tych włosów już nie było i Ambrose'a też nie było.

Wciąż myślała o nim częściej, niż powinna. Był w Iraku już od roku. A od jego wyjazdu na podstawowe szkolenie dla rekrutów minęło już półtora roku. Marley Davis, dziewczyna Jessego, która przyszła na ślub Rity, powiedziała Fern, że chłopcom zostało jeszcze pół roku służby. Marley wyznała, że Jesse poprosił ją o rękę i chce, żeby wzięli ślub, gdy wróci do domu. Widać było, że bardzo się na to cieszy. Jesse Junior był w tym samym wieku co dziecko Rity, Tyler. Ale mały Ty był podobny do mamy, a mały Jesse przypominał ojca — miał ciemną karnację i ciemne kręcone włosy. Wyglądał jak mała kopia taty. Był uroczy, szczęśliwy i zdrowy i nie dawał chwili wytchnienia swojej młodej mamie.

Kiedy Rita stanęła przed ołtarzem i złożyła uroczystą przysięgę Beckerowi Garthowi, a on przysiągł jej to samo, Fern życzyła swojej przyjaciółce jak najlepiej. Oboje wyglądali tak pięknie i dostojnie. Może wszystko będzie dobrze. Może Becker kocha Ritę tak, jak zapewnia. I może ta miłość wystarczy. Może obietnice, które złożył, zainspirują go do bycia lepszym człowiekiem.

Mina Baileya sugerowała coś innego — on raczej nie miał większych nadziei. Siedział obok Fern w pierwszym rzędzie, na końcu długiej ławy, a wyraz jego twarzy wyrażał tyle samo emocji co ta drewniana ława. Przyjaźnił się z Ritą i martwił się o nią tak samo jak Fern. Bailey był przybity, od kiedy Rita ogłosiła wiadomość o ślubie. Fern wiedziała, że on coś czuje do Rity, ale myślała, że jakoś się z tego wyleczył, tak samo jak ona wyrosła z fascynacji Ambrose'em Youngiem. I może w tym tkwił cały problem... bo Fern tak naprawdę z niczego nie wyrosła. Ale Rita była teraz matką, a dziecko wiązało ją z Beckerem w permanentny i ostateczny sposób. Nadal jednak stare uczucia wychodziły czasami na wierzch, gdy już się wydawało, że odeszły na zawsze.

— Dopóki śmierć nas nie rozłączy — przyrzekła Rita i widać było,

że mówi to szczerze.

Kiedy Becker pocałował jej uśmiechnięte usta, przypieczętowując ich umowę, Bailey zamknął oczy, a Fern uścisnęła jego dłoń.

Rozdział 12.

Zbudować kryjówkę

Już trzy miesiące po ślubie Rita przestała być widywana w miasteczku. Kiedy czasami wychodziła gdzieś z mężem, unikała kontaktu wzrokowego z ludźmi, a czasami nosiła okulary słoneczne, nawet gdy padało. Fern dzwoniła do niej regularnie, a nawet kilka razy ją odwiedziła. Ale odniosła wrażenie, że jej wizyty stresują Ritę. Byłaby gotowa przysiąc, że kiedyś widziała, jak Rita wjechała do garażu tuż przed jej wizytą, a mimo to gdy Fern zapukała do drzwi, nikt jej nie otworzył.

Sytuacja nieco się poprawiła, gdy Becker dostał pracę, która wymagała kilkudniowych wyjazdów służbowych. Rita zadzwoniła nawet do Fern i zaprosiła ją na lunch w dniu swoich urodzin. Zjadły enchiladę w restauracji Luisa's Cocina, a Rita radośnie się uśmiechała i zapewniała Fern, że u niej wszystko w porządku. Powtarzała, że jest cudownie — wręcz doskonale. Ale Fern jej nie wierzyła.

Fern nie dzieliła się z Baileyem swoimi obawami dotyczącymi Rity. Nie chciała go martwić, zwłaszcza że nie mogła nic na to poradzić. Czasami widywała Beckera w sklepie i chociaż był uprzejmy i zawsze witał ją z uśmiechem, wciąż go nie lubiła. A on chyba to czuł. Zawsze był elegancki, idealnie uczesany, gładko ogolony i stylowo ubrany. Ale to była tylko zewnętrzna otoczka. Fern przypomniła sobie historyjkę o tłuszczu, którą kiedyś usłyszała podczas rozmowy ojca z Elliottem Youngiem. Nie miała wtedy więcej niż czternaście lat, ale dobrze zapamiętała tę lekcję.

Elliott Young wyglądał zupełnie inaczej niż jego syn. Był niski, miał najwyżej 173 centymetry wzrostu. Jego jasne włosy przerzedziły się tak bardzo, że w końcu zaczął golić całą głowę. Miał jasnoniebieskie oczy, nieco spłaszczony nos i zawsze był uśmiechnięty. Dzisiaj jednak się nie uśmiechał. Miał podkrążone oczy, jakby od dawna nie spał.

— Dzień dobry, panie Young — przywitała go Fern pytającym głosem.

— Cześć, Fern. Czy tata jest w domu? — Elliott nie wszedł do

środka, mimo że Fern otworzyła szeroko drzwi.

— Tato? — zawołała w kierunku gabinetu ojca. — Przyszedł do ciebie Elliott Young.

— Zaproś go do środka, Fern! — zawołał Joshua Taylor z głębi gabinetu.

— Proszę, niech pan wejdzie — powiedziała Fern.

Elliott Young włożył ręce do kieszeni i poszedł za Fern do gabinetu jej ojca. W Pensylwanii działa kilka kościołów różnych wyznań. Niektórzy mówią, że to właśnie w tym stanie stacjonuje Bóg. Żyje tutaj wielu katolików, wielu metodystów, wielu presbiterianów, wielu baptystów i wielu przedstawicieli jeszcze innych wyznań. Jednak w Hannah Lake Joshua Taylor prowadził swój mały kościół z taką troską i zaangażowaniem, że dla ludzi nie miało znaczenia, jakiego jest wyznania. Był po prostu ich pastorem. Nie odrzucał tych, którzy nie zasiadywali co niedziela w ławach jego kościoła. To nie było dla niego ważne. Modlił się z Biblii, przekazywał proste komunikaty, starał się, żeby jego kazania były uniwersalne, i przez czterdzieści lat dążył tylko do jednego celu: by kochać i służyć. Uważał, że reszta przyjdzie sama. Każdy mówił na niego „pastor Joshua”, bez względu na to, czy był jego pastorem, czy nie. Bardzo często, gdy ktoś miał coś ważnego do przemyślenia, wcześniej czy później pojawiał się u pastora Joshuy.

— Elliocie! — Joshua Taylor wstał zza biurka, gdy Fern wprowadziła gościa do gabinetu. — Jak się masz? Dawno cię nie widziałem. Co mogę dla ciebie zrobić?

Fern zamknęła za sobą oszklone drzwi do gabinetu i poszła do kuchni, marząc, żeby usłyszeć całą rozmowę. Elliott był tatą Ambrose'a. Po mieście krążyły plotki, że on i mama Ambrose'a się rozstają, a Lily Young niedługo stąd wyjedzie. Fern zastanawiała się, czy Ambrose wyjedzie razem z nią.

Fern wiedziała, że nie powinna tego robić, ale przeszła na paluszkach do spiżarni i usiadła na worku mąki. Tam słyszała wszystko tak dobrze, jak gdyby była w gabinecie ojca. Ktokolwiek budował ten dom, musiał przyoszczędzić na ścianie dzielącej tylną część spiżarni od małego pokoju, którego jej ojciec używał jako gabinetu, ponieważ gdy Fern usadowiła się w rogu, nie tylko doskonale słyszała, co się dzieje w

gabinecie, ale nawet mogła zobaczyć cały pokój przez małą szparę w miejscu, w którym stawiający dom nie zaszpachlowali ściany do końca. Jej mama była akurat na zakupach. Fern mogła więc bezpiecznie podsłuchiwać bez obawy, że zostanie przyłapana, a gdyby mama nagle wróciła, mogłaby szybko wyjąć worek ze śmieciami z kosza i udawać, że wykonuje codzienne domowe obowiązki.

— ... nigdy nie była szczęśliwa. Chyba jest zmęczona. Ale te ostatnie kilka lat... ona ciągle się chowa — mówił Elliot Young. — Tak bardzo ją kocham. Myślałem, że to wystarczy, żeby ona też mnie pokochała. Myślałem, że mam wystarczająco dużo miłości za nas obojga. Za całą naszą trójkę.

— Jest zdecydowana, żeby odejść? — zapytał ciepłym głosem tata Fern.

— Tak. Chce wziąć ze sobą Ambrose'a. Nic na to nie powiedziałem. Ale to jest najtrudniejsze. Kocham tego chłopca. Pastorze, jeśli ona mi go zabierze, to nie wiem, jak będę dalej żyć. Nie mam w sobie tyle siły. — Elliott Young głośno zapłakał, a Fern poczuła, że jej oczy też robią się mokre. — Wiem, że on nie jest mój, biologicznie. Ale jest moim synem, pastorze. On jest moim synem!

— Czy Ambrose o tym wie?

— Nie o wszystkim. Ale on już nie ma pięciu lat, tylko czternaście. Wie wystarczająco dużo.

— Czy Lily wie, że chcesz, żeby chłopak został z tobą, nawet jeśli ona odejdzie?

— Z prawnego punktu widzenia on jest moim synem. Przynajmniej tak powiedziałem. Dałem mu swoje nazwisko. Mam takie same prawa jak każdy inny ojciec. Myślę, że ona nie walczyłaby ze mną, gdyby Ambrose chciał zostać, ale nie rozmawiałem z nim jeszcze na ten temat. Chyba wciąż miałem nadzieję, że Lily zmieni zdanie.

— Porozmawiaj z synem. Powiedz mu o wszystkim. Przedstaw mu suche fakty, bez zrzucania winy na kogokolwiek. Powiedz, że jego mama chce wyjechać. Powiedz, że go kochasz, że jest twoim synem i nic tego nie zmieni. Ani na chwilę nie pozwól mu pomyśleć, że nie ma wyboru dlatego, że w jego żyłach płynie inna krew niż twoja. Niech wie, że może pojechać z matką, jeśli tego chce, ale może też zostać z tobą, bo bardzo

go kochasz i chcesz dalej go wychowywać.

Elliott milczał przez kilka długich minut. Joshua Taylor też. Fern zastanawiała się, czy to już koniec rozmowy. Wtedy Joshua Taylor zapytał łagodnym głosem:

— Czy to wszystko, co cię trapi, Elliocie? Chcesz jeszcze o czymś ze mną porozmawiać?

— Nie mogę przestać myśleć, że gdybym wyglądał inaczej, bardziej jak on, toby do tego nie doszło. Wiem, że nie jestem typem przystojniaka. Wiem, że jestem niski i mało atrakcyjny. Ale regularnie ćwiczę i staram się dobrze wyglądać. Ubieram się elegancko i używam wody kolońskiej... — mówił Elliot Young z pewnym zażenowaniem, a jego głos wyraźnie osłabł.

— Wyglądał bardziej jak kto? — zapytał Joshua Taylor ciepłym głosem.

— Jak ojciec Ambrose'a. Facet, o którym Lily chyba wciąż nie może zapomnieć. On nie był dla niej dobry, pastorze. Był samolubny i wredny. Odtrącił ją, gdy dowiedziała się, że jest w ciąży. Powiedział, że nie chce mieć z nią nic wspólnego. Ale był przystojny. Widziałem zdjęcia. Wygląda dokładnie tak jak Brosey — powiedział Elliott, a głos mu się załamał na dźwięk imienia syna.

— Czasami sobie myślę, że piękno może odstraszać miłość — zamyślił się tata Fern.

— Dlaczego?

— Bo czasami zakochujemy się w twarzy, a nie w tym, co się pod nią kryje. Moja mama miała zwyczaj odlewania tłuszczu z mięsa, gdy gotowała rosół. Trzymała go w puszcze w szafce kuchennej. Kiedyś użyła do tego puszki, w której wcześniej były pyszne ciasteczka z kremem orzechowym i pralinki. Takie z wyższej półki. Nieraz sięgałem do tej puszki, myśląc, że znajdę w niej smakołyki, a po podniesieniu pokrywki natrafiłem na grudkę tłuszczu.

Elliott zaśmiał się, uświadomiwszy sobie, do czego zmierza pastor.

— W tym momencie pudełko przestawało być takie kuszące, prawda?

— Dokładnie. Przez nie nabierałem ochoty na ciastka, ale ono było tylko wielką, fałszywą reklamą. Myślę, że czasami piękna twarz też jest

taką fałszywą reklamą. Zbyt wielu z nas nie zadaje sobie trudu, żeby otworzyć pokrywkę i zobaczyć, co się pod nią kryje. To mi przypomina kazanie, które wygłosiłem kilka tygodni temu. Słyszałeś je?

— Przepraszam, pastorze. W nocy pracuję w piekarni. Czasami w niedzielę rano jestem zbyt zmęczony — powiedział Elliott, a jego zawstydzenie tym, że nie uczęszcza regularnie na msze, było zauważalne nawet ze spiżarni obok.

— W porządku, Elliocie — zaśmiał się Joshua. — Nie sprawdzam obecności. Chciałem tylko wiedzieć, czy byłeś na tym kazaniu, żeby nie zmuszać cię do słuchania tego samego po raz drugi.

Fern usłyszała, jak jej tata przewraca kartki. Uśmiechnęła się lekko. Tata potrafi znaleźć w Piśmie Świętym rozwiązanie dla każdego problemu.

— W Księdze Izajasza, rozdział 53., jest napisane: „On wyrósł przed nami jak młode drzewo i jakby korzeń z wyschniętej ziemi. Nie miał On wdzięku ani też blasku, aby na Niego popatrzeć, ani wyglądu, by się nam podobał”.

— Pamiętam ten tekst — powiedział Elliott. — Zawsze dziwiło mnie to, że Jezus nie był przystojny. Dlaczego Bóg nie stworzył go tak, aby jego wygląd odzwierciedlał wnętrze?

— Z tego samego powodu, dla którego Jezus urodził się w żłobie jako syn ubogich, uciśnionych rodziców. Gdyby był przystojny albo bogaty, ludzie poszliby za Nim z tego jedyne powodu. Ciągnęliby do niego z niewłaściwych pobudek.

— To brzmi sensownie — powiedział Elliott.

Fern, która wciąż siedziała na worku mąki w rogu spiżarni, zauważyła, że kiwa głową z przekonaniem. Też uważała, że to ma sporo sensu. Zastanawiała się, jak to możliwe, że nie pamięta tego kazania. Pewnie zamiast słuchać taty planowała następny rozdział swojego romansu. Poczula ukłucie wstydu. Jej tata jest taki mądry. Może powinna częściej go słuchać.

— Z twoją twarzą jest wszystko w porządku — powiedział Joshua łagodnie. — I z tobą też wszystko jest w porządku. Jesteś dobrym człowiekiem o wielkim sercu. A Bóg patrzy w serce, nieprawdaż?

— Tak. — Elliott Young znów był bliski łez. — To prawda.

Dziękuję, pastorze.

Kiedy Elliott Young wyszedł, Fern przez chwilę snuła rozważania w spiżarni, a potem poszła na górę i zaczęła pisać romans o niewidomej dziewczynie szukającej miłości i brzydkim księciu o złotym sercu.

Irak

— Bardzo chciałbym zobaczyć kobietę bez tego namiotu na głowie. Tylko raz! Najlepiej, żeby miała jasne włosy, albo jeszcze lepiej rude! — zajęczał Beans któregoś popołudnia po tym, jak przez kilka godzin pełnił służbę w pustym punkcie kontrolnym, przez który przeszło tylko kilkoro dzieci i kilka kobiet ubranych w burki.

Beans miał latynoskie korzenie, więc jego marzenia o blondynce były trochę dziwne. Ale był też Amerykaninem, a Ameryka ma najbardziej zróżnicowane społeczeństwo na świecie. Tutaj, w Iraku, zróżnicowanie byłoby bardzo mile widziane.

— Będę szczęśliwy, jeśli już nigdy nie zobaczę burki. — Grant wytarł pot i kurz z nosa i wzdrygnął się, marząc o tym, żeby słońce choć na chwilę zrobiło sobie przerwę.

— Słyszałem, że w krajach takich jak Afganistan mężczyźni nie widzą swoich żon aż do dnia ślubu. Wyobrażacie to sobie? Niespodzianka, kochanie! — Jesse zatrzepotał rzęsami, jednocześnie wykrzywiając twarz. — Co się stało? Uważasz, że nie jestem ładna? — powiedział wysokim falsetem i zrobił jeszcze bardziej wykrzywioną minę.

— To skąd oni wiedzą, z kim w ogóle biorą ślub? — zapytał Paulie, kompletnie skołowany.

— Poznają po piśmie — powiedział poważnie Beans, ale jego nozdrza nieco się rozszerzyły, a Ambrose, który nie dał się nabrać na ten żart, przewrócił oczami.

— Naprawdę? — wydukał Paulie, upadając na ziemię jak kamień.

To nie jego wina, że był tak łatwowierny. Ta cecha wynikała z jego przyjaznego usposobienia.

— Tak. Piszą do siebie listy przez rok albo dłużej. A potem podczas ceremonii ślubnej ona podpisuje się pod przysięgą, że zawsze

będzie nosić burkę przy innych mężczyznach. On rozpoznaje, czy to jest jej pismo, i dzięki temu wie, że to ona kryje się pod welonem.

Grant zmarszczył brwi.

— Nigdy o czymś takim nie słyszałem. Listy?

Jesse zrozumiał, że Beans ich nabiera, i z trudem powstrzymał śmiech.

— No, wyobraźcie sobie, że gdyby Ambrose i Fern mieszkali w Iraku, to on nigdy nie dowiedziałby się, że te listy pisze Fern, a nie Rita. Fern mogłaby go zrobić w małżeństwo. Ambrose zobaczyłby jej pismo podczas składania przysięgi i powiedziałby: „Tak, to Rita, wszystko się zgadza!”.

Koledzy Ambrose’a zanieśli się śmiechem. Nawet Paulie w końcu zrozumiał, że to tylko żart, którego celem było nawiązanie do historii Ambrose’a i Fern. Znowu.

Ambrose westchnął, ale usta mu drgnęły. To było naprawdę zabawne. Beans śmiał się tak mocno, że aż zaczął sapać. Razem z Jessem zaczęli odgrywać scenkę, w której Ambrose zdejmuje burkę i widzi Fern zamiast Rity, pięknej blondynki z obfitym biustem.

Ambrose zastanawiał się, co by pomyśleli jego koledzy, gdyby się dowiedzieli, że pocałował Fern. Tak naprawdę ją pocałował. Dokładnie wiedząc, kogo ma przed sobą. Bez żadnych sztuczek. Bez burki. Zaczął snuć luźne rozważania, czy burka rzeczywiście jest takim złym pomysłem. Może więcej facetów podejmowałoby lepsze decyzje, gdyby wygląd zewnętrzny tak bardzo ich nie rozpraszał. A skoro już o tym mowa, to może mężczyźni też powinni nosić burki. Chociaż w jego przypadku wygląd zawsze działał na jego korzyść.

Zaczął się zastanawiać, czy Fern kiedykolwiek zainteresowałaby się nim, gdyby wyglądał inaczej. Wiedział, że Rita na pewno nie. Nie dlatego, że nie była miłą dziewczyną, ale dlatego, że nie mieli ze sobą nic wspólnego. Jeśli odłożyć na bok wzajemny pociąg fizyczny, nie łączyło ich nic.

W przypadku Fern ta możliwość była dużo bardziej realna. A przynajmniej tak sądził, opierając się na tym, co pisała w liścikach do niego. Za dwa miesiące skończy się ich misja. Postanowił, że gdy wróci do domu, dowie się tego. A wtedy koledzy nigdy nie dadzą mu spokoju.

Będą go dręczyć do końca życia. Westchnął i sprawdził broń po raz enty, marząc, by ten dzień wreszcie się skończył.

Rozdział 13.

Życ

To był rutynowy patrol: pięć wojskowych pojazdów robiło rundkę po południowej części miasta. Ambrose prowadził ostatniego humvee, a Paulie siedział obok niego na miejscu pasażera. Grant prowadził samochód jadący przed nimi; obok niego siedział Jessie, a Beans zajmował miejsce przy wieżycze. Były to dwa ostatnie pojazdy tego małego konwoju.

Wykonywali rutynowy patrol. Jechali w konwoju już godzinę i kierowali się z powrotem do bazy. Samochody podskakiwały na wyboistych i zniszczonych drogach Bagdadu, przemierzając wyznaczoną trasę. Paulie śpiewał piosenkę o Oz, którą sam wymyślił: „W Iraku wszędzie piasek, to prawdziwa droga przez mękę. Nie ma tutaj dziewczyn, ale na szczęście mam rękę...”.

Nagle na drogę wybiegła grupa dzieciaków, które krzyczały i wykonywały gest przecinania gardła palcem. Mali chłopcy i dziewczynki w różnym wieku, bez butów, ciemnoskórzy i wychudzeni, w ubraniach wyblakłych od piekącego słońca. Dzieci biegły i krzyczały. Było ich co najmniej sześćoro.

— Co one robią? — zapytał zdezorientowany Ambrose. — Czy to jest to, co myślę? Czy tak bardzo nas nienawidzą? Chcą, żeby nam podcięto gardła? Przecież to tylko dzieci!

— Wydaje mi się, że nie o to chodzi — odparł Paulie i odwrócił się za dziećmi, które zniknęły w kurzu za samochodami, gdy konwój je minął. — Myślę, że nas ostrzegają. — Już nie śpiewał, a jego twarz znieruchomiała.

Ambrose spojrział w lusterko wsteczne. Dzieci przestały biegać i stanęły na drodze, przypatrując im się uważnie. A potem spojrział przed siebie. Oprócz konwoju na drodze nie było nikogo; była całkowicie opustoszała. Ani żywej duszy. Za następnym rogiem mieli skręcić, okrążyć kilka budynków i skierować się do bazy.

— Brosey... czujesz to?

Paul miał skupioną twarz, jakby słyszał coś w oddali — coś, czego Ambrose nie słyszał, a już na pewno nie czuł. Ambrose przypomniał

sobie reakcję Pauliego, gdy w piątkę odwiedzili miejsce katastrofy lotu 93. Paulie zadał wtedy dokładnie to samo pytanie. Wtedy przy tablicy pamiątkowej było zbyt cicho, tak jakby świat na minutę pochylił głowę i już nigdy jej nie podniósł. Teraz też było za cicho. Ambrose poczuł, jak włosy jeżą mu się na karku.

A potem rozpętało się piekło i przetoczyło się przez wyboistą drogę, buchając ogniem i ciskając latającymi kawałkami metalu pod koła humvee jadącego przed Ambrose'em i Pauliem — pojazdu, w którym jechali Grant, Jesse i Beans, trzech chłopców, trzech przyjaciół, trzech żołnierzy z Hannah Lake w Pensylwanii. I to była ostatnia rzecz, jaką zapamiętał Ambrose, ostatni fragment jego życia „przed”.

Kiedy wczesnym rankiem w poniedziałek zadzwonił telefon, rodzina Taylorów spojrzała na siebie zaspanym wzrokiem. Fern pracowała nad swoją powieścią do późna w nocy, dlatego marzyła o tym, aby zaraz po śniadaniu wgramolić się z powrotem do łóżka. Joshua i Rachel mieli tego dnia wyjechać na dwudniowe sympozjum do Loch Haven College, więc wstali wcześniej, żeby przygotować się do podróży. Fern bardzo się cieszyła na myśl o tym, że przez kilka dni będzie miała dom tylko dla siebie.

— Jest dopiero szósta trzydzieści! Ciekawe, kto to? — powiedziała zdziwiona Rachel.

W domu pastora telefony o dziwnych godzinach nie były niczym niespotykanym, ale zdarzały się one zazwyczaj między północą a trzecią w nocy. O szóstej trzydzieści ludzie są zazwyczaj zbyt zmęczeni, żeby pakować się w jakieś kłopoty albo zawracać głowę pastorowi.

Fern podbiegła do telefonu i chwyciła słuchawkę. Radośnie zawołała „Halo!”, ciekawa, kto może dzwonić o tej porze.

Ktoś oficjalnym głosem poprosił o pastora Taylora, więc Fern wręczyła tacie słuchawkę, wzruszając ramionami.

— Chcą rozmawiać z pastorem Taylorem — powiedziała.

— Joshua Taylor przy telefonie. W czym mogę pomóc? — zapytał energicznym głosem tata Fern, który wstał i podszedł do telefonu, żeby nie naciągać kabla słuchawki przez cały stół.

Jak dotąd pastor nie zainwestował jeszcze w tak wyszukane urządzenie jak telefon bezprzewodowy.

Po dziesięciu sekundach usiadł znowu.

— Ojej. O, Boże — jęknął i zamknął oczy jak dziecko, które myśli, że w ten sposób schowa się przed rodzicami.

Rachel i Fern spojrzały na siebie zaniepokojone. Zapomniały o śniadaniu.

— Wszyscy? Jak?

Znowu cisza.

— Rozumiem. Tak. Tak. Będę gotowy.

Joshua Taylor wstał jeszcze raz i podszedł do ściany, odwieszając słuchawkę przestarzałego telefonu w ostatecznym geście, który sprawił, że Fern ścisnęło się serce. A kiedy obrócił się w stronę stołu, jego twarz była bladozielona, a oczy wyrażały pustkę.

— To był mężczyzna o nazwisku Peter Gray. Jest kapłanem wojskowym i pomaga żołnierzom w trudnych sytuacjach. Connor O'Toole, Paul Kimball, Grant Nielsen i Jesse Jordan wczoraj zginęli w Iraku zabici przez przydrożną bombę.

— O, nie! Joshuo! — zawołała piskliwym głosem Rachel i zakryła usta, jakby chciała wepchnąć te słowa z powrotem do gardła, ale one wciąż wibrowały w kuchni.

— Nie żyją? — zawołała Fern, nie dowierzając.

— Tak, Fern. Zginęli. — Joshua spojrział na swoją jedyną córkę i wyciągnął do niej drżącą dłoń, chcąc ją pocieszyć. Chciał upaść na kolana i pomodlić się za rodziców, którzy utracili swoich synów. Rodziców, których będzie musiał powiadomić o śmierci ich dzieci w ciągu najbliższej godziny.

— Skontaktowali się ze mną, bo jestem miejscowym pastorem. Chcą, żebym towarzyszył funkcjonariuszom, którzy będą przekazywali rodzicom tę straszliwą wiadomość. Za pół godziny podjadą tu po mnie. Muszę się przebrać — powiedział, mierząc wzrokiem swoje dzinsy i ulubioną koszulkę z napisem „Co zrobiłby Jezus?”.

— Ale oni mieli wrócić w przyszłym miesiącu! Wczoraj widziałam Jamie Kimball w sklepie. Odliczała już dni! — powiedziała Fern, jak gdyby to musiało oznaczać, że wiadomość jest nieprawdziwa. — I

Marley! Marley planuje swoje wesele. Miała wziąć ślub z Jessem!

— Oni zginęli, Fernie.

Fern poczuła, że po policzkach płyną jej łzy. Początkowy szok zamienił się w bolesną rozpacz. Oczy pastora Taylora były przepełnione żalem, Rachel cicho łkała, a Fern siedziała zupełnie cicho, niezdolna do odczuwania czegokolwiek poza czystym niedowierzaniem. Nagle spojrzała w górę, przerażona pytaniem, które zakiełkowało w jej głowie.

— Tato? A co z Ambrose'em Youngiem?

— Nie pytałem, Fern. Nie myślałem. Nie wspomnieli o nim.

Pewnie nic mu się nie stało.

Fern poczuła ulgę, a jednocześnie wstyd, że jego życie było dla niej ważniejsze niż życie pozostałych chłopców. Ale przynajmniej Ambrose żył. Przynajmniej jemu nic się nie stało.

Pół godziny później czarny ford taurus podjechał pod dom Taylorów. Trzech funkcjonariuszy w pełnym umundurowaniu wysiadło ze złowieszczo wyglądającego pojazdu i stanęło na chodniku. Joshua Taylor był ubrany w garnitur i krawat — zdążył wziąć prysznic i nałożyć najbardziej elegancki strój, jaki miał. Otworzył drzwi mężczyznom. Rachel i Fern czekały w kuchni, słuchając surrealistycznej rozmowy toczącej się w pokoju obok.

Jeden z mężczyzn (Fern uznała, że to jest prawdopodobnie kapelan, który zadzwonił do jej taty) przedstawił pokrótce procedurę, podał informacje, które pastor już znał, zapytał, kogo powinien powiadomić najpierw, kto będzie musiał sprowadzić na pogrzeb rodzinę z daleka i kto będzie potrzebował największego wsparcia. Piętnaście minut później czterech mężczyzn — w tym pastor Taylor — odjechało.

Jamie Kimball została powiadomiona jako pierwsza, że jej syn Paul nie żyje. Potem pojechano do rodzinnego domu Granta Nielsona, gdzie przekazano wiadomość, że ich dwudziestoletni syn, starszy brat, wzorowy uczeń i wspaniały pomocnik wróci do kraju w trumnie. Później powiadomiono rodziców Jessego Jordana. Poproszono ich, aby pojechali razem z oficerami do domu swego małego wnuka i poinformowali Marley Davis, że jej planowany ślub się nie odbędzie.

Luisa O'Toole wybiegła z domu z krzykiem, gdy funkcjonariusz mówiący płynnie po hiszpańsku złożył jej szczerze wyrazy współczucia. Seamus O'Toole zapłakał i objął pastora Taylora.

Wieści rozniosły się w błyskawicznym tempie. Mieszkańcy miasta, którzy wybrali się na poranny jogging albo wyszli z psem na spacer, zobaczyli czarny samochód, w którym siedzieli umundurowani mężczyźni, i zaczęli spekulować, dlaczego tu przyjechali, zanim wszyscy poznali przerażającą prawdę. Elliott Young był w piekarni, gdy doszły do niego pierwsze plotki, że Paul Kimball i Grant Nielson zginęli, a czarny samochód wciąż stoi przed domem O'Toolów. Przez pół godziny ukrywał się w chłodni, modląc się o życie swojego syna i o to, żeby umundurowani mężczyźni go nie znaleźli... bo jeśli go nie znajdą, to nie będą mogli mu powiedzieć, że jego syn też nie żyje.

Ale w końcu go znaleźli. Pan Morgan, właściciel sklepu spożywczego, otworzył chłodnię, żeby zapowiedzieć wizytę funkcjonariuszy. Kiedy Elliott Young usłyszał wiadomość, zatrzęsął się z zimna i przerażenia. A gdy funkcjonariusz powiedział mu, że jego syn żyje, padł zemdlny w ramiona Joshuy Taylora. Ambrose żył, ale był poważnie ranny. Przetransportowano go do bazy lotniczej Ramstein w Niemczech, gdzie pozostanie tak długo, aż jego stan zdrowia poprawi się na tyle, żeby można go było przetransportować samolotem do Stanów Zjednoczonych. Jeżeli dożyje.

Główną misją pastora i jego rodziny jest okazywanie miłości i służenie społeczności. Taką filozofię wyznawał pastor Joshua. I zgodnie z nią postępował, a Rachel i Fern go w tym wspomagały. Całe miasto znalazło się w stanie szoku i żałoby po utracie czterech chłopców. Był to stan najwyższego zagrożenia, a na horyzoncie nie było widać niczego, co mogłoby przynieść jakkolwiek ulgę. Państwo nie da żadnych pieniędzy na odbudowanie tego, co zostało zniszczone. Śmierć jest permanentna i nie da się jej cofnąć. Dlatego było naprawdę dużo do zrobienia.

Ciała czterech chłopców zostały przywiezione do kraju, do ich rodzin. Przez cztery dni z rzędu odbywały się nabożeństwa żałobne — były to cztery dni niewyobrażalnego smutku i rozpacz. Mieszkańcy

sąsiednich hrabstw zorganizowali zbiórkę pieniędzy. Zdołali zebrać kilka tysięcy dolarów na tablicę pamiątkową. Zdecydowano, że młodzi żołnierze nie zostaną pochowani na miejskim cmentarzu, lecz na małym wzgórzu niedaleko liceum. Luisa O'Toole początkowo protestowała — chciała, żeby jej syn został pochowany w małym miasteczku w Meksyku, tam, gdzie znajdują się groby jej rodziców. Ale w końcu Seamus O'Toole postawił się swojej porywczej małżonce i zdecydował, że jego syn zostanie pochowany w kraju, za który zginął, w mieście, które opłakiwało jego śmierć, z przyjaciółmi, którzy stracili życie razem z nim.

Ambrose Young został przetransportowany samolotem do Centrum Medycznego Walter Reed, a Elliott Young zamknął piekarnię, żeby móc przy nim czuwać. Niedługo po jego wyjeździe mieszkańcy sami otworzyli jego piekarnię i zdecydowali, że będą ją prowadzić pod jego nieobecność. Wszyscy wiedzieli, że Elliotta nie stać na utratę firmy będącej jedynym źródłem jego dochodów.

Na transparentach znów pojawiło się imię Ambrose'a, z tym że teraz głosiły: „Modlimy się za Ambrose'a”. I rzeczywiście tak było, a modlitwy były potrzebne, bo Ambrose przeszedł liczne operacje twarzy uszkodzonej na skutek wybuchu. Krążyły plotki, że jego twarz została poważnie zdeformowana. Niektórzy mówili, że oślepl. Inni twierdzili, że nie może już mówić. Już nigdy nie będzie walczyć na macie. Co za strata. Co za tragedia.

Po jakimś czasie prośba o modlitwy zniknęła, flagi zostały usunięte z okien, a życie w Hannah Lake wróciło na normalny tor. Mieszkańcy miasta byli przybici. Mieli złamane serca. Luisa O'Toole zbojkotowała piekarnię, ponieważ uznała, że Ambrose jest winien śmierci jej syna. To jego wina, że wszyscy zginęli. Spluwała na ziemię za każdym razem, gdy ktoś wypowiedział jego imię. Ludzie chrząkali i próbowali ją uciszyć, ale niektórzy po cichu się z nią zgadzali. Zastanawiali się, dlaczego wyjechał. Dlaczego oni wszyscy wyjechali? Nie mogli zostać w domu?

Elliott Young musiał wrócić do pracy, gdy wydał już wszystkie pieniądze z drugiego kredytu hipotecznego i sprzedał wszystko, co posiadał wartościowego. Ale wciąż miał syna, w przeciwieństwie do

pozostałych, więc nie narzekał na problemy finansowe. Matka Ambrose'a i Elliott czuwali przy chłopcu na zmianę przez sześć miesięcy. Potem Ambrose wrócił do Hannah Lake.

Przez kilka tygodni ludzie nie mówili o niczym innym. Ich ciekawość była rozpalona do białości. Niektórzy proponowali urządzenie parady albo jakiejś innej ceremonii, żeby uczcić powrót Ambrose'a do domu. Ale Elliot nie chciał się na to zgodzić. Ambrose nie miał nastroju do celebrowania. Ludzie to zaakceptowali, choć z pewnym oporem. Trochę odczekali, zanim ponowili swoją propozycję. Minęło kilka miesięcy. Nikt nie widział Ambrose'a. Pojawiły się pierwsze plotki na temat obrażeń, jakich doznał Ambrose. Niektórzy zaczęli zastanawiać się na głos, jakie życie go czeka, skoro jego twarz została zdeformowana. Sugerowali, że może lepiej by było dla niego, gdyby zginął razem z całą resztą. Trener Sheen i Bailey wiele razy próbowali się z nim zobaczyć, ale zawsze odchodzili od jego drzwi z kwitkiem.

Fern martwiła się o chłopca, który zawsze był obiektem jej marzeń. Zastanawiała się, jak może się czuć piękna osoba, której nagle cała uroda zostaje odebrana. Musi jej być dużo trudniej niż komuś, kto nigdy w życiu nie czuł się piękny. Angie często przypominała, że choroba Bailey'a pod jednym względem jest litościwa: rozwija się powoli już w pierwszych latach dzieciństwa, odbierając dziecku niezależność, zanim zdąży tak naprawdę ją zdobyć. To coś zupełnie innego niż zostać sparaliżowanym na skutek wypadku samochodowego, gdy już się jest dorosłym, i zostać nagle przykutym do wózka, mając pełną świadomość, co się straciło i czym jest prawdziwa niezależność.

Ambrose wiedział, jak to jest być zdrowym i doskonałym — być Herkulesem. Jak straszny musi być upadek z takiej wysokości. Życie dało Ambrose'owi nową twarz, a Fern zastanawiała się, czy on kiedykolwiek będzie w stanie to zaakceptować.

Rozdział 14.

Rozwiązać zagadkę

Fern zawsze wracała z pracy do domu rowerem, dlatego znała całą trasę na pamięć. Robiła to już setki razy i zwykle docierała do domu około północy. Nie zwracała uwagi na znajome domy po drodze, ponieważ myślami była daleko. Była kierowniczką nocnej zmiany w sklepie spożywczym Jolley's. Zaczęła tam pracować, jeszcze gdy była w przedostatniej klasie liceum. Zajmowała się wtedy pakowaniem zakupów i myciem podłóg. Po jakimś czasie udało jej się awansować na kasjerkę i wreszcie w zeszłym roku pan Morgan dał jej stanowisko kierowniczkę, niewielką podwyżkę oraz klucze do sklepu, żeby mogła sama go zamykać przez pięć nocy w tygodniu.

Prawdopodobnie jechała za szybko. Teraz pewnie by to przyznała, ale wtedy nie spodziewała się, że zza rogu wybiegnie ogromny niedźwiedź grizzly na tylnych łapach i to dokładnie wtedy, gdy ona będzie skręcać w swoją ulicę. Krzyknęła i zrobiła nagły zwrot kierownicą, żeby uniknąć zderzenia. Jej rower przeleciał nad krawężnikiem i upadł na trawnik, a zaraz potem uderzył w hydrant przeciwpożarowy. Siła uderzenia przerzuciła Fern przez kierownicę prosto na zadbane trawnik Wallace'ów. Leżała tam przez minutę, z trudem łapiąc powietrze, które zostało siłą wypchnięte z jej płuc. A potem przypomniała sobie o niedźwiedziu. Z trudem stanęła na nogi cała rozdygotana i odwróciła się, żeby podnieść rower.

— Nic ci się nie stało? — zacharczał niedźwiedź tuż za nią.

Fern znowu krzyknęła i skoczyła na równe nogi. Okazało się, że jakieś trzy metry od niej stoi Ambrose Young. Jej serce upadło na ziemię niczym dwutonowa kotwica i przygwoździło ją do ziemi. W rękach trzymała kierownicę roweru, która nieco się wykrzywiła po zderzeniu z hydrantem. Ambrose miał na sobie grubą czarną bluzę z kapturem, który przykrywał mu całe czoło. Kiedy odezwał się do Fern, był zwrócony do niej bokiem, ale w świetle lamp ulicznych można było dostrzec ogólne zarysy jego twarzy. To na pewno był Ambrose Young. Nie wyglądał na kalekę. Wciąż był bardzo wysoki, a jego szerokie barki i długie ręce wciąż były pięknie umięśnione, przynajmniej sądząc z tego, co widziała

Fern. Na nogach miał czarne dresowe spodnie i czarne buty do biegania. Wyglądało na to, że właśnie biegał, gdy Fern przez pomyłkę wzięła go za niedźwiedzia spacerującego po ulicy.

— Chyba nie — odpowiedziała z trudem, nie wierząc własnym oczom. Przed nią stał Ambrose, cały, silny i żywy. — A ty? Przed chwilą prawie cię przejechałam. Nie uważałam. Przepraszam.

Spojrzał na nią, ale zaraz szybko znów odwrócił wzrok. Twarz miał skierowaną na bok, jakby nie mógł się doczekać, aż wreszcie sobie pójdzie.

— Chodziliśmy razem do szkoły, nie? — zapytał cicho.

Oparł ciężar ciała na drugiej stopie, tak samo jak to robią sportowcy, gdy przygotowują się do zawodów. Wyglądał na zdenerwowanego, wręcz stremowanego.

Fern poczuła ukłucie w sercu. To był ten znajomy ból, który człowiek czuje, gdy ktoś, w kim był długo zakochany, mówi mu, że wygląda znajomo, ale nic poza tym.

— Ambrose, to ja. Fern? — powiedziała z wahaniem w głosie. — Kuzynka Bailey, siostrzenica trenera Sheena... przyjaciółka Rity?

Ambrose Young znów na nią spojrzał i tym razem zatrzymał wzrok nieco dłużej. Wciąż stał bokiem do niej, a twarz miał ukrytą w ciemności. Fern zaczęła się zastanawiać, czy nie doznał kontuzji karku i dlatego nie może odwracać głowy.

— Fern? — powtórzył niepewnie.

— No, tak.

Teraz to Fern spojrzała w bok. Zastanawiała się, czy Ambrose pamięta jej miłosne liściki i pocałunek nad jeziorem.

— Wyglądasz inaczej — powiedział tępo Ambrose.

— Hm, dziękuję. To dla mnie prawdziwa ulga — powiedziała szczerze Fern.

Ambrose wyglądał na zdziwionego, a koniuszki jego ust uniosły się w delikatnym uśmiechu. Fern uśmiechnęła się razem z nim.

— Rama jest trochę pogięta. Sprawdź, czy dasz radę dojechać do domu.

Ambrose popchnął rower w jej kierunku, a Fern złapała kierownicę. Przez sekundę światło lampy ulicznej całkowicie oświetliło

jego twarz. Fern poczuła, że oczy jej się rozszerzają, a gardło się zatyka. Ambrose musiał usłyszeć jej głośne westchnienie, bo zanim puścił rower, spojrzał jej szybko w oczy. A potem się odwrócił i pobiegł po gładkiej drodze. Czarny kolor jego ubrań zlał się z ciemnością nocy i po chwili już w ogóle nie było go widać. Fern patrzyła na niego, niezdolna, by ruszyć się z miejsca. Nie tylko ona wyglądała inaczej.

Sierpień 2004

— *Tato, dlaczego nikt nie pozwala mi spojrzeć w lustro?*

— *Bo teraz to wszystko wygląda gorzej niż w rzeczywistości.*

— *Widziałeś, jak wyglądam... pod spodem?*

— *Tak — wyszeptał Elliott.*

— *A mama?*

— *Nie.*

— *Wciąż nie lubi na mnie patrzeć, nawet gdy jestem cały zabandażowany.*

— *To sprawia jej ból.*

— *Nie. To ją przeraża.*

Elliott spojrzał na syna, na jego twarz owiniętą bandażami. Ambrose widział się już w tych bandażach i próbował spojrzeć na samego siebie z perspektywy ojca. Nie było za bardzo na co patrzeć. Nawet jego prawe oko było schowane pod opatrunkiem. Lewe oko wyglądało niemalże obco w tym morzu bieli przypominającym mumię z Halloween z odczepianymi elementami. Głos Ambrose'a pasował do jego wizerunku mumii — bandaże mocno ścisnęły mu usta, dlatego musiał cedzić każde słowo. Ale Elliot go rozumiał, jeśli tylko wystarczająco mocno się wsłuchał.

— *Ona się ciebie nie boi, Ambrose — powiedział łagodnie Elliott, próbując się uśmiechnąć.*

— *Boi się. Brzydota przeraża ją bardziej niż cokolwiek innego — powiedział Ambrose i zamknął oko, wybierając ciemność zamiast widoku wychudzonej twarzy ojca i sali szpitalnej.*

W chwilach, gdy nie zwijał się z bólu, był otępiaty od dużej ilości środków przeciwbólowych. To otępienie dawało mu ulgę, ale

jednocześnie budziło w nim strach, ponieważ wiedział, że za tą mgłą czai się rzeczywistość — potwór z błyszczącymi czerwonymi oczami i długimi rękami, które ciągnęły go do ogromnej czarnej przepaści. Jego przyjaciele zostali już tam wciągnięci. Wydawało mu się, że pamięta ich krzyki i zapach płonącego ciała, ale być może tylko jego umysł wypełniał puste miejsca między tym, co było, a tym, co jest teraz. Tyle się zmieniło, że jego życie stało się równie nierozpoznawalne jak jego twarz.

— Co cię przeraża najbardziej, synu? — zapytał cicho Elliott.

Ambrose miał ochotę się zaśmiać. Nie bał się niczego. Już nie.

— Zupełnie nic, tato. Kiedyś bałem się, że pójdę do piekła. Ale teraz w nim jestem i wcale nie wydaje się takie straszne. — Głos Ambrose'a stawał się coraz bardziej niewyraźny i senny.

Ale musiał zadać jeszcze jedno pytanie.

— Moje prawe oko... straciłem je... prawda? Nie będę już widzieć.

— Nie, synu. Lekarz mówi, że nie.

— No, cóż. Może to i dobrze.

Ambrose wiedział, że to, co mówi, nie ma sensu, ale był już zbyt śpiący, żeby wyjaśniać, co miał na myśli. Gdzieś z tyłu jego głowy kołatała się myśl, że skoro jego przyjaciele stracili życie, to będzie sprawiedliwie, jeśli on też coś straci.

— Ucho też straciłem.

— Tak, to prawda. — Głos Elliota coraz bardziej się oddalał.

Ambrose spał przez chwilę, a gdy się obudził, taty już nie było. Ojciec rzadko opuszczał krzesło przy jego łóżku. Pewnie zgłodniał albo postanowił się przespać. Przez małe okienko w sali szpitalnej widać było ciemne niebo. Musiało być późno. W szpitalu panował spokój, choć nigdy nie było tu zupełnie cicho. Ambrose podniósł się na łóżku i bez zastanowienia zaczął odwijać długie taśmy bandaża, które były owinięte wokół jego twarzy. Jedno koło i drugie, jedna warstwa po następnej, aż na jego kolanach zebrał się spory stos bandażu nasączonych różnymi lekami. Kiedy zdjął ostatnią warstwę, wstał z łóżka i złapał się stolika na kółkach, na którym leżały jego antybiotyki, płyny i środki przeciwbólowe regularnie włączane do jego organizmu. Wcześniej już kilka razy stał na nogach i wiedział, że może chodzić. Jego ciało było praktycznie w nienaruszonym stanie. Tylko dwa odłamki trafiły go w prawe ramię i

udo. Nie miał nawet złamanej ani jednej kości.

W sali nie było lustra. W łazience też nie. Ale okno z cienką żaluzją w zupełności wystarczało. Ambrose podszedł do okna, podniósł żaluzję lewą ręką, prawą podtrzymując się metalowego słupa, i spojrział w szybę, w której miał nadzieję zobaczyć swoją twarz po raz pierwszy. Na początku nie widział niczego oprócz małych punkcików lamp ulicznych wiele pięter pod nim. W sali było zbyt ciemno, żeby mógł zobaczyć swoje odbicie w szybie.

Wtedy wszedł Elliott i zobaczył swojego syna stojącego przy oknie i ściskającego z całej siły żaluzję, jakby chciał ją wyrwać ze ściany.

— Ambrose? — zapytał zdziwiony.

A potem włączył światło. Ambrose patrzył w szybę, a Elliot zastygł w bezruchu, uświadomiwszy sobie, co zrobił.

Z okna patrzyły na Ambrose'a trzy twarze. Najpierw rozpoznał twarz ojca — maskę rozpaczy tuż za swoim prawym ramieniem — a potem zobaczył swoją twarz, zmizerniałą i opuchniętą, ale wciąż rozpoznawalną. Jednak z tą znajomą połową odbicia połączona była bezkształtna masa uszkodzonej skóry pozszywanej jak u Frankenstein, z kilkoma brakującymi fragmentami — twarz kogoś, kogo Ambrose zupełnie nie znał.

Kiedy Fern powiedziała Baileyowi, że spotkała Ambrose'a, ten otworzył oczy z radości.

— Biegał? To świetna wiadomość! Z tego, co wiem, nie chce się z nikim spotykać. To zdecydowany krok naprzód. Jak wyglądał?

— Na początku nie zauważyłam, żeby cokolwiek się zmieniło — powiedziała szczerze Fern.

Bailey zamyślił się.

— I? — naciskał.

— Jedna część jego twarzy jest bardzo pokiereszowana — powiedziała delikatnie. — Widziałam ją tylko przez sekundę. Potem odwrócił się i pobiegł dalej.

Bailey skinął głową.

— Ale biegał — powtórzył. — To bardzo dobra wiadomość.

Dobra czy nie, przez następny miesiąc Fern nie spotkała już Ambrose'a. Zawsze gdy wracała rowerem do domu po nocnej zmianie, rozglądała się dookoła w nadziei, że zobaczy go gdzieś biegającego po ulicach, ale tak się nie stało.

Jakież było więc jej zdziwienie, gdy któregoś dnia została w sklepie dłużej niż zwykle i zobaczyła go za drzwiami wahadłowymi dzielącymi sklep od piekarni. On też musiał ją zobaczyć, ponieważ od razu zniknął jej z pola widzenia, a Fern została sama w korytarzu, gapiąc się w pustą przestrzeń.

Ambrose pomagał ojcu w piekarni przez cały okres liceum. W końcu to była rodzinna firma, założona jeszcze przez dziadka Elliota. Niecałe osiemdziesiąt lat później Elliot założył spółkę z Johnem Jolleyem, pierwszym właścicielem jedyne go sklepu spożywczego w mieście.

Fern zawsze podobało się nietypowe połączenie dużej postury i siły Ambrose'a z pracą w kuchni. W okresie liceum Ambrose pracował u ojca w weekendy, jeśli akurat nie był na zawodach, a także w czasie letnich wakacji. Podczas nocnej zmiany, czyli wtedy, gdy odbywała się najintensywniejsza praca, Ambrose mógł być pewien, że nikt go nie zobaczy, jeśli nie będzie sobie tego życzył. Zmiana zaczynała się o dwudziestą drugą, kiedy sklep się zamykał, a kończyła o szóstej rano, czyli jeszcze przed jego otwarciem. Najwyraźniej takie godziny całkowicie odpowiadały Ambrose'owi. Fern zaczęła się zastanawiać, od jak dawna Ambrose pracuje obok w piekarni i ile razy był blisko niej, a ona w ogóle nie zdawała sobie z tego sprawy.

Następnej nocy kasy się zepsuły, a Fern nie mogła doliczyć się pieniędzy. O północy, gdy prawie już kończyła, poczuła cudowny aromat z piekarni, który dotarł aż do biura, gdzie pracowała. Wylogowała się z komputera i poszła na paluszkach korytarzem do piekarni, przystając w miejscu, z którego mogła zobaczyć, co się dzieje za drzwiami wahadłowymi prowadzącymi do kuchni. Ambrose stał odwrócony tyłem do niej. Jego biała koszulka i dżinsy były częściowo zakryte białym fartuchem, na którym widniał jaskrawoczerwony napis „Piekarnia Younga”. Elliott Young nosił taki sam fartuch, od kiedy Fern pamiętała. Ale z jakiegoś powodu na Ambrosie wyglądał on zupełnie

inaczej.

Fern zauważyła, że jego długie włosy nie odrosły. Chyba spodziewała się, że je u niego zobaczy. Miała wrażenie, że Ambrose w ogóle nie ma żadnych włosów. Na głowie miał dużą czerwoną chustę, którą związał ciasno z tyłu. Wyglądał, jakby właśnie zszedł z harleya i postanowił upiec sobie kilka babeczek. Fern zaśmiała się cicho na myśl o motocyklicie piekącym babeczki i wzdrygnęła się, gdy okazało się, że jej śmiech był głośniejszy, niż chciała. Ambrose odwrócił się, ukazując prawą stronę swojej twarzy — widok, który zobaczyła tylko raz przez krótką chwilę w ciemności. Szybko schowała się za rogiem, martwiąc się, że Ambrose mógł ją usłyszeć i źle zrozumieć jej śmiech, ale po minucie wróciła. Nie mogła oprzeć się pokusie obserwowania go przy pracy.

Ambrose miał głośno włączone radio — chyba chciał zagłuszyć monotonną muzykę, która każdego dnia płynęła z głośników w markecie Jolley's. Ruszał ustami w rytm piosenki. Fern obserwowała je zafascynowana. Skóra po prawej stronie twarzy Ambrose'a była pomarszczona i przypominała piasek, który ułożył się w fałdy pod wpływem wiatru. Tam, gdzie nie było zmarszczek, widać było wgłębienia jak po ospie, a cała prawa strona twarzy i szyi była usiana czarnymi punktami, jakby ktoś zrobił Ambrose'owi żart i popisał go pisakiem, gdy spał. W pewnym momencie Ambrose uniósł rękę do twarzy i potarł te czarne ślady szpecące jego skórę, jakby go swędziały albo w jakiś sposób mu przeszkadzały.

Długa, gruba blizna biegła od koniuszka ust ukośnie w górę i znikwała pod chustą na głowie. Prawe oko było mętne i nieruchome, przecięte drugą blizną, która zaczynała się nad brwią i szła w prostej linii aż do nosa, gdzie przecinała się z blizną zaczynającą się przy ustach.

Ambrose wciąż miał imponującą posturę. Był wysoki i wyprostowany, a jego szerokie barki i długie ręce nadal były pięknie umięśnione. Ale był jeszcze szczuplejszy niż podczas sezonu zapaśniczego, kiedy wszyscy zawodnicy byli tak wychudzeni, że mieli zapadnięte policzki, a oczy zapadały im się w twarzy. Tamtej nocy, gdy Fern zobaczyła go po raz pierwszy, biegał. Teraz zaczęła się zastanawiać, czy to był jego sposób na powrót do formy, a jeśli tak... to

po co? Fern nie lubiła ćwiczyć, więc trudno było jej sobie wyobrazić, że ktoś może biegać tylko dla przyjemności, choć oczywiście zdawała sobie sprawę, że istniała taka możliwość. Dla niej jedyną możliwą do zaakceptowania formą aktywności fizycznej było włączenie radia i tańczenie po całym pokoju. Wtedy trzęsła swoim drobnym ciałem tak długo, aż porządnie się spociła. W jej przypadku to całkowicie wystarczało. Na pewno nie była gruba.

Fern żałowała, że nie ma dość odwagi, aby do niego podejść i zagadać. Ale nie wiedziała, jak to zrobić. Nie wiedziała, czy chciałby z nią porozmawiać, dlatego jeszcze przez dłuższą chwilę obserwowała go z ukrycia, a potem skierowała się do wyjścia i pojechała do domu.

Rozdział 15.

Zaprzyjaźnić się z potworem

Za drzwiami do piekarni, w korytarzu prowadzącym do biura pana Morgana i pokoju, w którym pracownicy spotykali się na przerwie, stała mała biała tablica. Była tam od zawsze i nikt nigdy nic na niej nie napisał — przynajmniej od kiedy Fern sięgała pamięcią. Może Elliott Young kiedyś uważał, że to będzie dobre miejsce na zapisywanie harmonogramów albo uwag, ale nigdy nic z tym nie zrobił. Fern uznała, że tablica doskonale się nadaje. Nie byłaby w stanie napisać na niej czegoś zbyt sugestywnego... ale to i tak nie było w jej stylu. Jeżeli napisze coś na tablicy około godziny dwudziestej, czyli po oficjalnym zamknięciu piekarni, zanim Ambrose rozpocznie swoją pracę w kuchni, on byłby jedyną osobą, która przeczyta to, co napisała. A gdyby nie chciał, żeby ktokolwiek inny zobaczył napis, mógłby go bez trudu zmasać.

Chodziło o to, żeby napisać coś, co wywoła uśmiech na jego twarzy — żeby od razu wiedział, że te słowa są skierowane do niego. Jednocześnie musiało to być coś, czego nikt inny nie zrozumie, i coś, przez co nie wyjdzie na idiotkę. Zastanawiała się nad tekstem przez dwa dni. Miała przeróżne pomysły, od „Cześć, cieszę się, że wróciłeś!” do „Nie obchodzi mnie to, że twoja twarz nie jest doskonała, wciąż chcę mieć z tobą dzieci”. Żadne z tych powitań nie wydawało się właściwe. Aż w końcu przyszedł jej do głowy idealny tekst.

Wielkimi czarnymi literami napisała na białej tablicy słowa LATAWCE CZY BALONY, a z boku przyczepiła taśmą klejącą balonik w swoim ulubionym czerwonym kolorze. Ambrose domyśli się, że to ona. Kiedyś zadawali sobie miliony takich pytań. Akurat to konkretne pytanie jako pierwszy zadał Ambrose. *Latawce czy balony?* Fern odpowiedziała *latawce*, bo gdyby była latawcem, mogłaby latać, ale jednocześnie zawsze ktoś by ją trzymał. Ambrose odpowiedział *balony*: „Podoba mi się pomysł polecenia w górę i bezwolnego poddania się podmuchom wiatru. Chyba nie chcę, żeby ktokolwiek mnie trzymał”. Fern zastanawiała się, czy tym razem Ambrose odpowie tak samo.

Od kiedy Ambrose odkrył, że to ona pisała listy, a nie Rita, a ich

korrespondencja momentalnie się zakończyła, Fern najbardziej brakowało właśnie takich pytań. W swoich odpowiedziach, czasami składających się tylko z jednego słowa albo jednej linijki, odkrywała się przed nim krok po kroku i coraz bardziej poznawała Ambrose'a. Odkrywała siebie, Fern, a nie Ritę.

Fern zerknęła na tablicę przez dwa dni, ale czarne słowa wciąż tam były bez żadnej odpowiedzi. W końcu zmazała je i spróbowała ponownie. Tym razem napisała **SZEKSPIR CZY EMINEM**. To musiał pamiętać. Wtedy, w liceum, była pewna, że Ambrose dzieli jej skrywaną fascynację białym raperem i jego wyjątkową zdolnością do tworzenia rymów. Ku jej zdziwieniu Ambrose wybrał Szekspira. Potem zacytował jej kilka sonetów Szekspira i stwierdził, że byłby genialnym raperem. To właśnie wtedy Fern odkryła, że Ambrose to nie tylko ładna buzia. Był osiłkiem z duszą poety, a żaden z bohaterów powieści pisanych przez Fern nie mógł się z nim równać. Żaden.

Następnego dnia na tablicy nic się nie zmieniło. Nic. Cóż, do trzech razy sztuka. Przyszedł czas na mocniejsze uderzenie. Zmazała napis **SZEKSPIR CZY EMINEM** i napisała **CHOWANIE CZY SZUKANIE?** Gdy wymieniali się liścikami w liceum, to on zadał to pytanie. A ona wybrała szukanie... bo czy właśnie tego nie robiła? Poszukiwała go i odkrywała jego wnętrze?

Fern zastanawiała się, czy powinna wybrać inne pytanie, bo on najwyraźniej wybrał chowanie. Ale może to sprowokuje go do odpowiedzi. Gdy następnego dnia przyszła do pracy o trzeciej po południu i przechodząc przez korytarz, zerknęła na tablicę, nie licząc na zbyt wiele, nagle stanęła jak wryta. Ambrose zmazał jej pytanie i napisał swoje.

GŁUCHOTA CZY ŚLEPOTA?

Kiedyś ona mu je zadała. Wtedy wybrał głuchotę. Ona się z nim zgodziła, ale w odpowiedzi wypisała listę swoich ulubionych piosenek, z którymi musiałaby się na zawsze rozstać, gdyby wybrała wzrok. Jej lista piosenek przyniosła całą serię następnych pytań: muzyka country czy klasyczna, rock czy pop, musicale czy kulka w łeb. Ambrose stwierdził, że chyba wolałby kulkę w łeb, a ta odpowiedź stała się inspiracją do pytań dotyczących sposobu śmierci. Fern uznała, że w obecnej sytuacji

zdecydowanie nie byłyby na miejscu.

Zaznaczyła słowo GŁUCHOTA — tak samo jak wcześniej. Następnego dnia, gdy spojrzała na tablicę, zobaczyła, że Ambrose zaznaczył oba słowa. Głuchota i ślepotą. Przedtem zastanawiała się, co się stało z jego prawym okiem — teraz już wiedziała. Czy był głuchy na prawe ucho, tak jak był ślepy na prawe oko? Wiedziała, że na pewno nie jest całkowicie głuchy, bo przecież rozmawiał z nią przez chwilę po jej wypadku na rowerze. Pod zakreślonymi słowami znajdowało się nowe pytanie. Ambrose napisał: **LEWA CZY PRAWA STRONA?**

Tego pytania wcześniej nikt nie zadał. Fern podejrzewała, że Ambrose miał na myśli swoją twarz. Lewa strona czy prawa? Zakreśliła oba słowa, tak samo jak on uczynił w przypadku pytania o głuchotę i ślepotę.

Następnego dnia tablica była pusta.

Dwa dni później Fern postanowiła wypróbować nową taktykę. Napisała starannym pismem:

*Miłość to nie miłość, jeśli,
Zmienny świat naśladowując, sama się odmieni
Lub zgodzi się nie istnieć, gdy ktoś ją przekreśli.
O, nie: to znak, wzniesiony wiecznie nad bałwany,
Bez drżenia w twarz patrzący sztormom i cyklonom.[1]*

Szekspir. Ambrose będzie wiedział, dlaczego wybrała ten wiersz. Kiedyś jej wyznał, że jest to jeden z jego ulubionych sonetów. Niech sobie to zinterpretuje, jak chce. Może westchnąć i przewrócić oczami, martwiąc się, że Fern znowu zacznie mu się narzucać, ale być może zrozumie, co ona chce mu przez to powiedzieć. Ludzie, dla których był ważny, nadal się o niego troszczyli, a ich miłość i przyjaźń nie zmieniła się tylko dlatego, że teraz wygląda inaczej. Być może świadomość, że niektóre rzeczy się nie zmieniły, przyniesie mu ulgę.

Tamtej nocy Fern nie widziała go ani razu podczas swojej zmiany. Gdy zamykała sklep, nawet nie spojrzała w stronę piekarni. A gdy następnego dnia przyszła do pracy, biała tablica znów była czysta. Czowała się upokorzona, ale zapanowała nad tym uczuciem. Tutaj nie chodziło o

nią. Przynajmniej dała znać Ambrose'owi, że komuś na nim zależy. A potem spróbowała jeszcze raz, kontynuując Sonet 116, który również był jej ulubionym, od kiedy lady Jezabel zacytowała go w liście do kapitana Jacka Cavendisha w jednej z pierwszych powieści Fern, zatytułowanej *Dama i pirat*. Tym razem użyła czerwonego pisaka i napisała tekst staranną kursywą.

*Miłość to nie igraszka Czasu: niech kwitnące
Róże wdzięków podcina sierpem zdrajca blady -
Miłości nie odmienia chwile, dni, miesiące:
Ona trwa - i trwać będzie po sam kraj zagłady.* [2]

„KTO NIE OBJAWIA MIŁOŚCI, NIE KOCHA” — te słowa, również będące cytatem z Szekspira, napisane wielkimi literami widniały na tablicy następnego popołudnia.

Fern zastanawiała się nad nimi przez cały dzień. Najwyraźniej Ambrose nie poczuł, aby mieszkańcy powitali go z otwartymi ramionami. Próbowwała zrozumieć dlaczego. Przecież ludzie chcieli urządzać paradę na jego cześć. A trener Sheen i Bailey kilka razy chcieli go odwiedzić, ale zawsze odchodzili z kwitkiem. Może ludzie chcieli go zobaczyć... ale się go bali. A może to wszystko było zbyt bolesne. Całe miasteczko przeżyło szok. Ambrose nie widział rozpaczki mieszkańców, gdy tragiczna wiadomość dotarła do Hannah Lake. Szalejące tornado przeszło przez wszystkie ulice, niszcząc rodziny i przyjaźnie. Może nikt nie był przy nim w tych najtrudniejszych chwilach, bo ludzie sami zmagali się z własną rozpaczą i żalem.

Fern poświęciła pół godziny ze swojej przerwy obiadowej na przygotowanie właściwej odpowiedzi. Czy Ambrose miał na myśli ją? Przecież nie chciał się z nią widzieć, tego była pewna. Myśl, że jednak mogło chodzić o nią, dała jej odwagę do śmielszej odpowiedzi. Może wątpić w mieszkańców, ale nie może powiedzieć, że ona go odrzuciła. Wybrała tekst, który może był trochę przesadzony, ale to *był* Szekspir.

*Wątp, czy gwiazdy lśnią na niebie;
Wątp o tym, czy słońce wschodzi;
Wątp, czy prawdy blask nie zwodzi;*

Lecz nie wątp, że kocham ciebie.[3]

A jego odpowiedź?

I CZY SĄDZISZ, ŻE NA MNIE ŁATWIEJ ZAGRAĆ NIŻ NA FLECIE?

— Tego Szekspir nie napisał — powiedziała do siebie Fern, marszcząc brwi, gdy przeczytała tę niepoważną odpowiedź.

Kiedy jednak wpisała ten cytat w wyszukiwarce, okazało się, że faktycznie pochodzi on z Szekspira, a dokładnie z *Hamleta*. A to ci niespodzianka. Nie o to jej chodziło, gdy pisała na tablicy pierwszy tekst do Ambrose'a. Wcale nie o to. A zatem spróbowała jeszcze raz. Miała nadzieję, że tym razem zrozumie.

Wątpienie to zdrajca,

Który zwycięstwo często z rąk wydziera,

Kiedy nas trwogą odwodzi od próby.[4]

Tamtej nocy obserwowała go, ciekawa, czy odpowie od razu. Przed pójściem do domu zerknęła na tablicę. O tak, odpowiedział.

NAIWNOŚĆ CZY GŁUPOTA?

Oczy Fern wypełniły się łzami, a te szybko zaczęły skapywać jej na policzki. Wyprostowała się i podniosła głowę do góry, a potem poszła do kasy, wyjęła torebkę spod lady i wyszła ze sklepu. Ambrose Young może się chować, ale ona była zdeterminowana, żeby go znaleźć.

Ambrose patrzył, jak Fern wychodzi ze sklepu, i poczuł się jak ostatni drań. Doprowadził ją do łez. No pięknie. Starła się być dla niego miła. Wiedział o tym. Ale on tego nie chciał. Nie chciał, żeby ktokolwiek skłaniał go do zwierzeń, i był absolutnie pewny, że nie chce codziennie znajdować cytatów z Szekspira na tej pieprzonej tablicy. Powinien jak najszybciej ją od siebie odgonić, i koniec.

Podrapał się po policzku. Odłamki wciąż wywoływały pieczenie na skórze, doprowadzając go do szału. Swędziały go i drażniły, jakby bardzo chciały wydostać się na zewnątrz. Lekarze powiedzieli mu, że niektóre odłamki, te w prawym ramieniu i barku, a także niektóre z odłamków w twarzy, prawdopodobnie nigdy nie wyjdą na zewnątrz. Ambrose nie przejdzie przez żaden wykrywacz metali bez wywołania

alarmu. To mu nie przeszkadzało, ale kawałki metalu, które wyczuwał w twarzy, drażniły go, dlatego często dotykał tego miejsca.

Wrócił myślami do Fern. Martwił się, że jeśli pozwoli jej się za bardzo zbliżyć, trudno mu będzie się powstrzymać przed tym, żeby jej nie dotknąć. A był absolutnie przekonany, że tego by nie chciała. Miesiąc temu wrócił do pracy w piekarni na pełny etat. Wcześniej pomagał tacie przez kilka godzin wczesnym rankiem, ale dopiero miesiąc temu całkowicie przejął nocną zmianę — najważniejsze godziny pracy w piekarni. Piekł ciasta, placki, ciastka, pączki, bułki i chleb. Wszystkiego nauczył się już dawno od taty i umiał dobrze wykonywać swoją pracę. Lubił ją, bo gwarantowała mu samotność i ciszę, a więc dawała mu bezpieczeństwo. Jego tata przychodził do pracy o czwartej nad ranem, żeby udekorować torty i wykonać specjalne zamówienia. Pracowali razem aż do godziny, dwóch przed otwarciem piekarni. Ambrose wymykał się, gdy było jeszcze ciemno, i wracał do domu niezauważony przez nikogo — dokładnie tak, jak chciał.

Przez długi czas nikt nie wiedział, że Ambrose znów pracuje w piekarni. Ale Fern zamykała sklep pięć nocy w tygodniu, a wtedy byli sami w sklepie przez godzinę lub dwie po tym, jak on rozpoczynał nocną zmianę. Czasami zdarzało się, że ktoś przychodził tuż przed zamknięciem sklepu, bo skończyło mu się mleko albo chciał zrobić zakupy późnym wieczorem, ale mniej więcej od dwudziestej pierwszej do dwudziestej trzeciej w sklepie było cicho i spokojnie. W końcu Fern nakryła go na pracy w kuchni, mimo że starał się nie przyciągać uwagi.

On zaczął ją obserwować na długo przed tym, nim ona zauważyła go po raz pierwszy. Była spokojną dziewczyną. Najgłośniejsze były w niej jej włosy — ognista, szalona korona okalająca jej skromną buzię. Od kiedy ostatnio ją widział, włosy jej znacznie urosły i zwisały długimi lokami aż do połowy pleców. I nie nosiła już okularów. Długie włosy i brak okularów sprawiły, że nie poznał jej tamtej nocy, gdy rozbiła się na rowerze. Oczywiście starał się nie patrzeć na nią wprost, żeby nie mogła zobaczyć całej jego twarzy.

Miała głębokie, brązowe oczy i mały nos usiany drobnymi piegami. Jej usta były trochę nieproporcjonalne w porównaniu z resztą twarzy. W liceum, gdy nosiła aparat na zębach, jej górna warga

wyglądała niemalże komicznie, jak dziób kaczkki nad wystającymi zębami. Teraz jej usta były niemal zmysłowe, zęby proste i białe, a uśmiech szeroki i bezpretensjonalny. Była urocza, niespodziewanie ładna i całkowicie nieświadoma tego, że gdzieś pomiędzy dziwaczością a dorosłością nagle zmieniła się w tak pociągającą kobietę. A to, że była tego nieświadoma, czyniło ją jeszcze bardziej atrakcyjną.

Ambrose widział ją każdej nocy i często dyskretnie ją obserwował. I więcej niż jeden raz zastanawiał się, jak mógł ją tak łatwo odrzucić. W takich chwilach bardzo tęsknił za twarzą, którą kiedyś widywał w lustrze — czymś, co traktował jako pewnik. To dzięki niej tak łatwo nawiązywał kontakt z ładnymi dziewczynami, które mu się spodobaly. Ta twarz z pewnością pomogłaby mu również przyciągnąć uwagę Fern, tak samo jak kiedyś. Ale nigdy już jej nie odzyska, a bez niej był kompletnie zagubiony. Więc tylko patrzył.

Fern zawsze trzymała przy kasie jakąś książkę. Przekładała swoje długie włosy przez lewe ramię i bawiła się lokami podczas czytania. O tej porze w sklepie było mało klientów, dlatego miała dużo czasu na przerzucanie kartek i kręcenie rudych loków.

A teraz pisała do niego wiadomości, bawiąc się w gry słowne i cytując Szekspira, zupełnie tak samo jak wtedy, gdy byli w najstarszej klasie, a ona udawała, że jest Ritą. Był taki wściekły, gdy się o tym dowiedział. Ale ona była tak urocza i tak bardzo go przepraszała. Widać było, że jest jej przykro za to, co zrobiła. Nietrudno było zauważyć, że jest w nim zakochana. Jak tu się złościć na kogoś, kto cię kocha? A teraz znowu to robi. On jednak nawet przez chwilę nie uwierzył, że Fern naprawdę go lubi. Ona lubiła starego Ambrose'a. Czy ona w ogóle go widziała? Tak naprawdę? Tamtej nocy, gdy prawie wpadła na niego, jadąc rowerem, było ciemno. Na widok jego twarzy wzięła gwałtowny oddech. Usłyszał to bardzo wyraźnie. O co jej teraz chodzi? Myślenie o tym sprawiało, że czuł się coraz bardziej poirytowany. Ale niedługo potem znów się poczuł jak ostatni drań. Dlatego podszedł do białej tablicy i napisał:

Dupek czy dureń?

Przez chwilę pomyślał, że jego tacie może się nie spodobać słowo „dupek” napisane na tablicy w piekarni, ale uznał, że do tej sytuacji

żadne inne słowo nie pasuje. Szekspir tym razem mu nie pomoże. Poza tym nie miał pojęcia, czy któryś z bohaterów dzieł Szekspira błagał kiedyś o wybaczenie piękną rudowłosą dziewczynę, która miała zbyt miękkie serce. Wrócił do domu w tak ponurym nastroju, że czuł ciężar nawet na żołądku, jakby batoniki, które zjadł w pracy, zamieniły się w twarde kamienie. Kiedy przyszedł do pracy o dziesiątej rano tego samego dnia, tablica była czysta. Nie było żadnych nowych wiadomości. To dobrze. Poczł ulgę. Tak jakby.

[1] William Szekspir, Sonet 116, przekład Stanisława Barańczaka — *przyp. tłum.*

[2] jw.

[3] William Szekspir, *Hamlet*, przełożył Józef Paszkowski — *przyp. tłum.*

[4] William Szekspir, *Miarka za miarkę*, przełożył Leon Ulrich — *przyp. tłum.*

Rozdział 16.

Pocałować Ritę

Ambrose czasami zerkał przez otwór oddzielający półki w piekarni i frontową ladę od roboczej części kuchni, chcąc zobaczyć Fern. Zastanawiał się, czy w końcu uznała, że nie jest wart jej czasu. Przez ostatnie kilka dni, gdy przychodził do pracy, jej już nie było. Zaczął przychodzić coraz wcześniej, żeby ją zobaczyć — choćby przez okno w piekarni — zanim Fern wyjdzie ze sklepu i uda się do domu. W domu mówił Elliottowi, że ma coś do zrobienia w piekarni, a ten nigdy nie dopytywał o szczegóły. Prawdopodobnie cieszył się, że Ambrose wychodzi z domu i ze swojego dziecięcego pokoju, choć nigdy tego wprost nie powiedział, postępując zgodnie z zaleceniem lekarza.

Psycholog Ambrose'a — wojsko dopilnowało, żeby chłopak znalazł się pod opieką specjalisty — powiedział mu, że musi przystosować się do swojej „nowej rzeczywistości”, „pogodzić się z tym, co mu się stało” i „znaleźć nowe cele do osiągnięcia”. Praca była początkiem tej drogi. Ambrose nie chciał tego przyznać, ale ona naprawdę mu pomagała. Oprócz tego biegał i podnosił ciężary. Aktywność fizyczna była jedyną rzeczą, która wywoływała w nim inne uczucia niż rozpacz. Dlatego dużo ćwiczył. Nagle przyszła mu do głowy myśl, że szpiegowanie może się zaliczać do „nowych celów”.

Czuł się jak kompletna menda, śledząc Fern, ale robił to mimo wszystko. Właśnie zamiatła podłogę, nucąc słowa piosenki „The Wind Beneath my Wings” i używając kija od miotły jako mikrofonu. Nienawidził tej piosenki, ale patrząc, jak Fern kołysze się do przodu i do tyłu, lekko fałszując swoim ciepłym sopranem, nie mógł się nie uśmiechnąć. Fern przesuwiała śmieci wzdłuż korytarza, aż stanęła na wprost lady w piekarni. Kiedy zobaczyła Ambrose'a w pełnej krasie, zatrzymała się. Z oddali dobiegały ostatnie dźwięki piosenki rozbrzmiewające w pustym sklepie. Uśmiechnęła się niepewnie, jak gdyby kilka dni wcześniej wcale przez niego nie płakała, a Ambrose poczuł pragnienie ucieczki, które opanowywało go za każdym razem, gdy ktoś na niego spojrzeł.

Fern włączyła głośniejszą muzykę, aż zrobił się hałas jak na

lodowisku. Była to składanka hitów, których celem było skłonienie klientów krążących po alejkach sklepu do kupienia rzeczy, których wcale nie potrzebowali. Ambrose nagle zapragnął usłyszeć Def Leppard, z ich krzykami i głośnymi chórkami.

Nagle Fern upuściła miotłę i pobiegła do drzwi wejściowych. Ambrose wyszedł z kuchni i okrążył ladę, bojąc się, że stało się coś złego. Fern otworzyła drzwi i popchnęła jedno skrzydło, żeby wpuścić Bailey Sheena, który stał tam na swoim wózku. Potem zamknęła drzwi z powrotem na klucz, rozmawiając przy tym z Baileyem.

Ambrose starał się nie uśmiechnąć. Naprawdę się starał. Ale Bailey miał na głowie gigantyczną latarkę czołówkę przytwierdzoną do grubej taśmy, która była owinięta wokół jego głowy tak samo jak w starych aparatach ortodontycznych. Dokładnie tak sobie wyobrażał górników schodzących w głąb ziemi. Światło latarki było tak ostre, że Ambrose się skrzywił i zasłonił zdrowe oko.

— Co ty, do cholery, masz na sobie, Sheen?

Fern obróciła ze zdziwieniem głowę, najwyraźniej zaskoczona tym, że Ambrose odważył się opuścić zacisze piekarni.

Bailey minął Fern i podjechał do Ambrose'a. Nie udawał, że nie wie, iż Ambrose pracuje w piekarni, i chociaż uważnie przyglądał się jego twarzy, nie skomentował zmian w jego wyglądzie. Zamiast tego przewrócił oczami i zmarszczył brwi, wskazując wzrokiem reflektor zamocowany na jego czole.

— Kurczę, pomóż mi. Mama każe mi zakładać tę cholerną latarkę zawsze, gdy wychodzę gdzieś w nocy. Boi się, że bez niej ktoś mnie przejedzie. Nie umiem sam jej zdjąć.

Ambrose wyciągnął dłoń, wciąż się krzywiąc na widok jaskrawego światła. Zdjął latarkę z głowy Bailey'a i wyłączył ją. Fern podeszła do Bailey'a i odruchowo przygladziła mu włosy, które sterczały do góry po zdjęciu latarki. Zrobiła to tak, jakby robiła to już tysiąc razy, a Ambrose nagle sobie uświadomił, że prawdopodobnie faktycznie tak było. Od kiedy sięgał pamięcią, Fern i Bailey byli przyjaciółmi. To zrozumiałe, że Fern robi różne rzeczy, których Bailey nie może zrobić sam, a on nawet nie musi jej o to prosić; ba, może nawet nie zdawać sobie z tego sprawy.

— Co ty tu robisz? — spytał Bailey'a, zastanawiając się, dlaczego

jego kolega przemierza ulice w swoim wózku o godzinie jedenastej wieczorem.

— Karaoke, mój drogi.

— Karaoke?

— Tak. Nie robiłem tego od dłuższego czasu i zaczęliśmy dostawać skargi od działu produkcji. Najwyraźniej marchewki założyły fan klub Bailey Sheena. Dzisiaj znalazłem wreszcie czas dla fanów. Fern z kolei cieszy się dużą popularnością w dziale mrożonek.

— Karaoke... tutaj? — zapytał Ambrose z poważną miną... chociaż chciał się uśmiechnąć.

— Tak jest. Po zamknięciu sklepu my tutaj rządzymy. Przejmujemy system stereo, używamy interkomu jako mikrofonu, włączamy nasze płyty i dajemy czadu. Jest super. Powinieneś do nas dołączyć. Muszę cię jednak ostrzec, że jestem fantastyczny, a ponadto nie lubię oddawać mikrofonu.

Fern zachichotała, ale spojrzała niepewnie na Ambrose'a. O, co to, to nie. On na pewno nie zaśpiewa. Nawet po to, żeby zrobić przyjemność Fern Taylor, co, jak zauważył ze zdziwieniem, nawet miał ochotę zrobić.

Ambrose wymamrotał coś o bułkach w piecu i szybko wycofał się do kuchni. Załedwie kilka minut później w sklepie zaczęły rozbrzmiewać hity karaoke, a Bailey miernie naśladował Neila Diamonda. Ambrose słuchał go, pracując w piekarni. Nie miał wyjścia. Było głośno, a Bailey rzeczywiście nie lubił oddawać mikrofonu. Fern raz po raz do niego dołączała. Jej głos wywoływał skojarzenia z przedszkolanką, która marzy o karierze piosenkarskiej. Kompletnie nie pasował do piosenek, które sobie wybierała. Kiedy zaczęła śpiewać „Like a Virgin” Madonny, Ambrose zaśmiał się na głos. Szybko zamilkł, usłyszawszy własny śmiech dudniący w klatce piersiowej. Przeleciał w pamięci ostatni rok — czas, od kiedy jego życie zamieniło się w straszliwą czarną dziurę. Chyba ani razu się nie zaśmiał. Ani razu przez cały rok. Nic dziwnego, że teraz czuł się tak, jakby włączył silnik pięćdziesięcioletniej ciężarówki.

Potem zaśpiewali w duecie. I zrobili to naprawdę świetnie. „Summer Nights” z „Grease”. *Wella wella wella oomph* zabrzmiało z głośników, a Różowe Panie błagały, żeby powiedzieć więcej. Bailey i

Fern śpiewali swoje kwestie z zapalem; Bailey sugestywnie charczał w odpowiednich momentach, a Fern chichotała i myliła słowa, wymyślając na bieżąco nowe. Ambrose śmiał się przez następną godzinę. Naprawdę świetnie się bawił i był ciekaw, czy Bailey i Fern zdają sobie sprawę, jak komiczny jest ich występ. Byli przezabawni. Właśnie skończył wyciągać kolejną partię bułeczek cynamonowych, gdy usłyszał swoje imię odbijające się echem po całym sklepie.

— Ambrose Young? Wiem, że umiesz śpiewać. Może przyjdiesz tutaj i przestaniesz udawać, że nie widzimy cię tam z tyłu, jak nas szpiegujesz. Bo my widzimy. Nie jesteś tak przebiegły, jak ci się wydaje. Wiem, że chcesz zaśpiewać następną piosenkę. Czeka! To Righteous Brothers! Musisz to zaśpiewać. Ja nie zrobię tego wystarczająco dobrze. No, dalej. Fern marzy, żeby znów usłyszeć, jak śpiewasz, od twojego genialnego wykonania hymnu narodowego na sali gimnastycznej przed zawodami w liceum.

„Naprawdę?” — pomyślał Ambrose mile zaskoczony.

— AAAAAMMMMMBRRRRROOOOSE YOUUUNG! — zagrzmiął głos Bailey'a, któremu najwyraźniej spodobało się krzyczenie do interkomu. Ambrose go zignorował. Nie zamierzał śpiewać. Bailey wezwał go jeszcze kilka razy, zmieniając taktyki, aż w końcu sobie odpuścił, gdy z głośników popłynęła jego ulubiona piosenka. Ambrose wrócił do pracy, a Bailey zaśpiewał o tym, jak bohater „stracił to cudowne uczucie”.

Tak. Stracił. Rok temu w Iraku. To cudowne uczucie zostało całkowicie zniszczone.

Lewe oko Rity było spuchnięte tak bardzo, że nie mogła go otworzyć, a jej warga była napuchnięta i przecięta na pół. Fern siedziała przy niej i przykładła jej lód do twarzy, zastanawiając się, ile razy jej przyjaciółka już wcześniej tak wyglądała i ukrywała to przed znajomymi.

— Zadzwońłam na policję. Przyjechał wujek Beckera, Barry, i zabrał go, ale myślę, że nie postawią mu zarzutów — powiedziała Rita otępiłym głosem.

Wyglądała, jakby miała czterdzieści lat. Jej długie, jasne włosy zwisały ciężko na ramionach, a na twarzy malowało się ogromne zmęczenie, które przybierało postać cieni i dolin.

— Chcesz do mnie przyjechać? Mama i tata na pewno pozwolą ci zostać razem z małym Tyem tak długo, jak tylko zechcesz — zaproponowała Fern.

Rita już nieraz u nich pomieszkiwała, ale zawsze wracała do Beckera.

— Tym razem nigdzie nie pójdę. Becker może odejść. Ja nie zrobiłam niczego złego. — Rita wystawiła dolną wargę w geście sprzeciwu, ale jej zapłakane oczy zaprzeczały jej odważnym słowom.

— Ale... ale on jest niebezpieczny — próbowała przemówić jej do rozsądku Fern.

— Teraz będzie miły przez jakiś czas. Będzie strasznie przepraszał i dobrze się zachowywał. A ja zacznę robić plany. Będę oszczędzać. A potem razem z mamą zabierzemy małego Tya i uciekniemy. Już niedługo. A Becker może iść do diabła.

Mały Ty zapłakał przez sen i wtulił się w pierś mamy. Był mały jak na dwulatka. To dobrze, bo Rita brała go wszędzie ze sobą, jakby bała się go zostawić.

— Ja mam dwadzieścia jeden lat, Fern! Jak ja się wpakowałam w tę sytuację? Dlaczego dokonałam tak strasznego wyboru?

Nie po raz pierwszy Fern poczuła ulgę, że w liceum była szarą myszką: małą, nijaką i ignorowaną. Pod pewnym względem jej status brzydkiego kaczątka działał jak pole siłowe, które chroniło ją przed światem, aż dorośnie, osiągnie swój pełny potencjał i zrozumie, że zasługuje na więcej, niż jej się wydaje.

Rita kontynuowała, nie oczekując od Fern odpowiedzi.

— Wiesz, że kiedyś marzyłam o Baileyu? Żeby wynaleźli takie lekarstwo, dzięki któremu będzie mógł chodzić? Wtedy moglibyśmy się pobrać i żyć długo i szczęśliwie. Moja mama zaharowywała się przy ojcu, gdy opiekowała się nim po wypadku samochodowym. A on był taki nieszczęśliwy. Wszystkich dookoła ranił. Cierpiał fizyczny ból i przez to stał się dla nas wredny. Wiedziałam, że ja nie jestem taka silna jak ona. Mimo że kochałam Bailey'a, wiedziałam, że nie jestem dość

silna, żeby go kochać, jeśli nie będzie mógł chodzić. Więc modliłam się, żeby w jakiś magiczny sposób został uzdrowiony. Wiesz, że nawet raz go pocałowałam?

Fern opadła szczęka.

— Naprawdę?

— Tak. Musiałam się przekonać, czy coś między nami iskrzy.

— I co, zaiskrzyło?

— No... tak. To znaczy, on nie miał pojęcia, co robić. Chyba go tym zaskoczyłam. Ale tak. Zaiskrzyło. Tak bardzo, że zaczęłam się zastanawiać, czy sama możliwość całowania go mi wystarczy. Czy wystarczy, że on mnie będzie kochać, a ja jego. Ale się wystraszyłam. Nie byłam dość silna, Fern.

— Kiedy? Kiedy to się stało? — wydusiła Fern.

— W przedostatniej klasie. Podczas przerwy świątecznej.

Oglądaliśmy wtedy filmy u Bailey'a, pamiętasz? Ty się źle poczułaś i poszłaś do domu, zanim film się skończył. Bailey siedział na kanapie, bo tata wcześniej wyjął go z wózka i tam go posadził. Rozmawialiśmy i śmialiśmy się, i... a potem chwyciłam go za rękę. I zanim noc się skończyła... pocałowałam go.

Fern była zszokowana. Bailey nigdy jej o tym nie mówił. Ani słowa. Myśli wirowały jej w głowie jak chomik na karuzeli, który biega w kółko, ale wciąż jest w tym samym miejscu.

— Czy to się zdarzyło tylko ten jeden raz? — zapytała Fern.

— Tak. Wróciłam do domu, a gdy spotkałam Bailey'a po przerwie świątecznej, zachowywał się tak, jakby nic się nie stało. Pomyślałam, że wszystko popsulam. Myślałam, że będzie chciał, żebym została jego dziewczyną. W sumie nawet trochę tego chciałam. Ale też się bałam.

— Czego?

— Że go zranię albo że złożę obietnicę, której nie będę umiała dotrzymać.

Fern skinęła głową. Rozumiała, ale było jej strasznie żal Bailey'a. Znała go bardzo dobrze i wiedziała, że dla niego pocałunek był decydującym momentem. Chcąc ochronić Ritę, a może i siebie samego, zachował go w tajemnicy.

— A potem pojawił się Becker. Tak bardzo o mnie zabiegał. Do

tego był starszy, a ja... nie wiem, po prostu dałam się ponieść.

— A więc ty i Bailey nigdy o tym nie rozmawialiście?

— Wieczorem przed moim ślubem z Beckerem Bailey do mnie zadzwonił. Powiedział, żebym tego nie robiła.

— Serio? — zapytała Fern.

Ten wieczór był pełen niespodzianek.

— Tak. Ale powiedziałam mu, że jest już za późno. Zresztą Bailey jest dla mnie zbyt dobry.

— Oj, pieprzysz głupoty — wypaliła Fern.

Rita szarpnęła głową, jakby Fern uderzyła ją w twarz.

— Przepraszam. Ale to tylko wymówka, żeby nie podjąć trudnej decyzji — powiedziała tępo Fern.

— Och, naprawdę? — naskoczyła na nią Rita. — Proszę, i kto to mówi. Kochasz się w Ambrosie Youngu przez całe życie. A teraz, gdy wrócił z pokiereszowaną twarzą i zszarganym życiorysem, nie widzę, żebyś podjęła trudną decyzję!

Fern nie wiedziała, co odpowiedzieć. Rita się myliła. Twarz Ambrose'a jej nie odstraszała. Ale czy to miało znaczenie, jaki był prawdziwy powód?

— Przepraszam, Fern — powiedziała Rita płaczącym głosem. — Masz rację. Gadam głupoty. Całe moje życie jest beznadziejne. Ale chcę spróbować je zmienić. Będzie lepiej. Zobaczysz. Koniec ze złymi decyzjami. Mały Ty zasługuje na coś lepszego. Szkoda tylko, że Bailey... Chciałabym, żeby wszystko było inaczej, wiesz?

Fern chciała przytaknąć, ale potem zastanowiła się nad tym głębiej i pokręciła przecząco głową.

— Gdyby Bailey urodził się bez dystrofii mięśniowej, nie byłby Baileyem. Baileyem, który jest mądry i wrażliwy, i rozumie wiele rzeczy, których my nie rozumiemy. Możliwe, że w ogóle byś na niego nie spojrziała, gdyby był zdrowy i sprawny, należał do drużyny zapaśniczej swojego ojca i zachowywał się tak, jak każdy inny chłopak, którego znasz. Głównym powodem, dla którego Bailey jest tak wyjątkowy, jest to, że życie ukształtowało go w kogoś wspaniałego... może nie na zewnątrz, ale wewnątrz Bailey wygląda jak Dawid Michała Anioła. A gdy na niego patrzę, gdy ty na niego patrzysz, to nie widzimy

niczego innego.

Rozdział 17.

Zająć twarde stanowisko

Dwa dni później Becker Garth wszedł do sklepu Jolley's, jakby jego żona wciąż nie była posiniaczona, a jego koszulka nie śmierdziała więzieniem. Najwyraźniej jego koneksje z funkcjonariuszami policji Hannah Lake bardzo mu się przydały. Przechodząc obok kasy, uśmiechnął się szeroko do Fern.

— Ładnie dziś wyglądasz, Fern.

Znacząco spojrział na jej bluzkę, a potem mrugnął okiem i nadmuchał balon z gumy. Fern zawsze uważała, że Becker jest przystojny. Ale pod tą otoczką znajdowała się szumowina, która czasami wydostawała się na zewnątrz i roztaczała wokół siebie bardzo nieprzyjemną woń. Tak jak dzisiaj.

Najwyraźniej nie oczekiwał od niej odpowiedzi, bo nie zatrzymał się, tylko poszedł w kierunku regałów, rzucając przez ramię:

— Rita mówiła, że u niej byłaś. Dzięki za pieniądze. Mam wielką ochotę na piwo.

W ręce trzymał dwudziestodolarowy banknot, który Fern położyła na kredensie u Rity, gdy ostatnio u niej była. Zamachał nim w powietrzu i stanął w kolejce po alkohol. Fern poczuła narastającą wściekłość. Nie była typem osoby, która łatwo wpada w złość i działa pod wpływem impulsu. Aż do dzisiaj. Włączyła interkom i nadzwyczaj spokojnym głosem powiedziała:

— Uwaga, klienci Jolley's. Dzisiaj w naszym supermarkecie mamy wspaniałe promocje. Banany kosztują tylko 39 centów za pół kilograma. Już za dolara można kupić dziesięć kartoników z sokiem. A nasza piekarnia oferuje dwanaście ciastek z cukrem za 3,99 dolara.

Fern zrobiła pauzę i zacisnęła zęby. Nie mogła już dłużej usiedzieć cicho.

— Chciałabym również zwrócić państwa uwagę na gigantycznego dupka w alei dziesiątej. Zaręczam, że nigdy nie wiedzieliście większego dupka, drodzy klienci. Regularnie bije swoją żonę i mówi jej, że jest brzydka i gruba, mimo że to najpiękniejsza dziewczyna w naszym mieście. Lubi również doprowadzać swoje dziecko do płaczu i nie

potrafi utrzymać na dłużej żadnej pracy. Dlaczego? Tak, zgadliście! Bo Becker Garth jest wielkim, ohydny, gigantycznym dupkiem...

— Ty suko! — wrzasnął Becker, nadbiegając z dziesiątej alejki.

Pod pachą trzymał dwunastopak piwa i widać było, że kipi z wściekłości.

Fern trzymała interkom przed sobą, jak gdyby mógł on stanowić jakiś bufor między nią a mężczyzną, którego publicznie obraziła. Klienci gapili się na nią. Niektórzy śmiali się z zuchwałego popisu Fern, a inni marszczyli brwi ze zdziwieniem. Becker rzucił opakowanie z piwem na ziemię, przebijając kilka puszek, które wyleciały z opakowania, rozlewając dookoła siebie piwo szerokimi strugami. Podbiegł do Fern i wyrwał jej z rąk urządzenie, a potem mocno pociągnął zakręcony kabel, aż w końcu go wyrwał. Kabel uderzył Fern w twarz niczym bicz. Szybko zrobiła unik, spodziewając się, że Becker weźmie do ręki interkom i zacznie nim uderzać na oślep.

Nagle obok niej stanął Ambrose. Złapał Beckera za ramię, a potem chwycił jego koszulkę na plecach i kręcił materiałem w rękach tak długo, aż Becker uniósł się nad ziemią. Jego nogi zwisały bezradnie, a język wystawał na zewnątrz — przyduszała go jego własna koszulka. A potem Ambrose go puścił i rzucił nim, jakby Becker ważył tyle co małe dziecko. Becker wylądował na podłodze na czworakach, przekręcając się jak kot w momencie upadku. Wstał, jak gdyby nigdy nic, i wypiął pierś niczym kogut otoczony przez wianuszek kur.

— Ambrose Young! Wyglądasz jak gówno! Lepiej stąd uciekaj, zanim ludzie wezmą cię za jakiegoś ogra i zaczną cię gonić z widłami!

Becker splunął na ziemię, wygładził koszulkę i zaczął podskakiwać jak bokser, który za chwilę ma wyjść na ring.

Ambrose miał na głowie czerwoną chustę i wyglądał jak wielki pirat. Zawsze nosił ją w taki sposób, gdy pracował w piekarni, żeby uniknąć wścibskich oczu. Wciąż miał na sobie fartuch, a ręce miał zaciśnięte w pięści. Patrzył w skupieniu na Beckera. Fern miała ochotę przeskoczyć przez ladę i przygnieść Beckera do ziemi, ale to właśnie przez swoją impulsywność wpakowała się w tę sytuację i nie chciała już jej pogarszać — szczególnie ze względu na Ambrose'a.

Zauważyła, że klienci sklepu stoją jak wryci i wszyscy patrzą na

twarz Ambrose'a. Uświadomiła sobie, że żaden z nich prawdopodobnie jeszcze nie widział Ambrose'a, od kiedy dwa i pół roku temu wyjechał on do Iraku. Po mieście krążyły różne plotki, jak to często bywa w małych społecznościach, które dotknęła duża tragedia. Niektórzy sugerowali, że Ambrose jest strasznie pokiereszowany i zamienił się w jakąś pokrakę. Być może dlatego na twarzach klientów malowało się zdziwienie i smutek, ale nie odraza.

Jamie Kimball, mama Paula Kimballa, stała w kolejce do innej kasy. Była kompletnie biała i zdruzgotana, gdy zobaczyła blizny na policzku Ambrose'a. Czy nie widziała go ani razu, od kiedy wrócił? Czy żaden z rodziców poległych chłopców nie odwiedził go? A może to on nie chciał się z nimi widzieć? Być może ani jedna, ani druga strona nie byłaby w stanie znieść takiej konfrontacji.

— Musisz wyjść, Becker — powiedział Ambrose, a jego głos zabrzmiał wyjątkowo donośnie w kompletnej ciszy, która zapanowała w sklepie.

Z głośników sączyła się instrumentalna wersja „What a Wonderful World”, jak gdyby w Hannah Lake nic się nie stało, ale wszyscy wiedzieli, że to nieprawda. Ambrose mówił dalej:

— Jeżeli zostaniesz, stłukę cię tak, jak w dziewiątej klasie, ale tym razem skończysz z limem pod obydwojma oczami i stracisz więcej niż jeden ząb. Niech moja brzydka facjata cię nie zmyli; moje pięści są całkowicie sprawne.

Becker prychnął i odwrócił się na pięcie. Rzucił jeszcze szybkie spojrzenie Fern i wymierzył w nią palcem, przesyłając jej osobiste ostrzeżenie:

— Jesteś suką, Fern. Trzymaj się z daleka od Rity. Jeśli się zbliżysz do mojego domu, zadzwonię na policję.

Becker znów skupił się na Fern, ignorując Ambrose'a. Chciał zachować twarz, więc skupił się na słabszym przeciwniku. Zawsze tak robił.

Ambrose ruszył do przodu i ponownie złapał Beckera za koszulkę, a potem popchnął go w kierunku drzwi wejściowych. Drzwi posłusznie otworzyły się, a Ambrose wysyczał Beckerowi ostrzeżenie prosto do ucha:

— Jeśli jeszcze raz nazwiesz Fern Taylor suką albo w jakikolwiek inny sposób jej zagroźysz, wyrwę ci język i nakarmię nim tego brzydkiego, wygłodniałego psa, którego trzymasz na łańcuchu w ogrodzie. Tego, który na mnie szczeka za każdym razem, gdy przebiegam obok twojego domu. A jeśli Fern spadnie choć jeden włos z głowy albo podniesiesz rękę na swoją żonę lub dziecko, znajdę cię i zrobię ci wielką krzywdę.

Ambrose wypchnął Beckera ze sklepu, a ten rozłożył się jak długi na chodniku przed sklepem.

Dwie godziny później, gdy sklep był już pusty, wylane piwo posprzątane, a sklep zamknięty na klucz, Fern udała się do piekarni. Kiedy popchnęła wahadłowe drzwi oddzielające Ambrose'a od reszty świata, przywitał ją drożdżowy zapach chleba, ciepła słodycz topionego masła i ciężki słodki aromat polewy cukrowej. Ambrose spojrzął na nią i kontynuował ugniatanie gigantycznej kuli ciasta na stolnicy posypanej mąką. Był ustawiony tak, aby jego lewa strona — ta piękna — była zwrócona do niej. Radio w rogu grało rockowe przeboje z lat osiemdziesiątych, a gdy Whitesnake zapytali „Is This Love?”, Fern pomyślała, że może to rzeczywiście jest miłość.

Mięśnie ramion Ambrose'a napinały się i rozluźniały, gdy wałkował ciasto, a potem za pomocą specjalnego urządzenia wykrawał z niego ciastka, po osiem naraz. Fern obserwowała go. Jego ruchy były zdecydowane i płynne. Fern pomyślała, że podoba jej się widok mężczyzny w kuchni.

— Dziękuję — powiedziała w końcu.

Ambrose rzucił jej przelotne spojrzenie i wzruszył ramionami, mamrocząc pod nosem coś niezrozumiałego.

— Naprawdę go pobijeś? Jeśli ty byłeś wtedy w pierwszej klasie liceum, to on był w ostatniej.

Ambrose tylko chrząknął.

— To zły człowiek... jeżeli można go nazywać człowiekiem. Może jeszcze nie dorósł. Może na tym polega jego problem. Może kiedyś będzie lepszy. Chyba można mieć nadzieję.

— Ma wystarczająco dużo lat, żeby wiedzieć, jak należy postępować. Wiek nie jest wymówką. Osiemnastoletnie dzieciaki są uważane za wystarczająco dorosłe, żeby mogły walczyć za swój kraj. Walczyć i za niego umrzeć. Dlatego dwudziestopięcioletni dupek taki jak Becker nie może się uciekać do takich wymówek.

— Zrobiłeś to dla Rity?

— Co? — spojrzał na nią zaskoczony.

— To znaczy... kiedyś ją lubiłeś, nie? Wyrzuciłeś go dzisiaj ze sklepu ze względu na Ritę?

— Zrobiłem to, co należało zrobić — uciał Ambrose.

Przynajmniej przestał odpowiadać jej półsłówkami.

— I nie podobało mi się to, że tak na ciebie naskoczył. — Ambrose znów rzucił krótkie spojrzenie Fern, a potem podszedł do pieca i wyjął z niego ogromną tacę ciastek. — Chociaż to ty go sprowokowałaś... ale tylko trochę.

Czy to był uśmiech? Tak! Fern uśmiechnęła się z zadowoleniem. Usta Ambrose'a na sekundę uniosły się z jednej strony, zanim powrócił do wałkowania ciasta.

Kiedy Ambrose się uśmiechał, jeden kącik jego ust — ten zniszczony przez wybuch — podnosił się tylko minimalnie, przez co cały uśmiech był nieco krzywy. Fern pomyślała, że to jest urocze, ale sądząc po tym, jak często uśmiechał się Ambrose, on sam był innego zdania.

— To prawda, sprowokowałam go. Wydaje mi się, że nigdy wcześniej nikogo nie sprowokowałam. To było... fajne — powiedziała Fern z pełną powagą i całkowicie szczerze.

Ambrose wybuchł śmiechem i odłożył wałek do ciasta. Spojrzał na Fern i potrząsnął głową. Tym razem nie odwrócił się od niej.

— Nigdy nikogo nie prowokowałaś, co? Pamiętam, jak robiłaś głupie miny do Bailey'a Sheena na turnieju zapaśniczym. Miał notować wszystkie statystyki, a ty go rozśmieszałaś. Trener Sheen wkurzył się na niego, a to zdarzało się bardzo rzadko. Myślę, że to się kwalifikuje pod prowokowanie.

— Pamiętam ten turniej! Razem z Baileyem bawiliśmy się w grę, którą wymyśliliśmy. Widziałeś to?

— Tak. Z daleka było widać, że się dobrze bawicie... pamiętam, że marzyłem o tym, żeby zamienić się z wami miejscami... chociaż na jedno popołudnie. Zazdrościłem wam.

— Zazdrościłeś? Czego?

— Na tamte zawody specjalnie przyjechał trener z Iowy. Byłem tak zdenerwowany, że miałem skręcony żołądek. Między walkami chodziłem do toalety i wymiotowałem.

— Byłeś zdenerwowany? Przecież wygrałeś wszystkie walki. Ani razu nie przegrałeś. Czym się tak denerwowałeś?

— Bycie niepokonanym wiąże się z dużą presją. Nie chciałem nikogo rozczarować — odparł Ambrose, wzruszając ramionami. — Opowiedz mi o tej waszej grze.

Ambrose sprytnie zmienił temat rozmowy, aby przestała się toczyć wokół niego. Fern uznała, że wróci do tej rozmowy kiedy indziej.

— To jest taka nasza wspólna gra. Inna wersja rebusów. Bailey nie jest w stanie za bardzo niczego pokazać, wiadomo dlaczego, więc wymyśliliśmy zabawę, która nazywa się „robienie min”. Jest głupia, ale... śmieszna. Chodzi o to, żeby komunikować się tylko za pomocą min. Pokażę ci. Zrobię minę, a ty mi powiedz, co czuję.

Fern opuściła dolną szczękę i otworzyła szeroko oczy.

— Zdziwienie?

Fern przytaknęła z uśmiechem. A potem rozszerzyła nozdrza, zmarszczyła czoło i wykrzywiła usta z niesmakiem. Ambrose zaśmiał się cicho.

— Coś brzydko pachnie?

Fern zachichotała i natychmiast zmieniła minę. Wysunęła dolną wargę, a zaraz potem jej broda zadrżała, a oczy wypełniły się łzami.

— O, kurczę, jesteś naprawdę dobra! — Ambrose śmiał się teraz pełną piersią, zapominając zupełnie o cieście.

— Chcesz spróbować? — Fern też się śmiała, ocierając łzy, które wymusiła, żeby zrobić smutną minę.

— Nie. Nie wiem, czy moja twarz by ze mną współpracowała — powiedział cicho Ambrose, ale w jego głosie nie było słyhać skrępowania ani zażenowania, więc Fern odpowiedziała tylko:

— W porządku.

Rozmawiali jeszcze przez kilka minut. Fern podziękowała mu jeszcze raz i życzyła mu dobrej nocy. Dla niej to była naprawdę dobra noc, mimo wcześniejszego incydentu z Beckerem Garthem. Ambrose z nią porozmawiał. Nawet śmiał się razem z nią. Fern poczuła, że w jej sercu zaczyna tlić się płomycek nadziei.

Kiedy następnego dnia Fern przyjechała do pracy, na tablicy w korytarzu widniał nowy cytat.

„Nie dość wam jednej twarzy otrzymanej od Boga, dorabiacie sobie drugą” — Hamlet.

Znowu Szekspir. I znowu Hamlet. Ambrose chyba szczególnie upodobał sobie tego udręczonego bohatera. Może dlatego, że on sam też był udręczonym bohaterem. Ale zdołała go rozśmieszyć. Fern uśmiechnęła się, wspominając, jak razem z Baileyem wymyślili grę w robienie min.

2001

— *Dlaczego robisz taką minę?* — zapytał Bailey.

— *Jaką minę?*

— *Wyglądasz, jakbyś nie mogła czegoś zrozumieć. Masz zmarszczone czoło i brwi, jesteś taka nachmurzona.*

Fern rozluźniła mięśnie twarzy. Uświadomiła sobie, że robiła dokładnie to, co powiedział Bailey.

— *Myślałam o opowieści, którą teraz piszę. Nie mam pojęcia, jak ją skończyć. A jak myślisz, co oznacza ta mina?* — Fern wysunęła dolną szczękę i zrobiła zęza.

— *Wyglądasz jak bohater kreskówki, który właśnie zginął* — odpowiedział Bailey, chichocząc.

— *A teraz?* — Fern zacisnęła usta, podniosła brwi i skrzywiła się.

— *Jesz coś bardzo kwaśnego!* — wykrzyknął Bailey. — *Teraz ja.*

Przez chwilę się zastanawiał, a potem otworzył oczy najszerszej, jak potrafił, rozchylił usta i wywiesił język.

— *Patrzysz na coś pysznego* — próbowała zgadnąć Fern.

— *A dokładniej?* — zapytał Bailey i jeszcze raz zrobił tę samą

minę.

— Hm. Patrzysz na duży deser lodowy — spróbowała jeszcze raz. Fern schował język i szeroko się uśmiechnął.

— Nie. To jest mina, którą zawsze robisz, kiedy widzisz Ambrose'a Younga.

Fern rzuciła w Bailey'a tanim pluszowym misiem, którego wygrała na szkolnym festynie, gdy była w czwartej klasie. Maskotce odpadła ręka, a z brzucha zaczęły wydostawać się kłęby waty. Fern odrzuciła misia na bok.

— Doprawdy? A ty co? Dokładnie taką minę robisz zawsze, gdy w pobliżu jest Rita. — Fern obniżyła jedną brew i spróbowała zawadiacko się uśmiechnąć, naśladując Rhetta Bultera z Przemiętło z wiatrem.

— Zawsze gdy widzę Ritę, wyglądam, jakbym miał zaparcie? — zapytał ze zdziwieniem Bailey.

Fern parsknęła śmiechem i szybko sięgnęła po chusteczkę, żeby dyskretnie wytrzeć katar spod nosa.

— Nie obwiniam cię za to, że lubisz Ambrose'a — powiedział Bailey nagle poważnym głosem. — To najfajniejszy chłopak, jakiego znam. Gdybym mógł być, kim chcę, zostałbym Ambrose'em Youngiem. A ty?

Fern wzruszyła ramionami, zastanawiając się po raz kolejny, jak by to było być piękną dziewczyną.

— Nie miałabym nic przeciwko temu, żeby wyglądać jak Rita — odpowiedziała szczerze. — Ale wewnątrz chyba wolałabym pozostać sobą. A ty nie?

Bailey milczał przez chwilę.

— No tak. Jestem naprawdę niesamowity. Ale Ambrose też. Tak czy inaczej, wolałbym być na jego miejscu.

— Ja zamieniłabym się tylko na twarz — powiedziała Fern.

— Ale Bóg dał ci tę twarz — rzuciła Rachel Taylor z kuchni.

Fern wywróciła oczami. Jej mama miała słuch nietoperza; mimo że miała już sześćdziesiąt dwa lata, słyszała wszystko doskonale.

— Wiesz mamo, gdybym mogła, to dorobiłabym sobie drugą — odpowiedziała jej Fern. — Może wtedy dorównałabym Ambrose'owi Youngowi urodą, a on wreszcie by na mnie spojrział.

Fern nie miała wtedy zamiaru cytować Szekspira, ale Ambrose *naprawdę* był zbyt ładny, żeby na nią spojrzeć.

Fern zastanawiała się, dlaczego Ambrose wybrał akurat taki cytat, gdy nagle zobaczyła gablotkę z ciastkami stojącą przed drzwiami do piekarni. Krzyknęła jak podekscytowana dziewczynka na widok ukochanej gwiazdy pop, a potem zaczęła śmiać się na głos. W gablotkach były dziesiątki okrągłych ciastek udekorowanych lukrem w radosnych, pastelowych kolorach. Każde ciastko miało narysowaną twarz. Linie i zawijasy z czarnego lukru sprawiały, że każda twarz miała inną minę. Uśmiechy i grymasy symbolizowały łatwe do odczytania emocje.

Fern kupiła tuzin ciastek i pomyślała, że chyba nigdy ich nie zje, nie mówiąc już o tym, żeby dać je do zjedzenia komukolwiek innemu. Chciała zostawić je sobie na zawsze, ponieważ przypominały jej o nocy, w której rozśmieszyła Ambrose'a Younga. Może wcale nie jest tak źle, mieć zabawną twarz.

Fern znalazła pisak i napisała na tablicy pod wiadomością od Ambrose'a: „Robienie ciastek czy robienie min?”. A potem zakreśliła „Robienie ciastek”, żeby Ambrose się domyślił, że widziała jego wypieki. A obok narysowała małą uśmiechniętą buźkę.

Rozdział 18.

Codziennie jeść naleśniki

Gdy Ambrose przyszedł do pracy następnego wieczoru, zobaczył na tablicy kolejne pytanie: „Naleśniki czy gofry?”.

Ambrose zakreślił naleśniki. Mniej więcej godzinę później zobaczył Fern stojącą w drzwiach do piekarni. Jej włosy zwisały w nieładzie na plecach. Miała na sobie blad różową koszulkę, białe dżinsy i sandały. Zdjęła jaskrawoniebieski fartuszek firmowy sklepu Jolley's i posmarowała usta błyszczkiem. Ambrose zaczął się zastanawiać, czy to może jest błyszczek smakowy, i szybko odwrócił wzrok.

— Cześć... ja też lubię naleśniki. — Fern skrzywiła się, jakby powiedziała coś niewiarygodnie głupiego albo żenującego.

Wtedy Ambrose uświadomił sobie, że ona wciąż boi się z nim rozmawiać. Nie obwinał jej za to. Nie był zbyt przyjacielski, a do tego wyglądał dość przerażająco.

— Ty jutro nie pracujesz, tak? Bo w soboty i niedziele przychodzi tutaj pani Luebke, prawda? — spytała szybko, wyrzucając z siebie słowa, jakby już wcześniej ćwiczyła tę kwestię.

Ambrose przytaknął i czekał w milczeniu.

— Chciałbyś pojechać ze mną i Baileyem na naleśniki? Czasami o północy jedziemy do baru Larry'ego. Jedząc naleśniki w porze nocnej, czujemy się bardziej dorośli. — Fern uśmiechnęła się ujmująco (tego aspektu z pewnością nie ćwiczyła), a Ambrose zauważył, że ma mały dołeczek w prawym policzku. Nie mógł odwrócić wzroku od tego małego wklęsnięcia w jej jedwabistej skórze. Dołeczek zniknął, gdy Fern przestała się uśmiechać.

— No... pewnie — odpowiedział pośpiesznie Ambrose, uświadomiwszy sobie, że Fern już długo czeka na odpowiedź.

Od razu pożałował swoich słów. Nie chciał iść do Larry'ego. Ktoś może go tam zobaczyć i wprawić w zakłopotanie.

Dołeczek znów się pojawił. Fern bujała się do przodu i do tyłu na palcach u stóp.

— Dobrze. Podjadę po ciebie około północy, może być? Musimy wziąć furgonetkę mamy Bailey'a, bo wiesz... wózek inwalidzki. No to na

razie, pa.

Fern odwróciła się i wpadła na drzwi, wywołując uśmiech na twarzy Ambrose'a. Była niesamowicie urocza. Ambrose poczuł się, jakby miał trzynaście lat i umówił się na pierwszą randkę w kręgielni.

Jedzenie naleśników o północy jest na swój sposób kojące. Zapach ciepłego masła, syropu klonowego i jagód uderzył Ambrose'a niczym huragan. Aż jęknął na myśl o prostej przyjemności niezdrowego jedzenia o nieprzyzwoitej godzinie. Przyjemność była tak duża, że prawie zapomniał o swoim strachu przed spojrzeniami ciekawskich i o ich nieudolnych próbach udawania, że jego twarz wygląda zupełnie normalnie. Bailey wjechał jako pierwszy do zaspanej kawiarni i wybrał stolik w rogu, przy którym mógł swobodnie stanąć swoim wózkiem. Fern poszła za nim, a Ambrose zamykał ich pochód, nie patrząc ani w lewo, ani w prawo i nie zwracając uwagi na klientów kawiarni. Stoliki wokół nich były puste. Fern zatrzymała się, pozwalając, aby Ambrose wybrał sobie miejsce, a ten usiadł z gracją na ławce, z której pozostali klienci lokalu mogli widzieć tylko lewą stronę jego twarzy. Fern usiadła naprzeciwko niego i delikatnie podskoczyła, jak dziecko, które usiadło na kanapie ze sprężynami. Długie nogi Ambrose'a ledwo mieściły się pod stolikiem i przykrywały nogi Fern, więc zmienił nieco pozycję. Poczuł ciepły dotyk łydek Fern. Nie odsunęła się.

Bailey podjechał swoim wózkiem i ustawił się na końcu stolika. Błat był na wysokości jego klatki piersiowej, czyli dokładnie tak, jak powinien. Fern delikatnie położyła mu ręce na stole, aby mógł dosięgnąć jedzenia, gdy przyniesie je kelnerka — wystarczy, że pochyli się do przodu i wsunie jedzenie do ust ręką, zagarniając je jak łopatą. Fern złożyła zamówienie w imieniu swoim i Bailey'a. Widocznie ufał jej, że będzie wiedziała, na co ma ochotę.

Kelnerka nie zwróciła na nich większej uwagi. Ambrose pomyślał, że stanowią dość dziwaczne trio. Była północ, a knajpka była prawie pusta, tak jak zapewniała Fern. Ambrose widział ich odbicie w szybie okna przy stoliku i uznał, że razem tworzą komiczny obrazek.

Miał na głowie czarną wełnianą czapkę. Jego koszulka również

była czarna. Wziąwszy pod uwagę jego dużą posturę i usianą bliznami twarz, wyglądał naprawdę przerażająco, i gdyby nie towarzyszył mu chłopak na wózku i drobna dziewczyna z rudymi kucykami, ktoś mógłby go wziąć za jakąś postać z horroru.

Siedzenie w wózku Bailey'a było na nieco niższym poziomie niż ławki przy stoliku, dlatego Bailey robił wrażenie mniejszego i przygarbionego. Nie wyglądał na swoje dwadzieścia jeden lat. Miał na sobie koszulkę z filmu „Mistrzowski rzut” i czapkę z daszkiem założoną tyłem na przód, z której wystawały jego jasnobrązowe włosy. Fern miała dwa luźne kuczki, które opadały jej na ramiona i piersi w formie burzy loków. Miała na sobie wygodną koszulkę w kolorze cytrynowym, na której widniał napis informujący, że nie jest niska, tylko ma zabawny wzrost. Ambrose w pełni się zgadzał z tekstem na koszulce i przez krótką chwilę pomyślał, jak by to było pocałować jej uśmiechnięte usta i objąć rękami jej drobne ciało. Wyglądała jak MarryAnne z *Wyspy Gilligana*, z wyjątkiem koloru włosów. To było bardzo pociągające połączenie. Ambrose w myślach dał sobie kuksańca i odsunął tę myśl od siebie. Jedli naleśniki razem z Bailey'em. To nie była randka. Nie skończy się pocałunkiem na dobranoc. Nie dziś.

— Nie mogę się doczekać, aby w końcu zjeść — westchnęła Fern, uśmiechając się radośnie, gdy kelnerka odebrała od nich zamówienie. — Umieram z głodu.

Miękkie oświetlenie nad głową nie pozwalało mu niczego ukryć przed Fern, która teraz siedziała naprzeciwko niego, nie mógł na to nic poradzić. Oczywiście mógł spędzić posiłek, wyglądając przez okno i pokazując jej tylko ten „właściwy” policzek. Ale był głodny... i był już zmęczony ciągłym przejmowaniem się.

Ambrose ostatnio był u Larry'ego tamtego pamiętnego wieczoru, gdy w ostatniej klasie wygrał turniej stanowy. Wtedy był otoczony przez przyjaciół i wszyscy objedli się do nieprzytomności. Każdy zapaśnik wie, że nie ma nic lepszego niż jeść bez strachu przed porannym wazaniem. Sezon oficjalnie się skończył i większość z nich wiedziała, że już nigdy nie będzie musiała regularnie się ważyć. Świadomość końca dotarła do nich nieco później; tamtego wieczoru po prostu świętowali. Podobnie jak Bailey Ambrose nie musiał zaglądać do menu.

Gdy kelnerka przyniosła naleśniki, Ambrose uniósł do góry syrop klonowy, wznosząc niemy toast na cześć przyjaciół i tego pamiętnego wydarzenia. Oblał stos naleśników syropem, który spływając po bokach, pociągnął za sobą kawałek masła. Ambrose zebrał nożem masło i znów umieścił je na górze naleśników, obserwując, jak traci swój kształt i spływa równomiernie po bokach. Jadł, nie wtrącając się do rozmowy, ale Bailey mówił wystarczająco dużo za ich troje. Fern czasami dostawała szansę, żeby wtrącić swoje trzy grosze, ale tylko wtedy, gdy Bailey przełykał jedzenie. Bailey całkiem nieźle sobie radził z wkładaniem naleśników do ust, chociaż czasami ręce ześlizgiwały mu się ze stołu i Fern musiała podnieść je z powrotem. Gdy skończył jeść, Fern pomogła mu położyć ręce na podłokietnikach wózka. Zaraz potem Bailey się odezwał:

— Fern, nos mnie straszliwie swędzi.

Bailey próbował zmarszczyć nos, żeby pozbyć się uczucia dyskomfortu.

Fern podniosła jego rękę, podpierając ją w łokciu, a następnie położyła mu dłoń na nosie, tak aby mógł się podrapać i ulżyć sobie w cierpieniu. A potem odłożyła mu rękę z powrotem na kolana.

Zauważyła, że Ambrose im się przygląda, więc wyjaśniła mu:

— Jak próbuję sama go podrapać, to nigdy mi to nie wychodzi. Dlatego po prostu pomagam mu, żeby sam to zrobił.

— Tak. To nasza wersja dawania wędki zamiast ryby — dodał Bailey.

— O nie, miałem syrop na palcach i teraz mój nos się klei! — zaśmiał się Bailey, a Fern przewróciła oczami.

Zanurzyła koniuszek serwetki w swojej szklance z wodą i wytarła nią nos Baileya.

— Lepiej?

Bailey zmarszczył nos, badając go pod kątem zawartości syropu.

— Chyba ci się udało. Ambrose, od wielu lat próbuję się nauczyć polizać własny nos, ale niestety nie zostałem obdarowany odpowiednio długim językiem. — Bailey odwrócił się do Ambrose'a, po czym pokazał mu, jak daleko jest w stanie wyciągnąć język w kierunku swojego lewego nozdrza.

Ambrose uśmiechnął się, obserwując wysiłki Bailey'a, który zezował, próbując zobaczyć własny nos.

— To co, Ambrose, idziesz z nami jutro? Wybieramy się do Seely'ego na podwójny seans na dworze. Fern weźmie krzesła ogrodowe i przekąski, a ja zapewnię towarzystwo swojej wspaniałej osoby. Co ty na to?

Seely prowadził stare kino dla zmotoryzowanych, które wciąż stanowiło główną atrakcję miasteczka w okresie letnim. Ludzie potrafili jechać nawet dwie godziny, żeby obejrzeć film, leżąc z tyłu własnej ciężarówki albo siedząc na przednich siedzeniach samochodu.

Będzie ciemno. Nikt go nie zobaczy. Może być... fajnie. W myślach słyszał, jak chłopaki się z niego śmieją. Spędzi wieczór z Baileyem i Fern. Och, jakże nisko wielcy upadają.

Ambrose nie był w stanie skupić się na filmie. Dźwięk był słaby, a głośnik znajdował się bliżej tego ucha, na które nie słyszał, więc trudno było mu zrozumieć kwestie wypowiedane przez aktorów. Powinien inaczej się usadowić już na samym początku, ale chciał siedzieć z prawej strony Fern, tak aby widziała lewą stronę jego twarzy. Ona usiadła między nim a Baileyem, dbając o to, żeby Bailey miał wszystko, czego potrzebuje — kubek z napojem ustawiony tak, że bez trudu sięgał do słomki, a także spory zapas popcornu. Ambrose w końcu przestał śledzić fabułę filmu i skupił się na zewnętrznych odczuciach związanych z przebywaniem na dworze, włosami Fern powiewającymi na wietrze, zapachem popcornu, który go otaczał, i wonią lata wyczuwalną w powietrzu. Rok temu całe lato spędził w szpitalu. Jeszcze rok wcześniej był w Iraku. Nie chciał myśleć o Iraku. Nie teraz. Odsunął tę myśl od siebie i skupił się na parze siedzącej obok niego.

Bailey i Fern świetnie się bawili, śmiejąc się i uważnie słuchając. Ambrose był zachwycony ich niewinnością i umiejętnością doceniania małych przyjemności. Któregoś razu Fern zaśmiała się tak mocno, że aż parsknęła. Bailey to zauważył i potem przedrzeźniał ją przez resztę filmu, udając, że też parska śmiechem. Fern odwróciła się do Ambrose'a i przewróciła oczami, jakby potrzebowała jakiegoś moralnego wsparcia

w walce z wariatem siedzącym po jej lewej stronie.

Pod koniec pierwszego filmu na niebie pojawiły się ciężkie chmury, dlatego właściciel kina odwołał drugi seans w obawie przed nadchodzącą burzą. Fern szybko zebrała krzesła i śmieci, po czym wepchnęła Bailey'a na rampę prowadzącą do samochodu. Wtedy wszyscy usłyszeli głośny grzmot, a pierwsze ciężkie krople deszczu spadły na ziemię.

Pojechali na stację benzynową, która znajdowała się na przedmieściach Hannah Lake. Zanim Ambrose zdążył zaoferować swoją pomoc, Fern wyskoczyła z furgonetki i pobiegła w strugach deszczu zapłacić za benzynę. Była niesamowicie zaradna. Ambrose zastanawiał się, czy Fern myśli, że on wymaga tak samo dużo opieki jak Bailey. Na samą myśl o tym zrobiło mu się niedobrze. Czy tak właśnie postrzegali go inni ludzie?

— Fern ma syndrom brzydkiego kaczątka — powiedział zupełnie zniechęcająco Bailey. — Znany również jako SBK.

— Fern nie jest brzydka — powiedział Ambrose zdziwiony.

Niespodziewana uwaga Bailey'a odwiodła go od depresyjnych myśli.

— Teraz nie. Ale kiedyś była — przyznał otwarcie Bailey. — Miała wystające zęby i grube okulary. I zawsze była za chuda i blada. Nie wyglądała dobrze. Ani trochę.

Ambrose spojrzał zdegustowany na kuzyna Fern, a ten zaśmiał się, kompletnie zaskakując go tą reakcją.

— Nie możesz uderzyć faceta na wózku, Ambrose. Zresztą ja tylko żartowałem. Ciekawiło mnie, jak zareagujesz. Nie wyglądała aż tak źle. Ale przez cały okres dorastania uważała, że jest brzydka. Teraz nie zdaje sobie sprawy, jak bardzo wypiękniała. Jest naprawdę ładna. I jej wnętrze też jest piękne, co jest ubocznym skutkiem SBK. Dziewczyny, które nie potrafią przyciągnąć chłopaków wyglądem, muszą pracować nad swoją osobowością i inteligencją. Nie tak jak ty i ja, no wiesz, piękni ludzie — powiedział Bailey i uśmiechnął się szelmowsko, poruszając znacząco brwiami, a potem dodał: — Fern nie ma pojęcia, jaka jest piękna. Dlatego jest bezcenna. Postaraj się ją zdobyć, zanim to sobie uświadomi, Brosey.

Ambrose spojrział na Bailey'a nienawistnym wzrokiem. Nie chciał, żeby ktokolwiek nim manipulował, nawet Bailey Sheen. Wyszedł z furgonetki, nie odpowiadając na komentarz Bailey'a, i podszedł do dystrybutora. Nie chciał, żeby Fern stała w deszczu, podczas gdy on będzie siedział wygodnie na siedzeniu pasażera. Był początek lipca, więc deszcz wcale nie był zimny, ale padał tak rzęsiście, że Ambrose w kilka sekund przemókł do suchej nitki. Fern wybiegła ze stacji i zobaczyła, że Ambrose stoi przy dystrybutorze paliwa.

— Ja mogę to zrobić, Ambrose. Wracaj do środka! Przemokniesz!
— zawołała Fern, podchodząc do Ambrose'a i odgarniając włosy, które opadały jej na twarz.

Ambrose zobaczył, że na dystrybutorze pojawiła się opłacona kwota, więc bez słowa otworzył wlew baku, a następnie włożył do niego końcówkę wylotową węża. Fern stała skulona obok, a deszcz spływał jej po twarzy. Widać nie chciała, żeby mókł sam. Przebywając ciągle z Baileyem, przyzwyczaiła się, że sama musi wykonywać wszystkie fizyczne prace. Ale on nie był Baileyem.

— Wróć do samochodu, Fern. Umieję zatankować benzynę — powiedział krótko.

Mokra koszulka przykleiła jej się do ciała, dzięki czemu Ambrose mógł podziwiać całkiem przyjemne widoki. Zagryzł zęby i mocniej ścisnął końcówkę węża. Miał wrażenie, że zawsze gdy jest blisko Fern, całą swoją uwagę musi skupiać na tym, żeby na nią nie patrzeć.

Nagle po drugiej stronie dystrybutora zatrzymała się stara ciężarówka, a Ambrose instynktownie odwrócił głowę. Usłyszał zatrzaśnięcie drzwi, a zaraz potem odezwał się znajomy głos.

— Ambrose Young, czy to ty?

Niechętnie odwrócił się w stronę pytającego.

— To ty! A niech mnie. Jak się masz, kolego?

To był Seamus O'Toole, tata Beansa.

— Pan O'Toole. — Ambrose sztywno skinął głową, wyciągając w jego kierunku wolną rękę.

Seamus O'Toole ścisnął jego dłoń, a potem spojrział na twarz Ambrose'a i delikatnie zamrugał. Przecież twarz Ambrose'a była ofiarą tej samej bomby, która zabrała mu syna. Kiedy puszczał dłoń

Ambrose'a, jego usta drżały. Zawrócił do samochodu i coś powiedział do kobiety, która siedziała na miejscu pasażera. Wąż dystrybutora szarpnął, dając znać, że bak jest pełny, a Ambrose pożałował, że nie może szybko uciec, korzystając z tego, że Seamus jest odwrócony do niego plecami.

Luisa O'Toole wyszła z samochodu i podeszła do Ambrose'a, który w międzyczasie odłożył wąż dystrybutora na miejsce i czekał z rękami w kieszeniach. Luisa była drobną kobietą, niższą od Fern o kilka centymetrów. Miała najwyżej 152 centymetry. Beans miał wzrost (a raczej jego brak) po niej. Jej twarz również bardzo go przypominała. Ambrose poczuł, że robi mu się niedobrze. Szkoda, że nie został w domu.

Luisa O'Toole miała gwałtowny charakter, a jej mąż był raczej potulny. Beans mówił, że to przez mamę jego tata codziennie wieczorem pije, żeby wprawić się w lepszy nastrój. To był jedyny sposób, żeby jakoś z nią wytrzymać.

Luisa przeszła obok dystrybutora i stanęła przed Ambrose'em, podnosząc wysoko głowę, żeby móc spojrzeć mu w oczy. Nic nie powiedziała. Ambrose też milczał. Fern i Seamus przyglądali się temu spotkaniu, nie wiedząc, jak zareagować.

— To twoja wina — w końcu odezwała się Louisa łamaną angielszczyzną. — To twoja wina za wszystko. Mówiłam mu, nie jechać. Ale on jechać. Dla ciebie. Teraz on nie żyć.

Seamus prychnął i przeprosił za słowa żony, a potem wziął ją pod rękę. Ale ona wyrwała mu się i sama poszła do ciężarówki, nie spojrzawszy już więcej na Ambrose'a. Weszła do szoferki i głośno zatrzaskała za sobą drzwi.

— Ona jest po prostu smutna, chłopcze. Tęskni za nim. Nie chciała zrobić ci przykrości — powiedział łagodnie Seamus.

Ale obaj wiedzieli, że kłamał. Seamus poklepał dłoń Ambrose'a i skinął Fern na pożegnanie. A potem wrócił do ciężarówki i odjechał razem z żoną, zapominając o tankowaniu.

Ambrose nie mógł ruszyć się z miejsca. Jego koszulka była kompletnie przemoczona, a czarna czapka przykleiła mu się do głowy. Zdjął ją i rzucił przed siebie. Przeleciała nad parkingiem — mokry,

żałosny substytut rzeczy, które chciał zrobić, i wściekłości, która się w nim nagromadziła. Odwrócił się i zaczął iść, żeby być jak najdalej od Fern i tej okropnej sceny, której była świadkiem.

Fern pobięła za nim, ślizgając się na mokrej drodze i prosząc, żeby zaczekał. Ale on szedł, kompletnie ją ignorując. Musiał uciec. Wiedział, że Fern nie będzie go gonić. Na stacji w furgonetce siedział Bailey, który nie był w stanie sam wrócić do domu.

Rozdział 19.

Ułożyć układankę z tysiąca elementów

Ambrose szedł już jakieś pół godziny, kierując się w stronę domu. Po plecach spływały mu strugi deszczu. Jego dżinsy również były całkowicie przemoczone, a buty przy każdym kroku wydawały piszczący dźwięk. Żałował, że pozbył się czapki. Światła uliczne, które raz po raz mijał na drodze, oświetlały jego łysą głowę. Fakt, że nie mógł się niczym zakryć, sprawił, że poczuł się kompletnie bezbronny. Brak włosów na głowie przeszkadzał mu chyba jeszcze bardziej niż twarz. Przez to czuł się jeszcze większym dziwadłem. Dlatego gdy zobaczył światła samochodu podjeżdżającego do niego powoli od tyłu, zignorował je. Miał nadzieję, że jego wygląd odstraszy kierowcę, więc nie będzie chciał z nim zadzierać, nie mówiąc już o zaoferowaniu przejażdżki.

— Ambrose!

To była Fern. Była wystraszona i zmartwiona.

— Ambrose? Zawiozłam Bailey'a do domu. Proszę, wsiądź do samochodu. Zawiozę cię, gdzie tylko zechcesz... dobrze?

Po odwiezieniu Bailey'a Fern musiała przesiąść się do innego samochodu. Jechała starym sedanem, który należał do jej ojca. Ambrose wiele razy widział ten samochód zaparkowany przed kościołem.

— Ambrose? Nie zostawię cię tak. Jeśli będzie trzeba, to będę jechała za tobą przez całą noc!

Ambrose westchnął i spojrzał na nią. Pochyliła się nad siedzeniem pasażera i wyglądała przez okno z prawej strony samochodu, powoli jadąc obok niego. Jej twarz była blada, a pod oczami miała rozmazany tusz do rzęs. Włosy kleiły jej się do twarzy, a koszulka ściśle przylegała do pięknych piersi. Nawet nie poświęciła sekundy na to, żeby się przebrać w suche ubranie, tylko od razu za nim pojechała.

Coś w jego twarzy musiało jej powiedzieć, że wygrała, bo zatrzymała samochód i sięgnęła do klamki po stronie pasażera, żeby otworzyć drzwi. Ciepło płynące z grzejników w samochodzie sprawiło, że poczuł się, jakby został przykryty elektrycznym kocem. Mimowolnie się wzdrygnął. Fern wyciągnęła do niego ręce i mocno potarła jego ramiona, jakby był Bailey'em, a ona uratowała go przed śnieżycą, sama

ubrana w ciepły, wygodny strój. Podjechała na pobliski parking i przechyliła się do tyłu, sięgając po coś, co leżało na tylnym siedzeniu.

— Masz. Owiń się tym! — powiedziała, kładąc ręcznik na jego kolanach. — Wzięłam go z domu, gdy przesiadałam się do tego samochodu.

— Fern. Przestań. Nic mi nie jest.

— To nieprawda! Ona nie powinna ci mówić takich rzeczy! Nienawidzę jej! Będę rzucać kamieniami w okna jej domu i rozbiję wszystkie szyby! — Głos Fern się załamał.

Widać było, że jest bliska łez.

— Straciła syna, Fern — powiedział łagodnie Ambrose.

W chwili, gdy wypowiedział tę prostą prawdę, cała złość z niego uszła. Wziął ręcznik od Fern i spróbował wytrzeć nim jej loki, zupełnie tak samo, jak kiedyś sam suszył swoje włosy. Fern znieruchomiała, najwyraźniej nieprzyzwyczajona do tego, żeby mężczyzna robił coś przy jej włosach. Ambrose kontynuował swoje zabiegi, a Fern posłusznie przechyliła lekko głowę w jego kierunku i siedziała w milczeniu.

— Nie widziałem się z nikim z nich. Ani z rodziny Granta. Ani z Jessego. Nie widziałem też małego synka Marley i Jessego. Mama Pauliego przysłała mi koszyk ze smakołykami, gdy byłem w szpitalu. Ale wtedy miałem pozszywaną szczękę i musiałem rozdać większość jedzenia. Dostałem też od niej kartkę. Życzyła mi powrotu do zdrowia. Ona ma taki charakter jak Paulie. Jest kochana. Umie wybaczać. Ale jej też nie widziałem, od kiedy tutaj wróciłem, mimo że pracuje przy ladzie w piekarni. Dzisiaj po raz pierwszy spotkałem się z kimś z tych rodzin. I było tak, jak się spodziewałem. Wiem, że na to zasłużyłem.

Fern nie zaprzeczyła. Ambrose odniósł wrażenie, że chciała to zrobić, ale ona tylko westchnęła i chwyciła go za nadgarstki, odciągając jego dłonie od swoich włosów.

— Dlaczego pojechałeś, Ambrose? Przecież miałeś załatwione stypendium. To znaczy... rozumiem patriotyzm i chęć służenia własnemu krajowi, ale... nie chciałeś już walczyć w zapasach?

Nigdy z nikim o tym nie rozmawiał. Nigdy nie opowiadał o uczuciach, które wtedy go dręczyły. Postanowił, że zacznie od początku.

— Siedzieliśmy z tyłu auli: Beans, Grant, Jesse, Paulie i ja —

wspominał. — Chłopacy się śmiali i żartowali podczas prezentacji tego rekrutera, który zachęcał, żeby pójść do wojska. Nie dlatego, że go nie szanowali... wcale nie. Po prostu uważali, że żadna musztra w wojsku nie może być gorsza niż treningi zapaśnicze u trenera Sheena. Każdy zapaśnik wie, że nie ma nic gorszego niż to, jak pod koniec ciężkiego treningu, gdy jesteś głodny, zmęczony i obolały, słyszysz, że masz zrobić kilka okrążeń. Do tego jeszcze dochodzi świadomość, że jeśli nie podniesiesz tyłka, to zawiedziesz pozostałych zawodników z drużyny, bo za karę trener każe zrobić wszystkim jeszcze jedno okrążenie.

Myśleliśmy, że wojsko nie może być gorsze niż sezon zapaśniczy. Na pewno nie. Nie baliśmy się zaciągnąć. A przynajmniej nie tak, jak większość innych chłopaków. Ja traktowałem to jak szansę, żeby stąd uciec i trochę dłużej pobyc z nimi wszystkimi. Nie chciałem iść do college'u. Jeszcze nie. Czułem, że wszyscy w miasteczku pokładają we mnie wielkie nadzieje i bałem się, że ich zawiodę, jeśli zrobię coś źle albo nie osiągnę dobrych wyników na Uniwersytecie Pensylwanii. Spodobał mi się pomysł, żeby zostać bohaterem innego rodzaju. Zawsze chciałem być żołnierzem, tylko nikomu o tym nie mówiłem. Po zamachach z jedenastego września czułem, że powinienem tak postąpić. Dlatego przekonałem chłopaków, żeby też zaciągnęli się do wojska. Najłatwiej było namówić Beansa. A potem po kolei przekonywaliśmy pozostałych. Paulie miał największe opory. Trenował zapasy już od czterech lat i robił to, co chciał. Zapasy nigdy nie były jego pasją, ale po prostu był w tym świetny. Do tego trener Sheen zastępował mu w jakimś stopniu ojca, którego nie miał. Paulie chciał zostać muzykiem i jeździć na trasy koncertowe ze swoją gitarą. Ale był dobrym przyjacielem. Kochał nas. Dlatego w końcu do nas dołączył, tak jak zawsze.

W tym momencie głos Ambrose'a się załamał. Zaczął wściekle drapać się po policzku, jakby chciał wymazać koniec swojej opowieści i zmienić to, co wydarzyło się później.

— Dlatego pojechaliśmy tam wszyscy. Mój tata płakał, a ja czułem się zażenowany. Dzień przed naszym wyjazdem na szkolenie dla rekrutów Jesse sporo wypił; wtedy właśnie Marley zaszła z nim w ciążę. Nigdy nie poznał swojego synka. Powinienem odwiedzić Marley, ale nie mogę. Grant jako jedyny traktował to naprawdę poważnie. Powiedział

mi, że nigdy nie modlił się tak bardzo jak w noc przed wyjazdem do Iraku. A ten dzieciak zawsze się modlił. To dlatego ja przestałem już się modlić. Skoro Grant mimo to zginął, ja nie zamierzam tracić czasu na modlitwy.

— Bóg postanowił cię oszczędzić — powiedziała Fern, wcielając się trochę w rolę swojego taty pastora.

— Uważasz, że Bóg mnie oszczędził? — zapytał zszokowany Ambrose i spojrzał na Fern z niedowierzaniem. — I jak się przez to czuje mama Paula Kimballa? Albo rodzice Granta? Albo dziewczyna Jessego? Jak się poczuje ich malutki synek, gdy dorośnie na tyle, żeby zrozumieć, że miał tatę, którego nigdy nie pozna? Wiemy już, co myśli na ten temat Luisa O'Toole. Jeśli Bóg mnie oszczędził, to dlaczego nie uratował ich? Czy moje życie jest cenniejsze? Czyli co, ja jestem wyjątkowy... a oni nie?

— Oczywiście, że nie — zaprotestowała Fern, nieco podnosząc głos w reakcji na nagły wybuch Ambrose'a.

— Nie rozumiesz, Fern? Dużo łatwiej jest się z tym pogodzić, jeśli założysz, że Bóg nie miał z tym nic wspólnego. Wtedy mogę po prostu uznać, że takie jest moje życie. Nikt nie jest wyjątkowy, a już samo słowo *nikt* sugeruje brak wyjątkowości. Rozumiesz, o co mi chodzi? Pogodziłem się z tym. Ale nie potrafię zaakceptować tego, że twoje modlitwy są wysłuchiwane, a ich modlitwy nie. To mnie wkurza. Czuję się bezsilny i zdesperowany. Nie potrafię tak żyć.

Fern skinęła głową i pozwoliła, żeby słowa Ambrose'a wybrzmiały w zaparowanym wnętrzu samochodu. Nie zamierzała się z nim sprzeczać, ale po chwili odezwała się.

— Mój tata zawsze cytuje Pismo Święte. Kiedy czegoś nie rozumie, zawsze tam szuka odpowiedzi. Powiem ci cytat, który słyszałam tyle razy w swoim życiu, że stał się dla mnie swoistą mantrą: bo myśli moje nie są myślami waszymi ani wasze drogi moimi drogami; wyrocznia Pana. Bo jak niebiosy górują nad ziemią, tak drogi moje nad waszymi drogami i myśli moje nad myślami waszymi.

— Co to w ogóle znaczy, Fern? — westchnął Ambrose, już trochę spokojniejszy.

— Myślę, że chodzi o to, że nie rozumiemy wszystkiego i nigdy

nie rozumiemy. Może na twoje pytania nie da się odpowiedzieć. Nie dlatego, że tych odpowiedzi nie ma, ale dlatego, że my byśmy ich nie rozumieli.

Ambrose podniósł brwi z zaciekawieniem.

— Może jest jakiś większy sens, jakieś większy obraz, którego my jesteśmy tylko małym elementem. Wiesz, tak jak w tych puzzlach z tysiąca elementów. Patrząc na jeden element, nie jesteś w stanie stwierdzić, jak będzie wyglądać cała układanka. A tutaj niestety nie ma obrazka na pudełku, który pomógłby nam spojrzeć na wszystko jak na całość. — Fern uśmiechnęła się nieśmiało, z wahaniem, jakby nie była pewna, czy to, co mówi, ma jakikolwiek sens. Ambrose nadal milczał, więc mówiła dalej.

— Może każdy człowiek to jeden element układanki. Wszyscy pasujemy do siebie i tworzymy coś wspaniałego, co nazywamy życiem. Nikt z nas nie wie, jaką rolę odgrywa ani jak to się wszystko skończy. Może cuda, które widzimy, to tylko wierzchołek góry lodowej. A może po prostu nie potrafimy sobie uświadomić, ile dobrego mogą nam przynieść różne okropne wydarzenia.

— Jesteś naprawdę dziwną dziewczyną, Fern Taylor — powiedział łagodnie Ambrose, patrząc jej w oczy. Prawym okiem nic nie widział, ale lewym próbował zajrzeć w głąb jej duszy. — Widziałem, jakie książki czytasz. Na okładkach mają dziewczyny z wielkimi cyckami i facetów w podartych koszulkach. Czytasz nieprzyzwoite romanse i cytujesz Pismo Święte. Nie wiem, co o tobie myśleć.

— Pismo Święte daje mi ukojenie, a romanse dają mi nadzieję.

— Tak? Nadzieję na co?

— Na to, że w najbliższej przyszłości będę robić coś więcej niż rozmawiać o Piśmie Świętym z Ambrose'em Youngiem — powiedziała podniesionym głosem Fern i zaczęła intensywnie wpatrywać się w swoje dłonie.

Ambrose nie wiedział, co powiedzieć. Po chwili napiętej ciszy Fern włączyła silnik i powoli wróciła na mokrą drogę.

Ambrose myślał o tym, co powiedział Bailey, o Syndromie Brzydkiego Kaczątka, na który cierpiała Fern — SBK. Może Fern podrywała go dlatego, że był brzydki. Mając na uwadze własne

przeżycia z okresu SBK, uznała, że tak powinna postąpić. A może on też ma SBK i dlatego chwyta każdy okruszek, jaki rzuci mu ładna dziewczyna. Ale Fern nie rzuciła mu okruszka. Dała mu całe ciastko i nerwowo czekała, aż on je ugryzie.

— Dlaczego? — wyszeptał.

Wzrok miał utkwiony przed siebie.

— Co dlaczego? — spytała, a w jej głosie można było usłyszeć nutkę zażenowania.

Najwyraźniej nie miała w zwyczaju rzucać ciastek mężczyznom, brzydkim czy też nie.

— Dlaczego zachowujesz się tak, jakbym był starym Ambrose'em? Jakbyś chciała, żebym cię pocałował? Jakby nic się nie zmieniło od czasów szkolnych?

— Niektóre rzeczy się nie zmieniły — odpowiedziała mu cicho.

— Przegapiłaś najnowsze wiadomości, Fern Taylor — wykrzyknął nagle Ambrose, uderzając ręką o deskę rozdzielczą tak gwałtownie, że Fern aż podskoczyła. — Wszystko się zmieniło! Ty jesteś piękna, ja jestem ohydny, ty mnie już nie potrzebujesz, a ja ciebie cholernie!

— Mówisz tak, jakby tylko ładny człowiek był wart miłości — odparowała Fern. — Ja k-kochałam się w tobie nie tylko dlatego, że byłeś przystojny! — powiedziała słowo na „k” na głos, choć trochę się przy nim zająknęła.

W tym momencie podjechała pod dom Ambrose'a. Wyłączyła silnik, zanim jeszcze samochód zdążył się zatrzymać, przez co pojazd gwałtownie szarpnął.

Ambrose pokręcił głową, jakby jej nie wierzył. Sięgnął do klamki. W tym momencie Fern pękła, jakby nagły przyływ złości dał jej odwagę do wyznania rzeczy, których w innych okolicznościach nigdy by nie powiedziała. Chwyła Ambrose'a za ramię, zmuszając go, żeby odwrócił się do niej i spojrzał jej w oczy.

— Zakochałam się w tobie wtedy, gdy pomogłeś mi zakopać tamtego pająka w ogrodzie i śpiewałeś ze mną piosenkę o małym pająku, jakby to była jakaś pieśń kościelna. Szaleję za tobą, od kiedy zacytowałeś Hamleta tak, jakbyś go rozumiał, i od kiedy powiedziałeś, że bardziej lubisz diabelski młyn od kolejki górskiej, bo nie powinno się

żyć na najwyższych obrotach, tylko doceniać każdy dzień. Wielokrotnie czytałam twoje listy do Rity, ponieważ czułam, że otworzyłeś w nich małe okienko do swojej duszy, a z każdego twojego słowa wylewało się światło. Wiedziałam, że nie pisałeś do mnie, ale to nie miało znaczenia. Pokochałam każde słowo, każdą myśl, i pokochałam ciebie... tak bardzo.

Ambrose z sykiem wypuścił wstrzymywane powietrze, wciąż patrząc Fern w oczy. A ona mówiła dalej, coraz słabszym głosem, który w końcu zamienił się w szept.

— Kiedy usłyszałam wiadomość... o minie pułapce w Iraku... Wiesz, że najpierw zadzwonili do mojego taty? Pojechał razem z funkcjonariuszami, żeby powiadomić rodziny.

Ambrose pokręcił głową. Nie wiedział o tym. Nigdy nie pozwolił sobie na rozmyślanie o tym, jak mógł wyglądać dzień, w którym rodziny dowiedziały się o tej tragedii.

— A ja myślałam tylko o tobie. — Fern wstrzymywała łzy, a jej rozpacz był tak wielka, że Ambrose poczuł silne ukłucie w sercu. — Byłam załamana tym, że oni zginęli... zwłaszcza Paulie. Ale myślałam tylko o tobie. Na początku nie wiedzieliśmy, co ci się stało. Obiecałam sobie, że jeśli wrócisz do domu, to nie będę się bała ci powiedzieć, co czuję. Ale wciąż się boję. Bo nie jestem w stanie sprawić, żebyś ty też mnie pokochał.

Ambrose wyciągnął do niej rękę i mocno ją objął. Był to dziwny uścisk, z drażniącym zmianą biegów pomiędzy nimi, ale Fern położyła głowę na ramieniu Ambrose'a, a on pogładził jej włosy, zdziwiony, o ile lepiej się czuje, pocieszając ją, niż samemu będąc pocieszanym. Od wielu miesięcy jest otaczany zewsząd opieką — czy to ze strony Elliotta i mamy, czy pracowników szpitala, w którym spędził wiele długich miesięcy. Ale od momentu ataku nigdy nikogo nie pocieszał, nigdy nie był w sytuacji, żeby ktoś wypłakiwał się na jego ramieniu. Nigdy nie brał na siebie ciężaru smutku drugiej osoby.

Po chwili Fern się odsunęła i wytarła oczy. Ambrose nic nie powiedział. Nie ujawnił swoich uczuć ani nie zareagował na jej miłosne wyznanie. Miał nadzieję, że Fern tego od niego nie oczekuje. Nie miał pojęcia, jak się czuje. Był związany milionem węzłów i nie mógł

powiedzieć czegoś, czego nie czuł, tylko po to, żeby naprawić sytuację. Ale podziwiał ją za to, że odważyła się powiedzieć mu to wszystko. Mimo tego, że był zrozpaczony i zdezorientowany, wierzył jej. Wierzył, że ona go kocha. I to budziło w nim pokorę. Może kiedyś, gdy węzły zostaną rozwiązane, ta chwila do niego powróci i powiąże go z nią. A może jej miłość po prostu rozluźni więzy i pozwoli mu się z nich wydostać.

Rozdział 20.

Kupić sobie zwierzaka

Wyznanie Fern na nowo ukształtowało relacje między nimi. Ambrose przestał już chować przed nią twarz i ukrywać się w kuchni. Częściej się uśmiechał. A nawet się śmiał. Fern zauważyła, że czasami się z nią przekomarza. Czasami nocą, gdy sklep był już zamknięty, specjalnie do niej przychodził. Którejś nocy zastał ją siedzącą nieruchomo przy kasie, pogrążoną w jakiejś scenie miłosnej.

Fern zaczęła czytać romanse, gdy miała trzynaście lat. Zakochała się w Gilbercie Blythe z *Ani z Zielonego Wzgórza* i od tamtego czasu szukała kolejnych bohaterów, których mogłaby pokochać tak samo mocno jak jego. Wtedy odkryła Harlequina. Mama pewnie padłaby trupem przy swojej miętowej herbacie, gdyby się dowiedziała, ile zakazanych romansów przeczytała jej córka podczas wakacji przed rozpoczęciem ósmej klasy, a od tamtego czasu Fern miała jeszcze milion następnych kochanków z książek.

Ambrose wyrwał Fern książkę z rąk i szybko otworzył ją na stronie, którą właśnie czytała. Naskoczyła na niego zawstydzona, bo nie chciała, żeby zobaczył, co tak bardzo przyciągnęło jej uwagę. Ale on tylko trzymał książkę na poziomie oczu, a drugą ręką mocno złapał Fern, uniemożliwiając jej jakiegokolwiek ruchy i odbierając nadzieję na odzyskanie książki. Był jak osioł, duży, niewzruszony i silny, a wszystkie próby uwolnienia się podejmowane przez Fern kończyły się niepowodzeniem. W końcu Fern poddała się i smutno zwiesiła głowę. Jej policzki promieniowały gorącem. Wstrzymywała oddech, czekając, aż Ambrose wybuchnie śmiechem. Ale on tylko czytał po cichu przez kilka minut.

— Hm — powiedział nieco zmieszanym głosem. — Więc... to było interesujące.

Nieco rozluźnił uścisk, a Fern szybko mu się wyrwała. Włożyła luźny kosmyk włosów za ucho i zaczęła nerwowo rozglądać się wokół siebie, patrząc na wszystko, tylko nie na Ambrose'a.

— Co jest interesujące? — spytała zaczepnie, jak gdyby jeszcze przed kilkoma sekundami nie kuliła się z zażenowania.

— Dużo czytasz takich książek? — odpowiedział jej pytaniem.

— Hej, nie oceniał, zanim nie spróbujesz — powiedziała Fern niepewnym głosem i wzruszyła ramionami, jakby w środku wcale nie umierała.

— Ale tu nie ma nic więcej.

Ambrose dźgnął Fern palcem w bok. Ponownie się zawstydzila i odtrąciła jego rękę.

— Nigdy tego nie próbowałaś... prawda?

Fern spojrzała mu prosto w oczy i ze zdziwienia otworzyła lekko usta.

— Prawda? — powtórzył Ambrose, nie odrywając od niej oczu.

— Czego nie próbowałaś? — wysyczała Fern, zszokowana tym pytaniem.

— Spójrzmy — powiedział Ambrose i przekartkował kilka stron.

— Co powiesz na to?

Powoli zaczął czytać, a jego głęboki głos dudnił mu w klatce piersiowej, sprawiając, że serce Fern zaczęło bić jak zwariowany bębniarz.

— „... rzucił ją na poduszki i dotknął jej nagiej skóry, podążając wzrokiem za swoimi dłońmi. Jej piersi rosły w gorączkowym oczekiwaniu...”.

Fern znów desperacko sięgnęła po książkę. Tym razem udało jej się wytrącić ją z rąk Ambrose'a. Pod wpływem uderzenia książka przeleciała nad kilkoma kasami i wylądowała w sklepowym wózku.

— Próbowalaś tego?

Ambrose był śmiertelnie poważny, ale jego zdrowe oko błyszczało radośnie. Fern wiedziała, że po cichu się z niej śmieje.

— Tak! — wyparowała. — I to wiele razy. To jest... cudowne! Uwielbiam to!

Wzięła do ręki butelkę ze środkiem czyszczącym i szmatkę, które leżały na półeczce pod kasą, i zaczęła gorączkowo sprzątać swoje miejsce pracy, mimo że było ono nieskazitelnie czyste.

Ambrose przybliżył się do niej tak bardzo, że z jej kucyka wyslizgnęło się kilka kosmyków i opadło jej na policzki, a potem wyszeptał do jej ucha:

— Z kim?

Fern przestała sprzątać ladę i spojrzała na niego z wściekłością. Dzieliło ich zaledwie kilka centymetrów.

— Przestań, Ambrose! Zawstydzasz mnie.

— Wiem, Fern — powiedział Ambrose, a jego słowom towarzyszył rozbrajający, asymetryczny, szeroki uśmiech. — Ale nic na to nie poradzę. Jesteś tak cholernie urocza.

W chwili, gdy wypowiedział te słowa, wyprostował się, jak gdyby ten zaczepny komentarz go zaskoczył, i odwrócił się na pięcie nagle zawstydzony tak samo jak ona. Z głośników sączyła się standardowa sklepowa muzyka, która brzmiała trochę jak Barry Manilow. Fern nagle pożałowała, że ofuknęła Ambrose'a. Powinna mu pozwolić, żeby dalej się z nią droczył. Przez chwilę był taki radosny, taki młody, a teraz znowu zeszywniał, odwrócił się od niej i znów ukrył twarz. Ambrose bez słowa ruszył w kierunku piekarni.

— Nie idź, Ambrose — zawołała. — Przepraszam. Masz rację. Nie próbowałam żadnej z tych rzeczy. Jesteś jedynym facetem, który mnie pocałował, i do tego jeszcze po pijaku. Możesz się ze mnie nabijać do woli.

Ambrose zatrzymał się i powoli odwrócił w jej kierunku. Przez kilka sekund myślał nad tym, co powiedziała, a potem zapytał:

— Jak to możliwe, że dziewczyna taka jak ty... dziewczyna, która uwielbia romanse i pisze wspaniałe listy miłosne — zaczął, a Fern poczuła, że na chwilę jej serce stanęło — jak taka dziewczyna zdołała przejść przez całe liceum niepocałowana przez nikogo?

Fern przełknęła ślinę, a jej serce nagle szarpnęło i wznowiło swoją pracę. Ambrose patrzył na nią, czekając na odpowiedź.

— To proste, jeśli masz rude włosy, wzrost dwunastolatki i nosisz okulary i aparat na zębach aż do ostatniej klasy — powiedziała sucho, bez trudu wyznając mu prawdę.

Była gotowa zrobić wszystko, żeby znów nie zobaczyć tej pustki w jego oczach.

Ambrose się uśmiechnął i trochę się rozluźnił.

— A więc wtedy nad jeziorem to był twój pierwszy pocałunek? — powiedział, nie dowierzając.

— Tak. Przeżyłam swój pierwszy pocałunek z najukochańszym Ambrose’em Youngiem. — Fern uśmiechnęła się szeroko i wymownie poruszyła brwiami.

Ale Ambrose się nie zaśmiał. Nawet się nie uśmiechnął. Przez chwilę patrzył badawczo na Fern.

— Czy ty się ze mnie nabijasz, Fern?

Fern gorączkowo pokręciła głową, zastanawiając się, dlaczego zawsze mówi nie to, co trzeba.

— Nie! Ja tylko... się wygłupiałam. Chciałam cię znowu rozśmieszyć!

— To rzeczywiście całkiem zabawne — potwierdził Ambrose. — Najukochańszy Ambrose Young... taa. To dopiero powód do dumy, nie? Pocałunek brzydkiego sukinsyna, którego nienawidzi połowa miasteczka — Ambrose odwrócił się i poszedł do piekarni bez słowa.

Barry Manilow płakał za dziewczyną o imieniu Mandy, a Fern miała ochotę zapłakać razem z nim.

Fern zamknęła sklep o północy, tak jak zawsze w dni robocze. Nigdy nie bała się zamykać sklepu o tej porze i wracać do domu na rowerze, który przywiązywała łańcuchem przed wejściem dla pracowników.

Nawet nie rozglądała się dookoła, gdy pchnęła ciężkie drzwi wejściowe i zamykała je na klucz. Zazwyczaj jej myśli krążyły już wokół powrotu do domu i książki, którą pisała.

— Fern? — usłyszała jego głos z lewej strony i zanim zdążyła zareagować, została popchnięta na ścianę budynku. Uderzyła głową o mur i wzdygnęła się, gdy zobaczyła twarz napastnika.

Parking był słabo oświetlony z przodu, a z tyłu sklepu w ogóle nie było żadnej lampy. Fern nigdy to nie przeszkadzało. Delikatne światło księżycy niewiele pomagało, ale zdołała rozpoznać szerokie ramiona Ambrose’a i jego zacienioną twarz.

— Ambrose?

Podtrzymał jej głowę rękami, jakby chciał ukoić jej ból po

uderzeniu o twardą ścianę. Fern ledwie sięgała mu do ramion, więc podniosła głowę, próbując zobaczyć jego twarz. Jednak jego motywy były ukryte pod płaszczem ciemności. Fern zaczęła się gorączkowo zastanawiać, czy Ambrose jest niebezpieczny i czy nie doznał poważniejszych obrażeń niż te widoczne na jego skórze. Ale nie zdążyła rozwinąć tej myśli, bo Ambrose pochylił głowę i delikatnie dotknął jej ust.

Poczuła szok i zaskoczenie, zapominając o pierwotnym strachu. Jej uwaga natychmiast skoncentrowała się na szorstkim dotyku ust Ambrose'a. Poczuła drapiący zarost na jego lewym policzku, ciepło jego oddechu, gładkość ust i delikatny smak cynamonu i cukru, jakby niedawno skosztował którejs z babeczek własnego wypieku. Miała wrażenie, że brakuje mu pewności siebie, co kontrastowało z jego agresywnym wyglądem. Może myślał, że go odepchnie, ale ona tego nie zrobiła. Poczuła jego łaskoczący oddech na ustach, a ręce, które przed chwilą podtrzymywały jej głowę, ześlizgnęły się na jej ramiona. Ambrose przyciągnął ją do siebie i mocniej przycisnął usta do jej ust.

Fern poczuła uderzenie gorąca w brzuchu, które szybko rosło, przenosząc się na jej otępiałe kończyny i zaciśnięte pięści. Od razu zrozumiała. To było pożądanie. Pragnienie. Żądza? Nigdy wcześniej nie czuła żądzy. Ale wystarczająco dużo się o niej naczytała. Jednak samodzielne jej doświadczanie było dla niej czymś zupełnie nowym. Wyprostowała się i objęła dłońmi twarz Ambrose'a, przytrzymując go blisko siebie w nadziei, że zaraz nie zmieni zdania. Zauważyła kontrast między jego lewym a prawym policzkiem, ale nierówności i wypukłości na prawej części jego twarzy nie miały większego znaczenia, gdy jego piękne usta przesuwają się po jej własnych.

Nagle przestał ją całować. Wyswobodził swoją twarz z jej dłoni i chwycił jej nadgarstki w swoje duże ręce. Fern szukała jego twarzy w ciemności.

— No. Teraz było dużo lepiej niż za pierwszym razem — wymruczał, nie zwalniając uścisku.

Fern kręciło się w głowie od bliskiego kontaktu z Ambrose'em. Była pod tak silnym wrażeniem tego, co się przed chwilą stało, że kompletnie zabrakło jej słów. Ambrose uwolnił jej nadgarstki i wrócił

wolnym krokiem do piekarni bez żadnego pożegnania. Fern patrzyła, jak zamykają się za nim drzwi, a jej serce skakało jak mały szczeniak szalejący z tęsknoty. Jeden pocałunek z pewnością jej nie wystarczy.

Następnego nocy Bailey Sheen wjechał o północy do piekarni, jakby był jej właścicielem. Najwyraźniej wpuściła go Fern, ale nie było jej nigdzie w pobliżu. Ambrose próbował sobie wmówić, że nie jest rozczarowany. Kot, z którym przyjechał Bailey, zaczął sprawdzać zakamarki piekarni, jakby był jej współwłaścicielem.

— Tutaj nie można wchodzić ze zwierzętami, Sheen.

— Koleś, rozmawiasz z inwalidą. Chcesz mi powiedzieć, że nie mogę tu przychodzić z moim kotem przewodnikiem? Tak naprawdę to może być też twój kot przewodnik, skoro jesteś niewidomy. Jedną z korzyści bycia tak żalną postacią jak ja jest to, że zazwyczaj dostaję to, czego chcę. Słyszałeś, Danie Gable? On nazwał cię zwierzęciem. Bierz go, dalej!

Kot jednak skupił się na obwąchiwaniu jednego z wysokich metalowych regałów, całkowicie ignorując Bailey'a.

— Nazwałeś swojego kota Dan Gable?

— Tak. Dan Gable Sheen. Dostałem go, gdy miałem trzynaście lat. Mama zabrała mnie i Fern na farmę z okazji moich urodzin. Każde z nas wybrało dla siebie jednego małego kociaka. Ja nazwałem swojego Dan Gable, a Fern dała swojej kotce imię Nora Roberts.

— Nora Roberts?

— Tak. To chyba jakaś pisarka. Fern ją uwielbia. Niestety Nora Roberts zaszła w ciążę i zmarła podczas porodu.

— Pisarka?

— Nie! Kotka. Fern nigdy nie miała szczęścia do zwierząt. Obdarza je taką troską i czułością, a one się jej odwdzięczają, odwalając kitę. Fern jeszcze się nie nauczyła, jak odgrywać trudną do zdobycia.

Ambrose to w niej lubił. Fern nigdy niczego nie udawała. Ale nie zamierzał dzielić się tym spostrzeżeniem z Bailey'em.

— Próbowałem nauczyć Dana Gable'a kilku chwytów zapaśniczych, bo uważam, że jego imię do tego zobowiązuje, ale na razie

jedyne, co potrafi, to się rozciągać. No ale nie ukrywajmy, że rozciąganie to jedna z kluczowych umiejętności, a Dan Gable radzi sobie z tym lepiej niż ja — powiedział Bailey z uśmiechem.

Dan Gable był zapaśnikiem i zdobywcą złotego medalu olimpijskiego. Podczas tamtych mistrzostw nie stracił ani jednego punktu. Ukończył Uniwersytet Stanowy Iowy z tylko jedną przegraną, a potem został trenerem drużyny Iowa Hawkeyes. Był prawdziwą legendą sportu. Ambrose pomyślał, że chyba nie poczułby się szczególnie wyróżniony, gdyby się dowiedział, że ktoś nazwał kota jego imieniem.

Dan Gable — kot — przez chwilę ocierał się o nogę Ambrose'a, ale zostawił go, gdy Bailey postukał koniuszkami palców w uda. Wskoczył mu na kolana, za co został nagrodzony głaskaniem i pochwałami.

— Ponoć zwierzęta wspaniale pomagają w terapii. Tak naprawdę miałem dostać szczeniaka. Jak to mówią, pies to najlepszy przyjaciel człowieka. Chcieli mi kupić psa, który będzie kochał tylko mnie, dzieciaka niezdolnego do chodzenia. Teraz w tle zaczynają grać skrzypce. Ale mama się nie zgodziła. Kiedy ją o to poprosiłem, usiadła przy stole kuchennym i zaczęła płakać.

— Dlaczego? — spytał Ambrose zdziwiony.

Z tego, co wiedział, Angie Sheen była wspaniałą mamą. To zupełnie do niej nie pasowało, żeby nie zgodziła się na kupno psa dla chłopca, który nie mógł chodzić i potrzebował lojalnego towarzysza... a teraz w tle widać delikatnie oświetlony dom na farmie w poranek świąt Bożego Narodzenia.

— Wiesz, że nie umiem sam podetrzeć sobie tyłka? — spytał Bailey, patrząc Ambrose'owi prosto w oczy.

Nie uśmiechał się.

— Hm, no — odpowiedział Ambrose skrepowany.

— Wiesz, że jak za bardzo się pochyle, żeby po coś sięgnąć, to nie jestem w stanie już się wyprostować? Kiedyś tak siedziałem przez pół godziny, wisząc na własnych kolanach, dopóki mama nie wróciła z zakupów i nie posadziła mnie z powrotem na wózku we właściwej pozycji.

Ambrose nic nie powiedział.

— Wiesz, że moja mama, która waży 55 kilo, jest w stanie wziąć mnie pod rękę i przenieść na krzesło stojące w kabinie prysznicowej? Myje mnie, ubiera, myje mi zęby i czesze włosy. Wszystko przy mnie robi. Nocą pełni dyżury razem z tatą. Na zmianę przychodzą do mojego pokoju i obracają mnie w łóżku, bo sam nie umiem tego zrobić, a gdybym nie zmieniał pozycji, dostałbym odleżyn. Robią to, od kiedy skończyłem czternaście lat, każdej nocy.

Ambrose poczuł, że w jego gardle rośnie wielka kula, ale Bailey mówił dalej.

— Dlatego gdy powiedziałem, że chcę szczeniaka, chyba coś w niej pękło. Nie miała siły opiekować się następnym stworzeniem. Dlatego poszliśmy na kompromis. Koty wymagają dużo mniejszej opieki, wiesz? W garażu trzymamy kocią karmę i kuwetę. Zazwyczaj to Fern karmi Dana Gable'a i zmienia mu żwirek. Myślę, że zawarła z moją mamą umowę, gdy oboje dostaliśmy kociaki, chociaż żadna z nich nigdy się do tego nie przyznała.

— Cholera.

Ambrose przebiegł dłonią po gładkiej głowie, wstrząśnięty i przepełniony żalem. Nie wiedział, co powiedzieć.

— Kiedy zamierzasz wrócić do zapasów, Brosey? — Bailey użył zdrobnienia, którego kiedyś używali koledzy z paczki. Ambrose czuł, że zrobił to celowo. — Widzę, że chcesz znów walczyć. Posiadanie kota o imieniu Dan Gable nie wystarczy.

Dan Gable zamiauczał i zeskokczył z kolan Bailey'a, jak gdyby ten komentarz mu się nie spodobał.

— I tak to od niechcienia porzuca kalekę — powiedział tragizującym głosem Bailey i westchnął.

— Nic nie widzę i nie słyszę z prawej strony, Bailey. Nie widzę, gdy ktoś do mnie podchodzi! Przeciwnik byłby w stanie pokonać mnie tak szybko, że nawet nie zdążyłbym go zobaczyć. A do tego mam problemy z równowagą. Utrata słuchu sprawiła, że odbieram wszystko inaczej niż zdrowy człowiek. Naprawdę nie chciałbym, żeby gapiała się na mnie cała sala kibiców.

— Czyli co, zamierzasz dalej piec ciastka?

Ambrose spiorunował go wzrokiem, ale ten uśmiechnął się tylko

szeroko.

— Ile potrafisz wycisnąć, Brosey?

— Przystaniesz mnie tak nazywać?

Bailey spojrział na niego, szczerze zdziwiony.

— Dlaczego?

— Bo to... to... po prostu mów na mnie Ambrose.

— No to jak, 150 kilo, 200 kilo? Ile?

Ambrose znów rzucił ostre spojrzenie Baileyowi.

— Nie potrafisz mi odpowiedzieć — ocenił Bailey. — Widzę to.

Być może i masz słuszną posturę, ale jesteś w rozsypce. Jesteś wysoki i postawny, ale nie masz już tej siły co kiedyś.

„I to mówi chłopak, który nigdy w życiu nie podniósł ciężaru” — pomyślał Ambrose, po czym pokręcił głową i włożył kolejną tacę z ciastkami do pieca. Tak, z ciastkami.

— Po co to wszystko? Masz wspaniałe ciało, jesteś duży i silny. Chcesz je zachować tylko dla siebie? Musisz pokazać je światu, koleś.

— Gdybym nie znał cię lepiej, pomyślałbym, że mnie podrywasz — powiedział Ambrose.

— Czy codziennie stajesz przed lustrem i napinasz mięśnie? Mówię serio, jeśli nie interesują cię zapasy, to poszukaj pracy w branży filmów dla dorosłych. A przynajmniej nie pozwól, żeby twoje ciało kompletnie się zmarnowało.

— Znowu to samo... gadacie o rzeczach, o których nic nie wiecie — powiedział Ambrose. — Fern czyta romanse, a ty nagle zamieniasz się w Hugh Hefnera. Żadne z was nie ma prawa wygłaszać mi kazań na jakikolwiek temat.

— Fern dawała ci kazanie? — Bailey wyglądał na zaskoczonego i zupełnie nieurazonego tym, że Ambrose praktycznie zasugerował, że Bailey nie wie nic o życiu, bo jest przykuty do wózka.

— Fern zostawia mi inspirujące cytaty — wyjaśnił.

— Ach... To do niej pasuje. Jakie na przykład? Uwierz w siebie? Sięgaj wysoko? Ożeń się ze mną?

Ambrose zakrztusił się, po czym wybuchnął śmiechem mimo trudnego tematu rozmowy.

— No dalej, Bros, Ambrose — poprawił się Bailey. Mówił

pojednawczym tonem, a jego mina znów zrobiła się poważna. — Nawet o tym nie myślisz? O powrocie? W okresie wakacji mój tata udostępnił salę gimnastyczną do powszechnego użytku. Na pewno by z tobą potrenował. Chyba posikałby się w majtki, gdybym mu powiedział, że chcesz poćwiczyć kilka chwytów. Myślisz, że jemu nie było ciężko? On was wszystkich kochał! Gdy usłyszał wiadomość... Jesse, Beans, Grant... Paulie. Traktował ich jak własnych synów. Oni nie należeli tylko do ciebie. Byli jego chłopcami. Też ich kochał! *Ja* też ich kochałem — powiedział Bailey, a jego głos zadrżał. — Czy ty w ogóle kiedyś o tym pomyślałeś? Nie jesteś jedynym, który ich stracił.

— Myślisz, że tego nie wiem? Pewnie, że wiem! — powiedział gwałtownie Ambrose. — Na tym polega problem, Sheen. Gdybym był jedynym, który ich stracił... gdybym tylko ja cierpiał, byłoby dużo łatwiej...

— Ale my nie straciliśmy tylko ich! — przerwał mu Bailey. — Straciliśmy też ciebie! Nie wydaje ci się, że całe to pieprzone miasto jest w żałobie po tobie?

— Są w żałobie po bohaterze. Po Herkulesie. Ja nim nie jestem. Nie sądzę, żebym mógł wrócić do zapasów, Bailey. Oni chcą chłopaka, który wygrywa wszystkie mecze i ma szansę na udział w olimpiadzie. Nie chcą łysego dziwaka, który nie usłyszy pieprzonego gwizdka, jeśli sędzia stanie po niewłaściwej stronie.

— Przed chwilą zwierzyłem ci się, że nie potrafię sam się załatwić. Jestem zależny od mamy, która opuszcza mi spodnie, wyciera zasmarkany nos i spryskuje dezodorantem pod pachami. A gdyby tego było mało, gdy chodziłem do szkoły, tam też ktoś musiał zawsze mi pomagać, dosłownie przy wszystkim. To było takie żenujące i frustrujące. Ale było konieczne! Zostałem całkowicie wyzuty z dumy, Ambrose — wyznał Bailey. — Doszczętnie. Ale miałem wybór: duma albo życie. Musiałem wybrać. I ty też musisz. Dlatego możesz zachować swoją dumę i piec te ciasteczka, aż się zestarzejesz, utyjesz i przestaniesz kogokolwiek obchodzić. Albo możesz zamienić tę dumę na odrobinę pokory i odzyskać swoje życie.

Rozdział 21.

Wspiąć się po linie

Bailey powiedział, że nigdy nie widział tablicy pamiątkowej postawionej na cześć Pauliego, Jessego, Beansa i Granta. Ambrose domyślał się dlaczego. Droga na wzgórze była piaszczysta i trochę zbyt stroma, żeby można było po niej wjechać na wózku inwalidzkim, a potem jeszcze z niej zjechać. Elliott powiedział Ambrose'owi, że miasto zamierza utwardzić drogę, ale na razie na wzgórze wciąż jeszcze prowadziła tylko piaszczysta ścieżka.

Słuchając, jak Bailey opowiada o tym miejscu, Ambrose uświadomił sobie, że jego kolega bardzo chciałby tam pojechać. Obiecał sobie w duchu, że kiedyś go tam zabierze. Ale jeszcze nie teraz. Tym razem, za pierwszym razem, musi tam pojechać sam. Unikał tego miejsca, od kiedy prawie pół roku temu przyjechał do Hannah Lake. Ale rozmowa o ciastkach, pokorze i braku dumy Baileya sprawiła, że Ambrose uznał, iż nadszedł czas, aby wykonać jakiś mały krok. Dlatego teraz szedł do góry, stawiając nogę za nogą i wspinając się na wzgórze, na którym pochowano jego czterech przyjaciół.

Groby stały w prostej linii: cztery białe kamienne nagrobki zwrócone w kierunku liceum, w którym kiedyś wszyscy walczyli na macie i grali w futbol; w którym wszyscy osiągnęli dorosłość. Niedaleko grobów stała mała kamienna ławka, na której mogli przysiąc członkowie rodziny albo przyjaciele. Polana była otoczona gęstymi drzewami. To miejsce zostało dobrze wybrane; było ciche i spokojne. Przy nagrobkach stały kwiaty, a także kilka kartek i pluszowych zwierzaków. Ambrose ucieszył się na myśl, że groby jego przyjaciół są często odwiedzane, choć miał nadzieję, że nie codziennie. Chciał spędzić kilka chwil sam na sam z chłopakami.

Paulie i Grant leżeli pośrodku, a Beans i Jesse po bokach. Zabawne. Tak właśnie było, gdy żyli. Paulie i Grant byli klejem, który spajał całą grupę, a Beans i Jesse byli wariatami i obrońcami ekipy. Mogli cię zwyzywać od najgorszych, ale gdy ich potrzebowałeś, zawsze mogłeś na nich liczyć. Ambrose przykucnął kolejno przy każdym z nagrobków i odczytał słowa wyryte w kamieniu.

Connor Lorenzo „Beans” O’Toole
8 maja 1984 – 2 lipca 2004
Mi hijo, Mi corazon

Paul Austin Kimball
29 czerwca 1984 – 2 lipca 2004
Ukochany przyjaciel, brat i syn

Grant Craig Nielson
1 listopada 1983 – 2 lipca 2004
Na zawsze w naszych sercach

Jesse Brooks Jordan
24 października 1983 – 2 lipca 2004
Ojciec, syn, żołnierz, przyjaciel

Na kamiennej ławce wyryto napis *Walka jest zwycięstwem*. Ambrose przeszedł wzrokiem te słowa. To był cytat z trenera Sheena. Często wykrzykiwał te słowa podczas walki. Dla niego wynik nigdy nie był najważniejszy. Liczyło się to, żeby walczyć aż do momentu, w którym zabrzmi gwizdek.

Ambrose usiadł na ławce i spojrzał na dolinę leżącą u jego stóp, na miasto, w którym spędził każdy swój dzień z wyjątkiem tych miesięcy, w których wszystko się zmieniło. I porozmawiał z każdym z przyjaciół. Nie liczył na to, że go usłyszą, ale po prostu musiał im powiedzieć kilka rzeczy.

Powiedział im o tym, co ostatnio usłyszał od Bailey’a. O tym, że powinien odzyskać swoje życie. Nie był pewien, co to oznacza. Czasami nie można odzyskać życia. Czasami jest ono totalnie zakończone i pogrzebane, i jedyne, co można zrobić, to zacząć nowe. Ambrose nie wiedział, jak mogłoby wyglądać jego nowe życie.

Nagle zobaczył w myślach Fern. Może mogłaby być częścią jego nowego życia. Na razie jednak nie miał ochoty rozmawiać o niej z chłopakami. Uznał, że jest jeszcze za wcześnie. Poczł potrzebę, aby ją

chronić, nawet przed duchami swoich najbliższych przyjaciół. Zbyt często robili sobie żarty z tej małej rudowłosej dziewczyny, za często się z niej śmiali i za bardzo z niej drwili. Dlatego Ambrose ukrył Fern bezpiecznie w małym, ciągle rosnącym kawałku w swoim sercu, który należał tylko do niej, choć nikt oprócz niego o tym nie wiedział.

Kiedy słońce zaczęło chować się za drzewami, Ambrose wstał i zszedł ze wzgórza z ogromnym poczuciem ulgi, że wreszcie znalazł siłę, aby na nie wejść.

Sala gimnastyczna pachniała potem, chlorem i wspomnieniami. W rogach wisiały dwie długie liny, po których kiedyś się wspinał i z których zeskakiwał tysiące razy. Rozwinięte maty tworzyły grube gumowe dywany z czerwonymi kołami ograniczającymi pole walki i liniami pośrodku wskazującymi miejsce, w którym zawodnicy rozpoczynają pojedynek. Trener Sheen czyścił maty mopem. W swojej trzydziestoletniej karierze robił to prawdopodobnie więcej niż tysiąc razy.

— Dzień dobry, trenerze — powiedział cicho Ambrose, przypominając sobie, ile razy trener chciał go odwiedzić po jego powrocie do domu, a on go nie przyjął.

Trener Sheen spojrzał do góry zdziwiony. Był zaprzątnięty własnymi myślami i nie spodziewał się towarzystwa.

— Ambrose!

Jego twarz wyrażała tak ogromną radość, że Ambrose ze wstydem zaczął się zastanawiać, dlaczego tak długo nie dopuszczał go do siebie.

Trener Sheen przestał sprzątać i oparł ręce na kiju od mopa.

— Jak się masz, żołnierzu?

Ambrose wzdrygnął się na sam dźwięk tego słowa. Przytłaczał go ogromny ciężar poczucia winy i żalu. Jego duma z tego, że jest żołnierzem, została zdziesiątkowana po stracie przyjaciół. Czuł się współwinnym ich śmierci. Zostawmy to słowo bohaterom. On nie jest wart tego, aby tak go nazywać.

Mike Sheen zmrużył oczy, przyglądając się twarzy Ambrose'a. Zauważył, że chłopak niechętnie zareagował na jego powitanie. Zaciśnął

usta, jakby tłumiał w sobie to, co chciał powiedzieć. Poczł ogromne ukłucie w piersi. Ambrose Young był fenomenalnym zawodnikiem, prawdziwym potworem na macie. Každy trener marzy o tym, żeby mieć w drużynie takiego zawodnika — nie dlatego, żeby pławić się w jego chwale, ale dlatego, że aktywne tworzenie historii i bycie częścią czegoś tak inspirującego jest po prostu fascynujące. Ambrose Young był właśnie takim sportowcem. Może mógłby jeszcze wrócić na szczyt. Ale trener Sheen, widząc jego łysą głowę i twarz usianą bliznami, z której gdzieś uleciała młodość, poczuł zwątpienie.

Zniknięcie włosów z głowy Ambrose'a nasunęło mu myśl o ironii losu. Chłopiec był bardzo sumiennym zawodnikiem i przestrzegał wszystkich reguł obowiązujących w sali gimnastycznej — z wyjątkiem jednej dotyczącej właśnie włosów. Stanowczo odmawiał ich ścięcia. Trener lubił, gdy jego zawodnicy byli krótko ostrzyżeni, jak w wojsku. Uważał, że taka fryzura świadczyła o szacunku i gotowości do poświęceń. Ale Ambrose kiedyś powiedział mu na osobności, że nigdy ich nie zetnie, obiecując jednocześnie, że zawsze podczas treningów i na zawodach będzie je związywał w ciasny kucyk.

Trener Sheen zgodził się na to pod warunkiem, że Ambrose zostanie liderem drużyny pod każdym innym względem. Jeżeli inni zawodnicy zaczną zapuszczać włosy, będą opuszczać treningi albo przestaną okazywać szacunek sobie nawzajem lub trenerom, to trener Sheen obciąży za to osobistą odpowiedzialnością Ambrose'a, a on będzie musiał ściąć włosy. Ambrose dotrzymał tej umowy. Został liderem drużyny. W dni, w których rozgrywały się walki, przychodził do szkoły w koszuli i krawacie i pilnował, żeby pozostali chłopcy też byli tak ubrani. Zawsze przychodził na trening pierwszy i wychodził z niego ostatni. Dawał z siebie wszystko i starał się być przykładem dla innych. Trener Sheen uznał, że to jest najlepszy układ, jaki kiedykolwiek zawarł.

A teraz włosy Ambrose'a zniknęły, podobnie jak poczucie sensu, pewność siebie i błysk w jego oczach. Jedno oko było permanentnie zamglone, a drugie rozglądało się nerwowo po sali. Trener Sheen zastanawiał się, czy naprawdę istnieje coś takiego jak druga szansa. Nie martwiła go fizyczność Ambrose'a, lecz straty w sferze emocjonalnej.

Ambrose podszedł do swojego dawnego trenera niepewnym

krokiem, czując się jak intruz w miejscu, które kiedyś kochał bardziej niż jakiegokolwiek inne miejsce na ziemi.

— Rozmawiałem z Baileyem. Mówił mi, że pan tu będzie.

— Tak? No i jestem. Chcesz potrenować? Przypomnieć sobie stare chwytty? — Mike Sheen wstrzymał oddech.

Ambrose skinął głową, a trener Sheen wypuścił powietrze z płuc.

— Dobrze, w takim razie zacznijmy od rozgrzewki.

— Mógłbyś się zapisać na balet albo gimnastykę artystyczną — zasugerował trener Sheen, gdy Ambrose po raz dziesiąty stracił równowagę i upadł na matę. — Takie zalecenie dawaliśmy niektórym futbolistom, gdy mieli problemy z równowagą. Ale ty pewnie nie wyglądałbyś zbyt ładnie w spódniczce baletnicy, a małe dziewczynki pomyślałyby, że odgrywasz rolę z *Pięknej i Bestii*.

Ambrose był nieco zaskoczony tym bezpośrednim komentarzem na temat jego braku urody. Ale trener Sheen nigdy nie owijał w bawełnę. Bailey był taki sam jak on.

Trener kontynuował:

— Jedynym sposobem na udoskonalenie twojej równowagi jest trening. Musisz zacząć polegać na pamięci swoich mięśni. Twoje ciało wie, co robić. Po prostu przestałeś w to wierzyć. Wiesz co? Włóż zatyczkę do zdrowego ucha i sprawdź, czy pójdzie ci lepiej, gdy nie będziesz nic słyszał.

Następnego wieczoru Ambrose posłuchał rady trenera. Faktycznie, gdy zupełnie nic nie słyszał, łatwiej mu było utrzymać równowagę. Ograniczone pole widzenia było mniej problematyczne. Podczas walki Ambrose zawsze utrzymywał stały kontakt fizyczny z przeciwnikiem. Na świecie było kilku niewidomych zawodników. Głuchych też. Byli nawet zapaśnicy bez nóg. Nie byli traktowani ulgowo, ale nie byli też odrzucani przez społeczność zapaśniczą. Każdy, kto jest w stanie walczyć, ma wstęp na matę — i niech najlepszy zapaśnik zwycięży. Zapasy to taki rodzaj sportu, który celebruje jednostkę. Bądź sobą, uczynź zalety ze swoich słabości i zdominuj przeciwnika. To wszystko.

Ale Ambrose nigdy nie miał żadnych słabości. Nie takich. To

wszystko było dla niego nowe. Trener Sheen kazał mu poćwiczyć zejście do nogi, zejście do dwóch nóg, wyniesienie do góry, chwycenie za kostki i popchnięcie głową w puszczel oraz nurki, aż zaczęły mu się trząść nogi. A potem musiał zrobić to samo na drugą stronę. Po tych ćwiczeniach przyszła kolej na linę. Czym innym jest wspinanie się po linie, gdy jest się umięśnionym chłopakiem mierzącym 165 centymetrów i ważącym 57 kilogramów, a czym innym, gdy masz 190 centymetrów wzrostu i ważysz ponad 90 kilogramów. Ambrose nie znosił wspinania się po linie. Ale udało mu się wspiąć na samą górę. Następnego wieczoru również. I następnego.

Rozdział 22.

Zrobić własne fajerwerki

SZTUCZNE OGNIE CZY PARADY?

— Myślisz, że Sheen chciałby z nami pójść? — zapytał Ambrose Fern, która właśnie wyszła z domu i zaczęła schodzić do niego po schodkach ganku.

Poczuł ulgę, gdy Fern zaznaczyła na tablicy *sztuczne ognie*. Parady były nudne. Ostre promienie słońca raziły w oczy, a same parady nie były szczególnie ciekawe. Dziś był czwarty lipca, Dzień Niepodległości, a władze Hannah Lake zawsze urządzały z tej okazji wspaniałe pokazy sztucznych ogni na licealnym boisku. Fern chyba była podekscytowana, gdy zapytał ją, czy chce pójść oglądać z nim fajerwerki.

— Bailey jest w Filadelfii.

Ambrose poczuł, jak serce radośnie skacze mu w piersi. Bardzo lubił Sheena, ale naprawdę chciał pójść tam tylko z Fern.

— Pójdziemy pieszo? — zaproponowała Fern. — Na dworze jest ładnie, a do boiska mamy niedaleko.

Ambrose się zgodził, a Fern podeszła do niego, przechodząc ukosem przez trawnik przed domem, i razem poszli w kierunku liceum.

— Co Bailey robi w Filadelfii? — zapytał, gdy uszli kawałek drogi.

— Każdego roku w Dzień Niepodległości Bailey, Angie i Mike jadą do Filadelfii. Zwiedzają Muzeum Sztuki, a Mike wnosi Bailey'a po 72 schodach, odgrywając scenkę z „Rocky’ego”. Angie pomaga Baileyowi podnieść ręce i wszyscy krzyczą: „Kolejny rok!”. Bailey uwielbia Rocky’ego. Chyba cię to nie dziwi?

— Nie — odparł Ambrose, delikatnie wykrzywając usta w uśmiechu.

— Pierwszy raz pojechali na takie rodzinne wakacje do Filadelfii, gdy Bailey miał osiem lat. Wtedy jeszcze sam wszedł po tych schodach. W ich salonie stoi zdjęcie upamiętniające tamto wydarzenie. Widać na nim Bailey'a, który ma ręce uniesione do góry i tańczy z radości.

— Widziałem je — powiedział Ambrose i nagle zrozumiał wagę zdjęcia stojącego na honorowym miejscu w domu Sheena.

— Tak dobrze się bawili, że pojechali tam znowu rok później, a Bailey znów samodzielnie wszedł po schodach na samą górę. Z każdym kolejnym rokiem te wyjazdy stały się coraz bardziej znaczące. Kiedy Bailey miał jedenaście lat, nie zdołał już sam wejść nawet na kilka pierwszych stopni. Dlatego wujek Mike wziął go na ręce i zaniósł.

— „Kolejny rok”?

— Tak. Bailey mocno walczy ze swoim przeznaczeniem.

Większość dzieci chorych na dystrofię mięśniową Duchenne’a nie dożywa jego wieku. A jeśli nawet, to nie są w takiej formie jak Bailey, tylko są dużo bardziej schorowane. Dwadzieścia jeden to ważna liczba dla Bailey’a. W tym roku skończył dwadzieścia jeden lat i urządził wielkie przyjęcie z tej okazji. Wszyscy głęboko wierzymy, że będzie ustanawiał kolejne rekordy.

Ambrose rozłożył koc na skraju trawnika, z dala od pozostałych ludzi, którzy również przyszli obejrzeć pokaz sztucznych ogni. Fern usiadła obok niego. Wkrótce na niebie wybuchły pierwsze fajerwerki. Ambrose położył się na plecach, a ręce splótł za głową, żeby nie nadwyręzać karku. Fern czuła się trochę skrępowana. Nigdy nie leżała na kocu obok chłopaka. Czuła ciało Ambrose’a po prawej stronie; zajmował ponad połowę małego koca. Wybrał prawą stronę koca, żeby być zwróconym do niej lewą stroną twarzy, jak zwykle. Ich dłonie nie stykały się, a Fern nie położyła głowy na jego ramieniu. Ale chciała.

Fern pomyślała, że przez większość życia marzyła o tym, żeby Ambrose w ten czy inny sposób ją zobaczył... naprawdę zobaczył. Nie jej rude włosy ani piegi na nosie. Nie okulary, w których jej oczy wyglądały jak okrągłe ciastka czekoladowe. Nie aparat na zębach ani jej chłopięcą figurę.

Gdy te wszystkie rzeczy się zmieniły, a w końcu zniknęły — no, poza piegami — to pragnęła, żeby to *zauważył*. Chciała, żeby *zobaczył* jej brązowe oczy nieschowane za szklami okularów. Żeby *zobaczył*, że jej figura stała się pełniejsza, a zęby są teraz białe i proste. Bez względu jednak na to, czy była atrakcyjna, czy brzydka, jej życie ograniczało się tylko do marzeń.

Uczucie do Ambrose’a było w niej zakorzenione od tak dawna, że gdy usłyszała patriotyczne piosenki uzupełniające pokaz sztucznych ogni

nad boiskiem, poczuła ogromną wdzięczność, że właśnie w tym momencie Ambrose Young leży obok niej. Że ją zna. I chyba ją lubi. I że wrócił do niej, do miasteczka, do siebie.

To uczucie wdzięczności przepełniło ją tak bardzo, że oczy zasły jej łzami, a te zaczęły spływać ciepłymi strugami po jej policzkach. Nie chciała ich wycierać, bo wtedy Ambrose by je zauważył. Dlatego pozwoliła, by płynęły, i patrzyła na wybuchy kolorowych kul na niebie, a w głowie huczało jej od hałasu.

Nagle pomyślała, że dźwięki wybuchów mogą przypominać Ambrose'owi o wojnie. Miała nadzieję, że razem z nią cieszy się pokazem i nie wraca myślami do Iraku, do bomb pułapek i do przyjaciół, którzy nie wrócili do domu. Uznała, że w takiej chwili Ambrose może potrzebować kogoś bliskiego, kto sprowadzi go na ziemię i odciągnie od przykrych wspomnień, dlatego wyciągnęła rękę i wsunęła dłoń do jego dłoni. Odwzajemnił jej gest mocnym uściskiem.

Nie skrzyżowali kciuków, tak jak to robią pary podczas spacerów. Ambrose schował w swojej dłoni całą jej dłoń, tak jakby trzymał zranionego ptaka. I tak obejrzelili pokaz aż do końca, nie rozmawiając, z głowami zwróconymi w kierunku światła, dotykając się jedynie dłońmi. Fern zerknęła ukradkiem na jego profil i zauważyła, że w ciemności, w przerwach między wybuchami świetlnych kaskad, jego twarz wciąż była piękna tak samo jak kiedyś. Wciąż miał mocne rysy twarzy, a gładkość jego łysej głowy tego nie zmieniła.

Gdy na niebie zniknął ślad po ostatnich fajerwerkach z szalonego finału, rodziny i pary zaczęły wstawać i opuszczać boisko. Nikt nie zauważył Fern i Ambrose'a leżących na odległym skraju trawnika, daleko za pętlą bieżni i słupkiem bramki. Kiedy boisko opustoszało, a wiatr rozwiął dym po wybuchach, powróciły dźwięki nocy. Świerszcze cykały w trawie, wiatr szeptał cicho w gałęziach drzew na skraju boiska, a Fern i Ambrose leżeli nieruchomo. Żadne z nich nie chciało zepsuć ciszy ani atmosfery spokoju, która ich otaczała.

— Wciąż jesteś piękny — powiedziała czule Fern, zwracając się twarzą do niego.

Ambrose przez chwilę milczał, ale nie odepchnął jej ani nie zaprzeczył jej słowom.

— Myślę, że to stwierdzenie bardziej dotyczy ciebie niż mnie — powiedział w końcu, odwracając się do niej tak, aby mógł na nią spojrzeć.

Twarz Fern była oświetlona blaskiem księżycy, którego blade światło sprawiło, że kolor jej oczu i włosów był nierozpoznawalny. Ale rysy jej twarzy były wyraźnie widoczne — ciemne oczy pełne emocji, mały nos i delikatne usta, a także lekko uniesione brwi sugerujące, że nie zrozumiała jego odpowiedzi.

— Znasz powiedzenie, że nie jest ładne to, co jest ładne, tylko to, co się podoba?

— Tak.

— Zawsze rozumiałem to w ten sposób, że ludzie mają różne gusty, różne preferencje... rozumiesz? Niektórzy faceci patrzą na nogi, inni wolą blondynki, a jeszcze innym podobają się długie włosy, tego typu sprawy. Nigdy tak naprawdę się nad tym nie zastanawiałem, aż do teraz. Ale może ty widzisz we mnie piękno, bo ty jesteś piękna, a nie dlatego, że ja taki jestem.

— Piękna wewnątrz?

— Tak.

Fern milczała, rozważając to, co powiedział Ambrose. A potem cicho wyszeptała:

— Rozumiem to, co mówisz... i doceniam to. Naprawdę. Ale bardzo bym chciała chociaż raz być dla ciebie piękna na zewnątrz.

Ambrose zakrztusił się. Ale gdy na nią spojrział, zrozumiał, że nie żartuje; nie flirtuje z nim. Aha. Znowu ten Syndrom Brzydkiego Kaczątka. Ona myśli, że on uważa, iż nie jest ładna.

Nie wiedział, co zrobić, żeby zrozumiała, że jest dużo więcej niż ładna. Dlatego przysunął się do niej i dotknął ustami jej ust. Bardzo delikatnie. Nie tak jak wtedy w nocy, gdy pod wpływem strachu i impulsu popchnął ją na ścianę, żeby ją pocałować. Teraz zrobił to po to, żeby dać jej do zrozumienia, co czuje. Niemal od razu się odsunął, obawiając się, że może stracić panowanie nad sobą. Chciał jej pokazać, że jest dla niego kimś ważnym, a nie, że marzy o tym, żeby zedrzeć z niej ubrania. Ale nie był pewien, czy ona chce być pocałowana przez brzydkiego sukinsyna. Wiedział, że Fern byłaby gotowa pocałować go

tylko po to, żeby nie zranić jego uczuć. Ta myśl wprawiała go w rozpacz.

Fern westchnęła sfrustrowana i usiadła, przeczesując włosy dłońmi. Długie loki prześlizgiwały się jej przez palce i opadały na plecy. Ambrose pomyślał, że chciałby zatopić w nich swoje dłonie; schować twarz w tej burzy loków i wdychać ich zapach. Ale to na pewno by ją zdenerwowało.

— Przepraszam, Fern. Nie powinienem był tego robić.

— Dlaczego? — zapytała tak gwałtownie, że aż drgnął. —

Dlaczego przepraszasz?

— Bo jesteś zdenerwowana.

— Jestem zdenerwowana, bo się odsunąłeś! Jesteś taki ostrożny. To takie frustrujące!

Jej szczerość zaskoczyła Ambrose'a. Zrobiło mu się bardzo miło i natychmiast się uśmiechnął. Ale ten uśmiech zniknął, gdy spróbował wytłumaczyć swoje zachowanie.

— Jesteś taka drobna, Fern. Delikatna. A to wszystko jest dla ciebie nowe. Nie chcę podchodzić do ciebie zbyt agresywnie. A jeśli cię skrzywdzę, nie przeżyję tego, Fern. Nie przeżyję.

To by było jeszcze gorsze niż odejście od niej. Przeszył go zimny dreszcz. Nie przeżyłby tego. Zranił już zbyt wiele osób. I zbyt wiele stracił.

Fern uklękła przed nim. Broda jej drżała, a oczy wyrażały głębokie emocje. Objęła jego twarz dłońmi, a gdy spróbował się odsunąć, żeby nie poczuła blizn, nie ustąpiła mu. Zmusiła go, żeby spojrzał jej prosto w oczy i powiedziała stanowczo:

— Ambrosie Youngu! Całe życie czekałam na to, aż będziesz mnie chciał. Jeśli teraz mocno mnie nie obejmiesz, nie uwierzę, że tak jest, a to będzie gorsze, niż gdybyś nigdy mnie nie objął. Postaraj się, żebym uwierzyła, że tak myślisz, Ambrosie, bo w przeciwnym razie naprawdę bardzo mnie skrzywdzisz.

— Nie chcę cię skrzywdzić, Fern — wyszeptał chrypliwym głosem.

— To tego nie rób — odpowiedziała mu, wierząc w jego szczerość. Ale istnieje wiele różnych sposobów na zadanie bólu. A Ambrose wiedział, że może ją skrzywdzić na tysiące sposobów.

Nie próbował już wyswobodzić twarzy z jej dłoni. Poddał się przyjemnemu uczuciu bycia dotykanym. Od dawna nikomu na to nie pozwolił. Jej dłonie były małe, tak jak cała reszta, ale emocje, które w nim wywołały, były potężne, gigantyczne, wszechogarniające. Przez nią zaczął się trząść wewnątrz, zupełnie jak tory przed nadjeżdżającym pociągiem.

Fern zsunęła dłonie z jego twarzy na szyję. Jedna strona była gładka, a druga usiana wybrzuszeniami i bliznami w miejscach, w których skóra uległa zniszczeniu. Nie cofnęła dłoni. Dotykała każdego śladu i zapamiętywała każdą ranę. A potem nachyliła się i przycisnęła usta do jego szyi, tuż pod szczęką. To samo zrobiła z drugiej strony, tej gładkiej i wolnej od blizn, dając mu do zrozumienia, że jej pocałunek nie był gestem współczucia, lecz pragnienia. To była pieśczęta. A wtedy Ambrose stracił hamulce.

Fern położyła się na plecach na kocu, a jego duże ciało naparło na nią. Wziął jej twarz w dłonie i pocałował ją bez finezji, bez oporów, bez zastanowienia. Po prostu to zrobił. A ona mu się oddała, otworzyła usta i powitała w nich jego język. Jego dłonie wędrowały po jej twarzy, dłoniach i ustach. Poczul, jak jej ręce wślizgują się pod jego koszulkę i powoli wspinają się po jego plecach. Poczul się tak dobrze, że wziął głęboki oddech, tracąc na chwilę kontakt z jej ustami. Zamknął oczy i opuścił głowę, żeby poczuć słodycz jej szyi. Oddychała gwałtownie, jak gdyby też straciła panowanie nad sobą. Całowała jego głowę tak jak matka całuje dziecko i głaskała go po gładkiej skórze, a on ponownie stracił kontrolę i wsunął rękę pod jej koszulkę, żeby poczuć w dłoni jej pełną pierś. Pieścąc ją, poczul silne pragnienie, żeby zdjąć z niej koszulkę i przekonać się, czy wygląda tak samo dobrze jak w jego wyobrażeniach.

Ale dla niej nawet pocałunek był czymś niezwykłym, więc potrzebowała dużo więcej pocałunków; zasługiwała na nie. Dlatego z żalem przesunął dłoń z powrotem na jej talię. Wygięła się w słodkim proteście i westchnęła, sprawiając, że krew w nim zawrzała, a serce zaczęło głośno walić w piersiach. Pocałował ją znowu, komunikując jej swoją potrzebę. Jej usta przywitały go, przesuając się miękko, poszukując go i smakując. Ambrose Young poczul, że jest bezsilny i że

bez pamięci — ale i bez większego oporu — zakochuje się w Fern Taylor.

— Zobaczcie, kto przyszedł! — krzyknął Bailey, przejeżdżając wózkiem przez automatycznie rozsuwane drzwi wejściowe do sklepu.

Za nim szła Rita, która trzymała na biodrze swojego małego synka. Była uśmiechnięta. Fern pisnęła z radości i podbiegła do przyjaciółki, odbierając chłopca z jej rąk i obcałowując jego małą buźkę. Okazało się, że Becker wyjechał z miasta, a Rita, wracając do domu od mamy, spotkała Bailey'a, który akurat jechał do sklepu. Przekonał ją, że karaoke i tańce są właśnie tym, czego potrzebuje.

Wkrótce Bailey włączył muzykę, a potem posadził małego Tya na kolanach i zaczął jeździć z nim po alejkach. Rita biegła obok nich, a jej twarz promieniowała szczęściem, gdy malec krzyczał z radości. Nie tylko Fern zmieniła się od czasu ukończenia szkoły — Rita również. Ambrose zastanawiał się, jak to możliwe, że w ciągu zaledwie kilku lat obie dziewczyny tak bardzo się zmieniły. Z kolei Becker Garth nie zmienił się ani trochę, przynajmniej z tego, co widział. Wciąż był agresywny, a teraz głównym celem ataku była jego żona. Rita nadal była piękna, ale wyglądała na zmarnowaną i zastraszoną. Chyba nie lubiła patrzeć na Ambrose'a, więc niedługo po tym, jak przyszła do sklepu, ten zaszył się z powrotem w piekarni.

— Ambrose? — Fern uśmiechnęła się do niego z korytarza, a on również odpowiedział jej uśmiechem.

Lubił, jak na niego patrzy; jak gdyby jego twarz wyglądała zupełnie normalnie, a jego obecność sprawiała jej radość.

— Musisz tu przyjść, chociaż na chwilę.

— Tak? Chyba wolę zostać tutaj — odmówił uprzejmie.

— Włączyliśmy płytę *Największe hity Sheena i Taylor* z naszymi najulubieńszymi piosenkami. Chcę z tobą zatańczyć.

Ambrose jednocześnie jęknął i się zaśmiał. Niech Fern z Baileyem słuchają swojej płyty z największymi hitami. Z przyjemnością zatańczyłyby z Fern — a także zrobił z nią niemalże każdą inną rzecz — ale teraz wolałby zostać w kuchni. Potańczyć może kiedy indziej, gdy

nikt nie będzie patrzył.

Fern spróbowała pociągnąć go za rękę, chwytając ją obiema dłońmi. Uśmiechała się i przymilała do niego, próbując wyciągnąć go z jego jaskini.

— Za chwilę polecą najlepsza piosenka wszech czasów.

Ambrose westchnął i pozwolił jej się poprowadzić. Nawet go ciekawiło, jaka jest jej ulubiona piosenka wszech czasów. Chciał wszystkiego się o niej dowiedzieć.

— Powiedziałam Baileyowi, że jeśli rzeczywiście umrę przed nim... a to było jego największe marzenie, gdy mieliśmy dziesięć lat, to koniecznie musi dopilnować, żeby zagrali ją na moim pogrzebie. I chcę, żeby wszyscy tańczyli. Tylko posłuchaj i spróbuj powiedzieć, że od razu nie poczułeś się lepiej.

Czekała niecierpliwie, a Ambrose nadstawił ucha. Kiedy w sklepie zabrzmiały pierwsze dźwięki piosenki, Bailey i Fern zajęczeli w unisono razem z Prince'em, a potem rozpoczęli szalony taniec. Rita zaśmiała się i szybko do nich dołączyła, a razem z nią Tyler, którego trzymała na biodrze. Ambrose nie tańczył... ale z przyjemnością oglądał ten występ.

Fern nie miała poczucia rytmu. Bailey nie był od niej dużo lepszy, ale to nie była do końca jego wina. Przesuwał się na wózku do przodu i do tyłu, parodiując podstawowy krok wykonywany przez każdego ucznia podczas szkolnej potańcówki. Poruszał głową w rytm muzyki, a jego mina mówiła „jasne, że tak”, mimo że jego ciało mówiło „nie ma mowy”. Rita tańczyła wokół wózka Bailey'a, ale była zbyt skrepowana i zbyt skupiona na sobie, żeby naprawdę dobrze się bawić — albo żeby można było z przyjemnością obserwować jej taniec. Fern kręciła pupą, zginała ręce, klaskała i strzelała palcami zupełnie niezgodnie z rytmem, ale robiła to z takim nieskrepowaniem i tak niepohamowaną radością, czerpiąc z tego czystą przyjemność, że chociaż Ambrose śmiał się z niej — tak, z niej — to ona śmiała się razem z nim.

Wiedziała, że tańczenie kiepsko jej wychodzi i że w jej wykonaniu nie ma niczego, co by go skusiło albo wzbudziło w nim pożądanie, ale tańczyła mimo wszystko, bo to sprawiało jej przyjemność. A wtedy nagle on faktycznie to poczuł. Pragnął jej. Desperacko. Jej lekkości, słodkości i radości z prostych rzeczy. Jej całej. Wszystkiego. Chciał ją

podnieść, taką roztańczoną, tak aby jej nogi uniosły się w powietrze, i całować ją tak długo, aż oboje stracą oddech — nie ze śmiechu, lecz z prawdziwej pasji.

— *And your kiss!* — Fern zaśpiewała ostatnie słowa piosenki i znieruchomiała w dziwacznej pozie, dysząc i chichocząc.

— Najlepsza. Piosenka. Na świecie — wydyszała, szeroko otwierając ramiona i całkowicie ignorując następną piosenkę z płyty Taylor i Sheena.

— Musisz ze mną pójść na chwilę. Muszę ci coś pokazać w... kuchni — powiedział stanowczo Ambrose, chwytając Fern za rękę i ciągnąc ją za sobą dokładnie tak samo, jak ona go ciągnęła kilka minut temu.

Bailey i Rita tańczyli dalej, tym razem do piosenki „Under Pressure” Queenu i Davida Bowiego.

— C-co? Ale potem będzie wolna piosenka, a ja naprawdę, naprawdę chcę z tobą zatańczyć wolną piosenkę — zaprotestowała Fern, opierając się i odpychając się od niego.

Wtedy Ambrose po prostu uniósł ją nad ziemię, tak jak chciał to zrobić podczas tańca, i w takiej pozycji przeniósł ją przez kuchenne drzwi wahadłowe, nie tracąc równowagi ani na chwilę. Wyłączył światła w piekarni, tak aby całe pomieszczenie zatoneło w ciemności. A potem połknął oddech Fern, mocno przycisnął usta do jej ust, złapał ją jedną ręką za pośladki, żeby przybliżyć ją do siebie, a drugą przesunął po jej plecach, kontrolując kąć pocałunku. A wtedy cały opór ustał.

Rozdział 23.

Znaleźć pozytywne strony

Bailey był cięższy, niż sądził Ambrose, a jednocześnie chudszy i trudniejszy do utrzymania na rękach. Ale Ambrose wziął go na ręce i pewnym krokiem nieśpiesznie przeszedł po wydeptanej ścieżce, starannie stawiając kroki. Jeszcze całkiem niedawno przebiegał długie kilometry w pełnym umundurowaniu i z plecakiem ważącym 70 kilogramów, więc na pewno będzie w stanie zanieść Bailey'a na wzgórze i znieść go z powrotem na dół.

Szli odwiedzić groby czterech poległych żołnierzy: Ambrose po raz drugi, a Bailey po raz pierwszy. Ścieżka była stroma i wąska, dlatego łatwiej było wziąć Bailey'a na ręce i go zanieść, niż próbować wepchnąć go na górę na wózku inwalidzkim. To zadanie było jednak ponad siły Mike'a Sheena i wszystkich najbliższych znajomych Bailey'a, dlatego Bailey nie mógł odwiedzić miejsca spoczynku swoich przyjaciół. Kiedy Ambrose się o tym dowiedział, obiecał mu, że zanieś go na wzgórze. Tego popołudnia przyjechał do niego bez zapowiedzi i oznajmił, że dziś zamierza spełnić swoją obietnicę.

Angie Sheen powiedziała Ambrose'owi, że może wziąć furgonetkę, ale on odmówił. Wziął Bailey'a na ręce i posadził go na miejscu pasażera w swojej starej ciężarówce, a następnie mocno spiął go pasami. Bailey zaczął się przechylać na jedną stronę, bo nie był w stanie utrzymać wyprostowanej pozycji bez wsparcia w postaci wózka inwalidzkiego, więc Ambrose włożył poduszkę między siedzenie a drzwi, tak aby Bailey mógł się na niej oprzeć.

Ambrose wiedział, że Angie boi się puścić swojego syna na przejażdżkę bez wózka inwalidzkiego. Pomachała im na pożegnanie, wymuszając uśmiech, a on dla pewności zabezpieczył wszystkie ostre krawędzie w samochodzie. Wzgórze było niedaleko, a Bailey tak bardzo się cieszył, że siedzi na miejscu pasażera, iż Ambrose włączył radio i opuścił szyby.

Kiedy dotarli na szczyt wzgórza, Ambrose delikatnie posadził Bailey'a na kamiennej ławce, a potem usiadł obok niego, żeby Bailey nie przewrócił się na bok.

Przez chwilę siedzieli w uroczystym milczeniu; Bailey czytał po cichu słowa wyryte na nagłówkach, a Ambrose patrzył w dal, przytłoczony wspomnieniami, o których wolałby na zawsze zapomnieć.

— Chciałbym zostać tutaj pochowany razem z nimi. Wiem, że to jest miejsce pochówku ofiar wojny, ale mogliby mnie pochować z boku, przy ławce. A na moim nagrobku dodać gwiazdkę z krótkim wyjaśnieniem.

Ambrose zaśmiał się — Bailey spodziewał się, że jego słowa wywołają taką reakcję — jednak ta bezwarunkowa akceptacja nachodzącego końca zmartwiła Ambrose'a.

— Ale pochowają mnie na cmentarzu miejskim. Tam leżą moi dziadkowie i kilku innych Sheenów z dalszych pokoleń. Wybrałem już sobie miejsce — powiedział Bailey spokojnie, a nawet pogodnie, a Ambrose nie był już w stanie utrzymać języka za zębami.

— Jak ty sobie z tym radzisz, Bailey? Już od tak dawna patrzysz śmierci w oczy!

Bailey wzruszył ramionami i spojrzał na Ambrose'a z zaciekawieniem.

— Mówisz tak, jakby nie było nic gorszego od śmierci.

— A nie jest tak? — Ambrose nie potrafił sobie wyobrazić niczego gorszego niż utrata najbliższych przyjaciół.

— Moim zdaniem nie. Śmierć jest łatwa. Życie jest dużo trudniejsze. Pamiętasz tę małą dziewczynkę z hrabstwa Clairemont, która jakieś dziesięć lat temu została porwana, gdy była na kempingu z rodzicami? — zapytał Bailey, mrużąc oczy. — Rodzice Fern i moi zgłosili się do udziału w poszukiwaniach. Myśleli, że może wpadła do strumyka albo po prostu się zgubiła. Ale w tamten weekend na kempingu było wielu ludzi, dlatego istniała możliwość, że ktoś ją porwał. Czwartego dnia poszukiwań moja mama powiedziała mi, że matka tej dziewczynki modli się o znalezienie ciała dziecka. Nie modliła się już o to, żeby odnaleźć ją żywą. Miała nadzieję, że jej córka miała szybką i nagłą śmierć, ponieważ alternatywa była dużo bardziej przerażająca. Wyobrażasz sobie, jak się czuje rodzic, który wie, że jego dziecko jest gdzieś tam i cierpi straszliwe męki, a on nie może nic zrobić, żeby mu pomóc?

Ambrose spojrział na Bailey'a niepewnie.

— Czujesz się winny, bo ty przeżyłeś, a oni zginęli. — Bailey wskazał ruchem głowy cztery nagrobki. — A może Beans, Jesse, Grant i Paulie patrzą teraz na ciebie z góry, kręcą głowami i mówią: „Biedny Brosey. Dlaczego on musiał zostać?”.

— Pan Hildy powiedział mi, że prawdziwymi szczęściarzami są ci, którzy nie wracają — przypomniał sobie Ambrose, nie odrywając wzroku od nagrobków swoich przyjaciół. — Ale jakoś nie wydaje mi się, że oni patrzą na mnie z jakiegoś niebiańskiego raju. Oni nie żyją. Odeszli. A ja jestem tutaj. To wszystko.

— Myślę, że w głębi serca w to nie wierzysz — powiedział cicho Bailey.

— Dlaczego ja, Bailey? — naskoczył na niego Ambrose, podnosząc głos trochę zbyt mocno jak na miejsce pochówku.

— A dlaczego *nie* ty? — odparował mu natychmiast Bailey.

Ambrose aż podskoczył na ławce, jak gdyby Bailey oskarżył go o jakieś przestępstwo.

— Dlaczego ja? — kontynuował Bailey. — Dlaczego ja muszę jeździć na tym wstrętnym wózku?

— A dlaczego Paulie i Grant? Dlaczego Jesse i Beans? Dlaczego straszne rzeczy przytrafiają się tak dobrym ludziom? — spytał Ambrose.

— Bo straszne rzeczy przytrafiają się wszystkim, Brosey. Tylko tak bardzo jesteśmy skupieni na sobie, że nie widzimy gówna, z którym się zmagają wszyscy inni.

Ambrose nie znalazł na to odpowiedzi, a Bailey wydawał się zadowolony, że Ambrose pozwolił mu na chwilę zatonać we własnych myślach. W końcu Bailey odezwał się znowu, niezdolny, by usiedzieć cicho.

— Lubisz Fern, prawda, Brosey? — Bailey patrzył na niego uważnie, a głos miał poważny.

— Tak. Lubię Fern — przytaknął Ambrose odruchowo, wciąż będąc myślami przy dawnych przyjaciółach.

— Dlaczego? — natychmiast spytał Bailey.

— Co dlaczego? — spytał Ambrose, zdziwiony ostrym tonem kolegi.

— Dlaczego lubisz Fern?

Ambrose zwlekał chwilę z odpowiedzią, niepewny, do czego zmierza Bailey, i trochę wkurzony, że Bailey uznał, iż ma prawo do zadawania takich pytań. A ten mówił dalej:

— Myślę, że to właśnie dlatego Fern tak bardzo lubi czytać. Dzięki książkom możemy być, kim chcemy, uciec na chwilę od samego siebie. Wiesz, że Fern uwielbia romanse?

Ambrose przytaknął i uśmiechnął się, przypomniawszy sobie zawstydzenie Fern, gdy przeczytał na głos fragment z jej książki. Przez chwilę przemknęła mu przez głowę myśl, że to może dzięki romansom Fern ma w sobie tyle pasji, a jednocześnie jest taka wrażliwa. Samo wspomnienie o niej wzbudziło w nim tęsknotę. Natychmiast stłumił w sobie to uczucie.

— Wiesz, że sama też pisze takie powieści?

Ambrose obrócił głowę i zobaczył szelmowski uśmiech na twarzy Bailey'a.

— Naprawdę?

— Tak. Teraz pisze już chyba szóstą. Od kiedy skończyła szesnaście lat, wysyła swoje książki do wydawnictw. Jak dotąd nikt się nimi nie zainteresował, ale w końcu tak się stanie. Są naprawdę niezłe. Trochę zbyt sentymentalne i dziewczęce jak na mój gust, ale taka właśnie jest Fern. Pisze pod pseudonimem. Nawet jej rodzice o tym nie wiedzą.

— Pod pseudonimem? Jakim?

— O, nie. Musi sama ci to powiedzieć. Zabije mnie, jak się dowie, że ci powiedziałem o tych książkach.

Ambrose skinął głową i zaczął się zastanawiać, jak podejść małą Fern, żeby wyznała mu swoje sekrety. Znowu poczuł silną tęsknotę — tak silną, że prawie jęknął na głos.

— Ja też lubię czytać. Ale wolę inną literaturę. Romanse to dla mnie prawdziwa tortura, wiesz? — dodał Bailey.

Ambrose przytaknął, a w jego głowie zaświtało wspomnienie pokazu sztucznych ogni i tego, jak się czuł, leżąc obok niej i oglądając kolorowe eksplozje na niebie, czując jej słodycz, zapach jej skóry i miękkiego dotyku jej włosów. Dobrze wiedział, czym jest tortura.

— Dlatego postawmy sprawę jasno. Jak się umawiamy? Nie mogę skopać ci tyłka, ale na pewno zauważę, jak będziesz próbował mnie okłamać. Czy Fern ma rację? Czy po prostu bierzesz to, co jest dostępne?

— Hej, Bailey! Przypominasz mi o Beansie. — Ambrose aż się skrzywił z bólu, który go przeszył na dźwięk tego imienia; jakby ucisnął palcami świeżą ranę.

To ostre ukłucie sprawiło, że nie był w stanie powiedzieć nic więcej. Ale jego milczenie tylko podsycało obawy Bailey'a.

— Jeżeli zwodzisz moją kuzynkę i nie jesteś zakochany w niej po uszy, to znajdę jakiś sposób, żeby ci skopać tyłek! — Bailey wpadł w prawdziwy gniew.

Ambrose położył mu rękę na ramieniu, żeby go uspokoić.

— Naprawdę kocham Fern — powiedział z powagą w głosie, a to wyznanie uderzyło go swoją prawdziwością.

Kochał ją.

— Bez przerwy o niej myślę. Gdy jej nie ma przy mnie, jestem nieszczęśliwy... ale gdy z nią jestem, też jestem nieszczęśliwy, ponieważ wiem, że to ona jest ze mną z litości. Spójrz na mnie, Bailey! Fern może mieć kogo tylko zechce. Mnie? Nic ciekawego.

Bailey głośno się zaśmiał.

— Ojej! Ale z ciebie duży dzieciak! Myślisz, że teraz cię pożałuję, Ambrose? Wcale nie. To przypomina mi książkę, którą niedawno przeczytałem w ramach internetowego kursu języka angielskiego. O Cyrano de Bergeracu, facecie, który urodził się z wielkim nosem. Kogo to, do cholery, obchodzi? Ten facet nigdy nie umówił się z dziewczyną, którą kochał, bo był brzydki. To najgłupsza rzecz, jaką usłyszałem w swoim życiu! Przez ten nochal bał się do niej zagadać?

— Cyrano? Czy to nie był ten, co pisał liściki w imieniu przystojnego faceta? Był chyba kiedyś nawet taki film?

— Dokładnie ten sam. Przypomina ci to coś? Bo ja pamiętam kogoś, kto pisał do ciebie liściki i podpisywał je imieniem Rita. Zupełnie tak jak Cyrano. Całkiem ironiczne, nie? Fern wtedy uważała, że nie jest wystarczająco dobra dla ciebie, a ty teraz myślisz, że nie jesteś wystarczająco dobry dla niej. I oboje jesteście w błędzie. Tacy głupi!

Głuuuuupiiiiii! — Bailey przeciągnął ostatnie słowo z niesmakiem w głosie. — Ojej, jestem brzydki! Nie jestem wart, żeby mnie kochać, bee!

Bailey przedrzeźniał ich, wypowiadając ostatnie słowa płaczliwym, wysokim tonem, a potem pokręcił głową, jakby chciał okazać wielkie rozczarowanie. Na chwilę zamilkł, zbierając siły na następne kazanie.

— A teraz mi mówisz, że boisz się pokochać Fern, bo nie wyglądasz już jak gwiazda filmowa? Kurczę, koleś! Ty wciąż wyglądasz jak gwiazda filmowa... tylko taka, która pojechała na wojnę. Dziewczyny to kochają! Czasami sobie myślę, że moglibyśmy się wybrać we dwóch w trasę i mówić wszystkim napotkanym paniąkom, że obaj jesteśmy weteranami wojennymi. Ty masz twarz w bliznach, a ja doznałem takich obrażeń na froncie, że wylądowałem na wózku. Jak myślisz, uwierzyłyby w to? Może wtedy udałoby mi się wreszcie jakąś poderwać. Tylko jak miałbym złapać jej pierś, skoro nie potrafię podnieść własnych rąk?

Ambrose prychnął, słysząc gorzki żart Bailey'a, ale ten niezrażony kontynuował.

— Dałbym wszystko, żeby choć na jeden dzień się z tobą zamienić, jak w filmie *Freaky Friday*. Tylko na jeden dzień zamienić się z tobą ciałem. Nie zmarnowałbym ani sekundy. Zapukałbym do drzwi Rity. Stłukłbym Beckera, wziął Ritę i nie spocząłbym, dopóki żadne z nas nie mogłoby się ruszać. To właśnie bym zrobił.

— Ritę? Podoba ci się Rita?

— Kocham ją. Zawsze ją kochałem. A ona poślubiła dupka, co w sumie jest nawet pocieszające, z egoistycznego punktu widzenia. Gdyby wyszła za fajnego, miłego, przystojnego faceta, byłbym bardziej nieszczęśliwy.

Ambrose znów się zaśmiał.

— Jesteś niezwykły, Bailey! Twoja logika jest zachwycająca.

— To całkiem śmieszne. W zabawny sposób ironiczne. Fern mówiła, że za Ritą zawsze uganiało się mnóstwo chłopaków. Dlatego Rita nigdy nie miała szansy, żeby przestać przed nimi uciekać i zatrzymać się na tak długo, żeby się zastanowić, kim naprawdę jest i jakiemu chłopakowi powinna dać się złapać. To ironiczne, że się przyjaźnimy, wzięwszy pod uwagę to, że ja nigdy nie byłem w stanie się

za nią uganiać. Może to jest pozytywna strona mojej sytuacji. Nie mogłem jej gonić, więc ona nigdy nie musiała uciekać.

Chwilę później Ambrose wziął Bailey'a znowu na ręce i razem zeszli ze wzgórza, zatopieni we własnych przemyśleniach na temat życia, śmierci i pozytywnych stron.

Rozdział 24.

Sprawić, żeby coś zniknęło

Wujek Mike wyglądał na zaskoczonego, gdy w sobotni wieczór zobaczył Fern wchodzącą do sali gimnastycznej razem z Baileyem. Spojrzał na nich ponownie, zrobił zdziwioną minę, a potem znów zerknął na Fern i zmarszczył brwi. Lecz gdy Ambrose zobaczył ją siedzącą na zwiniętej macie obok wózka Bailey'a, uśmiechnął się, więc Mike uznał, że nie ma powodu do niepokoju.

Bailey był zafascynowany walką, która odbywała się w centrum sali. Fern też, ale z innych powodów. Bailey'a pociągał zapach mat i obserwowanie zapaśnika, który być może właśnie rozpoczyna swój wielki powrót. Dla Fern ważniejszy był zapach mężczyzny — zapaśnika, który wreszcie wrócił. Bailey już kilka razy widział treningi swego taty z Ambrose'em, ale dla Fern był to pierwszy raz. Starła się nie obgryzać paznokci — był to nawyk, z którym usilnie walczyła, zwłaszcza że właśnie je pomalowała. Patrzyła na Ambrose'a z niepokojem, licząc na to, że nie będzie miał nic przeciwko jej obecności tutaj.

Ambrose ociekał potem. Jego szara koszulka była mokra na klatce piersiowej i w dolnej części pleców. Pozbawioną włosów głowę przecierał małym ręcznikiem. Mike Sheen nakazał mu wykonanie kolejnej serii ćwiczeń, wskazując jego błędy i zachęcając go do większego wysiłku, ale gdy Ambrose padł na matę pod koniec treningu, trener zmarszczył czoło i zagryzł usta, wyraźnie zatroskany.

— Potrzebujesz partnera. Potrzebujesz jakichś facetów, którym będziesz mógł spuścić łomot i którzy spuszczą łomot tobie... Ćwiczenie chwytów to jedno, ale musisz odbywać prawdziwe walki, bo inaczej nie osiągniesz formy, do której dążysz... nie będziesz mógł brać udziału w zawodach. Pamiętasz, jak podenerwowany był Beans, gdy nie mógł walczyć aż do połowy sezonu w przedostatniej klasie? Przychodził na salę, ćwiczył z resztą drużyny, ale nigdy nie odbył prawdziwej walki na macie. Po pierwszych dwóch walkach prawie padł trupem. Kurczę, Grant pokonał go w turnieju Big East, a nigdy wcześniej mu się to nie udało. Pamiętasz, jaki był dumny?

Słowa trenera zadźwięczały w sali; wspomnienie o Grancie

i Beansie, a także napomknięcie o śmierci w jakimkolwiek kontekście wywołały echo, które rykoszetem odbijało się od ścian. Ambrose zeszywniał, Bailey zwiesił głowę, a Fern mimowolnie zaczęła skubać paznokcie. Mike Sheen uświadomił sobie, co właśnie powiedział, i przebiegł dłonią po krótko przystrzyżonych włosach. A potem mówił dalej, jakby te słowa nie zostały nigdy wypowiedziane.

— Sprowadzimy tu jakichś chłopaków, Brose. W szkolnej drużynie mam kilku większych zawodników, z którymi mógłbyś powalczyć. Dla nich to będzie nowe wyzwanie, a tobie z pewnością też pomoże.

— Nie. Proszę tego nie robić. — Ambrose pokręcił głową, a jego głos zagrzemiał donośnie.

Wstał i ruszył w kierunku swojej torby sportowej.

— Nie po to tu przyszedłem, trenerze. Nie chcę, żeby pan snuł dla mnie jakieś plany. Tęskniłem za tą salą. To wszystko. Po prostu tęskniłem za salą. Ale nie wrócę do zapasów... już nie.

— W porządku — powiedział łagodnie trener Sheen. — Skończyliśmy na dzisiaj?

Ambrose przytaknął, nie podnosząc wzroku ze swoich butów, a Mike Sheen zadzwęczał kluczami w kieszeni.

— Idziesz do domu razem z Fern, Bailey? — zapytał swojego syna, a ten momentalnie się skulił.

— My tutaj przyszliśmy i przyjechaliśmy, tato — zażartował Bailey, jak zawsze starając się rozładować sytuację humorem. — Ale wrócę z tobą, jeśli nie masz nic przeciwko... przyjechałeś furgonetką, prawda?

— Ja odwiozę Fern — odezwał się Ambrose, nie odrywając wzroku od sznurówek.

Wciąż kuczał przy swojej torbie i nie spojrzał w górę na trzy osoby, które na niego patrzyły. Wyglądał na spiętego, jakby marzył, żeby wszyscy zostawili go wreszcie w spokoju. Fern zastanawiała się, dlaczego Ambrose chce, żeby z nim została. Ale nic nie powiedziała, tylko pożegnała się z wujkiem i Baileyem.

— Dopilnuj, żeby wszystkie światła zostały zgaszone, a drzwi zamknięte na klucz — powiedział cicho trener i otworzył szeroko drzwi,

żeby Bailey mógł przez nie swobodnie przejechać. A potem ciężkie drzwi się zamknęły i Fern została sama z Ambrose'em.

Ambrose przyłożył do ust butelkę z wodą i pił łąpczywie, miarowo przełykając. Potem wylał trochę wody na twarz i głowę, i wytarł ją ręcznikiem, ale wciąż nie zrobił ruchu, żeby wstać. Zdjął mokrą koszulkę, chwytając ją z tyłu na plecach i przekładając przez głowę tak, jak zawsze robią faceci i jak nigdy nie robią dziewczyny. Nie dał jej czasu, żeby mogła na niego popatrzeć, choć jej oczy wędrowały po jego torsie, starając się zapamiętać każdy szczegół. To nie był czas na popisywanie się. Niemalże od razu założył czystą niebieską koszulkę. Na nogi włożył buty do biegania i zawiązał sznurówki, a potem usiadł na podłodze i objął rękami kolana, chowając głowę przed jaskrawymi światłami sali gimnastycznej.

— Możesz wyłączyć światło, Fern? — Jego głos był tak cichy, że nie była pewna, czy dobrze usłyszała, ale poszła do drzwi, przy których z prawej strony znajdowały się wszystkie włączniki światel ustawione w jednej linii.

Myślała, że Ambrose pójdzie za nią.

— Idziesz? — zapytała, kładąc dłoń na wyłączniku.

— Po prostu... wyłącz.

Fern spełniła jego prośbę i momentalnie cała sala zniknęła jej sprzed oczu, chowając się w ciemności. Stała przy drzwiach, zastanawiając się, czy Ambrose chce, żeby zostawiła go tutaj samego. Ale czemu w takim razie powiedział, że odwiezie ją do domu?

— Chcesz, żebym sobie poszła? Mogę pójść pieszo... to nie jest daleko.

— Zostań. Proszę.

Drzwi były zamknięte, a Fern stała tuż obok nich, zastanawiając się, jak trafić z powrotem do Ambrose'a. Zachowywał się dziwnie; traktował ją z dystansem, a jednocześnie wyglądał na bardzo nieszczęśliwego. Ale chciał, żeby została. Dla Fern to wystarczyło. Poszła w kierunku środka sali, ostrożnie stawiając kroki.

— Fern?

Trochę po lewej. Fern kucnęła, położyła dłonie na ziemi i na klęczkach poszła za jego głosem.

— Fern?

Musiał usłyszeć, że się zbliża, bo jego głos był ciepły, a jej imię brzmiało bardziej jak powitanie niż pytanie. Zatrzymała się i wyciągnęła rękę. Zaraz potem napotkała opór w postaci jego uniesionego kolana. Natychmiast chwycił ją za palce i przejechał dłonią aż do ramienia, żeby przyciągnąć ją do siebie i ściągnąć na dół na matę, gdzie leżał tuż obok, tworząc ścianę ciepła z jej lewej strony.

Dziwnie było czuć jego dotyk w kompletnej ciemności. W sali gimnastycznej nie było okien, więc naprawdę nie było nic widać. Fern poczuła, że jej pozostałe zmysły wyostrzyły się. Słyszała jego oddech, erotyczny i niewinny jednocześnie — erotyczny, bo nie wiedziała, czego się spodziewać, a niewinny, bo Ambrose po prostu oddychał, a ciepłe powietrze wypływające z jego nosa zatrzymywało się na jej policzku. A potem jego usta obniżyły się i ciepło zamieniło się w gorąco, które parzyło jej otwarte usta. Wreszcie gorąco zmieniło się w nacisk, kiedy zatopił swoje usta w jej ustach.

Pocałował Fern, jakby tonął, a ona była powietrzem, albo jakby była ziemią pod jego stopami. Może po prostu tak właśnie całował — również wszystkie swoje poprzednie dziewczyny. Może tak samo całował Ritę. Ale Fern знаła tylko jego pocałunki i nie miała z czym ich porównać. Nie mogła stworzyć wiarygodnej analizy zalet i wad, umiejętności i niedostatków. Wiedziała tylko, że gdy Ambrose ją całował, czuła się tak, jakby miała zaraz wybuchnąć, jak w tych kontrolowanych eksplozjach, gdy budynki po prostu zapadają się w sobie, zamieniając się w stos gruzów, ale nie niszcząc niczego dookoła.

Wokół Fern nic się nie zniszczy. Sala nie wybuchnie płomieniami, maty pod nią się nie stopią, ale gdy Ambrose skończy, Fern będzie płonącym stosem czegoś, co kiedyś było Fern Taylor, a wtedy nie będzie już drogi powrotnej. Zostanie odmieniona na zawsze i już nigdy nie będzie chciała nikogo innego. Wiedziała to z całą pewnością, jak gdyby wcześniej całowały ją już tysiące mężczyzn.

Jęknęła wprost do jego ust, udzielając głosu małej głodnej bestii mieszkającej wewnątrz niej, która pragnęła zedrzeć z niego ubranie i zatopić w nim swoje małe szpony, żeby mieć pewność, że jej głód

wreszcie zostanie zaspokojony, a on choć przez tę krótką chwilę będzie należał tylko do niej. Napała na niego swoim ciałem, wdychając zapach potu wymieszany z aromatem jego świeżo wypranej bawełnianej koszulki. Polizała i pocałowała jego słoną skórę. Miękkie blizny na jego policzku kontrastowały z drapiącym zarostem na szczęce. I wtedy zupełnie znikąd w jej rozpalonej głowie wykluła się myśl — trujące zwątpienie owinięte w chwilę prawdy.

— Dlaczego całujesz mnie tylko wtedy, gdy jest ciemno? — wyszeptała, unosząc usta nad jego ustami.

Ambrose dotykał niespokojnie jej ciała, przesuwał dłonie po jej krągłych biodrach i wąskiej talii i muskając miejsca, które najbardziej chciał zbadać, a Fern zadrżała, stojąc na rozdrożu między pragnieniem kontynuowania a potrzebą uzyskania zapewnienia.

— Boisz się, że ktoś nas zobaczy? — wyszeptała.

Położyła głowę na jego piersi, tak że jej włosy łaskotały jego usta i szyję, a potem objęła go ramionami.

Jego milczenie było niczym lodowate krople ściekające po jej plecach. Fern odepchnęła go i odsunęła się od niego w ciemności.

— Fern? — spytał zdezorientowany.

— Dlaczego całujesz mnie tylko wtedy, gdy jest ciemno? — powtórzyła Fern cichym i spiętym głosem, jak gdyby nie chciała, żeby jej głos ujawnił jej uczucia. — Boisz się, że ludzie cię ze mną zobaczą?

— Nie całuję cię tylko wtedy, gdy jest ciemno... chyba.

— Właśnie, że tak.

I znów cisza. Fern słyszała, jak Ambrose oddycha, zastanawiając się nad odpowiedzią.

— Czyli co, to prawda? Wstydzisz się... mnie?

— Nie, Fern. Nie wstydzę się pokazywać z tobą. Wstydzę się w ogóle pokazywać ludziom. — Ambrose chrząknął, a jego ręce znów odnalazły ją w ciemności.

— Dlaczego?

Wiedziała dlaczego... ale nie wiedziała. Nie do końca. Jego dłoń odnalazła jej brodę, a jego palce pogłaskały jej kość policzkową, przesuwał się po całej twarzy, i zatrzymały się przy ustach. Odsunęła się bardziej, żeby nie przybliżył się do niej.

— Mnie też? — powtórzyła. — Mnie też nie chcesz się pokazać?

— Nie chcę, żebyś myślała o tym, jak wyglądam, gdy cię całuję.

— A ty myślisz o tym, jak wyglądam, gdy mnie całujesz?

— Tak — powiedział ochryplym głosem. — Myślę o twoich długich rudych włosach i słodkich ustach, i o tym, jak to jest, czuć twoje drobne ciało przytulone do mnie, a wtedy chcę cię tylko dotykać. Wszędzie. Wtedy zapominam, że jestem brzydki, samotny i kompletnie zagubiony.

Fern poczuła w brzuchu uderzenie gorąca i z trudem przełknęła ślinę, starając się utrzymać w środku parę, która uleciała do góry, spaliła jej gardło i oblała twarz gorącem. Czytała w książkach o mężczyznach, którzy mówili takie rzeczy ukochanym kobietom, ale nie wiedziała, że ludzie naprawdę mówią sobie takie rzeczy w prawdziwym życiu. Nie sądziła, że ona kiedykolwiek usłyszy coś takiego od mężczyzny.

— Przy tobie czuję się bezpieczny, Fern. Przy tobie zapominam. A gdy cię całuję, to nie chcę nigdy przestać. Wszystko inne odchodzi w cień. Tylko w tym umiem odnaleźć spokój, od kiedy... kiedy...

— Od kiedy twoja twarz została poraniona? — dokończyła łagodnie, wciąż myśląc o tym, co powiedział o jej ustach, włosach i ciele. Była rozpalona, ale się bała; chętna, ale pełna obaw.

— Od kiedy moi przyjaciele zginęli, Fern! — krzyknął gwałtownie, wymierzając jej wściekły werbalny policzek.

Fern cofnęła się.

— Od kiedy czterech moich najlepszych przyjaciół zmarło na moich oczach! Oni zginęli, a ja przeżyłem. Ich nie ma, a ja jestem! Zasluguję na tę twarz!

Ambrose nie krzyczał, ale jego cierpienie było ogłuszające. Fern poczuła się tak, jakby jechała pociągiem przez tunel, w którym hałas kół jest tak głośny, że pęka głowa, a serce przestaje bić w normalnym tempie. Jego bluźniercze słowa były szokujące, a czysta, czarna rozpacz jeszcze bardziej. Fern zapragnęła pobiec do drzwi i poszukać włącznika światła, żeby zakończyć tę dziwną konfrontację na macie w kompletnej ciemności. Ale nie wiedziała, jak tam dojść, a nie chciała wpaść na ścianę.

— W ciemności, gdy jestem z tobą, zapominam, że Beans już do

nas nie przyjdzie i że nam nie przerwie. Zawsze przyprowadzał tu dziewczyny. Zapominam, że Grant nie wejdzie po tej linii, jakby nic nie ważył, i że Jesse nie będzie robił wszystkiego, żeby skopać mi tyłek, ponieważ w skrytości uważa, że jest lepszy ode mnie. Gdy przyszedłem tu dzisiaj, prawie się spodziewałem, że zobaczę Pauliego zwiniętego w rogu i drzemącego na matach. Paulie zawsze tutaj przychodził, gdy miał chwilę wolnego. Jeżeli nie był na lekcjach, zawsze można było go znaleźć tutaj śpiącego gdzieś w rogu.

Z jego piersi wydobyło się łkanie; głęboki i przejmujący szloch, który brzmiał tak, jakby od dawna czekał, aż wreszcie ktoś go uwolni. „Ciekawe, czy Ambrose kiedykolwiek płakał” — pomyślała Fern. Dźwięk, który z siebie wydawał, był rozdzierający, rozpaczliwy i przeraźliwie smutny. Fern płakała razem z nim.

Wyciągnęła rękę w kierunku, z którego wydobywał się jego bolesny płacz. Palcami natrafiła na jego usta. I zaraz potem znów była w jego ramionach, pierś przy piersi. Ich mokre policzki zetknęły się ze sobą, a łzy połączyły w jedność i spływały po ich szyjach. I tak siedzieli, dając sobie wzajemnie pocieszenie i je przyjmując, i pozwalając żeby gęsta ciemność pochłonęła ich smutek i ukryła ich żal, jeśli nie przed nimi nawzajem, to chociaż przed resztą świata.

— Tutaj byłem najszcześniejszy. Tu, w tej sali śmierdzącej potem, razem z moimi przyjaciółmi. Nigdy nie chodziło o walki ani o trofea, tylko właśnie o tę salę. Tak właśnie się czułem, gdy tu byłem.

Ambrose przytulił twarz do jej szyi i z trudem mówił dalej.

— Nie chcę, żeby trener przyprowadził tu jakichś innych chłopaków, którzy ich zastąpią. Nie chcę widzieć nikogo innego na tej sali... jeszcze nie... Gdy tutaj jestem, czuję ich obecność. To cholernie boli, ale to jest dobry ból... bo jeśli wciąż mogę słyszeć ich głosy, to znaczy, że tak naprawdę nie odeszli. Na tej sali mogę poczuć to, co z nas wszystkich pozostało.

Fern pogłaskała go po plecach i ramionach, próbując ukoić jego żal niczym matka, która leczy pocałunkiem skaleczone kolano swojego dziecka albo zakłada mu plaster na ranę. Ale on nie tego od niej oczekiwał. Podniósł głowę, łaskocząc oddechem jej usta i muskając nosem jej nos. Fern poczuła, że pożądanie znów się u niej wzmacnia i

zaczyna wygrywać ze smutkiem.

— Daj mi swoje usta, Fern. Proszę. Spraw, żeby to wszystko zniknęło.

Rozdział 25.

Dryfować na jeziorze Hannah

— Będziesz musiała pomóc mi się rozebrać. Boję się, że Ambrose tego nie zniesie. Nie jest gotowy na widok mojego wspaniałego nagiego ciała.

Ambrose, Bailey i Fern byli nad jeziorem Hannah. To był spontaniczny wyjazd. Na dworze było gorąco, a Fern i Ambrose mieli wolny dzień (i noc też). Kupili jedzenie i napoje w barze dla zmotoryzowanych, ale nie wrócili już do domu po stroje kąpielowe.

— Nie będziesz goły, Bailey. Przestań. Nie strasz Ambrose'a. — Fern mrugnęła porozumiewawczo i dodała: — Ambrose, *będziesz* musiał mi pomóc przenieść go do wody. Dalej już sobie sama poradzę.

— Hej! — wtrącił się Bailey z udawaną złością.

Fern głośno się zaśmiała i poklepała Bailey'a po policzkach.

Ambrose stanął za Baileyem i wziął go pod pachy, żeby Fern mogła mu zsunąć spodnie z bioder.

— Dobrze. Postawmy go na minutę.

Bailey wyglądał jak wychudzony starzec z odrobiną tłuszczu w okolicy talii. Poklepał swój brzuch z zadowoleniem.

— Pomaga mi utrzymać się na wodzie. Dzięki niemu też nie opadam na kolana, gdy siedzę na wózku.

— To prawda — powiedziała Fern, zdejmując Baileyowi buty i skarpetki. — Ma szczęście, że jest pulchny. Ten tłuszcz wzmocnia jego korpus. On naprawdę potrafi unosić się na wodzie. Tylko patrz.

Fern ustawiła równo buty Bailey'a i zdjęła własne adidas. Miała na sobie szorty i turkusową koszulkę bez rękawów, ale niestety nie uczyniła żadnego ruchu, żeby je zdjąć. Ambrose rozwiązał sznurowadła i rozpiął dżinsy. Fern odwróciła wzrok. Czowała, że przez jej szyję i policzki przechodzi fala czerwieni.

Kiedy Ambrose był już w samych bokserkach, bez słowa wziął Bailey'a na ręce i poszedł z nim w kierunku wody.

Fern biegła obok nich, podskakując, i wykrzykiwała instrukcje, jak trzymać Bailey'a i jak go położyć na wodzie, żeby się nie wywrócił do przodu, ponieważ nie będzie w stanie sam odwrócić się na plecy.

— Fern. Spokojnie, kobieto! — powiedział Bailey, gdy Ambrose położył go na wodę.

Bailey zapadł się trochę w wodzie, przyjmując niemalże siedzącą pozycję z pośladkami w dole i stopami w górze. Jego głowa i ramiona wystawały ponad powierzchnią wody.

— Jestem wolny! — wykrzyknął.

— Krzyczy tak za każdym razem, gdy jest w wodzie — zachichotała Fern. — To musi być dla niego wspaniałe uczucie. Kiedy unosi się na wodzie i nikt nie musi go trzymać.

— *Latawce czy balony?* — powiedział ciepło Ambrose, patrząc na Bailey'a.

Unosi się i nikt nie musi go trzymać. Takiej właśnie odpowiedzi udzielił Fern, gdy zadała mu to pytanie dawno temu. Ależ był głupi. Cóż przyjemnego jest w lataniu, gdy na drugim końcu sznurka nikogo nie ma? Albo w unoszeniu się na wodzie, gdy nie ma nikogo, kto by ci pomógł wrócić na suchy ląd? Ambrose spróbował położyć się na wodzie tak jak Bailey, ale nogi wciąż opadały mu na dno jak ciężkie kotwice. Dlatego wstał i zaczął brodzić w wodzie. Symbolika tej sytuacji nie umknęła jego uwadze.

Bailey zapiął:

— Za dużo mięśni? Biedny Brosey. Obawiam się, że tę rundę wygrywa Bailey Sheen.

Fern również położyła się na wodzie i skupiła się na tym, żeby utrzymać się na powierzchni. Jej różowe paznokcie wystawały z wody, a wzrok miała wbity w chmury.

— Widzisz corvette? — Podniosła rękę do góry i wskazała puszyste kłęby na niebie. Od razu zaczęła tonąć, więc Ambrose wsparł ją pod plecami, zanim jej twarz zdążyła zniknąć pod wodą.

Bailey zmarszczył nos, próbując odnaleźć samochód wśród chmur. Ambrose go znalazł, ale do tego czasu chmura zdążyła się już zmniejszyć i teraz wyglądała bardziej jak volkswagen garbus.

— Widzę chmurę, która wygląda jak pan Hildy! — zaśmiał się Bailey.

Nie mógł jej wskazać, więc Fern i Ambrose uważnie przypatrywali się wszystkim chmurom, starając się dostrzec w nich znajomą twarz,

zanim się rozpląną i zmieniają swój kształt.

— Hm, ja widzę Homera Simpsona — powiedziała Fern.

— Bardziej Barta... albo może Marge — poprawił ją Ambrose.

— To zabawne, że wszyscy patrzymy na tę samą rzecz, a widzimy coś innego — zauważyła Fern.

Patrzyli jeszcze przez jakiś czas na chmurę, której krawędzie zaczęły powoli niknąć i rozpląwać się po niebie. Ambrose przypomniał sobie inną sytuację — wtedy też pływał, unosząc się na plecach i wpatrując w niebo.

— *Jak myślicie, czemu w całym mieście jest pełno wizerunków Saddama? Wszędzie, gdzie spojrzeć, widać jego brzydką mordę. Gdzie się nie obejrzyśz pomniki, plakaty, bannery — powiedział Paulie.*

— *Bo jest taki przystojny — powiedział sucho Ambrose.*

— *Chodzi o zastraszenie i kontrolowanie umysłów. — Grant, który był najlepszym uczniem w klasie, pośpieszył z odpowiedzią. — Chciał, żeby ludzie traktowali go jak Boga, bo wiedział, że dzięki temu łatwiej będzie mu kontrolować całe społeczeństwo. Jak myślisz, czy ci ludzie bardziej boją się Boga, czy Saddama?*

— *Masz na myśli Allaha — poprawił go uprzejmie Paulie.*

— *Racja. Allaha. Saddam chciał, żeby ludzie uwierzyli, że on i Allah są jednym i tym samym — powiedział Grant.*

— *Jak myślicie, co pomyślałby Saddam, gdyby nas teraz zobaczył, jak pływamy w jego basenie? Muszę przyznać, że jest naprawę niezły. — Jesse stanął na nogi i rozłożył ręce na powierzchni wody, wpatrując się w zdobioną fontannę, która stała na drugim końcu basenu.*

— *Nie miałby nic przeciwko. Na pewno zgodziłby się, żebyśmy tu przychodzili, kiedy tylko chcemy — powiedział Ambrose.*

Cała ich jednostka pluskała się w wielkim basenie, który stał przy Pałacu Republikańskim, będącym obecnie pod zarządem armii Stanów Zjednoczonych. Rzadko mogli cieszyć się takimi luksusami, ale dużo większą radość sprawiłoby im to, gdyby mogli teraz pływać w swoim własnym jeziorze Hannah, które jest otoczone drzewami i skałami, a nie zdobionymi fontannami, palmami i budynkami z wielkimi kopułami.

— *Myślę, że Saddam najpierw kazałby nam ucałować swoje*

pierścienie, a potem obciąłby nam języki — dołączył do rozmowy Beans.

— No nie wiem, Beans, tobie nawet wyszłoby to na dobre — powiedział Jesse.

Beans zaśmiał się i obaj koledzy zaczęli siłować się w wodzie. Ambrose, Paulie i Grant też się śmiali i podpuszczali ich obu, ale kąpiel w basenie była dla nich zbyt przyjemna, żeby chcieli marnować tę chwilę wytchnienia na głupie zabawy. Dalej więc unosili się na wodzie, patrząc w niebo, które wcale zbyttnio się nie różniło od nieba nad Hannah Lake.

— Tyle razy już widziałem twarz Saddama, że widzę go, gdy zamknę oczy, jakby jego obraz został wypalony w moich siatkówkach — żalił się Paulie.

— Ciesz się, że trener Sheen nie stosował tych samych metod zastraszania podczas sezonu zapaśniczego. Wyobrażasz to sobie? Twarz trenera wszędzie, gdzie spojrzysz, i ten jego surowy wzrok wpatrzony w ciebie — zażartował Grant.

— Dziwne, gdy próbuję sobie przypomnieć jego twarz albo twarz kogokolwiek innego, nie potrafię. Staram się odtworzyć wszystkie szczegóły, wiecie, i... nie mogę. Przecież wcale nie minęło dużo czasu. Jesteśmy tu dopiero od marca — powiedział Ambrose, kręcąc głową z niedowierzaniem.

To wszystko było takie nierzeczywiste.

— Najdłuższe miesiące w moim życiu — westchnął Paulie.

— Nie pamiętasz twarzy Rity... ale założę się, że potrafisz sobie przypomnieć, jak wyglądała nago, co? — Beans skończył przekomarzania z Jessem po komentarzu na temat obcięcia języka i przystąpił do kolejnej ofensywy.

— Nigdy nie widziałem Rity nago — powiedział Ambrose.

Nie obchodziło go, czy koledzy mu uwierzą, czy nie.

— Taa, jasne! — powiedział Jesse nieprzekonany.

— Naprawdę. Chodziliśmy ze sobą tylko jakiś miesiąc.

— To mnóstwo czasu! — powiedział Beans.

— Czujecie bekon? — Paul poruszył nozdrzami, dając w ten sposób Beansowi do zrozumienia, że zachowuje się jak świnia.

Beans chlupnął mu w twarz wodą, ale nie zaatakował go. Na wzmiankę o bekonie wszystkim zaczęło burczeć w brzuchu.

Po ostatnim spojrzeniu w niebo cała piątka wydostała się z luksusowego basenu i ociekając wodą poszła w kierunku stosu mundurów rzuconych na ziemię. Na niebie nie było żadnych chmur, żadnych twarzy do rozpoznania, niczego, co wypełniłoby luki w pamięci Ambrose'a. Nagle w jego myślach pojawiła się zupełnie nieproszona postać. Fern Taylor z brodą uniesioną do góry, zamkniętymi oczami, mokrymi rzęsami i rozmazanym tuszem na piegowatych policzkach. Jej miękkie różowe usta, obolałe i drżące. To, jak wyglądała po tym, gdy ją pocałował.

— Czy kiedykolwiek zdarzyło wam się, że patrzeliście na jakiś obraz tak długo, że kolory zaczęły się zamazywać, a wy już nie potrafiliście stwierdzić, co widzicie? Żadnej formy, twarzy czy kształtu, tylko kolory i maźnięcia farbą — odezwała się znów Fern, a Ambrose spojrzął na twarz, która kiedyś pojawiła się w jego wspomnieniach w bardzo odległym miejscu, w miejscu, o którym przez większość czasu wolałby nie pamiętać.

Bailey i Ambrose milczeli, szukając nowych twarzy w chmurach.

— Myślę, że ludzie tacy właśnie są. Gdy się komuś długo przyglądasz, przestajesz widzieć doskonały nos albo proste zęby. Przestajesz widzieć bliznę po trądziku i dołek w brodzie. Te cechy zaczynają się zamazywać, a ty nagle widzisz kolory i to, co się kryje w środku, a piękno nabiera zupełnie nowego znaczenia.

Mówiąc to, Fern cały czas patrzyła w niebo, a Ambrose przyglądał się jej profilowi. Nie mówiła o nim. Po prostu dzieliła się swoimi przemyśleniami na temat ironii życia. Po prostu była sobą.

— Tylko że to działa w obie strony — wtrącił swoje trzy grosze Bailey. — Brzydota bierze się z brzydkich czynów. Becker nie jest brzydki z powodu tego, jak wygląda. I tak samo moje oszałamiające piękno nie bierze się z mojego wyglądu.

— Dokładnie tak, mój dryfujący przyjacielu. Dokładnie tak — odpowiedziała mu Fern z powagą w głosie.

Ambrose ugryzł się w język, żeby się nie zaśmiać. Co za para osłów i dziwaków. Nagle poczuł, że jego oczy robią się mokre. Znowu. Chyba zamieniał się w jedną z tych pięćdziesięcioletnich kobiet, które

uwielbiają zdjęcia małych kotków z inspirującymi cytatami na dole. Tych, które płaczą podczas reklam piwa. Fern zamieniła go w kompletnego mazgaja. A on szalał na jej punkcie. I uwielbiał jej dryfującego przyjaciela.

— Co się stało z twoją twarzą, Brosey? — zapytał Bailey radosnym głosem, zmieniając temat, tak jak zawsze to robił, bez żadnego ostrzeżenia.

No dobrze, może jednak Ambrose wcale nie uwielbiał tego dryfującego przyjaciela.

— Wybuchła bomba — odpowiedział krótko.

— No, ale powiedz coś więcej. Przeszedłeś dużo operacji, prawda? Co ci robili?

— Prawa część mojej głowy została rozerwana, włącznie z prawym uchem.

— To chyba dobrze, nie? To znaczy, jeśli dobrze pamiętam, to ucho było wielkie jak kalafior.

Ambrose stłumił śmiech i pokręcił głową. Bailey naprawdę miał tupet. Ucho kalafiorowate to zniekształcenie ucha dotykające czasami zapaśników, którzy nie noszą nauszników. Ambrose nigdy nie miał ucha kalafiorowatego, ale docenił poczucie humoru Bailey'a.

— To ucho to proteza.

— Nie gadaj! Pokaż! — Bailey zrobił gwałtowny ruch i zakołysał się w wodzie, a Ambrose zdążył go złapać, zanim głowa Bailey'a zniknęła pod powierzchnią wody.

Ambrose odczepił protezę ucha od magnesów, które utrzymywały ją na miejscu, a Fern i Bailey wyszeptali jednocześnie:

— Ale super!

Tak. Osły. Ale Ambrose nie mógł zaprzeczyć, że poczuł ulgę na widok reakcji Fern. Dał jej wszystkie możliwe powody, żeby uciekła od niego z krzykiem. To, że nawet nie drgnęła, odblokowało coś w jego klatce piersiowej. Wziął głęboki, przyjemny oddech.

— To dlatego włosy ci nie rosną?

Tym razem to Fern zadała wścibskie pytanie.

— Tak. Mam za dużo tkanki bliznowatej po tej stronie głowy. Za dużo przeszczepów. Z tej strony mam wszczepioną stalową płytkę, która

łączy kość policzkową ze szczęką. Tutaj i tutaj miałem zupełnie zdartą skórę — powiedział Ambrose i pokazał długie blizny, które przecinały jego policzek. — Lekarze zdołali przyszyć ją na nowo, ale zanim ten duży kawałek uderzył mnie w bok głowy, najpierw dostałem odłamkami. Dlatego skóra, którą przyszyli, była podziurawiona jak szwajcarski ser. Niektóre odłamki pozostały w tkance miękkiej twarzy. Dlatego skóra jest taka nierówna i pełna blizn. Niektóre odłamki wciąż próbują się wydostać na zewnątrz.

— A twoje oko?

— Trafił je jeden z większych odłamków. Lekarze uratowali gałkę oczną, ale nie zdołali przywrócić mi wzroku.

— Metalowa płytką w głowie? Mocna rzecz. — Oczy Bailey'a były szeroko otwarte.

— Tak. Możesz mnie nazywać Blaszanym Drwałem — powiedział Ambrose łagodnym głosem, a wspomnienie tego przezwiska przywołało stary ból.

Ciężko westchnął.

— Blaszanym Drwałem? — spytał Bailey. — Faktycznie, jesteś mocno zardzewiały. To zejście do dwóch nóg wczoraj było ŻAŁOSNE.

Fern wzięła Ambrose'a za rękę i postawiła stopy na kamienistym dnie obok tuż niego. W okamgnieniu stare wspomnienie utraciło swoją moc. Ambrose objął ją w talii i przyciągnął do siebie, nie zważając na docinki Bailey'a. Może Blaszanym Drwałem wracał właśnie do życia. Może jednak miał serce.

Pływali tak jeszcze przez godzinę: Bailey uszczęśliwiony dryfował na wodzie, a Fern i Ambrose pływali wokół niego, śmiejąc się i opryskując go wodą, aż Bailey ogłosił, że zaczyna zamieniać się w rodzynek. Wtedy Ambrose zaniósł go na wózek, a potem położył się razem z Fern na skałach, żeby słońce wysuszyło ich ubrania. Fern miała na sobie najwięcej ubrań i była zdecydowanie najbardziej mokra. Na jej nosie i ramionach było widać pierwsze oznaki oparzenia słonecznego, a tylna część jej bladych ud nabrała jasnorożowego koloru. Jej mokre włosy były sklezione w jaskrawoczerwone kosmyki, które opadały jej na plecy i twarz. Leżała na dużym, ciepłym kamieniu i uśmiechała się półprzytomnym wzrokiem, powoli zapadając w drzemkę. Ambrose

poczuł w piersi dziwne uczucie spadania. Podniósł dłoń, żeby potrzeć miejsce tuż nad sercem, jakby w ten sposób mógł złagodzić to uczucie i odesłać je gdzieś daleko. Czuł się tak coraz częściej, gdy był blisko niej.

— Brose? — Głos Bailey'a wyrwał go z zadumy.

— Tak?

— Muszę do toalety — poinformował go Bailey.

Ambrose zastygnął, świadomy implikacji tego zgłoszenia.

— Dlatego możesz albo szybko zawieźć mnie do domu albo potowarzyszyć mi w drodze do lasu. — Bailey skinął głową na drzewa otaczające jezioro Hannah. — Mam nadzieję, że masz przy sobie papier toaletowy. Tak czy inaczej przestań gapić się na Fern, jakbyś chciał ją pożreć, bo gdy na ciebie patrzę, robię się głodny, a nie ręcę za swoje zachowanie, gdy jestem głodny i muszę iść za potrzebą.

I tak w jednej chwili cały nastrój przysł.

Rozdział 26.

Wynaleźć wehikuł czasu

22 listopada 2003

Droga Marley,

Nigdy nie napisałem do Ciebie listu miłosnego, prawda? Wiedziałaś, że Ambrose w ostatniej klasie pisał takie liściki z Ritą Marsden, a potem okazało się, że to nie ona je pisała? To była Fern Taylor, ta mała ruda, która zadaje się z synem trenera, Baileyem. Na początku Paulie podpowiedział Ambrose'owi, żeby cytował poezję, ale myślę, że Ambrose'owi podobały się te liściki, dopóki Rita go nie rzuciła i nie powiedziała mu, że to nie ona pisała do niego, tylko Fern. Ambrose rzadko okazuje emocje, ale widać było wtedy, że jest wkurzony. Przez całą resztę roku szkolnego robiliśmy sobie żarty z Fern Taylor. Wizja Ambrose'a i Fern jako pary jest naprawdę zabawna, ale on uważa inaczej. Zazwyczaj milczy, gdy o niej wspomnimy. Ostatnio sobie uświadomiłem, że sam jestem kiepski w komunikowaniu się z ludźmi, i miałem okazję się przekonać, jak daleko są w stanie posunąć się ludzie, żeby przekazać sobie wiadomość.

Pilnujemy na zmianę grupy więźniów, zanim zostaną przetransportowani do Bagdadu. Czasami mijają całe tygodnie, nim ich wyślą w inne miejsce. To zadziwiające, co są w stanie zrobić irakijscy żołnierze, żeby się ze sobą porozumieć. Robią glinę, mieszając czaj (herbatę) z ziemią i piaskiem. A potem piszą krótkie teksty na kawałkach serwetek lub ubrań, wkładają je do tych glinianych kulek (nazywamy je kamieniami z czaju) i czekają, aż kulki wyschną. Później rzucają te kamienie z czaju do innych cel, gdy strażnicy nie patrzą. Zacząłem się zastanawiać, co bym napisał, gdybym miał tylko maleńki skrawek papieru i chciał Ci wyznać, co czuję. „Kocham cię” brzmi tak zwyczajnie. Ale to prawda. Kocham Cię i kocham małego Jessego, mimo że jeszcze go nie widziałem. Nie mogę się doczekać, kiedy wrócę do domu i stanę się lepszym człowiekiem, bo uważam, że mogę nim być. Obiecuję Ci, że się postaram. A zatem oto Twój pierwszy oficjalny list miłosny. Mam nadzieję, że Ci się spodoba. Grant poprawił wszystkie błędy gramatyczne i ortograficzne. Warto mieć mądrych przyjaciół.

*Kocham Cię,
Jesse*

Ambrose stał przed domem Fern i zastanawiał się, jak dostać się do środka. Mógł rzucić kamieniem w okno jej pokoju — wiedział, że jest to pierwsze okno od lewej na parterze z tyłu domu. Mógłby zaśpiewać serenadę i pobudzić wszystkich sąsiadów... oraz jej rodziców, a to z pewnością nie pomogłoby mu wejść do środka. A naprawdę bardzo chciał się tam dostać. Była pierwsza w nocy, a ponieważ Ambrose normalnie o tej porze pracuje, miał problemy z zaśnięciem, gdy miał dni wolne. Zresztą o innych porach też zbyt dobrze nie sypiał — od wypadku w Iraku. Psychiatra powiedziała mu, że w jego sytuacji śnienie koszmarów jest zupełnie normalne. Opowiedziała mu o zespole stresu pourazowego. Też mi odkrycie, pani Sherlock.

Ale tym razem nie mógł spać z innego powodu. Musiał zobaczyć się z Fern. Minęło kilka godzin, od kiedy odstawiła go pod domem i pojechała dalej z Baileyem. Tylko kilka godzin. Ale już za nią tęsknił.

Wyciągnął telefon. Ta opcja była dużo sensowniejsza niż komunikowanie się przez rzucanie kamieni w okno czy odgrywanie muzycznego Romea.

Nie śpisz? — napisał SMS, modląc się, żeby miała telefon przy łóżku.

Zaledwie dwadzieścia sekund później jego telefon zawibrował, informując go o odpowiedzi.

Nie.

Mogę się z tobą zobaczyć?

Tak. Gdzie jesteś?

Na zewnątrz.

Przed moim domem?

Tak. Wystraszyłaś się? Podobno budzę przerażenie. Myślałem nawet, żeby wejść do ciebie przez okno, ale potwory raczej mieszkają pod łózkami albo w szafach.

Żartowanie na temat własnej twarzy przychodziło mu już z większą łatwością, a to wszystko dzięki Fern. Nie odpowiedziała na jego ostatni

SMS, ale chwilę później w jej pokoju zapaliło się światło. Po kilku minutach Ambrose zaczął się zastanawiać, czy Fern jakoś się szykuje na spotkanie z nim. Może spała nago. Kurczę. Powinien był jednak wejść przez to okno.

Zaraz potem wyjrzała przez okno i zrobiła zapraszający gest. Chichotała, trzymając w rękach uniesione rolety, żeby ułatwić mu przejście przez wąski otwór w oknie. Kiedy znalazł się w środku i stanął wyprostowany na nogach, wypełnił jej pokój swoimi ramionami i wysoką posturą. Kołdra na jej łóżku była odrzucona, a na poduszce wciąż było widać wgniecenie w miejscu, gdzie leżała jej głowa. Fern podskakiwała z radości, że go widzi, a jej włosy podskakiwały razem z nią — małe czerwone korkociągi, które opadały jej na plecy i ramiona, tańcząc wokół pomarańczowej koszulki bez rękawów dopasowanej do krótkich kolorowych spodenek. Wyglądała jak karnawałowy klaun w niekompletnym stroju.

Nigdy wcześniej nie stracił tchu na widok karnawałowego klauna, dlatego więc brakowało mu powietrza i czuł desperacką potrzebę, żeby ją objąć? Wziął głęboki oddech i wyciągnął rękę na powitanie, a potem mocno ścisnął jej dłoń i przyciągnął ją do siebie.

— Zawsze marzyłam, żeby jakiś przystojniak wkradł się do mojego pokoju przez okno — wyszeptała Fern teatralnym głosem, przytulając się do jego boku i obejmując go w pasie, jakby nie mogła uwierzyć, że jest prawdziwy.

— Bailey mi mówił — odpowiedział szeptem Ambrose.

— Co? A to gad! Złamał najważniejszą zasadę przyjaźni: nie ujawniać sekretnych fantazji! Teraz mi wstyd — westchnęła Fern gwałtownie, ale w jej głosie nie było słycać zażenowania.

— Mogłeś wejść frontowymi drzwiami — zamruczała Fern po długiej pauzie.

Wspięła się na palce i pocałowała go w szyję, a potem w brodę; wyżej nie była w stanie sięgnąć.

— Zawsze chciałem zakraść się do ciebie przez okno, ale nie mogłem wymyślić dobrej wymówki. Poza tym uznałem, że jest już trochę za późno, żeby pukać do drzwi. A bardzo chciałem cię zobaczyć.

— Przecież dzisiaj już się widzieliśmy, nad jeziorem. Mam na to

dowód w postaci oparzeń słonecznych.

— Chciałem cię zobaczyć jeszcze raz — wyszeptał Ambrose. — Nie potrafię długo bez ciebie wytrzymać.

Słyszając te słowa, Fern zarumieniła się i poczuła nagłe ciepło w środku. Chciała być z nim przez cały czas, a myśl o tym, że on może czuć to samo, przygotowała ją o zawroty głowy.

— Pewnie jesteś wykończony — odezwała się w niej jej opiekuńcza natura.

Poprowadziła go do łóżka i nakazała mu, żeby usiadł.

— Przez to, że pracuję na nocną zmianę, nie potrafię zasnąć, gdy mam wolne w nocy — przyznał Ambrose.

Nie wspomniał o koszmarach, które jeszcze bardziej nasilają jego problemy ze snem. Po krótkiej chwili milczenia dodał:

— A skoro już mnie tutaj przyprowadziłaś, może podzielisz się ze mną jeszcze jakimiś innymi fantazjami? Może chciałabyś mnie przywiązać do tego łóżka?

Fern zachichotała.

— Ambrose Young. W moim łóżku. Myślę, że to wykracza poza moją wyobraźnię.

Ambrose patrzył z czułością na jej twarz, oświetloną częściowo przez małą lampkę przy łóżku.

— Dlaczego zawsze zwracasz się do mnie pełnym imieniem i nazwiskiem? Zawsze nazywasz mnie Ambrose Young.

Fern zastanawiała się przez chwilę. Zamknęła oczy, a on delikatnie pogłaskał ją po plecach.

— Bo dla mnie zawsze byłeś Ambrose'em Youngiem... Nie Ambrose'em, nie Brosem ani Broseyem. Ambrose'em Youngiem. Szkolną gwiazdą, przystojniakiem i największym ciachem. To tak jak z aktorami. Nigdy nie mówię o Tomie Cruisie, używając tylko jego imienia. Mówię Tom Cruise. Will Smith, Bruce Willis. Dla mnie zawsze byłeś w tej samej lidze.

„Ciągłe ten Herkules” — pomyślał Ambrose. Fern patrzyła na niego tak, jakby umiał walczyć z lwami i pokonywać smoki, i mimo że dziś już nie miał żadnych powodów do dumy, a jego stary wizerunek legł w gruzach jak obalony pomnik Saddama Husseina, ona wciąż

postrzegala go tak samo.

— Dlaczego rodzice nazwali cie Ambrose? — zapytala cicho, robiac sie coraz bardziej senna przez jego glaskanie.

— Tak mial na imie moj biologiczny ojciec. Moja mama chciala w ten sposob sprawic, zeby mnie uznal.

— Ten model od bielizny? — zapytala natychmiast Fern.

Ambrose jeknal.

— Ludzie zawsze beda mi to wypominac. Tak. Byl modelem. A moja mama nigdy nie przestala go kochac, mimo ze miala przy sobie Elliotta, ktory traktowal ja jak boginie i zrobilby wszystko, zeby ja uszczesliwic. Nawet ozenil sie z nia, gdy byla w ciazy, i pozwolil, zeby dala mi imie po facecie od bielizny.

Fern zachichotala.

— Nie wydaje mi sie, zeby ci to jakoś przeszkadzalo.

— Nie, nie przeszkadza. Mama dala mi Elliotta. Jest najlepszym ojcem, jakiego mozna miec.

— To dlatego zostales z nim, gdy wyjechala?

— Kochalem mame, ale ona byla zagubiona. Nie chcialem tez tak skonczyc. Tacy ludzie jak Elliot nigdy nie sa zagubieni. Nawet gdy wszystko dookolat sie wali, on zawsze wie, kim jest. Przy nim zawsze czuje sie bezpieczny.

Nagle Ambrose uswiadomil sobie, ze pod tym wzgledem Fern jest troche podobna do Elliotta. Byla jego ostoja, fundamentem i schronieniem.

— Ja dostalam imie po bohaterce ksiazki *Pajeczyna Szarlotty* — powiedziala Fern. — Znasz te historie? Mala dziewczynka, Fern, ratuje przed smiercia mala swinke, najslabsze zwierzatko w miocie. Bailey stwierdzil, ze rodzice powinni raczej mnie nazwac Wilbur, bo sama tez jestem takim chucherkiem. Nawet czasem tak na mnie mowi, jak chce mnie zdenerwowac. Ja z kolei uwazalam, ze rodzice powinni mnie nazwac Szarlota po pajaku. Moim zdaniem Szarlota to piekne imie. Do tego Szarlota byla bardzo madra i mila. Poza tym tak samo miala na imie pewna pieknośc z Poludnia z jednego z moich ulubionych romansow.

— Grant mial krowe, ktora miala na imie Szarlota. Mnie sie podoba imie Fern.

Fern się uśmiechnęła.

— Z kolei Bailey dostał imię po George’u Baileyu z filmu *To wspaniałe życie*. Angie uwielbia ten film. Powinieneś usłyszeć, jak Bailey naśladuje Jimmy’ego Stewarta. Jest przezabawny.

— A skoro już mówimy o imionach i ulubionych romansach, Bailey powiedział mi, że piszesz pod pseudonimem. Bardzo mnie to zaciekało.

Fern głośno jęknęła. Pogroziła pięścią w kierunku domu Bailey’a.

— Baileyu Sheenie, ty przekłeta paplo.

Spojrzała na Ambrose’a z lękiem w oczach.

— Pomyślisz, że jestem jakąś wariatką. Że mam kompletną obsesję. Ale musisz wiedzieć, że wymyśliłam sobie to alter ego, gdy miałam szesnaście lat i *rzeczywiście* miałam obsesję na pewnym punkcie. No dobrze, nadal ją mam.

— Na punkcie czego? — spytał zdezorientowany Ambrose.

— Ciebie — powiedziała niewyraźnie Fern, chowając głowę w jego piersi, ale on i tak zrozumiał.

Zaśmiał się i podniósł jej brodę do góry, żeby mogła zobaczyć jego twarz.

— Wciąż nie rozumiem, co to ma wspólnego z twoim pseudonimem.

Fern wzięła głęboki oddech.

— To Amber Rose.

— Ambrose?

— Amber Rose — poprawiła go Fern.

— Amber Rose? — parsknął śmiechem Ambrose.

— Tak — powiedziała Fern bardzo cichutkim głosem.

Ambrose śmiał się bardzo, bardzo długo. A gdy wreszcie przestał, rzucił Fern na poduszki i łagodnie pocałował ją w usta, czekając na jej reakcję. Nie chciał brać czegoś, czego nie chciała mu dać, i nie chciał robić czegoś, na co jeszcze nie była gotowa. Ale Fern pocałowała go żarliwie, otwierając usta na powitanie jego ust, i wsunęła swoje małe dłonie pod jego koszulkę, żeby poczuć zarys jego brzucha. Ambrose jęknął z żalu, że łóżko jest takie małe. Jego jęk tylko ją rozpałił. Bez zastanowienia zdjęła mu koszulkę, zaspokajając wreszcie pragnienie,

aby być tak blisko niego, jak to tylko możliwe. Jej zapal sprawił, że Ambrose zatracił się w jej zapachu, miękkich ustach i łagodnych westchnieniach, aż uderzył głową w zagłówek łóżka. Uderzenie sprawiło, że rozsądek powrócił do jego ogarniętego miłosnym szałem umysłu. Wstał z łóżka i sięgnął po koszulkę, która leżała na podłodze.

— Muszę iść, Fern. Nie chcę, żeby twój tata przyłapał mnie w pokoju swojej córki w jej łóżku i bez koszulki. Zabiłby mnie. A twój wujek i mój były trener by mu w tym pomogli. Wciąż się boję trenera Sheena, mimo że jestem od niego dwa razy większy.

Fern zakwiliła w proteście i wyciągnęła do niego rękę. Włożyła palce za szlufkę w jego spodniach i przyciągnęła go z powrotem. Ambrose zaśmiał się i zachwiał. Oparł się o ścianę, żeby nie stracić równowagi, a wtedy jego ręka zahaczyła o pinezkę, która spadła na podłogę za łóżko. Ambrose szybko złapał kartkę, która zaczęła spadać ze ściany. Szybko na nią zerknął, a jego umysł pochłonął wszystkie słowa, zanim zdążył się zastanowić, czy to nie jest coś, czego nie powinien zobaczyć.

Jeżeli Bóg wymyślił nam twarze, to czy się śmiał, gdy stworzył mnie?

Czy stworzył nogi, które nie chodzą, i oczy, które widzą źle?

Czy kręci loki na mojej głowie, tworząc z nich dziką burzę?

Czy zatyka uszy głuchemu, robiąc to wbrew ludzkiej naturze?

Czy mój wygląd to przypadek, czy okrutne zrządzenie losu?

Czy mogę obwiniać Go za to, czego u siebie nie znoszę?

Za wady, które mnie prześladują w najgorszych snach,

Za brzydotę, której nie znoszę, za nienawiść i za strach?

Czy czerpie z tego jakąś przyjemność, że wyglądam aż tak źle?

Jeżeli Bóg wymyślił nam twarze, to czy się śmiał, gdy stworzył mnie?

Ambrose ponownie przeczytał po cichu cały tekst i poczuł, jak

wzbiera w nim fala — fala zrozumienia i bycia zrozumianym. Te słowa wyrażały dokładnie to, co czuł. Nie miał pojęcia, że Fern czuła to samo. W tej samej chwili przeszedł przez niego ogromny napływ uczuć do Fern.

— Ambrose?

— Co, Fern? — wyszeptał, podając jej kartkę z wierszem.

Spojrzała na nią nerwowo, niespokojnie, a jej mina wyrażała zakłopotanie.

— Napisałam to. Dawno temu.

— Kiedy?

— Po balu maturalnym. Pamiętasz tamtą noc? Byłam z Baileyem. Poprosił was wszystkich, żebyście ze mną zatańczyli. To była jedna z najbardziej żenujących chwil w moim życiu, ale wiem, że Bailey zrobił to ze szczerego serca.

Koniuszki ust Fern uniosły się w delikatnym, ciepłym uśmiechu.

Ambrose pamiętał. Fern wyglądała ładnie — prawie pięknie — i bardzo go to zdziwiło. Nie poprosił jej do tańca. Wprost odmówił Baileyowi. A nawet odwrócił się od niego, gdy ten go o to poprosił.

— Zraniłem cię wtedy, prawda?

Fern wzruszyła swoimi chudymi ramionami i uśmiechnęła się, ale był to smutny uśmiech. Mimo że od tamtego dnia minęły ponad trzy lata, wyraźnie było widać, że to wspomnienie wciąż jest dla niej bolesne.

— Zraniłem cię — powtórzył, a w jego głosie było słycać skrucę i żal.

Fern wyciągnęła rękę i pogłaskała go po nierównym policzku. — Po prostu mnie nie widziałeś, to wszystko.

— Byłem taki ślepy — powiedział i odgarnął z jej czoła niesforny kosmyk włosów.

— W sumie... to teraz jesteś trochę ślepy — powiedziała zaczepnie Fern, starając się złagodzić jego poczucie winy żartem. — Może dlatego ci się podobam.

Miała rację. Był częściowo niewidomy, ale mimo to, a może właśnie dlatego, widział pewne rzeczy wyraźniej niż kiedykolwiek.

Rozdział 27.

Zrobić sobie tatuaż

Irak

— Pokaż swój tatuaż, Jess — prosił błagalnie Beans, obejmując kolegę za kark i serwując mu kumplowski uścisk.

Tego ranka Jesse był u medyka, który zajmował się robieniem tatuaży. Nic jednak nie powiedział o ostatecznym rezultacie i był bardziej zasepiony niż zwykle.

— Zamknij się, Beans. Dlaczego ty zawsze musisz wszystko wiedzieć? We wszystko się wtrącasz — odpowiedział mu Jesse, odpychając namolnego kolegę, który koniecznie chciał się dowiedzieć, co Jesse wytatuował na swojej piersi.

— To dlatego, że się o ciebie troszczę. Naprawdę. Muszę sprawdzić, czy nie zrobiłeś czegoś głupiego, czego potem będziesz żałować. Czy to jest jednorożec? A może motylek? Mam nadzieję, że nie wytatuowałaś sobie imienia Marley owiniętego wokół róży? Może już nie być tobą zainteresowana, gdy wrócisz do domu. Może zaczęła się spotykać z jakimś innym kolesiem. Lepiej nie tatuuj jej imienia na swojej skórze.

Jesse zaklął i mocno uderzył Beansa, przewracając go na ziemię. Beans wstał w mgnieniu oka gotowy do walki i do dalszych docinków, ale Grant, Ambrose i Paulie szybko ich rozdzielili. Przez ten upał wszyscy dostawali kręcka. A jeśli jeszcze dodać do tego napięcie, które nigdzie nie miało ujścia, to cud, że wszyscy jeszcze się ze sobą nie pokłócili.

— Mam dziecko! Mam małego synka! Małego chłopca, którego nigdy nie widziałem, a Marley jest jego matką! Więc nie obrażaj matki mojego dziecka, dupku, bo skopię ci tylek, a gdy skończę, splunę ci w twarz.

Beans natychmiast przestał się szamotać, a gniew uszedł z niego tak szybko, jak się pojawił. Ambrose go puścił, widząc, że niebezpieczeństwo minęło.

— Jess, przepraszam. Tylko się wygłupiałem.

Beans splótł dłonie na głowie i odszedł, tym razem przeklinając

samego siebie. Lecz za chwilę wrócił, a na jego twarzy było widać skruchę.

— To wszystko jest do dupy. To, że jesteś tutaj, gdy w domu czeka na ciebie dziecko. Przepraszam. Czasami nie umiem się zamknąć.

Jesse wzruszył ramionami, ale jego jabłko Adama nagle się poruszyło, jakby próbował przełknąć wyjątkowo gorzką tabletkę; a gdyby na oczach nie miał okularów przeciwsłonecznych, tak jak wszyscy, prawdopodobnie nie byłby w stanie ukryć łez, które w każdej chwili mogły mu spaść na policzki i jeszcze bardziej pogorszyć sytuację. Bez słowa zaczął zdejmować kamizelkę kuloodporną, a jego ruchy były pewne i zwinne. Każdy z nich robił to kilka razy dziennie, zawsze po powrocie do bazy, więc ta czynność była dla niego tak normalna jak wiązanie butów.

Zdjął kamizelkę i rzucił ją na ziemię. Potem poluźnił rzep na koszuli i ją rozpiął. Nie zdejmując jej, wyciągnął podkoszulek ze spodni i podniósł go do góry, ukazując swój umięśniony, opalony brzuch i doskonale wyrzeźbioną klatkę piersiową. Jesse był tak samo piękny jak Ambrose i stale o tym przypominał. Na jego lewej piersi, dokładnie na sercu, widniały słowa starannie napisane czarnym tuszem:

Mój syn

Jesse Davis Jordan

8 maja 2003

Przez kilka sekund trzymał podwinięty podkoszulek w kolorze khaki tuż pod brodą, pozwalając, aby koledzy przyjrzeni się tatuażowi, którego wcześniej nie chciał im pokazać. A potem bez słowa opuścił podkoszulek, zapiął koszulę, włożył ją w spodnie i znów założył kamizelkę kuloodporną.

— Super, Jess — wyszeptał Beans, a jego głos był głuchy i zdławiony, jak gdyby właśnie został postrzelony w klatkę piersiową. Pozostali przytaknęli, ale nikt nie był w stanie wydobyć z siebie słowa. Wszyscy walczyli z emocjami, jakie w nich narosły, wiedząc, że nie ma niczego, co mogliby powiedzieć, żeby pocieszyć Jessego. I Beansa też. W

milczeniu wszyscy kontynuowali powrót do bazy.

Paulie podszedł do Jessego i objął go ramieniem. Jesse nie strzepnął jego ręki, tak jak to zrobił przed chwilą z Beansem. A potem Paulie zaczął śpiewać, a jego słowa wirowały wokół nich w błyszczącym upale pustyni.

*Napisałem twoje imię na sercu,
Żeby nie zapomnieć.
Tego, jak się czułem, gdy się narodziłeś,
Zanim jeszcze się spotkaliśmy.*

*Napisałem twoje imię na sercu,
Żeby twoje serce biło z moim,
A gdy bardzo za tobą tęsknię,
Śledzę każdą pętlę i każdą linię.*

*Napisałem twoje imię na sercu,
Żebyśmy mogli być razem,
Żebym mógł cię wziąć na ręce,
I trzymać cię w nich już zawsze.*

Kiedy Paulie skończył, jego słowa wciąż wisiły w powietrzu. Gdyby ktokolwiek inny spróbował to zaśpiewać, wyszłoby fatalnie. Ale Paulie miał wielkie serce i specyficzny sposób komunikowania się, do którego wszyscy zdążyli się przyzwyczaić. To, że uciekł się do piosenki, żeby pocieszyć przyjaciela, nikomu nie przeszkadzało.

— Ty to napisałeś, Paulie? — wydusił Grant, a w jego głosie było słycać drżenie, które pozostali chłopcy zauważyli, ale świadomie zignorowali.

— Nie. To taka stara piosenka, którą kiedyś śpiewała moja mama. Nawet nie wiem, jaki zespół ją śpiewał. Mieli włosy jak hippisi i nosili skarpetki do sandałów. Ale zawsze lubiłem tę piosenkę. Tylko zmieniłem trochę pierwszy wers dla Jessego.

Przez chwilę szli w milczeniu, a gdy Ambrose zaczął nucić melodię piosenki, Jesse zażądał:

— *Zaśpiewaj to jeszcze raz, Paulie.*

— Jaki tatuaż powinienem sobie zrobić? Pytam serio. Słowo *mama* wyryte w sercu? To żałosne. Nie mogę wymyślić nic, co by było fajne, a jednocześnie nie wyglądało idiotycznie u faceta, który jeździ na wózku — zalił się Bailey.

Cała trójka — Ambrose, Bailey i Fern — jechała do Seely, do studia tatuażu Ink Tank. Bailey błagał Fern, żeby go tam zabrała, od kiedy skończył osiemnaście lat, a kilka dni temu, gdy byli nad jeziorem, znów poruszył ten temat. Kiedy Ambrose zgodził się z nim pojechać, Fern została przegłosowana. Teraz siedziała za kierownicą, pełniąc rolę szofera, jak zwykle.

— Ej, Ambrose, a ty mógłbyś wytatuować sobie maczugę jak u Herkulesa. To by było fajne — zaproponował Bailey.

Ambrose westchnął. Herkules nie żył, a Bailey wciąż starał się przywrócić go do życia.

— Bailey, mógłbyś sobie wytatuować literę S wewnątrz tarczy, jak u Supermana. Pamiętasz, jak go lubiłeś? — przypomniała sobie Fern.

— A ja myślałem, że to był Spider-Man — wtrącił Ambrose, który wciąż pamiętał, jak mocno Bailey przeżył śmierć pająka, gdy mieli dziesięć lat.

— Szybko sobie odpuściłem plan z jadem pająków — odparł Bailey. — Uświadomiłem sobie, że ugryzło mnie już z milion komarów, więc uznałem, że to nie może być rozwiązanie. Kiedy jad pająka przestał być taki interesujący, porzuciłem Spider-Mana i przenieśliem się na Supermana.

— Bailey uznał, że jego dystrofia mięśniowa musi być bezpośrednim skutkiem kontaktu z kryptonitem. Nawet poprosił mamę, żeby uszyła mu długą pelerynę z dużą literą „S” na plecach — zaśmiała się Fern, a Bailey prychnął.

— Będę pochowany w tej pelerynie. Wciąż ją mam. Jest fantastyczna.

— A ty co, Fern? Wonder Woman? — drażnił się z nią Ambrose.

— Fern uznała, że superbohaterowie nie są dla niej — odezwał się

Bailey z tyłu furgonetki. — Postanowiła, że będzie wróżką, ponieważ spodobała jej się wizja latania bez konieczności ratowania świata. Zrobiła sobie skrzydła z kartonu, pomalowała je błyszczącą farbą i połączyła kilkoma paskami taśmy klejącej, żeby mogła nosić skrzydła na plecach jak tornister.

Fern wzruszyła ramionami.

— Niestety już nie mam tych skrzydeł. Nosiłam je tak często, że kompletnie się zniszczyły.

Ambrose milczał, a w głowie wciąż dźwięczały mu słowa Bailey. *Spodobała jej się wizja latania bez konieczności ratowania świata.* Może on i Fern jednak *byli* bratnimi duszami. Bardzo dobrze rozumiał jej podejście.

— Czy ciocia Angie zabroni nam się ze sobą spotykać, Bailey? — Fern wyciągnęła ze smutkiem dolną wargę. — Nie wydaje mi się, żeby twoi rodzice byli zadowoleni z tego pomysłu.

— Nie. Zagram kartą „ostatnie życzenie umierającego dziecka” — powiedział filozoficznie Bailey. — To zawsze działa. A ty, Fern, powinnaś sobie wytatuować małą paproć^[1] na ramieniu. Taką delikatną, z drobnymi listkami.

— Hm. Wydaje mi się, że nie mam dość odwagi, żeby zrobić sobie tatuaż. A gdyby nawet, to na pewno nie byłaby to paproć.

W tym momencie podjechali pod studio tatuażu. Wokół panował spokój. Najwyraźniej nie były to popularne godziny wśród amatorów tatuaży. Bailey nagle ucichł, a Ambrose pomyślał, że być może to znak, że zaczął się wahać. Ale gdy Fern odpięła pasy przytrzymujące jego wózek, a Bailey zjechał po rampie na chodnik, nie wyglądał, jakby miał jakiegokolwiek wątpliwości.

Fern i Bailey rozglądali się z zainteresowaniem po niewielkim studiu, a Ambrose czekał z niepokojem na konfrontację i ciekawskie spojrzenia, jak zawsze gdy znalazł się w nowym miejscu. Po chwili podszedł do nich mężczyzna, który miał większość twarzy pokrytą wymyślnymi wzorami. Ambrose ze wszystkimi swoimi bliznami i nierównościami na twarzy wyglądał przy nim zupełnie przeciętnie. Mężczyzna spojrział na blizny Ambrose’a profesjonalnym okiem i zaproponował mu, że upiększy jego twarz tatuażami. Ambrose odmówił,

ale od razu poczuł się swobodniej.

Bailey postanowił, że zrobi sobie tatuaż wysoko na prawym ramieniu, tam, gdzie jego ciało nie ociera się o wózek. Wybrał hasło „Walka jest zwycięstwem” — te same słowa, które wyryto na ławce przy tablicy pamiątkowej na wzgórzu; słowa, które jego tata wypowiedział setki razy, i słowa, które były podsumowaniem jego życia i hołdem dla sportu, który uwielbiał.

A potem Ambrose zgłosił własną prośbę, zaskakując tym Fern i Bailey'a. Podniósł koszulkę i szybko powiedział wytatuowanemu mężczyźnie, co ma zrobić. Nie był to skomplikowany wzór, który wymagał dużych umiejętności czy zastosowania mieszanki kolorów. Ambrose napisał na kartce słowa, które chciał mieć wytatuowane, a potem upewnił się, czy nie zawierają błędów ortograficznych, i wręczył kartkę artyście. Kiedy wybrał czcionkę, mężczyzna wykonał szablon na jego skórze, a potem bez żadnych fanfar zaczął pracę.

Fern patrzyła zafascynowana, jak imiona poległych przyjaciół Ambrose'a jedno po drugim pojawiały się na jego lewej piersi. Paulie, Grant, Jesse, Beans, jeden obok drugiego, wypisani ładnymi, czytelnymi literami w równym rzędzie. Gdy tatuaż był gotowy, Fern przejechała palcem po każdym imieniu, starając się nie podrażnić delikatnej skóry. Ambrose wzdrygnął się. Jej ręce były jak balsam nakładany na ranę: kojące, ale jednocześnie sprawiające ból.

Zapłacili za usługę, podziękowali wytatuowanemu artyście i ruszyli do domu. Podczas drogi powrotnej do domu Bailey zapytał nieśmiało:

— Czy dzięki temu czujesz się bliżej nich?

Ambrose patrzył przez okno na uciekający krajobraz: drzewa, niebo i domy, które znał tak dobrze jak własną twarz... albo twarz, którą kiedyś widywał w lustrze.

— Moja twarz jest zmasakrowana. — Spojrzał w lusterko wsteczne i napotkał wzrok Bailey'a, a potem sięgnął dłonią do twarzy i przeszedł palcem najdłuższą bliznę, tę, która biegła od linii włosów aż do ust. — To nie była moja decyzja, żeby tak wyglądać. Moja twarz codziennie przypomina mi o ich śmierci. Chyba po prostu potrzebowałem czegoś, co przypomni mi o ich życiu. Jesse zrobił to jako pierwszy. Ja też od

jakiegoś czasu chciałem to zrobić.

— To miłe, Brosey. Naprawdę miłe. — Bailey uśmiechnął się smutno. — Chyba to właśnie jest najgorsze. Świadomość, że nikt nie będzie o mnie pamiętał, gdy odejdę. Wiadomo, moi rodzice będą mnie pamiętać. Fern też. Ale co taka osoba jak ja może zrobić, żeby przetrwać w pamięci ludzi? Czy jest jeszcze ktoś, dla kogo cokolwiek znaczyłem?

Cisza w starej niebieskiej furgonetce była pełna pustych frazesów i nieznaczących zapewnień, które aż błagały, żeby je wypowiedzieć, ale Fern kochała Bailey'a zbyt mocno, żeby głaskać go po głowie w sytuacji, gdy potrzebował czegoś więcej.

— Ja cię dodam do mojej listy — obiecał nagle Ambrose, patrząc na Bailey'a w lusterku wstecznym. — Kiedy nadejdzie twój czas, wytatuuję sobie twoje imię na sercu obok imion chłopaków.

Oczy Bailey'a zaszyły mgłą. Szybko zamrugał, a potem nie odzywał się przez kilka minut. Fern spojrzała na Ambrose'a z taką miłością i oddaniem, że bez wahania zgodziłby się dla niej wytatuować sobie całe epitafium na plecach.

— Dzięki, Brosey — wyszeptał Bailey. A Ambrose zaczął nucić melodię.

— Zaśpiewaj to jeszcze raz, proszę! — błagała Fern.

Śledziła palcem najdłuższą bliznę na jego prawym policzku, a on na to pozwalał, nie mając jej w ogóle za złe, że mu o niej przypomniawszy. Kiedy Fern dotykała jego twarzy, robiła to z wielką czułością, a dotyk jej palców działał na niego kojąco.

— Lubisz, jak śpiewam? — zapytał sennym głosem, wiedząc, że niedługo będzie musiał się ruszyć i pójść do pracy. Fern miała dzisiaj wolne, ale on nie. Wycieczka do studia tatuażu zajęła im całe popołudnie, a gdy nastał wieczór, oboje pożegnali się z Bailey'em. Dużo trudniej było im się rozstać ze sobą. Ostatecznie postanowili obejrzeć zachód słońca z trampoliny w ogródku za domem Fern. Teraz było już ciemno i cicho, a upał odszedł powoli razem ze słońcem. Ambrose sennym głosem zaśpiewał kołysankę, której Paulie nauczył ich podczas pierwszych miesięcy misji w Iraku. W tamtym okresie urodził się syn

Jessego, a ich czekało jeszcze wiele miesięcy misji w kurzu i brudzie, zanim będą mogli wrócić do domu.

— Uwielbiam, jak śpiewasz — odpowiedziała Fern, rozbudzając go na nowo.

To ona zaczęła śpiewać tę piosenkę, robiąc przerwy, gdy zabrakło jej słowa, a on wypełniał luki, aż jej głos ucichł, a on dokończył za nią.

— *Napisałem twoje imię na sercu, żebyśmy mogli być razem, żebym mógł cię wziąć na ręce i trzymać cię w nich już zawsze* — zaśpiewał te słowa już po raz trzeci z kolei.

Kiedy wybrzmiała ostatnia nuta, Fern wtuliła się w niego, jakby też potrzebowała drzemki, a trampolina łagodnie kołysała się pod nimi, spychając Fern w dół jeszcze bardziej na niego. Ambrose głaskał ją po włosach, a ona zapadała w coraz głębszy sen.

Z tęsknotą pomyślał, że chciałby zawsze przy niej zasypiać. Może wtedy noce nie byłyby takie ciężkie. Może wtedy ciemność, która próbowała go pożreć, gdy był sam, uciekłaby na zawsze, pokonana przez światło Fern. Wczoraj spędził godzinę u pani psycholog, która była zszokowana „poprawą jego zdrowia psychicznego”. A wszystko to dzięki małej pigułce o nazwie Fern.

Nie miał wątpliwości, że gdyby poprosił ją, żeby uciekła razem z nim, zrobiłaby to. Chociaż musieliby wziąć ze sobą Baileyę. Ale zrobiłaby to. Gdyby poprosił ją o rękę, zgodziłaby się natychmiast... jego serce entuzjastycznie podskoczyło w piersi na samą myśl o tym. Fern musiała poczuć to szybsze bicie serca przy swoim policzku.

— Znasz ten kawał o mężczyźnie, który musiał wybrać żonę? — zapytał ją cicho.

Fern pokręciła głową tuż przy jego piersi.

— Nie — odpowiedziała, delikatnie ziewając.

— Pewien facet miał do wyboru dwie kobiety: jedna była bardzo piękna, a druga miała cudny głos, ale nie była zbyt urodziwa. Zastanowił się i wybrał tę, która umiała śpiewać. W końcu piękny głos powinien przetrwać dłużej niż piękna twarz, prawda?

— Prawda. — Fern była już bardziej rozbudzona, jak gdyby temat historyjki bardzo ją zainteresował.

— No więc ten facet ożenił się z brzydką dziewczyną. Było huczne

wesele i szalona noc poślubna.

— To jest kawał?

Ambrose kontynuował, jakby wcale mu nie przerwała.

— Następnego ranka facet obrócił się w łóżku, spojrzął na swoją świeżo upieczoną żonę i wrzasnął. Ta się obudziła i spytała, co się stało. A on zakrył oczy i wykrzyknął: „Śpiewaj, na miłość boską, śpiewaj”.

Fern uśmiechnęła się uprzejmie, sugerując, że kawał był kiepski. Ale potem zaczęła się śmiać, a Ambrose śmiał się razem z nią, podskakując na trampolinie w ogródku pastora Taylora jak małe dziecko. Ale gdzieś z tyłu głowy kołatała mu się niepokojąca myśl, czy kiedyś nie nadejdzie taki moment, w którym Fern spojrzy na niego i zacznie go błagać, żeby zaśpiewał.

[1] Słowo *fern* po angielsku oznacza paproć — *przyp. tłum.*

Rozdział 28.

Zostać bohaterem

Bailey był prawie we wszystkim zależny od innych. Ale gdy siedział na swoim wózku z dłońmi na przyciskach, mógł samodzielnie pojechać na stację benzynową Boba na rogu, do sklepu Jolley's, żeby spotkać się z Fern po pracy, albo do kościoła, gdy miał ochotę na torturowanie wujka Joshuy swoimi teologicznymi rozważaniami. Pastor Joshua zazwyczaj był bardzo cierpliwy i chętny do rozmowy, ale Bailey był pewien, że widząc jego wózek nadjeżdżający do kościoła, pastor wzdychał ze zrezygnowaniem.

Wiedział, że nie powinien wychodzić tak późno. Ale to wywoływało w nim dreszczyk emocji. Dwudziestojednoletni mężczyźni nie muszą przecież przestrzegać ciszy nocnej. Jediną rzeczą, która wywoływała w nim wyrzuty sumienia, było to, że po powrocie do domu będzie musiał obudzić mamę albo tatę, żeby położyli go do łóżka. To nieco odbierało mu radość z nocnych wypraw. Poza tym chciał pojechać do sklepu, żeby się spotkać z Fern i Ambrose'em. Ci dwoje potrzebowali przyzwoitki. Gdy byli obok siebie, zawsze między nimi iskrzyło. Bailey wiedział, że już niedługo stanie się piątym kołem na kółkach. Zaśmiał się sam do siebie. Uwielbiał gry słowne. I bardzo się cieszył z tego, że Fern i Ambrose się odnaleźli. Przecież on nie będzie żył wiecznie. Teraz, gdy Fern ma Ambrose'a, nie musi się już o nią tak martwić.

Dziś w nocy nie balansował na granicy niebezpieczeństwa. Próbował się wymknąć z domu bez latarki czołowej, ale mama pobiegła za nim i mu ją podała. Może po prostu zostawi ją gdzieś w sklepie, gdy będzie wychodzić. Nienawidził tego urządzenia. Uśmiechnął się pod nosem na samą myśl o potajemnym planie pozbycia się jej. Jechał chodnikiem, a lampy uliczne wskazywały mu drogę; naprawdę nie potrzebował snopa jaskrawego światła biegnącego prosto z jego czoła. Po drodze mijał stację Boba i jego mały sklepik Speedy Mart. Postanowił zajść do środka, po prostu dlatego, że mógł. Czekał cierpliwie, aż Bob wyjdzie z za lady i otworzy mu drzwi.

— Hej, Bailey. — Bob gwałtownie zamrugał, starając się nie patrzeć w stronę oślepiającego światła latarki Baileya.

— Możesz ją wyłączyć, Bob. Po prostu naciśnij przycisk na górze — poinstruował go Bailey.

Bob spróbował, ale gdy nacisnął przycisk, światło nie zgasło, jak gdyby w środku coś się poluzowało. Przekręcił więc opaskę na czole Bailey'a, tak aby latarka świeciła do tyłu. Dzięki temu mógł patrzeć na Bailey'a, nie chroniąc oczu przed oślepiającym światłem.

— To załatwi sprawę, Bailey. W czym mogę ci pomóc? — Bob zaoferował swoją pomoc Bailey'owi, wiedząc o jego ograniczeniach.

— Podaj mi dwunastopak i coś do żucia — powiedział Bailey poważnie.

Bob aż otworzył usta ze zdziwienia i niepewnie się poruszył.

— Ach. Dobrze. Masz przy sobie dowód?

— Tak.

— Dobrze. W takim razie... jaki rodzaj chcesz?

— Cukierki Starburst są sprzedawane w dwunastopakach, prawda? A jeśli chodzi o gumę, to lubię Wrigley. Poprosiłbym miętową.

Bob zarechotał, a jego wielki brzuch zatrzęsł się pod gigantyczną sprzączką paska. Pokręcił głową.

— Przez chwilę dałem się nabrać, Sheen. Wyobraziłem sobie, jak jedziesz ulicą z papierosem w ustach i skrzyneczką Budweisera na kolanach.

Bob poszedł za Bailey'em w głąb alejki i wziął z półek to, o co Bailey poprosił.

Bailey zatrzymał się przed prezerwatywami.

— Potrzebuję też tego. Daj największe pudełko, jakie masz.

Bob podniósł jedną brew, ale tym razem nie dał się nabrać. Bailey zachichotał i pojechał dalej.

Dziesięć minut później był z powrotem na swojej trasie, z zakupami wetkniętymi z boku wózka. Bob pomachał mu na pożegnanie, ciągle jeszcze się śmiejąc. Był naprawdę rozbawiony. Dopiero później uświadomił sobie, że nie obrócił latarki Bailey'a z powrotem na czoło.

Bailey postanowił pojechać ulicą Centralną, a potem skrócić w Główną zamiast przecinać Drugą Wschodnią. Ta trasa była dłuższa, ale noc była przepiękna, a powietrze przyjemnie owiewało jego twarz. Poza tym miał czas. Zamierzał dać gołąbeczkom dodatkowe dziesięć

albo piętnaście minut, zanim rozpocznie się prawdziwa zabawa. Cisza była mile widziana, a samotność jeszcze bardziej. Żałował, że nie poprosił przed wyjściem taty, żeby włożył mu do uszu słuchawki. Wtedy mógłby posłuchać sobie po drodze Simona i Garfunkela. Wszystko dlatego, że miał plan, żeby się wymknąć z domu bez latarki czołowej — który zresztą się nie powiodł.

Sklepy przy Głównej były puste i ciemne, a czarne okna odbijały jego postać na wózku mijającą powoli sklep z artykułami żelaznymi, szkołę karate i agencję nieruchomości. Mi Cocina, meksykańska restauracja Luisy O'Toole, też była zamknięta, a sznury ostrych papryczek poprzeplatanych błyszczącymi światelkami kołysały się na delikatnym wietrze, postukując o musztardowożółtą elewację. Ale budynek obok restauracji Luisy nie był zamknięty. Podobnie jak Speedy Mart Boba Jerry's Jount — miejscowy bar — nigdy nie był zamknięty, o czym wyraźnie informował neonowy pomarańczowy napis. Przed drzwiami stało kilka starych ciężarówek.

Bailey słyszał cichą muzykę sączącą się z baru. Wsłuchał się w nią, starając się ją rozpoznać, a wtedy usłyszał coś innego. Płacz. Dziecko? Rozejrzał się dookoła zdziwiony. Wokół niego nie było żywej duszy.

Pojechał do przodu i minął brukowane wejście do baru, a także kilka pierwszych samochodów zaparkowanych w długim rzędzie przed barem. Znowu płacz. Wtedy za barem na żwirze otaczającym budynek zobaczył czarny samochód terenowy Gartha, który na tylnej szybie miał przyklejony obrazek przedstawiający czaszkę i skrzyżowane kości. Jakie oryginalne. Bailey przewrócił oczami. Co za palant.

Znowu usłyszał płacz. To na pewno było dziecko. Bailey zjechał z chodnika i wjechał na żwir, kierując się w stronę samochodu Gartha. Czuł, jak krew pulsuje mu w skroniach. Zrobiło mu się niedobrze. Płacz dochodził z terenówki Beckera.

Drzwi od strony pasażera były lekko uchylone, a gdy Bailey zbliżył się do samochodu, zobaczył jasne włosy zwisające z siedzenia.

— O, nie. O, nie. Rita! — jęknął i przejechał ostrożnie obok uchylonych drzwi.

Bał się, że przez przypadek je zamknie, a wtedy nie byłby już w stanie ich otworzyć. Zatrzymał wózek tuż przy drzwiach, tak aby jego

dłoń leżąca na podłokietniku znalazła się jak najbliżej krawędzi drzwi. Podniósł rękę tak wysoko, jak potrafił, i wcisnął ją w szparę. Popchnął z całych sił, a wtedy drzwi powoli się przesunęły, otwierając się całkowicie. Ręka Bailey'a opadła z powrotem na podłokietnik, a serce spadło mu aż do samych stóp. Na siedzeniu pasażera leżała nieprzytomna Rita. Jej jasne włosy zwisały z fotela, a ręka leżała bezwładnie na podłodze. Najwyraźniej sama otworzyła drzwi, ale nie zdołała zrobić nic więcej. Dwuletni Tyler Garth stał z przodu, jedną rękę trzymając w buzi, a drugą na twarzy swojej mamy.

— Rita! — zawołał Bailey. — Rita!

Nie poruszyła się.

Mały Ty zakwilił, a Bailey miał ochotę do niego dołączyć. Zamiast tego obniżył głos i jeszcze raz odezwał się do Rity, błagając ją, żeby odpowiedziała. Nigdzie nie widział śladów krwi, ale nie miał wątpliwości, że Becker Garth wyrządził swojej żonie jakąś krzywdę. Nie mógł pomóc Ricie, ale mógł zaopiekować się małym Tyem. Rita chciałaby, żeby to zrobił.

— Hej, Ty. Witaj, kolego — przymilał się do niego, starając się ukryć przed nim własne przerażenie. — To ja, Bailey. Chcesz się przejechać na moim wózku? Lubisz jeździć na wózku Bailey'a, co?

— Mama — załkał chłopiec, wciąż trzymając rękę w buzi.

— Pojedziemy szybko. Chodź, pokażemy mamie, jak szybko umiemy jeździć. — Bailey nie był w stanie sam wziąć go na kolana. Dlatego skinął na niego dłonią. — Podaj rękę i wejdź na wózek Bailey'a. Pamiętaj, jak to się robi, prawda?

Ty przestał płakać i spojrział na wózek Bailey'a wielkimi niebieskimi oczami. Bailey przybliżył się do drzwi i otworzył je jeszcze szerzej swoim wózkiem. Był tak blisko, że Ty mógł dosłownie wspiąć mu się na kolana. Gdyby chciał.

— Choć, Ty. Mam coś dla ciebie. Dostaniesz cukierka, a Bailey zabierze cię na przejażdżkę swoim wózkiem. Niech mama się zdrzemnie. — Głos mu się załamał, ale obietnica cukierków zadziałała swoje.

Mały Ty ukląkł i wspiął się po podłokietniku wózka na kolana Bailey'a. Zatopił małą rączkę w małej białej torebce ze sklepu

spożywczego i triumfalnie wyjął cukierka. Bailey oddalił się od drzwi i od Rity. Musiał sprowadzić pomoc. Bardzo się bał, że w każdej chwili Becker może wybiec z baru i go zobaczyć. Albo jeszcze gorzej, odjechać gdzieś z Ritą, która leży półżywa na przednim siedzeniu jego samochodu.

- Trzymaj się Bailey, Ty.
- Szybko?
- Tak. Pojedziemy szybko.

Ty nie umiał sam się trzymać. Bailey prawą ręką kierował wózkiem, a lewą szybko wybrał numer alarmowy 911 na swojej komórce, którą miał przypiętą do drugiego podłokietnika. Nacisnął ikonę głośnika, a potem objął lewą ręką małego Tya, żeby nie spadł podczas wjeżdżania ze zwirowego parkingu z powrotem na chodnik. W telefonie odezwała się operatorka i Bailey zaczął głośno krzyczeć do podłokietnika, jednocześnie manewrując wózkiem. Ty zaczął płakać.

— Przepraszam, nie słyszę pana.

— Kobieta, nazywa się Rita Marsden... Rita Garth. Leży nieprzytomna w samochodzie swojego męża. On już wcześniej ją bił i boję się, że coś jej zrobił. Samochód jest zaparkowany przed barem Jerry's Joint na ulicy Głównej. Jej mąż nazywa się Becker Garth. W samochodzie był z nią dwuletni synek. Usłyszałem jego płacz. Mam go teraz przy sobie, ale nie odważyłem się zostać przy Ricie, bo jej mąż mógł wrócić w każdej chwili. A nie chcę, żeby mnie dogonił i odebrał mi dziecko.

— Czy kobieta ma puls?

— Nie wiem! — wykrzyknął Bailey bezradnie. — Nie mogłem do niej dosięgnąć.

Zdawał sobie sprawę, że jego rozmówczyni jest zdezorientowana.

— Jeżdżę na wózku inwalidzkim. Nie potrafię podnieść rąk. Miałem szczęście, że zdołałem namówić dziecko, żeby wyszło z samochodu. Proszę, przyślijcie policję i karetkę!

— Jaki jest numer rejestracyjny tego samochodu?

— Nie wiem! Już stamtąd odjechałem!

Bailey zwolnił i lekko skręcił wózkiem, zastanawiając się, czy nie powinien wrócić, żeby zdobyć informacje, których żąda od niego operatorka. To, co zobaczył, sprawiło, że zamarł ze strachu. Był już jakieś dwie przecznice od baru, ale dostrzegł, że z parkingu odjeżdża samochód. Wyglądał jak terenówka Beckera.

— On tu jedzie! — wrzasnął przerażony, zwiększając prędkość wózka i jadąc po ulicy najszybciej, jak potrafił. Musiał przejechać na drugą stronę, ale wtedy znalazłby się na linii świateł samochodu Beckera, które i tak już go goniły. Mały Tyler krzyczał, wyczuwając panikę Bailey'a. Operatorka centrali próbowała nakłonić Bailey'a, żeby odpowiedział na jej pytania i „zachował spokój”.

— Nadjeżdża! Nazywam się Bailey Sheen i mam na kolanach Tylera Gartha. Jadę na wózku inwalidzkim ulicą Główną w kierunku centrum Hannah Lake. Becker Garth zrobił coś swojej żonie, a teraz jedzie w naszym kierunku. Ratunku!

Jakimś cudem Becker Garth minął ich i pojechał dalej. Najwyraźniej nie uważał, że facet na wózku inwalidzkim może stanowić dla niego jakieś zagrożenie. Nic dziwnego, w końcu Becker nigdy nie doceniał Bailey'a. Bailey odetchnął z ulgą. A wtedy Becker nacisnął hamulec i zawrócił samochód.

Szybko podjechał do Bailey'a, który wiedział, że nie ma możliwości, żeby Becker nie zauważył dziecka na jego kolanach. Bailey przeciął dwupasmową ulicę tuż przed nadjeżdżającą terenówką Beckera, wiedząc, że jego jedyną szansą jest wrócić do Boba, gdzie będzie względnie bezpieczny.

Usłyszał za sobą pisk opon; Becker znów nacisnął na hamulce, bo nie spodziewał się po Bailey'u tak szalonego manewru, i znowu go minął.

— Skręcam w ulicę Centralną w kierunku sklepiu Speedy Mart! — wrzasnął Bailey, licząc na to, że operatorka usłyszy jego słowa. Mały Ty był przerażony i płakał. Dobrze chociaż, że złapał się Bailey'a jak małe szympaniętko. Dzięki temu Bailey'owi było łatwiej utrzymać go na kolanach.

Bailey nie miał gdzie się ukryć. Krzyki małego Tya niosły się po całej okolicy. Zresztą i tak już nie było czasu. Becker Garth zawrócił i znowu do nich podjeżdżał, ponownie oświetlając ich reflektorami

samochodu. Czarna terenówka podjechała z lewej strony Bailey'a. Bailey zauważył, że szyba w oknie po stronie pasażera jest opuszczona, ale nie spojrzał na Beckera, tylko skupił wzrok na drodze przed sobą.

— Sheen! Gdzie ty, do cholery, jedziesz z moim dzieckiem?

Bailey zawzięcie naciskał przyciski na podłokietniku, przemykając wzdłuż nieoświetlonej ulicy i modląc się, żeby nie natrafić na żaden wybój. W Hannah Lake było więcej wybojów niż lamp ulicznych i było to szczególnie niebezpieczne dla kogoś jadącego na wózku inwalidzkim.

— Zatrzymaj się, mały zasańcu!

Bailey jechał dalej.

Samochód Beckera gwałtownie skręcił, a Bailey krzyknął i nacisnął strzałkę w prawo. Jego wózek mocno się przechylił i Bailey był pewien, że się przewróci, ale na szczęście odzyskał równowagę.

— On próbuje mnie przejechać! — wrzasnął do operatorki — Mam na kolanach jego dziecko, a on próbuje nas zepchnąć z drogi!

Operatorka coś krzyczała, ale Bailey nic nie słyszał, bo zagłuszał ją warkot silnika. Becker Garth był pijany albo szalony, albo jedno i drugie, a Bailey wiedział, że razem z małym Tyem znaleźli się w poważnych tarapatach. Czuł, że tego nie przeżyje.

I wtedy mimo paraliżującego strachu nagle poczuł spokój. Świadomie i ostrożnie zwolnił. Jego zadaniem było zapewnić małemu Tyowi bezpieczeństwo przez jak najdłuższy czas. I tak już nie był w stanie uciec Beckerowi, więc lepiej będzie, jeśli wybierze bezpieczniejszą prędkość. Ta nagła zmiana zaskoczyła Beckera. Znowu przejechał obok Bailey'a, a zaraz potem nacisnął hamulce z takim impetem, że samochód skręcił na zwirowe pobocze drogi. Bailey nie chciał myśleć o tym, jak te nagłe manewry mogą wpływać na Ritę, która leży nieprzytomna na miejscu pasażera nieprzypięta żadnymi pasami.

Wtedy Becker zaczął do niego podjeżdżać, tym razem tyłem. Ukośne tylne światła samochodu świecące czerwonym światłem wyglądały jak oczy demona, który jechał prosto na Bailey'a. Bailey znów gwałtownie skręcił w prawo, a wtedy jego wózek podskoczył i ześlizgnął się po błotnistym zboczu do rowu melioracyjnego, który biegł wzdłuż drogi. Wcale nie jechał zbyt szybko, ale to nie miało znaczenia. Wózek runął w dół i zakołysał się, a potem spadł prosto do ciemnej wody

nagromadzonej na dnie kanału. Tyler wypadł z ramion Bailey'a i wylądował gdzieś w gęstej trawie po drugiej stronie wąskiej skarpy.

Bailey leżał twarzą w wodzie, a ręce miał złożone pod klatką piersiową. Miał wybity mały palec u prawej ręki. Ból go zaskoczył i skupił całą jego uwagę na biciu własnego serca, które przybrało formę pulsowania w palcu. Ale Bailey wiedział, że złamany palec jest najmniejszym z jego problemów. W rowie było tylko trzydzieści centymetrów wody. Trzydzieści centymetrów, tylko tyle. Ale to wystarczało, żeby zakryć całą jego głowę. Spróbował unieść się na rękach, ale nie był w stanie udźwignąć ciężaru swojego ciała. Nie umiał się też przewrócić. Nie mógł usiąść ani w żaden sposób wydostać się z rowu.

Wydawało mu się, że słyszy płacz małego Tya. W wodzie wprawdzie dźwięk był zniekształcony, ale Bailey poczuł ulgę. Jeżeli Ty płakał, to znaczy, że wciąż żył. Wtedy Bailey usłyszał dźwięk zamykanych drzwi, a płacz dziecka ustał. Rumor silnika samochodu, jego głośny ryk, który brzmiał trochę jak ocean w uszach Bailey'a, również ucichł. Płuca Bailey'a wołały o tlen, a jego nos i usta wypełniły się błotem, gdy spróbował wziąć oddech. A pulsowanie w palcu słabło wraz z biciem jego serca.

Rozdział 29.

Przejechać się radiowozem

Kiedy Fern około północy wracała na rowerze do domu, minęły ją dwa radiowozy policyjne i karetka. Jej myśli jak zwykle krążyły wokół Ambrose'a, gdy nagle ze świstem przejechały obok niej pojazdy wysyłające sygnały świetlne i wydające z siebie kakofonię alarmów dźwiękowych.

„Pewnie Dan Gable znowu utknął gdzieś na drzewie” — pomyślała. Ostatnio pomagali mu strażacy. Baileyowi bardzo spodobała się ich akcja i potem przez kilka dni chwalił Dana Gable'a za jego wybryk. Może dlatego Bailey nie przyszedł dziś do sklepu. Fern pojechała Drugą Wschodnią i skręciła w Centralną, zastanawiając się, dokąd pojechały samochody. Ku swemu zdziwieniu zobaczyła przy drodze tyle radiowozów, ile jeszcze nigdy nie widziała naraz w jednym miejscu. Wszędzie po ulicy chodzili policjanci z latarkami. Snopy światła przesuwają się miarowo w jedną i drugą stronę, jakby funkcjonariusze przeszukiwali teren. Wyraźnie czegoś szukali. „A może kogoś?” — pomyślała zaciekawiona.

Chwilę później usłyszała krzyk, a wszyscy policjanci zaczęli biec do miejsca, z którego się wydobywał.

— Mam go! Mam go!

Fern zwolniła i zeszła z roweru. Nie chciała podchodzić zbyt blisko miejsca zdarzenia, bo przecież mogło się okazać, że policja właśnie złapała groźnego przestępcę. Natychmiast podjechała karetka i zanim zdążyła się zatrzymać, z tylnych drzwi wyskoczyło dwóch sanitariuszy pogotowia ratunkowego. Obaj zbiegli z nasypu przy drodze, przez co znaleźli się poza zasięgiem wzroku Fern.

Fern czekała ze wzrokiem utkwionym w miejsce, w którym zniknęli sanitariusze. Przez kilka minut nikt nie wracał na górę. A potem, gdy Fern już prawie przekonała samą siebie, żeby wsiąść z powrotem na rower i opuścić to niebezpieczne miejsce, z rowu wypchnięto na górę jakiś przedmiot. To był wózek inwalidzki.

— Dziwne — powiedziała Fern na głos, kręcąc głową. — Myślałam, że używają noszy.

Ale wózek był pusty; poza tym wyciągano go z rowu, a nie sprowadzano na dół.

Wtedy zrozumiała. Zrozumiała, że to jest wózek Bailey'a. Rzuciła rower i pobiegła, krzycząc jego imię. Nie zważała na krzyki zszokowanych ludzi dookoła, na policjantów, którzy do niej podbiegli, żeby ocenić, czy jest niebezpieczna, ani na ręce, które próbowały ją odciągnąć od miejsca wypadku.

— Bailey! — krzyczała, walcząc z morzem umundurowanych ramion.

— Proszę pani! Proszę przestać! Nie może pani tam wejść!

— To mój kuzyn! To Bailey, prawda? — Fern wodziła oczami po twarzach dookoła i zatrzymała się na Landonie Knudsenie. Landon od niedawna pracował w biurze szeryfa Hannah Lake. Jego różowe policzki i jasne loki nadawały mu wygląd cherubina, który kontrastował z poważnym mundurem i kaburą przy biodrze.

— Landon! Nic mu nie jest? Co się stało? Błagam, mogę go zobaczyć? — Fern zadawała kolejne pytania, nie czekając na odpowiedzi.

Bardzo chciała je poznać, ale wiedziała, że gdy Landon się odezwie, pożałuje każdego ze swoich pytań.

Wtedy zobaczyła sanitariuszy wychodzących z noszami z rowu i podbiegających do otwartych drzwi karetki, która przez cały czas na nich czekała. Dookoła było zbyt wielu ludzi, a Fern znajdowała się zbyt daleko, żeby mogła ocenić, kto leży na tych noszach. Ponownie spojrzała na Landona.

— Powiedz mi!

— Nie wiemy dokładnie, co się stało. Ale tak, Fern, to jest Bailey — powiedział Landon z przeproszącą miną.

Landon Knudsen i drugi funkcjonariusz, którego Fern nie знаła — prawdopodobnie starszy partner Landona — zabrali Fern do domu Bailey'a i tam powiadomili Mike'a i Angie, że ich syn został zabrany karetką do szpitala hrabstwa Clairmont. Było już po północy. Angie miała na sobie piżamę, a Mike został wybudzony z drzemki w fotelu, ale

już po dwóch minutach oboje byli gotowi do drogi. Fern wsiadła razem z nimi do starej niebieskiej furgonetki. Po drodze zadzwoniła do rodziców. Zapewnili, że zaraz przyjadą do szpitala. A później zadzwoniła do Ambrose'a. Wiedząc, że Angie i Mike ją słyszą, krótko i oględnie streściła mu, co się stało Baileyowi, i wyjaśniła, że jadą do szpitala w Seely.

Policjanci nie podali im żadnych szczegółów, ale eskortowali ich przez całą drogę do szpitala, który znajdował się około pół godziny drogi na północ od Hannah Lake. Włączyli syreny, żeby ułatwić im przejazd. Ale i tak dla Fern była to najdłuższa podróż w jej życiu. Cała trójka jechała w milczeniu. Wizja tego, co mogło się wydarzyć, była zbyt przerażająca, więc nikt się nie odzywał. Mike Sheen prowadził samochód, Angie trzymała go kurczowo za prawą rękę, a Fern siedziała na jedynym tylnym siedzeniu, które znajdowało się za pustym miejscem na wózek Bailey'a. Była roztrzęsiona. Nie powiedziała im, że widziała wózek. Nie powiedziała, że leżał w rowie melioracyjnym. Nie powiedziała, że boi się, że jest już za późno. Powtarzała sobie tylko na okrągło, że się myli.

Kiedy wbiegli na oddział ratunkowy i wylegitymowali się, dwóch policjantów obecnych na miejscu zaprowadziło ich do mężczyzny około trzydziestki, który był ubrany w zielony fartuch chirurgiczny. Doktor Norwood — takie nazwisko widniało na jego plakietce — przygaszonym głosem powiedział im, że Bailey nie żyje.

Bailey nie żył. Był już nieżywy w chwili, gdy go znaleźli.

Fern rozkleiła się jako pierwsza. Miała więcej czasu na przyswojenie tej informacji i tak naprawdę wiedziała to już wcześniej. W głębi serca wiedziała to już w momencie, gdy zobaczyła wózek. Angie była w szoku, a Mike stanowczo zażądał, żeby pokazali mu syna. Lekarz wyraził zgodę i odsunął zasłonę wiszącą obok niego.

Twarz i włosy Bailey'a były mokre i brudne od błota. Tylko okolice nosa i ust miał czyste, co wskazywało na to, że podjęto próby reanimacji. Bez swojego wózka wyglądał inaczej, jak ktoś, kogo Fern nigdy nie знаła. Jeden z jego palców był wygięty pod dziwnym kątem, a chude ręce miał ułożone wzdłuż ciała, przez co wyglądał jeszcze bardziej obco. Bailey zawsze powtarzał, że ma ręce T. rexa, bo były zupełnie

bezużyteczne i nieproporcjonalne do reszty ciała. Jego nogi były tak samo chude. Na jednej stopie nie miał buta. Skarpetka była przesiąknięta błotem podobnie jak cała reszta ubrania, a latarka czołowa leżała obok Bailey'a na noszach. Wciąż się świeciła. Fern nie mogła oderwać od niej wzroku, jakby to ona była wszystkiemu winna. Sięgnęła po nią i spróbowała ją wyłączyć, ale przycisk był płaski, wciśnięty na stałe, i nie chciał wyskoczyć.

— Dzięki tej latarce znaleźliśmy go tak szybko — wyjaśnił Landon Knudsen.

Niestety, niewystarczająco szybko.

— Miał latarkę! Miał swoją latarkę, Mike! — Angie opadła na krzesło stojące obok Bailey'a i mocno chwyciła pozbawioną życia dłoń syna. — Jak to się stało?

Mike Sheen spojrzał pytająco na policjantów: Landona Knudsen'a, którego kiedyś trenował i nauczał, i starszego oficera, którego również znał, bo jego syn uczestniczył w obozie zapaśniczym w zeszłe wakacje. Głosem, który od trzech dekad wywoływał posłuch wśród zapaśników, zażądał ze łzami w oczach:

— Chcę wiedzieć, co się stało mojemu synowi.

I choć było to niezgodne z protokołem, policjanci wyjawili mu nieliczne informacje, które posiadali.

Operatorka linii alarmowej 911 odebrała telefon od Bailey'a. Powiedział, gdzie się znajduje i że jest w niebezpieczeństwie. Zaraz wysłano na to miejsce wszystkie wolne jednostki i po kilku minutach poszukiwań ktoś zauważył światło latarki Bailey'a.

Co ciekawe, latarka była odwrócona — jak czapka z daszkiem założona tył na przód — i świeciła z tyłu głowy Bailey'a. Gdyby lampka była z przodu, zakryłoby ją błoto i woda. Bailey został odnaleziony w rowie z latarką świecącą ku górze, a snop jej światła wyraźnie oznaczał miejsce, w którym leżał. Oficerowie nie potwierdzili, że Bailey utonął. Lekarz również. Policjanci zapowiedzieli, że zostanie wykonana sekcja zwłok w celu poznania przyczyny śmierci Bailey'a, a potem złożyli wyrazy głębokiego współczucia i zostawili rodziców Bailey'a i Fern samych za cienką zasłoną, twarzą w twarz ze śmiercią.

Sarah Marsden nie sypiała dobrze. Problemy ze snem dręczyły ją już od lat. Kiedy jej mąż Danny zmarł, była pewna, że wreszcie zacznie dobrze sypiać, wolna od obciążeń i ciężkiej pracy związanej z opiekowaniem się kimś, kto nie mógł sam przy sobie zbyt wiele zrobić, a do tego był agresywny w stosunku do wszystkich, którzy próbowali mu pomóc.

Danny Marsden miał wypadek samochodowy, gdy jego córka Rita miała sześć lat, i od tamtego czasu był sparaliżowany od klatki piersiowej w dół. Przez pięć długich lat Sarah robiła wszystko, co w jej mocy, żeby opiekować się nim i swoją małą córką, i przez pięć długich lat codziennie zastanawiała się, jak długo jest jeszcze w stanie funkcjonować w taki sposób. Inwalidztwo Danny'ego połączone z jego trudnym charakterem odbiło się niekorzystnie na relacjach w całej rodzinie, a kiedy dzień przed jedenastymi urodzinami Rity Danny zmarł, Sarze trudno było odczuwać cokolwiek innego niż ulgę. Ulgę, że on już nie cierpi; ulgę, że ona nie musi się już nim opiekować; i ulgę, że skończyła się udręka jej córki, która poznała tylko najgorsze oblicze swojego ojca, choć Sarah musiała przyznać, że przed wypadkiem Danny Marsden również nie był zbyt miłą osobą.

Ale Sarah wciąż nie sypiała dobrze, chociaż od śmierci męża minęło już ponad dziesięć lat. Może dlatego, że się martwiła o córkę i małego wnuka. Niestety Rita wybrała sobie mężczyznę dokładnie takiego jak jej ojciec. Jedyna różnica polegała na tym, że Becker potrafił zadawać ból fizyczny, a nie tylko emocjonalny. I właśnie to fizyczne molestowanie najbardziej niepokoiło Sarę. Dlatego gdy o północy zadzwonił telefon, od razu się wybudziła i odebrała połączenie.

— Halo — odpowiedziała, licząc na to, że to tylko Rita, która chce z nią porozmawiać.

— Ona nie chce się obudzić! — wrzasnął Becker, a Sarah aż się wzdrygnęła i przycisnęła telefon mocniej do ucha.

— Becker?

— Ona nie chce się obudzić! Pojechałem na dwa piwka do Jerry'ego, a gdy wróciłem do ciężarówki, ona leżała w środku, jakby straciła przytomność. Ale nie była pijana!

Sarze zakręciło się w głowie, jakby dostała potężny cios, i aż się zachwiała. Oparła rękę o szafkę nocną, żeby utrzymać równowagę, i zapytała spokojnie:

— Becker? Gdzie jesteś?

— W domu! Mały Ty krzyczy, a ja nie wiem, co robić. Ona nie chce się obudzić! — Głos Beckera brzmiał tak, jakby wypił więcej niż jedno piwo u Jerry'ego.

Sarah poczuła paraliżujący strach w żołądku, który sprawił, że aż zgięła się w pół.

— Becker, już jadę! — Wsunęła stopy do japoniek, chwyciła torebkę i pobiegła do drzwi. — Zadzwoń na pogotowie, dobrze? Rozłącz się i zadzwoń na pogotowie!

— Ona próbowała się zabić! Wiem to! Chce mnie zostawić! — wył do słuchawki Becker. — Nie pozwolę jej odejść! Rita...

W tym momencie telefon się rozłączył, a Sarah pobiegła roztrzęsiona do samochodu i z piskiem wyjechała z podjazdu, modląc się w duchu o córkę. Wybrała w telefonie numer alarmowy i na tyle spokojnie, na ile była w stanie, podała operatorce adres Rity i powtórzyła słowa Beckera: „Jej mąż mówi, że nie chce się obudzić”.

Rozdział 30.

Dożyć do dwudziestego pierwszego roku życia

Ambrose przyjechał do szpitala kilka minut po rodzicach Fern i wszyscy we trójkę wbiegli na oddział ratunkowy. W tej samej chwili przez wahadłowe drzwi przejechały nosze z Ritą Garth prowadzone przez sanitariusza, który informował o jej stanie i o czynnościach, które podjęto w karetce podczas przejazdu. Doktor zarządził wykonanie rezonansu magnetycznego, a pracownicy szpitala pochyłili się nad nową pacjentką. Pastor Taylor i jego żona stali osłupiali, widząc kolejną bliską im osobę w krytycznym stanie i wciąż jeszcze nie wiedząc, jaki jest stan tej pierwszej. A potem w drzwiach pojawiła się Sarah Marsden z małym Beckerem na rękach. Chłopiec był ubrany w piżamę, która była brudna od błota. Za nimi szedł niepewnie Becker. Wyglądał na przybitego. Gdy zobaczył Ambrose'a, zrobił krok do tyłu, a jego mina wyrażała jednocześnie strach i nienawiść. Wsunął ręce do kieszeni i z lekceważeniem zaczął rozglądać się dookoła. Ambrose skupił się na rozmowie, która toczyła się obok niego.

— Sarah! Co się stało? — Joshua i Rachel podbiegli do matki Rity.

Rachel wzięła ubrudzonego chłopca z jej rąk, a Joshua objął ją ramieniem. Była cała roztrzęsiona.

Sarah niewiele wiedziała. Rachel postanowiła poczekać razem z nią i Beckerem w poczekalni. Joshua i Ambrose poszli sprawdzić, co z Baileyem. Pastor Joshua nie zauważył strachu, który pojawił się na twarzy Beckera, a także tego, jak Becker zerknął ukradkiem w stronę wyjścia, gdy usłyszał imię Bailey'a. Nie dostrzegł również dwóch policjantów stojących przy wejściu do oddziału ratunkowego ani radiowozu zaparkowanego na krawężniku przed szklanymi drzwiami do poczekalni. Ale Ambrose tak.

Kiedy Joshua i Ambrose zostali zaprowadzeni do małej sali, w której leżał Bailey, zobaczyli rodziców Bailey'a siedzących przy szpitalnych noszach i Fern skuloną w kącie. Bailey leżał na noszach z zamkniętymi oczami. Angie Sheen trzymała w ręku małą plastikową butelkę z wodą z mydłem, którą ktoś jej przyniósł, i z matczyną czułością obmywała twarz i włosy Bailey'a z błota i brudu, po raz ostatni

wykonując przy nim czynności pielęgnacyjne. Żałoba panująca w sali nie dawała złudzeń, że Bailey tylko odpoczywa.

Ambrose nigdy wcześniej nie widział martwego człowieka. Mężczyzna po prostu leżał na piachu przed furtką ogrodzenia otaczającego jednostkę. Jednostka Ambrose'a miała tego dnia patrol. Paulie i Ambrose zobaczyli martwego mężczyznę jako pierwsi. Jego twarz była spuchniętą niebiesko-czarną masą, a w kącikach ust i pod nozdrzami widać było zaschniętą krew. Nie dałoby się go rozpoznać, gdyby nie jego włosy. Kiedy uświadomili sobie, kto to jest, Paulie odszedł na bok i zwymiotował śniadanie, które zjadł zaledwie godzinę wcześniej. Wszyscy znali tego mężczyznę.

Nazywali go Cosmo z powodu jego kędzierzawych, kręconych włosów, które sterczały mu na głowie zupełnie jak u Cosma Kramera, bohatera popularnego amerykańskiego serialu komediowego Seinfeld. Cosmo współpracował z Amerykanami, udzielając im różnych informacji, a także powiadamiając o wyjazdach i przyjazdach poszukiwanych osób. Często się uśmiechał i niczego się nie bał, a jego córka, Nagar, była w wieku Kylie — siostry Pauliego. Kylie nawet napisała do Nagar kilka listów, a Nagar w odpowiedzi przesała jej kilka rysunków podpisanych kilkoma angielskimi słowami, których nauczył ją tata.

Najpierw znaleźli jego rower. Został porzucony przed bazą. Koła roweru się kręciły, a kierownica była zakopana w piasku. Sprawdzili, czy opony nie są przebite, a potem zaczęli się rozglądać za Cosmem, zdziwieni, że porzucił swój rower na środku drogi otaczającej ogrodzenie z drutu kolczastego. A potem go znaleźli. Jego martwe palce trzymały amerykańską flagę — małą, z drewnianym kijkiem, taką samą jak te, którymi Amerykanie powiewają na paradach z okazji Święta Niepodległości. Komunikat był jasny. Ktoś odkrył, że Cosmo pomaga Amerykanom. Więc go zabili.

Paulie był najbardziej wstrząśnięty ze wszystkich. Nie rozumiał nienawiści. Sunnici nienawidzili szyitów. Szyici nienawidzili sunnitów. I jedni, i drudzy nienawidzili Kurdów. A wszyscy nienawidzili Amerykanów, chociaż Kurdowie byli nieco bardziej otwarci i zdawali

sobie sprawę, że Ameryka może być ich jedyną nadzieją.

— Pamiętacie pożar kościoła w Hannah Lake? Pamiętacie, jak pastor pomógł zorganizować zbiórkę pieniędzy i praktycznie wszyscy złożyli się na odbudowę kościoła? To nawet nie był kościół pastora Taylora, tylko metodystów. Połowa ludzi, którzy dali pieniądze albo pomagali przy odbudowie, nie była metodystami. Kurczę, ponad połowa z nich nigdy w życiu nie była w żadnym kościele — powiedział wtedy Paulie z niedowierzaniem w głosie. — Ale każdy chciał pomóc.

— W Ameryce też są szumowiny — przypomniał mu delikatnie Beans. — Może my ich nie spotkaliśmy w Hannah Lake, ale zło czai się wszędzie.

— Ale nie takie — wyszeptał Paulie, którego niewinność uparcie próbowała stawiać opór prawdzie.

Ambrose nie widział swoich kolegów po tym, jak zginęli po wybuchu bomby. Nigdy nie widział ich leżących spokojnie w ramionach śmierci, tak jak Bailey. W ich przypadku było inaczej. Kiedy żołnierz umiera na skutek ręcznie robionej bomby, takiej, jaka wysadziła w powietrze dwutonowego humvee, a drugiego wywróciła, obowiązuje zasada nieotwierania trumny. Ci czterej chłopcy na pewno nie wyglądali, jakby spali — tak jak Bailey. Sądząc po pokiereszowanej twarzy Ambrose'a, bardzo możliwe, że ich ciała w ogóle nie były możliwe do zidentyfikowania.

Podczas pobytu w Walter Reed Ambrose widział żołnierzy bez kończyn. Widział poparzonych pacjentów i żołnierzy z dużo gorszymi obrażeniami twarzy. Przez cały czas śniły mu się nogi i ręce, i żołnierze bez twarzy i bez rąk, którzy potykają się, idąc przed siebie w chmurze czarnego dymu i krwi. Twarze przyjaciół prześladowały go. Często zastanawiał się, co się z nimi działo po wybuchu. Czy umarli od razu? Czy wiedzieli, co się dzieje? Czy Paulie, z tą jego wyjątkową wrażliwością, poczuł, jak śmierć go zabiera? A Bailey?

Taka niepotrzebna śmierć, i taka tragiczna. Ambrose poczuł wielką kulę w gardle, gdy patrzył na Bailey Sheena, na piasek w jego włosach i na wysuszone błoto, które Angie Sheen łagodnie zmywała z twarzy syna. Mały Ty, którego Rachel Taylor wzięła z rąk matki Rity, był ubrudzony

tym samym błotem. Bailey nie żył, Rita była nieprzytomna, a nogawki spodni Beckera Gartha wciąż były mokre i ubłocone. „On coś zrobił swojej żonie. I zrobił coś Baileyowi” — uświadomił sobie Ambrose z przerażeniem. „Zło czai się wszędzie” — pomyślał. Nawet tutaj, w Hannah Lake.

Stanowczym krokiem wyszedł z pokoju, a krew wściekle pulsowała mu w skroniach. Przeszedł przez izbę przyjęć i popchnął wahadłowe drzwi oddzielające poczekalnię od miejsca tragedii tak gwałtownie, że kilka osób, które siedziały skulone na metalowych krzesłach i czekały na informacje o stanie swoich najbliższych, rozejrzało się z niepokojem dookoła, widząc wściekłego giganta, który przebiegł przez drzwi.

Ale Beckera nie było. Rachel Taylor wciąż czekała razem z Sarą Marsden, a mały Ty usnął jej na kolanach ze zmęczenia. Rachel wciąż jeszcze nie widziała Bailey'a; wciąż nie wiedziała, że jej siostrzeniec zginął. Spojrzała na Ambrose'a pytającym wzrokiem, a jej szeroko otwarte oczy przypomniały mu o jej córce, Fern, która siedzi załamana w sali z ciałem Bailey'a i na pewno teraz go potrzebuje. Zawrócił i ponownie przeszedł przez drzwi do izby przyjęć. Przy wejściu stał Landon Knudsen i inny policjant, którego Ambrose nie znał.

— Knudsen! — zawołał Ambrose.

Landon Knudsen zrobił krok do tyłu, a jego partner wystąpił przed niego i położył rękę na kaburze.

— Gdzie jest Becker Garth? — zapytał Ambrose stanowczo.

Knudsen opuścił ramiona, a jego partner wyprostował się. Ich skrajne reakcje były niemalże komiczne. Landon Knudsen nie odrywał wzroku od twarzy Ambrose'a. Po raz pierwszy od trzech lat widział zapaśnika, który kiedyś był idolem całej szkoły.

— Nie wiemy — przyznał Landon, kręcąc głową i starając się ukryć swoją reakcję na widok obrażeń na twarzy Ambrose'a. — Na razie staramy się zrozumieć, co się stało. Przywołaliśmy dodatkowy radiowóz, ale nie byliśmy w stanie przypilnować wszystkich wejść do szpitala. Wymknął się nam.

Ambrose zauważył, że Landon dziwnie na niego patrzy, a jego mina wyraża dyskomfort i współczucie, ale był zbyt zdenerwowany,

żeby się tym przejmować. Wiadomość, że policja obserwuje Beckera Gartha, potwierdziła jego przypuszczenia. W kilku słowach opowiedział o błocie, które zauważył na piżamie dziecka i na ubraniu Bailey'a, a także o dziwnym „zbiegu okoliczności”, jakim był fakt, że Rita została przywieziona na izbę przyjęć niecałe pół godziny po Bailey'u. Policjanci nie wyglądali na zaskoczonych tą diagnozą, choć widać było, że adrenalina w nich buzuje. W Hannah Lake takie rzeczy się nie działy.

Ale to się stało, a Bailey Sheen był martwy.

Rita odzyskała przytomność kilka godzin po operacji. Była zdezorientowana i bardzo bolała ją głowa, ale lekarze zdołali wyeliminować ucisk na mózg i zmniejszyć opuchliznę, więc była w stanie się komunikować. Chciała wiedzieć, co się stało. Jej mama powiedziała wszystko, co wiedziała, od telefonu na pogotowie po podróż do szpitala z małym Tyem, który siedział na kolanach Beckera i nie chciał się uspokoić. Powiedziała Ricie, że Becker nie był w stanie jej ocucić.

— Bolała mnie głowa — powiedziała słabo Rita. — Było mi niedobrze i kręciło mi się w głowie. Nie chciałam jechać do Jerry's. Mały Ty był już wykąpany i ubrany w piżamę, więc chciałam położyć go do łóżka. Ale Becker chciał mieć mnie na oku. Znalazł pieniądze, które odkładałam w tajemnicy przed nim. Domyślił się, że chcę od niego odejść. Jest przekonany, że coś mnie łączy z Ambrose'em Youngiem. — Głos Rity stał się słabszy pod wpływem środków przeciwbólowych, które działały na nią usypiająco. — Ale to Fern kocha Ambrose'a... i on ją chyba też.

— Uderzyłaś się w głowę? — Sarah próbowała dowiedzieć się czegoś od córki. — Lekarze mówią, że miałaś uraz z tyłu głowy, który wywołał powolny krwotok wewnętrzny... Krwiak podtwardówkowy, tak to nazwali. Wywiercili ci w czaszce małą dziurkę i zlikwidowali ucisk na mózg.

— Powiedziałam Beckerowi, że chcę się z nim rozwieść. Powiedziałam mu, mam. A on tylko spojrział na mnie, jakby chciał mnie zabić. Wystraszyłam się, więc wybiegłam. Pobieglł za mną i mnie

uderzył, a ja upadłam na podłogę w miejscu, gdzie kończy się dywan, a zaczynają się kafelki. Bardzo bolało. Chyba zemdlalam, bo Becker szybko dał mi spokój. Miałam wielkiego guza tutaj... ale nie było krwi.

— Kiedy to się stało?

— Chyba we wtorek.

Rita trafiła na pogotowie w piątkową noc, która powoli przechodziła już we wczesny sobotni poranek. Miała szczęście, że żyła.

— Śnił mi się Bailey — powiedziała Rita niewyraźnie, a Sarah nie przerywała jej, bo wiedziała, że córka zaraz zapadnie w sen. — Śniło mi się, że Ty płakał, a Bailey przyjechał i zabrał go na przejażdżkę swoim wózkiem inwalidzkim. Powiedział: „Niech mama się zdrzemnie”.

Ucieszyłam się, bo byłam bardzo zmęczona. Nie mogłam nawet podnieść głowy. Śmieszny sen, co?

Sarah tylko pogładziła dłoń Rity i z trudem powstrzymywała łzy. Będzie musiała powiedzieć Ricie o Baileyu. Ale jeszcze nie teraz. Teraz ma coś ważniejszego do zrobienia. Kiedy już była pewna, że jej córka mocno śpi i nie będzie jej potrzebować, zadzwoniła na policję.

Rozdział 31.

Zawsze być wdzięcznym

Okno było otwarte, tak jak zawsze. Zasłony delikatnie falowały pod wpływem wiatru, a rolety uderzały o parapet za każdym razem, gdy zuchwały powiew podjął próbę, aby dostać się do środka. Nie było późno; dopiero co zapadł zmrok. Ale Fern nie spała od trzydziestu sześciu godzin, więc gdy tylko weszła do swojego pokoju, padła na łóżko, marząc o śnie, a ten przychodził zrywami, na przemian z płaczem, który przyprawiał ją o taki ból głowy, że nie była w stanie oddychać.

Po wyjściu ze szpitala i pozostawieniu Bailey'a w rękach osób, które miały przeprowadzić sekcję zwłok, a potem przewieźć jego ciało do kostnicy, Fern razem z rodzicami spędziła cały dzień z Angie i Mikiem w ich domu, pełniąc rolę bufora w kontaktach z gośćmi, którzy przychodzili, aby wyrazić swój żal i współczucie. Dziękowali im za jedzenie i kondolencje, i robili, co mogli, żeby dać wsparcie rodzicom Bailey'a w tych ciężkich chwilach. Ambrose wrócił do sklepu, żeby pomóc ojcu, a Fern i Rachel zaopiekowały się małym Tyem, żeby Sarah mogła zostać z Ritą. Becker uciekł i nikt nie wiedział, gdzie jest.

Angie i Mike byli zdruzgotani, ale zdołali zachować spokój i ostatecznie to oni bardziej pocieszali, niż byli pocieszani. Siostry Bailey'a też tam były. Przyjechały razem z mężami i dziećmi. W domu panował nastrój, który był jednocześnie żałobny i świąteczny. Wszyscy cieszyli się, że Bailey, tak bardzo kochany przez nich wszystkich, żył tak długo i pięknie, i żalowali, że jego życie zakończyło się nagle, bez żadnego ostrzeżenia. Łzy przeplatały się ze śmiechem. Tego śmiechu było więcej, niż powinno być w takiej sytuacji, ale Baileyowi na pewno by się to spodobało. Fern też się śmiała, wspominając Bailey'a razem z ludźmi, którzy kochali go tak samo jak ona, i czerpiąc otuchę z więzi, jaka ich wszystkich łączyła.

Wieczorem, gdy Sarah przyjechała po małego Tya i poinformowała wszystkich, że Rita czuje się już dużo lepiej, Fern wróciła do swojego pokoju, szukając pocieszenia w samotności. Ale gdy wreszcie została sama, prawda o nieobecności Bailey'a zaczęła się przebijać przez jej ochronny pancerz, zadając jej sercu przerażający ból w postaci cennych

wspomnień — słów, których Bailey już nigdy nie wypowie, min, których już nigdy nie zrobi, miejsc, do których nigdy nie pojedą, i czasu, którego już razem nie spędzą. On odszedł. A ona cierpiała. Bardziej, niż sądziła, że jest to możliwe. O dwudziestej pierwszej była już gotowa do snu. Umyła zęby, włożyła podkoszulkę bez rękawów i spodnie od piżamy, przemyła opuchnięte oczy zimną wodą tylko po to, by za chwilę znowu poczuć w nich piekące emocje. Ukryła twarz w ręczniku, jak gdyby w ten sposób mogła pozbyć się wiedzy, która wywoływała bolesne pulsowanie w jej skroniach.

Ale sen nie nadchodził, a jej żal był spotęgowany poczuciem samotności. Potrzebowała wytchnienia, ale nie znalazła go w ciemności małego pokoju. Kiedy rolety zaczęły głośniejsze uderzać o parapet, a migające światło lampy ulicznej stojącej przed jej domem zatańczyło na ścianie jej pokoju, nie odwróciła się w kierunku okna, tylko westchnęła, nie otwierając obolałych oczu.

Gdy poczuła, że ktoś głaska ją po włosach, wzdrygnęła się, ale w miejsce strachu szybko weszła ulga.

— Fern?

Fern знаła ten dotyk. Leżała nieruchomo, pozwalając, aby Ambrose głaskał ją po włosach. Jego ręka była duża i ciepła, a jej ciężar sprawiał, że głowa Fern jeszcze bardziej zapadała się w poduszkę. Obróciła się do niego na swoim wąskim łóżku i dostrzegła jego oczy w ciemności. Zawsze ta ciemność. Kuczał przy jej łóżku, a zarys jego klatki piersiowej był widoczny w bladym świetle prostokąta jej okna. Na tle zasłony jego ramiona wydawały się niewiarygodnie szerokie.

Kiedy zobaczył jej opuchnięte oczy i ślady łez na twarzy, ręka mu zadrżała. Ale zaraz potem odsunął ogniste kosmyki z jej policzków i wytarł łzy wnętrzem dłoni.

— On nie żyje, Ambrose.

— Wiem.

— Nie mogę znieść tego bólu. Też bym chciała umrzeć.

— Wiem — powtórzył z czułością.

A Fern wiedziała, że to prawda. Rozumiał ją, być może lepiej niż ktokolwiek inny.

— Skąd wiedziałeś, że cię potrzebuję? — wyszeptała łamiącym się

głosem.

— Bo ja ciebie też potrzebowałem — wyznał Ambrose szczerze, a w jego głosie słychać było potworny smutek.

Fern usiadła, a wtedy on uklęknął na podłodze i mocno ją przytulił. Była mała, a on był tak cudownie duży, że mogła się oprzeć na jego piersi. Wtuliła się w niego, owijając ręce wokół jego szyi, i zsunęła się na jego kolana, jak dziecko, które się zgubiło i znalazło, połączona w jedną całość z tym, którego kochała najbardziej.

To, jak długo Ambrose klęczał na twardej podłodze, trzymając Fern w objęciach i biorąc na siebie jej smutek i żal, niewątpliwie było świadectwem jego miłości do niej. Bolały go kolana, a w klatce piersiowej czuł potworne klucie, ale to był inny ból niż ten, który czuł, gdy stracił Beansa, Jessego, Pauliego i Granta w Iraku. Tamten ból przeplatał się z poczuciem winy i szokiem. Brak zrozumienia ze strony otoczenia jeszcze bardziej potęgował jego cierpienie. Ten ból i tę stratę był w stanie znieść i robił to najlepiej, jak potrafił, dla Fern.

— To nie bolałoby tak bardzo, gdybym tak go nie kochała. Na tym polega cała ironia — powiedziała Fern po chwili ochrypłym i zapłakany głosem. — Radość z tego, że znałam Bailey'a i go kochałam, jest teraz częścią bólu. Jedno nie mogłoby istnieć bez drugiego.

— Co masz na myśli? — wyszeptał Ambrose, delikatnie całując jej włosy.

— Pomyśl. Nie ma smutku, jeśli wcześniej nie było radości. Nie odczuwałbym tej straty, gdybym go nie kochała. Nie mogłabym wyleczyć się z tego bólu, nie wyrzucając Bailey'a z mojego serca. Dlatego wolę ten ból, niż gdybym miała nigdy go nie poznać. Muszę po prostu ciągle sobie o tym przypominać.

Ambrose wstał, ciągle trzymając ją w objęciach, i usiadł razem z nią na łóżku. Oparł się plecami o ścianę i dalej ją głaskał, a ona mówiła. W końcu wtuleni w siebie oboje położyli się na łóżku. Fern leżała na skraju materaca, a Ambrose mocno ją obejmował, żeby nie spadła.

— Możesz sprawić, żeby to na chwilę zniknęło, Ambrose? Chociaż na chwilę? — wyszeptała, dotykając ustami jego szyi.

Ambrose zastygł, ponieważ jej słowa były tak oczywiste jak rozpacz w jej głosie.

— Powiedziałeś mi, że jak mnie całujesz, to twój ból mija. Teraz ja chcę, żeby mój ból minął — powiedziała płaczącym tonem, a Ambrose przewrócił w myślach oczami, czując łaskotanie jej oddechu na swojej skórze.

Pocałował jej powieki, delikatnie zarysowane kości policzkowe i małe płatki uszy, a ona zadrżała i ścisnęła jego koszulkę w rękach. Odgarnął włosy z jej twarzy i przeplótł je przez palce, żeby poczuć, jak wyslizgują mu się z dłoni, a potem poszukał jej ust i zrobił wszystko, co w jego mocy, żeby wygonić wspomnienia z jej głowy i smutek z jej serca, chociaż na chwilę, tak samo jak ona robiła to dla niego.

Poczuł jej piersi na swojej klatce piersiowej, jej zgrabne uda splecione z jego udami, nacisk jej ciała i głaskanie dłoni, które zachęcały go do kontynuowania pieszczot. Ale chociaż jego ciało wyło i błagało, a serce dzwoniło mu w piersi, całował ją i jej dotykał, ale nie robił nic więcej, zostawiając ostateczny akt na chwilę, w której rozpacz nieco przygaśnie, a Fern nie będzie chciała już uciekać od własnych uczuć, lecz je ujawnić.

Nie chciał być balsamem o tymczasowym działaniu. Chciał być lekarstwem. Chciał być z nią w zupełnie innych okolicznościach, w innym miejscu, o innej porze. W tamtej chwili Bailey wyłaniał się z każdego rogu i zakątka, był w każdej części ciała Fern, a Ambrose nie chciał się nią dzielić, nie podczas aktu miłosnego. Dlatego zdecydował, że poczeka.

Kiedy Fern zasnęła, Ambrose wyswobodził się z jej objęć, wstał z łóżka i przykrył ją kocami. Przez chwilę przyglądał się głębokiej czerwieni jej włosów rozrzuconych na poduszce i dłoni zwiniętej pod brodą. *To nie bolałoby tak mocno, gdybym tak bardzo go nie kochała.* Żałował, że tego nie wiedział, gdy obudził się w szpitalu pełnym rannych żołnierzy, pełen bólu i cierpienia, niezdolny do pogodzenia się z utratą swoich przyjaciół i obrażeniami na swojej twarzy.

Kiedy tak patrzył na Fern, uderzyła go prawda, którą ona wydawała się rozumieć intuicyjnie. Tak jak powiedziała Fern, mógłby wyrzucić swoich kolegów z serca, ale pozbywając się wspomnień, odebrałby sobie radość z tego, że ich znał i kochał. Gdyby nie rozumiał bólu, nie potrafiłby docenić nadziei, którą zaczął na nowo odczuwać, i

szczęścia, którego trzymał się kurczowo obiema rękami, żeby mu się nie wymknęło.

W dniu pogrzebu Fern stanęła u drzwi Ambrose'a o dziewiątej rano. Nie było to zgodne z wcześniejszymi ustaleniami. Ambrose umówił się z nią, że pojedzie po nią o dziewiątej trzydzieści. Ale zdążyła się szybciej przygotować i robiła się coraz bardziej niespokojna i niecierpliwa. Dlatego powiedziała rodzicom, że spotka się z nimi w kościele i wymknęła się z domu.

Zapukała krótko do drzwi. Otworzył jej Elliot Young.

— Fern! — Uśmiechnął się, jakby była jego nową przyjaciółką.

Widać Ambrose mu o niej opowiedział. To chyba dobry znak?

— Witaj, kochana. Ambrose jest już chyba gotowy. Wejdz do środka. Ambrose! — krzyknął w głąb korytarza ciągnącego się od drzwi wejściowych. — Fern do ciebie przyszła, synu. Ja już wychodzę. Muszę po drodze wpaść do piekarni. Spotkamy się w kościele.

Uśmiechnął się do Fern i wziął klucze, a potem wyszedł z domu. Ambrose wystawił głowę przez otwarte drzwi. Był ubrany w białą koszulę i czarne spodnie od munduru, przez co wyglądał jednocześnie zachęcająco i niedostępnie.

Jedna część jego twarzy, ta, która nie została uszkodzona w wybuchu, była pokryta pianką do golenia.

— Fern? Czy coś się stało? Pomyliłem godziny?

— Nie. Po prostu... byłam już gotowa. I nie mogłam usiedzieć w miejscu.

Skinął głową, jakby ją rozumiał, i wyciągnął do niej dłoń, zapraszając ją do środka.

— Jak się trzymasz, kochanie?

Troska w jego głosie była czymś nowym i dawała jej ogromne ukojenie. Sprawiała również, że jej oczy zaszły łzami. Mocno chwyciła Ambrose'a za rękę, powstrzymując się od płaczu. Przez ostatnie kilka dni płakała bez przerwy. A kiedy czuła, że jej ciało nie jest już w stanie wyprodukować więcej łez, zaskakiwała samą siebie i wylewała z siebie kolejne ich potoki. Dzisiaj rano umalowała się mocniej niż zwykle;

zrobiła kreskę na powiekach, która podkreślała jej brązowe oczy, i nałożyła wodoodporną maskarę na gęste rzęsy. W jakiś sposób to jej dodało siły, jakby nałożyła zbroję, która chroni przed rozpaczą. A teraz zastanawiała się, czy jednak nie popełniła błędu.

— Ja to zrobię. — Wyjęła mu z ręki maszynkę do golenia.

Chciała się czymś zająć, żeby rozproszyć myśli. Ambrose usiadł na blacie i rozłożył nogi, po czym przyciągnął ją do siebie.

— Zarost rośnie tylko po lewej stronie. Nigdy nie będę mógł zapuścić wąsów ani brody.

— I dobrze. Lubię gładko ogolonych mężczyzn — zamruczała Fern, pewnymi ruchami ściągając gęstą białą pianę z jego twarzy.

Ambrose przyglądał się jej podczas tej czynności. Jej twarz była zbyt blada, a oczy podkrążone, ale prosta czarna sukienka podkreślała jej zgrabną figurę. Na jej tle rude włosy wydawały się jeszcze bardziej czerwone. Ambrose uwielbiał te włosy. Tak bardzo pasowały do Fern i były takie prawdziwe — jak cała jej reszta. Objął ją w talii, a ona spojrzała mu w oczy. Między ich ciałami przepłynął prąd, a Fern zrobiła przerwę na głęboki oddech. Nie chciała, żeby pod wpływem tego nagłego przypływu emocji omsknęła jej się ręka, bo mogłaby go zaciąć w policzek.

— Gdzie się tego nauczyłaś? — zapytał Ambrose, gdy skończyła.

— Pomagałam Baileyowi się golić. Wiele razy.

— Rozumiem.

Jego niewidzące oko zaprzeczało jego słowom, ale lewe oko baczenie ją śledziło, gdy wzięła do rąk ręcznik i wytarła mu z twarzy resztki piany, a potem przejechała dłonią po jego policzku, żeby się upewnić, czy jest gładki.

— Fern... nie musisz tego robić.

— Ale chcę.

A on też tego chciał, bo uwielbiał dotyk jej rąk na swojej skórze, napieranie jej ud na jego nogi i jej zapach, który doprowadzał go do szaleństwa. Ale on nie był Baileyem, a Fern musiała to zrozumieć.

— To będzie dla ciebie trudne... nie opiekować się mną — powiedział Ambrose czule. — Bo to właśnie zawsze robiłaś, opiekowałaś się Baileyem.

Fern odłożyła ręcznik i opuściła dłonie wzdłuż ciała.

— Ale ja nie chcę, żebyś się mną opiekowała, Fern. Dobrze? To, że ci na kimś zależy, nie oznacza, że musisz się nim opiekować.

Rozumiesz?

— Czasami musisz — wyszeptała, protestując.

— Tak, czasami musisz. Ale nie tym razem. Nie ze mną.

Fern wyglądała na zagubioną. Unikała jego wzroku jak uczennica, która została skarcona przez nauczyciela. Ambrose uniósł jej głowę za brodę i nachylił się do niej, a potem delikatnie ją pocałował, żeby zapewnić ją o szczerości swoich słów. A gdy ona w odpowiedzi objęła jego twarz dłońmi, na chwilę zapomniał, co chciał powiedzieć, i całą uwagę skupił na różowych ustach, które dotykały jego ust. A potem już nic nie powiedział, uznawszy, że to nie jest dobry moment na taką rozmowę. Fern potrzebowała czasu, bo ból, który odczuwała, był na razie zbyt silny.

Rozdział 32.

Walczyć w zapasach

Kiedy Ambrose wstał i podszedł do ambony, przez kościół przeleciała fala szeptów. Fern poczuła ogromny ciężar w piersi. Ambrose nie lubił, gdy ludzie na niego patrzyli, a teraz znalazł się w samym centrum uwagi. Wielu żałobników zgromadzonych w przepelnionym kościele widziało go po raz pierwszy. Światło słoneczne przebijało się przez witraże, tworząc kolorowe wzory na ambonie. W tym oświetleniu Ambrose wyglądał, jakby był naznaczony jakąś specjalną łaską.

Ambrose spojrział na obecnych, a cisza była tak ogłuszająca, że zaczął się zastanawiać, czy stracił słuch tylko w jednym uchu, czy w obydwóch. „Jest taki przystojny” — pomyślała Fern. I dla niej rzeczywiście był. Nie w tradycyjnym znaczeniu... już nie. Stał wyprostowany, a brodę trzymał uniesioną wysoko do góry. W swoim wojskowym mundurze robił wrażenie silnego i wysportowanego. Jego ciało było świadectwem wytrwałości i czasu spędzonego z trenerem Sheenem w sali gimnastycznej. Ambrose utkwiał wzrok w jednym punkcie i odezwał się mocnym głosem.

— Kiedy miałem jedenaście lat, Bailey Sheen wyzwał mnie na pojedynek. — Kilka osób cicho się zaśmiało, ale Ambrose zachował poważną minę. — Znałem Bailey'a, bo chodziliśmy razem do szkoły, ale oprócz tego był synem trenera Sheena. Trenera drużyny zapaśniczej. Trenera, na którym chciałem zrobić wrażenie. Od kiedy skończyłem siedem lat, jeździłem na wszystkie obozy zapaśnicze trenera Sheena. Bailey też. Ale on nigdy nie walczył na macie. Czasami tarzał się na matach i zawsze bacznie śledził nasze zmagania, ale nigdy sam nie walczył. Pomyślałem, że po prostu nie chce albo coś innego. Nie miałem pojęcia, że jest chory. Dlatego gdy Bailey wyzwał mnie do walki, naprawdę nie wiedziałem, co o tym myśleć. Ale zacząłem już coś dostrzegać. Zauważyłem, że często chodzi na palcach, a jego nogi nie są proste i silne. Miał problemy z utrzymaniem równowagi i często kiwał się na boki. A czasami upadał na ziemię. Pomyślałem, że po prostu jest niezdara.

Kilka osób w kościele znów cicho się zaśmiało.

— Czasami razem z kolegami żartowaliśmy z Bailey'a. Nie wiedzieliśmy. — Ambrose zniżył głos do szeptu; widać było, że z trudem panuje nad sobą. — Ale wracając do mojej historii. Któregoś dnia pod koniec obozu Bailey podszedł do mnie i zapytał, czy chciałbym z nim powalczyć. Wiedziałem, że z łatwością go pokonam. Ale zastanawiałem się, czy powinienem... nie chciałem zdenerwować trenera Sheena. Byłem dużo większy niż Bailey. Byłem większy niż wszystkie inne dzieciaki. — Przy tych słowach Ambrose trochę się uśmiechnął, a słuchacze dobrze wiedzieli, że te słowa były dużym niedopowiedzeniem. — Nie wiem dlaczego, ale zgodziłem się. Może przez to, jak na mnie patrzył. Był pełen nadziei i wciąż zerkał na tatę, który stał niedaleko i rozmawiał z jakimiś chłopakami z liceum, którzy pomagali mu podczas obozu. Postanowiłem, że po prostu trochę się z nim posłużę i pozwolę mu wykonać kilka ataków. Zamierzałem potraktować go tak samo, jak chłopcy z liceum traktowali mnie. Ale zanim się zorientowałem, Bailey mnie zaatakował, zrobił perfekcyjne zejście do nogi i przyczepił się do niej. Kompletnie mnie tym zaskoczył, ale wiedziałem, jak zareagować. Rozszerzyłem nogi, ale on ściągnął mnie do parteru, kręcąc się ze mną, dokładnie tak, jak należało zrobić w tej sytuacji. To on rządził. Gdyby stał obok nas sędzia, Bailey dostałby dwa punkty za sprowadzenie mnie do parteru. Poczułem się trochę zawstydzony i spróbowałem się wyszarpnąć, wkładając w to nieco więcej siły niż poprzednio. Znów stanęliśmy twarzą w twarz. Widziałem, że jest podekscytowany. Znowu mnie zaatakował, ale tym razem byłem na to przygotowany. Zrobiłem unik i Bailey spadł ciężko na matę. Dopadłem go i starałem się przygwoździć do maty. A on się wił i wyginał. Zaśmiałem się, bo był naprawdę dobry. Pamiętam, że pomyślałem wtedy, tuż przed tym, jak jego tata mnie od niego odciągnął: „Dlaczego Bailey nie trenuje zapasów?”

Ambrose głośno przełknął ślinę i skierował wzrok na Mike'a Sheena, który miał twarz mokrą od łez. Angie obejmowała męża i trzymała głowę na jego ramieniu. Też płakała.

— Nigdy nie widziałem trenera Sheena tak wściekłego i wystraszonego. Nigdy przedtem i nigdy później. Zaczął na mnie

krzyżeć, a jakiś starszy chłopak mocno mnie popchnął. Byłem śmiertelnie przerażony. A Bailey tylko siedział na macie, uśmiechał się szeroko i ciężko dyszał.

Wtedy cały kościół wybuchł śmiechem, a na wielu zapłakanych twarzach pojawił się długo wyczekiwany uśmiech.

— Trener Sheen zabrał Bailey'a z maty i przebiegł dłońmi po całym jego ciele. Pewnie chciał sprawdzić, czy nic mu się nie stało. Bailey kompletnie go zignorował, tylko spojrzał na mnie i zapytał: „Czy ty naprawdę się starałeś, Ambrose? Nie dałeś świadomie sprowadzić mi się do parteru, prawda?”.

Jeszcze więcej uśmiechów i głośnego śmiechu. Ale Ambrose wyraźnie zmagał się z emocjami, więc wszyscy szybko ucichli.

— Bailey po prostu chciał odbyć pojedynek. Chciał się sprawdzić jako zapaśnik. A tamtego dnia w sali gimnastycznej, gdy sprowadził mnie do parteru, to był dla niego ważny moment. Bailey uwielbiał zapasy. I byłby wspaniałym zapaśnikiem, gdyby życie wręczyło mu inną talię kart. Okazało się inaczej. Ale Bailey nie był zgorzkniały. Nie był złośliwy. I nigdy nie użalał się nad sobą. Kiedy wróciłem do domu z Iraku, trener Sheen i Bailey odwiedzili mnie. Nie chciałem z nikim się widzieć, bo byłem zgorzkniały, złośliwy i użalałem się nad sobą. — Ambrose wytarł łzy, które spłynęły mu po policzkach. — Bailey nie urodził się z rzeczami, które ja traktowałem jako oczywistość w każdym dniu mojego życia. Urodziłem się z silnym ciałem, wolnym od chorób, i większym talentem sportowym, niż na to zasługiwałem. Zawsze byłem najsilniejszy i największy. Dzięki temu wiele rzeczy przychodziło mi łatwiej. Ale ja tego nie doceniałem. Czuję, że jestem pod presją i irytowało mnie to, że ludzie tyle ode mnie oczekują i pokładają we mnie tak wielkie nadzieje. Nie chciałem nikogo rozczarować, ale chciałem się sprawdzić. Trzy lata temu wyjechałem z miasta. Chciałem zrobić coś po swojemu... chociaż przez krótką chwilę. Myślałem, że po wszystkim prawdopodobnie wrócę do zapasów i będę robić to, czego wszyscy ode mnie oczekiwali. Ale moje życie potoczyło się inaczej, prawda? Bailey powiedział mi, że powinienem wrócić na salę gimnastyczną. Stwierdził, że powinniśmy znów zacząć trenować. Zaśmiałem się, bo on przecież nie mógł trenować, a ja nie widzę na jedno oko i nie słyszę na jedno

ucho. Zapasy były ostatnią rzeczą, jaką chciałem robić. Pragnąłem umrzeć. Uważałem, że zasługuję na śmierć, bo Paulie, Grant, Jesse i Connor zginęli.

Uczestnicy pogrzebu poczuli wielki żal, dużo głębszy niż żałoba po śmierci Bailey'a. Gdy Ambrose wymówił imiona swoich czterech kolegów, powietrze w kościele wypełniło gigantyczne cierpienie, którego nie ulecą żadne egzorcyzmy i którego nic nie jest w stanie złagodzić. Mieszkańcy miasta nie mieli możliwości przeżywać żałoby po tej wielkiej stracie — nie do końca. Nie mogli również świętować powrotu jedyne go żołnierza, który przeżył. Niezdolność Ambrose'a do zaakceptowania tego, co przydarzyło się jemu i jego przyjaciołom, sprawiła, że inni ludzie również nie byli w stanie się z tym pogodzić.

Fern odwróciła głowę i odnalazła w tłumie mamę Paula Kimballa. Trzymała za rękę swoją córkę, a głowę miała spuszczoną, jakby przytłaczały ją emocje nagromadzone w powietrzu. Trener Sheen schował twarz w dłoniach. Kochał tych czterech poległych żołnierzy prawie tak samo jak własnego syna. Fern chciała rozejrzeć się po kościele i odnaleźć twarze wszystkich bliskich osób, spojrzeć im w oczy i dać do zrozumienia, że wie o ich cierpieniu. Ale może to właśnie teraz robił Ambrose. Może uznał, że nadszedł czas... i że to on musi wykonać pierwszy krok.

— Dwa dni po śmierci Bailey'a odwiedziłem trenera Sheena. Myślałem, że będzie załamany. Myślałem, że będzie się czuł tak samo, jak ja się czułem przez ostatni rok, gdy tęskniłem za przyjaciółmi i pytałem Boga, dlaczego zginęli, kipiałem ze złości i odchodziłem od zmysłów. Ale tak nie było. Trener Sheen powiedział mi, że gdy zdiagnozowano u Bailey'a chorobę, poczuł się tak, jakby cały świat stanął w miejscu. Jakby nagle przestał się kręcić. On i Angie nie wiedzieli, czy jeszcze kiedykolwiek będą szczęśliwi. To samo pytanie dręczyło mnie przez ostatni rok. Ale trener powiedział, że z perspektywy czasu to, co wydawało się najgorszą rzeczą, jaka mogła mu się przydarzyć, okazało się cudownym darem. Bailey nauczył go kochać i patrzeć na wszystko z właściwej perspektywy, żyć chwilą obecną, częściej mówić „kocham cię” i robić to naprawdę szczerze. I być wdzięcznym za każdy dzień. Choroba Bailey'a nauczyła go cierpliwości i wytrwałości. Nauczyła go,

że są ważniejsze rzeczy niż zapasy.

Trener Sheen uśmiechnął się przez łzy, a potem razem z Ambrose'em przeżył doniosłą chwilę na oczach wszystkich osób zebranych w kościele.

— Powiedział mi również, że Bailey chciał, żebym wygłosił mowę na jego pogrzebie. — Ambrose skrzywił się, a wszyscy zaśmiali się na widok jego miny.

Począł, aż w kościele znowu zrobi się zupełnie cicho, po czym mówił dalej:

— Wiecie, jak uwielbiam zapasy. Ten sport nauczył mnie ciężkiej pracy, słuchania rad i przyjmowania porażek z taką samą godnością jak zwycięstw. Dzięki niemu byłem lepszym żołnierzem. Ale tak jak trener Sheen nauczyłem się, że są rzeczy ważniejsze niż zapasy. Bycie bohaterem na macie jest dużo mniej ważne niż bycie bohaterem poza matą, a Bailey Sheen był nim dla wielu z nas. Był bohaterem dla mnie i dla wszystkich zawodników z drużyny zapaśniczej. Szekspir powiedział: „Skradziony, śmiechem okrada złodzieje”^[1]. — Ambrose przeniósł wzrok na Fern i uśmiechnął się czule do dziewczyny, która po raz kolejny natchnęła go do zacytowania Szekspira. — Bailey jest na to dowodem. Zawsze był uśmiechnięty i pod wieloma względami to on pokonał życie, a nie ono pokonało jego. Nie możemy zawsze kontrolować tego, co się z nami dzieje, czy to jest ogarnięte chorobą ciała, czy poraniona twarz, czy utrata ludzi, których kochamy i bez których nie chcemy dalej żyć — powiedział, głośno przełykając ślinę.

I kontynuował:

— Zostaliśmy okradzeni. Okradzeni ze światełka Bailey'a, z uroku Pauliego, z rzetelności Granta, z pasji Jessego i z umiłowania do życia Beansa. Zostaliśmy okradzeni. Ale ja postanowiłem się uśmiechać, tak jak to robił Bailey, i okraść złodzieja. — Ambrose rozejrzał się po twarzach żałobników, z których większość znał od urodzenia, i głośno zapłakał.

Po chwili jednak spokojnym głosem zakończył swoją przemowę.

— Jestem dumny, że służyłem w Iraku, ale nie jestem dumny z tego, w jaki sposób wróciłem do domu. Pod wieloma względami zawiodłem swoich przyjaciół... i nie wiem, czy kiedykolwiek wybaczę

sobie całkowicie to, że zginęli. Jestem im coś winien i jestem coś winien wam wszystkim. Dlatego zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby reprezentować was i ich, walcząc w barwach drużyny zapaśniczej Uniwersytetu Pensylwanii.

Wiele osób obecnych w kościele wzięło gwałtowny oddech. Ambrose kontynuował, nie zważając na entuzjastyczną reakcję mieszkańców miasta:

— Bailey wierzył, że jestem w stanie tego dokonać, więc dam z siebie wszystko, żeby udowodnić, że miał rację.

1995

— *Ile ci założyli szwów?*

Fern miała nadzieję, że Bailey zdejmie opatrunek z brody, żeby mogła sama je policzyć. Kiedy usłyszała, co się stało, od razu do niego przybiegła.

— *Dwadzieścia. Rana była bardzo głęboka. Widziałem swoją kość szczękową.*

Wydawało się jej, że Bailey jest podekscytowany tym, że odniósł tak poważną ranę, ale mina szybko mu zrzędła. Na kolanach trzymał książkę, ale nie czytał. Siedział na łóżku podparty o poduszki, a jego wózek stał niedaleko, tymczasowo porzucony. Rodzice Bailey'a kupili to łóżko w sklepie ze sprzętem medycznym kilka miesięcy temu. Miało poręcz wzdłuż całego boku i przyciski umożliwiające podniesienie górnej części ciała (tak aby można było wygodnie poczytać książkę) albo stóp (tak aby można było sobie wyobrazić, że jest się astronautą lecącym rakieta w kosmos). Fern i Bailey odbyli kilka takich podróży na tym łóżku, aż w końcu Angie stanowczo im tego zabroniła, wyjaśniając, że to nie jest zabawka i nie może im służyć jako rakiet kosmiczna.

— *Boli cię?* — *spytała Fern.*

Może dlatego Bailey był taki przygnębiony?

— *Nie, wciąż jeszcze nic nie czuję po zastrzyku.*

Na dowód tych słów Bailey kilkakrotnie poklepał ranę.

— *To o co chodzi?*

Fern wskoczyła na łóżko i usadowiła się obok przyjaciela,

odkładając książkę na bok, tak aby oboje mieli więcej miejsca.

— Już nigdy nie będę chodzić, Fern — powiedział Bailey.

Przy tych słowach broda mu zadrżała, a opatrunek zaczął delikatnie poruszać się w górę i w dół.

— Ale jeszcze możesz trochę chodzić, nie?

— Nie mogę. Dzisiaj próbowałem i upadłem. Naprawdę mocno uderzyłem brodą o ziemię.

Opatrunek na brodzie Bailey'a, będący dowodem jego słów, znów zadrżał.

Jakiś czas temu Bailey zaczął używać wózka inwalidzkiego w domu po lekcjach, aby oszczędzić siły na następny dzień w szkole. Potem jednak okazało się, że cały dzień w szkole bez wózka to dla niego zbyt wiele, więc Angie i Mike zmienili taktykę i zaczęli go posyłać do szkoły na wózku, a wieczorami pozwalali mu na to, by poruszał się na własnych nogach, jeśli tylko siły mu na to pozwalały. Ale z dnia na dzień jego wieczorna swoboda stawała się coraz bardziej ograniczona, a Bailey coraz więcej czasu spędzał na wózku. Widać w końcu nadszedł moment, w którym Bailey już nigdy więcej nie stanie na własnych nogach.

— Pamiętasz swój ostatni krok? — spytała czule Fern.

Była wtedy zaledwie jedenastolatką i nie miała jeszcze dość wycucia, aby wiedzieć, że należy unikać bezpośrednich pytań, które wymagały bolesnych odpowiedzi.

— Nie. Gdybym go pamiętał, opisałbym go w swoim dzienniku. Ale nie pamiętam.

— Na pewno twoja mama chciałaby o nim napisać w twoim pamiątkowym albumie. Zanotowała twój pierwszy krok, prawda? Myślę, że chciałaby też opisać ten ostatni.

— Chyba myślała, że będzie ich więcej. — Bailey głośno przetłknął ślinę, a Fern domyśliła się, że powstrzymuje płacz. — Ja też myślałem, że będzie ich więcej. Ale chyba już wszystkie wykorzystałem.

— Gdybym mogła, dałabym ci trochę moich kroków — zaoferowała się Fern, a jej broda również zaczęła drżeć.

Razem płakali przez minutę — dwie małe, żalosne postacie na łóżku szpitalnym, otoczone przez niebieskie ściany i różne przedmioty należące do Bailey'a.

— *Może nie mogę już robić kroków, ale wciąż jeszcze mogę się toczyć. — Bailey wytarł nos i wzruszył ramionami, dając do zrozumienia, że skończył uzalać się nad sobą, a jego optymizm znów wrócił na pierwsze miejsce, tak jak zawsze.*

Fern przytaknęła i zerknęła na wózek Bailey'a. Poczula, że zalewa ją fala wdzięczności. Wciąż mógł jeździć. A potem szeroko się uśmiechnęła.

— *Nie możesz chodzić, ale możesz jeździć i śpiewać —* pisnęła Fern i zeskoczyła z łóżka, żeby włączyć muzykę.

— *Śpiewanie wciąż wychodzi mi wspaniale —* zaśmiał się Bailey. *A potem zaczął śpiewać najgłośniej, jak potrafił, a Fern tańczyła przy łóżku, machając rękami, kręcąc pośladkami i wyginając się za oboje.*

[1] William Szekspir, *Otello*, przekład Leona Ulricha — *przyp. tłum.*

Rozdział 33.

Nie bać się śmierci

Miejsce spoczynku Bailey'a znajdowało się po lewej stronie dziadka Sheena, który również był dziadkiem Fern. Tuż za nimi leżała Jessica Sheen, która umarła na raka, gdy jej syn, Mike, miał zaledwie dziewięć lat. Rachel, mama Fern, miała dziewiętnaście lat, gdy jej mama umarła. Została w domu razem z ojcem i pomagała mu wychowywać młodszego brata Mike'a aż do czasu, gdy ukończył liceum i wyjechał do college'u. Dlatego też więź łącząca Rachel i Mike'a bardziej przypominała relacje między rodzicem a dzieckiem niż między bratem a siostrą.

Dziadek James Sheen był po siedemdziesiątce, gdy urodzili się Fern i Bailey. Zmarł, gdy mieli pięć lat. Fern pamiętała tylko, że miał jasne włosy i błękitne oczy, które odziedziczyły po nim jego dzieci, Mike i Rachel. Bailey miał taki sam kolor oczu — intensywnie niebieski. Były to oczy, które wszystko widziały i wszystko chłonęły. Fern z kolei miała oczy swojego taty, w kolorze ciepłego brązu przynoszącego ukojenie i otuchę. Miały taki sam kolor jak górka brązowej ziemi usypana tuż obok głębokiego dołu.

Fern spotkała się wzrokiem z tatą, zanim ten rozpoczął mowę. Jego nieco chropowaty głos brzmiał dostojnie, choć było w nim słychać pewne drżenie. Fern czuła, że słowa jej taty, szczerze i płynące prosto z serca, trafiły do Ambrose'a, przynosząc mu ukojenie i spokój.

— Nie możemy dostać odpowiedzi na wszystkie pytania. Niektóre z nich zostają zawieszane w powietrzu. Ale myślę, że gdy pod koniec życia spojrzymy wstecz i przypomnimy sobie sytuacje, w których błagaliśmy Boga, żeby coś od nas odsunął, gdy Go przeklinaliśmy, odwracaliśmy się do Niego plecami i wypieraliśmy się własnej wiary, to uświadomimy sobie, że to właśnie te rzeczy były naszym największym błogosławieństwem i najwspanialszą okazją do dalszego rozwoju.

Pastor Taylor zrobił przerwę, jakby chciał zebrać myśli. A potem wyszukał w tłumie żałobników twarz swojej córki.

— Bailey był błogosławieństwem... I wierzę, że znów go zobaczymy. Nie odszedł na zawsze.

Ale teraz go nie było, a to „teraz” rozciągało się na nieskończone dni bez niego. Jego nieobecność była jak ta dziura w ziemi: wielka i niemożliwa do zignorowania. A jej wypełnienie będzie trwało dużo dłużej niż zasypanie dołu z grobem. Fern mocno chwyciła Ambrose’a za rękę. Kiedy jej tata powiedział „Amen”, a ludzie zaczęli się rozchodzić, wciąż stała przykuta do ziemi, niezdolna, by się ruszyć, odejść, odwrócić się od dołu. Żałobnicy kolejno do niej podchodzili, klepali ją po dłoni, obejmowali ją, aż w końcu zostali tylko ona, Ambrose, Angie i Mike.

Liście na drzewach rzucały delikatny cień na ziemię, tworząc mozaikę światła i cienia — delikatną koronkę, która opłótła głowy czterech osób pozostałych na cmentarzu. W końcu Angie podeszła do Fern i ją przytuliła, tak samo mocno przytłoczona bólem rozdzielenia i nieuchronnością pożegnania.

— Kocham cię, Fern.

Angie objęła dłońmi twarz swojej siostrzenicy i pocałowała ją w policzki.

— Dziękuję, że kochałaś mojego chłopca. Dziękuję, że mu pomagałaś i zawsze byłaś przy nim. To ogromna łaska, że pojawiłaś się w naszym życiu.

Angie spojrzała na Ambrose’a Younga, na jego silne ciało i proste plecy, i na jego rękę, którą obejmował Fern. Przez chwilę przypatrywała się jego twarzy naznaczonej jego własną tragedią, a potem zwróciła się do niego.

— Zawsze zadziwia mnie to, że ludzie pojawiają się w naszym życiu dokładnie wtedy, gdy ich potrzebujemy. Tak właśnie działa Bóg. Tak opiekuje się swoimi dziećmi. Baileyowi dał Fern. A teraz Fern potrzebuje własnego anioła. — Angie położyła dłonie na szerokich ramionach Ambrose’a i spojrzała mu prosto w oczy, nie wstydząc się własnych emocji i domagając się wzrokiem, aby wysłuchał jej do końca. — Ty nim jesteś, mój drogi.

Fern westchnęła i zarumieniła się aż po cebulki swoich rudych włosów, a Ambrose się uśmiechnął swoim krzywym, asymetrycznym uśmiechem. Ale Angie jeszcze nie skończyła. Uniosła jedną dłoń i objęła nią Fern, aby wciągnąć ją do tego prywatnego kręgu. Ambrose spojrzał ponad jasnymi włosami Angie i skrzyżował spojrzenia ze swoim starym

trenerem. Niebieskie oczy Mike'a Sheena były przekrwione i opuchnięte, a policzki mokre od łez, ale trener skinął głową, gdy Ambrose napotkał jego wzrok, jak gdyby chciał potwierdzić to, co przed chwilą powiedziała jego żona.

— Bailey był gotowy na śmierć bardziej niż ktokolwiek, kogo znam. Nie pragnął jej, ale też jej się nie bał — powiedziała Angie z przekonaniem, a Ambrose odwrócił wzrok od trenera i skupił się na mądrych słowach matki Baileya. — Był gotowy, żeby odejść. Dlatego musimy mu na to pozwolić.

Angie jeszcze raz pocałowała Fern, a z jej oczu znów popłynęły łzy.

— Musimy to zrobić, Fern, nie ma w tym nic złego.

Angie wzięła głęboki oddech i zrobiła krok do tyłu. Opuściła dłonie i uwolniła ich od swojego spojrzenia. A potem, z akceptacją nabytą w ciągu wielu trudnych lat, wyciągnęła dłoń do męża i pełna wiary, że to jeszcze nie jest koniec, razem z nim opuściła to ciche miejsce, w którym trumna wkrótce zostanie przykryta ziemią w akompaniamencie śpiewu ptaków.

Fern podeszła do dołu i przykucnęła, a potem wyjęła z kieszeni swojej czarnej sukienki garść kamieni. Starannie ułożyła litery BS u stóp trumny.

— Boskie Stworzenie? — zapytał ciepło Ambrose, zerkając na litery znad jej lewego ramienia, a Fern się uśmiechnęła, zdziwiona, że wciąż pamiętał tamtą historię sprzed lat.

— Bailey Sheen. Boski Bailey Sheen. Tak zawsze będę go pamiętać.

— Chciał, żebyś to dostał.

Mike Sheen wręczył Ambrose'owi dużą książkę.

— Bailey zawsze oznaczał swoje przedmioty. Każda rzecz w jego pokoju miała konkretnego właściciela. Widzisz? W środku napisał twoje imię.

I rzeczywiście, na wewnętrznej stronie okładki widniały słowa „**Dla Ambrose'a**”. Była to książka o mitologii, ta sama, którą Bailey

czytał dawno temu latem na obozie zapaśniczym, gdy po raz pierwszy opowiedział Ambrose'owi o Herkulesie.

— Zostawię was na minutkę. Myślałem, że już sobie lepiej radzę... ale potem tutaj przyszedłem i uświadomiłem sobie, że jego naprawdę nie ma. I okazuje się, że jednak jeszcze sobie nie radzę.

Ojciec Bailey'a próbował się uśmiechnąć, ale usta tylko delikatnie mu zadrżały. Odwrócił się i wyszedł z pokoju przesiąkniętego wspomnieniami o Bailey'u. Fern podciągnęła kolana i oparła na nich brodę. Zamknęła oczy, żeby powstrzymać łzy, ale te i tak popłynęły jej po policzkach. Rodzice Bailey'a poprosili ich o wizytę, ponieważ chcieli im przekazać kilka rzeczy po Bailey'u, które ten im zapisał. Ale to mogło poczekać.

— Fern? Możemy pójść. Nie musimy tego robić teraz — zaproponował Ambrose.

— Przebywanie w tym pokoju jest bardzo bolesne. Ale nieprzebywanie tutaj tak samo.

Fern wzdrygnęła się i szybko zamrugła powiekami.

— Już dobrze. — Wytarła policzki i gestem wskazała książkę, którą Ambrose trzymał w dłoni. — Dlaczego chciał, żebyś ją dostał?

Ambrose przewertował książkę, nie zatrzymując się na rysunkach przedstawiających potężnego Zeusa i nimfy o wielkich piersiach. Z książką ciężącą mu w dłoniach i wspomnieniami ciężącymi w sercu przewracał strony, aż znalazł rozdział i zdjęcie, o którym tak często myślał od dnia, gdy zobaczył je po raz pierwszy.

Twarz bohatera. Dzisiaj Ambrose dużo lepiej rozumiał tę rzeźbę — smutek na twarzy z brązu i dłoń położoną na złamanym sercu. Wina to ogromny ciężar, nawet dla mitycznego bohatera.

— Herkules — powiedział Ambrose, wiedząc, że Fern zrozumie.

Podniósł książkę, tak aby Fern mogła zobaczyć strony, które przeglądał. Wtedy grube kartki wymsknęły mu się z palców i zaczęły się zamykać, układając się w wachlarz, z którego wypadła biała kartka zgięta na pół.

Fern pochyliła się, żeby po nią sięgnąć. Otworzyła ją, żeby ocenić jej wartość. Szybko przebiegła po niej wzrokiem, delikatnie poruszając ustami w rytm słów zapisanych na kartce.

— To jest jego lista — wyszeptała zdumiona.

— Jaka lista?

— Z daty wynika, że została napisana 22 lipca 1994 roku.

— Jedenaście lat temu — powiedział Ambrose.

— Mieliśmy wtedy dziesięć lat. To było ostatnie lato Bailey'a — przypomniała sobie Fern.

— Jego ostatnie lato?

— Ostatnie przed wózkiem inwalidzkim. Wtedy wszystko się zmieniło. Jego choroba stała się bardzo rzeczywista.

— I co tam napisał?

Ambrose usiadł obok Fern i spojrzał na kartkę w linie wciąż poszarpaną w miejscu, w którym Bailey wyrwał ją z zeszytu. Widniała na niej długa lista, napisana dziecięcym pismem, która została uzupełniona w szczegółowe notatki z boku.

— *Pocałować Ritę? Ożenić się?* — Ambrose zaśmiał się. — Już jako dziesięciolatek Bailey był zakochany.

— Zawsze. Od kiedy ją zobaczył po raz pierwszy — powiedziała z uśmiechem Fern. — *Codziennie jeść naleśniki, wynaleźć wehikuł czasu, poskromić lwa, zaprzyjaźnić się z potworem.* Łatwo się domyślić, że to napisał dziesięciolatek, nie?

Ambrose też uśmiechnął się pod nosem, czytając listę marzeń i pragnień dziesięcioletniego Bailey'a. — *Dać nauzkę draniowi, zostać gwiazdą albo superbohaterem, przejechać się radiowozem, zrobić sobie tatuaż.* Typowy chłopiec.

— *żyć. Mieć odwagę. Być dobrym przyjacielem. Zawsze być wdzięcznym. Zaopiekować się Fern* — wyszeptała Fern.

— No, może nie taki typowy — powiedział Ambrose, czując, że gardło mu się zamyka pod napływem emocji.

Przez kilka długich minut milczeli, siedząc ze splecionymi dłońmi, a słowa zapisane na kartce robiły się coraz bardziej rozmazane. Oboje walczyli ze łzami, które napływały im do oczu.

— On zrobił tak wiele z tych rzeczy, Ambrose — wykrztusiła w końcu Fern. — Może nie w typowy sposób, ale je zrobił... albo pomógł je zrobić komuś innemu.

Wręczyła kartkę Ambrose'owi.

— Spójrz. Ta lista jest związana z twoją książką. Punkt czwarty to *poznać Herkulesa*. — Fern wskazała na listę. — Dla niego ty byłeś Herkulesem.

Ambrose włożył bezcenny dokument z powrotem między kartki rozdziału o Herkulesie. Zanim zamknął książkę, w oczy rzucił mu się jeszcze jeden punkt. *Walczyć w zapasach*. Bailey nie dodał do niego żadnych uwag, żadnego wyjaśnienia. Po prostu napisał te słowa w jednej linii i przeszedł do następnego punktu na swojej liście. Ambrose zamknął książkę opowiadającą o dawnych marzeniach i starożytnych bohaterach.

Herkules starał się naprawić swoją winę, odzyskać równowagę, zapłacić za zamordowanie swojej żony i trójki dzieci — czterech osób, którym odebrał życie. I choć niektórzy twierdzili, że wcale nie był winny, ponieważ dokonał tego straszliwego czynu pod wpływem szaleństwa, które zesłała na niego zazdrosna bogini, odpowiedzialność wciąż spoczywała na nim. Przez chwilę nawet trzymał na swoich barkach ciężar całego nieba, zamieniając się miejscami z Atlaselem.

Ale Ambrose nie był bogiem o nadludzkiej sile ani mitycznym bohaterem. Bywały chwile, kiedy bał się, że bardziej przypomina potwora niż bohatera. Życie czterech osób, za które czuł się odpowiedzialny, zgasło, a żadna praca ani kara nie zdoła go przywrócić. Ale on może żyć dalej. I może walczyć w zapasach, a jeśli istnieje coś poza tym życiem, jakieś miejsce, w którym ci młodzi mężczyźni dalej żyją, a bohaterzy tacy jak Bailey znów samodzielnie chodzą, to wszyscy uśmiechną się, gdy usłyszą dźwięk gwizdka i uderzeń o matę, ponieważ będą wiedzieli, że walczy dla nich.

Rozdział 34.

Złapać przestępcę

Fern wróciła do pracy kilka dni po pogrzebie Bailey'a. Pan Morgan zastępował ją przez prawie tydzień i bardzo jej potrzebował z powrotem w sklepie. Fern uznała, że praca będzie lepszym rozwiązaniem niż siedzenie w domu i snucie się z kąta w kąt, a poza tym wiedziała, że pod koniec zmiany spotka się z Ambrose'em, który o tej porze rozpoczynał dyżur w piekarni. Po pierwszym dniu w pracy była wykończona, więc gdy wybiła dwudziesta druga, Ambrose kazał jej wrócić prosto do domu. Wtedy Fern zaczęła płakać, że on jej nie chce, a Ambrose obsypał dziewczynę pocałunkami, żeby ją pocieszyć, co doprowadziło go jednocześnie do pasji i frustracji, więc znów kazał jej wrócić do domu. I cały cykl się powtórzył.

— Fern, maleńka, nie będę się z tobą kochał na podłodze w piekarni. A tak się skończy, jeśli nie zabierzesz stąd swojego słodkiego tyłeczka. No, dalej, sio!

Ambrose dał jej pożegnalnego buziaka w piegowaty nos i odepchnął ją od siebie.

— Idź!

Fern wyszła ze sklepu tylnym wyjściem dla pracowników, wyobrażając sobie szalony seks z Ambrose'em na podłodze w piekarni. Tak ciężko było jej się z nim rozstawać. Przebywanie z dala od niego było dla niej torturą. Niedługo Ambrose wyjedzie na studia. Fern nie wyobrażała sobie życia bez niego i Bailey'a. Nie wiedziała, co ze sobą zrobić.

Ta myśl wywołała w niej falę emocji, które sprawiły, że nagle zawróciła w stronę drzwi. Była ciekawa, co powie Ambrose, gdy go zapyta, czy może pojechać razem z nim. Mogłaby złożyć papiery na studia i wziąć kredyt studencki. Mogłaby zamieszkać w akademiku i w ciągu dnia chodzić na zajęcia, a wieczorami pisać swoje powieści. Wtedy byłaby z nim przez cały czas i mogłaby dalej śledzić każdy jego krok.

Stanowczo pokręciła głową, wzięła głęboki oddech i podeszła do roweru. Nie. Nie robi tego. Ostatnio dużo się zastanawiała nad tym, co

ją teraz czeka. Dokładnie powiedziała mu, co czuje. Kochała Ambrose'a. Zawsze go kochała. A jeśli on chce, żeby została w jego życiu na zawsze, a nie była tylko tymczasową zabawką ani siatką bezpieczeństwa, to musi jej o tym wprost powiedzieć. Musi ją sam poprosić.

Fern uklęknęła przy rowerze, który stał przywiązany łańcuchem do rynn, i bezmyślnie wybrała kod na blokadzie. Jej myśli krążyły wokół Ambrose'a i straszyły ją wizją utracenia go po raz kolejny, dlatego nie zareagowała wystarczająco szybko na dźwięk kroków tuż za nią. Poczowała, że ktoś mocno ją łapie od tyłu, a zaraz potem rzuca na ziemię. Upuściła rower, a ten się zachwiał i upadł tuż obok niej.

Na początku pomyślała, że to Ambrose. Już raz zaskoczył ją w ciemności, właśnie tutaj, przed wyjściem dla pracowników. Ale to nie był on. On nigdy by jej nie skrzywdził. Ręce, które ją obejmowały, były mniejsze, a ciało słabiej umięśnione, ale napastnik z pewnością był dużo większy niż Fern. I chciał jej zrobić krzywdę. Fern szamotała się, próbując wyrwać się napastnikowi, który przygniatał jej twarz do chodnika.

— Gdzie ona jest, Fern?

To był Becker. Jego oddech wydzielał nieprzyjemną woń, która była mieszaniną zapachu piwa, wymiotów i niemytych od dawna zębów. Nieskazitelną Becker Garth ujawnił się. To ją śmiertelnie przeraziło.

— Byłem w domu jej matki, ale tam jest ciemno. Obserwuję go od dwóch dni. Nie ma jej w domu! Nie mogę wejść do własnego domu, Fern!

— Oni wyjechali — wysapała Fern, starając się panować nad własnym przerażeniem.

Becker zachowywał się jak szaleniec, jak gdyby utracił rozum w dniu, w którym zepchnął Bailey'a z drogi. Policja sądziła, że nie wiedział o tym, że Bailey tuż przed śmiercią zdążył zadzwonić pod numer alarmowy. Może uznał, że sprawa już przycichła, i postanowił wrócić do domu, przekonany, że nikt nie dowie się o tym, co zrobił.

— GDZIE ONI SĄ?! — Becker chwycił Fern za włosy i mocniej przycisnął jej policzek do chodnika.

Fern starała się nie płakać, krzywiąc się z bólu. Od dotyku chropowatego betonu piekła ją skóra.

— Nie wiem — skłamała.

Na pewno nie powie Beckerowi Garthowi, gdzie jest jego żona.

— Powiedziały tylko, że wyjeżdżają na kilka dni, żeby trochę odpocząć. Niedługo wrócą — skłamała po raz kolejny.

Rita zaraz po zwolnieniu ze szpitala wypowiedziała umowę najmu, a Sarah wystawiła swój dom na sprzedaż w miejscowej agencji nieruchomości, prosząc o zachowanie dyskrecji. Rita załamała się na wieść o śmierci Bailey'a. Bała się również o własne życie. Becker był nieobliczalny i ani Rita, ani Sarah nie czuły się bezpieczne w swoich domach i w swoim mieście. Dlatego pozbyły się wszystkiego, co miały, i postanowiły wyjechać. Wiedziały, że tu nie wrócą, dopóki Becker nie przestanie być dla nich zagrożeniem.

Tata Fern pomógł im sprzedać cały dobytek, a to, czego nie udało się sprzedać, przeniósł do magazynu należącego do kościoła. Dał im dwa tysiące dolarów w gotówce, a Fern również je wspomogła, przekazując im część własnych oszczędności. Niecały tydzień później już ich nie było. Fern bardzo bała się o Ritę. Nie sądziła, że ona sama również jest w niebezpieczeństwie.

Nagle usłyszała zgrzyt stali i poczuła ostry zimny przedmiot na swoim gardle. Serce biło jej tak głośno, że przypominało tętent konia wyścigowego odbijający się głośnym echem w uchu, które miała przyciśnięte do chodnika.

— Ty i Bailey nastawiliście ją przeciwko mnie! Zawsze dawaliście jej pieniądze. A Sheen chciał zabrać moje dziecko! Wiedziałaś o tym?

Fern zacisnęła powieki i zaczęła modlić się o ratunek.

— Czy ona jest z Ambrose'em?

— Co?

— Czy ona jest z Ambrose'em? — wrzasnęła.

— Nie! Ambrose jest ze mną! — Był tuż za drzwiami do piekarni, a jednocześnie tak bardzo, bardzo daleko.

— Z tobą? Myślisz, że on cię chce, Fern? On cię nie chce! Pragnie Rity. Zawsze jej pragnął. Ale teraz jego twarz jest zmasakrowana. — Becker wycedził jej te słowa prosto do ucha.

Fern poczuła ostrze stali na skórze, a Becker zabrał nóż z jej gardła i przystawił go do twarzy.

— Ciebie też potnę, żebyście do siebie pasowali. Jak mi powiesz, gdzie jest Rita, potnę cię tylko z jednej strony, żebyś wyglądała tak jak Ambrose.

Fern zacisnęła mocno powieki, głośno dysząc w panice i modląc się o ratunek.

— Mów, gdzie ona jest!

Becker uderzył ją od tyłu, zirytowany jej milczeniem. Fern poczuła dzwonięcie w uszach i przez chwilę była kompletnie otumaniona. Becker pociągnął ją za długie rude włosy, zanim zdołała wstać na nogi. Przeciągnął ją tak przez krawężnik, a potem przez całą ulicę, aż doszedł do pola otoczonego drzewami, które rozciągało się za sklepem. Fern szamotała się, płacząc z bólu i próbując wstać. W końcu zawołała Ambrose'a.

„Czujesz to?”

To pytanie zaświtało w głowie Ambrose'a, jak gdyby Paulie stał na jego ramieniu i szeptał mu do ucha — i to tego głuchego ucha. Ambrose potarł protezę i zrobił krok do tyłu. Wyłączył mikser i odwrócił się, myśląc, że kogoś tam zobaczy. Ale w piekarni było cicho i pusto. Ambrose nadstawił ucha, nie spodziewając się niczego poza ciszą. I wtedy poczuł, że coś jest nie tak; że dzieje się coś złego. Miał silne, niewytłumaczalne przeczucie, którego nie potrafił nazwać.

„Czujesz to?”. To samo powiedział Paulie tuż przed śmiercią, która oddzieliła Ambrose'a na zawsze od przyjaciół.

Ambrose wyszedł z piekarni i skierował się do tylnych drzwi, tych samych, którymi Fern wyszła niecałe dziesięć minut wcześniej. A potem usłyszał jej krzyk. Wybiegł przez drzwi, a adrenalina zaczęła pulsować mu w skroniach. Oby nie było za późno.

Pierwszą rzeczą, którą zobaczył, był rower Fern, który leżał na boku, z przednim kołem wiszącym w powietrzu. Pedaly podtrzymywały przednią część roweru w górze, a koło delikatnie kręciło się pod wpływem wiatru. Wyglądał zupełnie jak rower Cosma. Tego roześmianego Cosma, który chciał, żeby jego rodzina była bezpieczna, a jego kraj wolny od terroru. Tego Cosma, który zginął z rąk złych ludzi.

— Fern! — wykrzyknął Ambrose przerażony.

A potem ich zobaczył, jakieś dziewięćdziesiąt metrów dalej. Fern szamotała się z mężczyzną, który trzymał ją przedramieniem za gardło i ciągnął wzdłuż pola za sklepem. Ambrose pobiegł po nierównym gruncie, ledwo dotykając stopami ziemi. Czuł, jak narasta w nim wściekłość. W ciągu kilku sekund ich dogonił. Kiedy Becker go zobaczył, postawił szybko Fern przed sobą, zamieniając ją w tarczę. Trzęsącą się ręką wyciągnął nóż w stronę podbiegającego Ambrose'a. W oczach miał obłęd.

— Ona idzie ze mną, Ambrose! — wrzasnął. — Zabierze mnie do Rity!

Ambrose nie zwolnił i nawet nie spojrzął na Fern. Wiedział, że dla Beckera Gartha to jest już koniec. Becker zabił Bailey'a Sheena w momencie, gdy pozostawił go leżącego w rowie. Dobrze wiedział, że Bailey nie jest w stanie się z niego wydostać. Maltretował swoją żonę, sterroryzował ją i swoje dziecko, a teraz ciągnął za sobą jak szmacianą lalkę dziewczynę, którą Ambrose kochał. Bronił się nią jak tarczą przed wściekłością i zemstą Ambrose'a.

Becker zaklął siarczyście, gdy uświadomił sobie, że nóż nie uchroni go przed bezpośrednią interakcją z Ambrose'em. Puścił Fern, żeby pozbyć się balastu, który utrudniał mu ucieczkę, i zaczął szybko biec przed siebie. Fern krzyknęła ze strachu o Ambrose'a. Z trudem stanęła na nogach i rozłożyła ręce, jakby chciała w ten sposób uchronić Ambrose'a przed natknięciem się na nóż Beckera.

Becker zdążył ująć tylko kilka kroków, gdy Ambrose go dopadł i powalił na ziemię dokładnie tak samo, jak Becker nieraz powalał swoją żonę. Głowa Beckera uderzyła o ziemię tak samo jak głowa Rity nieraz uderzała o podłogę w kuchni. A potem Ambrose dał upust swojej wściekłości i obił pięściami Beckera tak samo jak w pierwszej klasie liceum, gdy Becker Garth wyrzucił wózek Bailey'a Sheena w męskiej szatni.

— Ambrose! — krzyknęła Fern gdzieś z oddali, przywracając go do siebie i do rzeczywistości.

Jej głos spowolnił jego pięści i osłabił napad wściekłości.

Ambrose wstał i chwycił Beckera za długie włosy, tak bardzo

przypominające dawne włosy Ambrose'a. A potem przeciągnął go po ziemi tak samo, jak Becker przed chwilą przeciągnął Fern, z powrotem do miejsca, w którym stała Fern, chwiejąc się na nogach. Ambrose puścił Beckera i objął Fern. Becker upadł bezwładnie na ziemię.

— Nie pozwól, żeby uciekł. On nie może znaleźć Rity! — krzyknęła Fern, kręcąc głową i przytulając się mocno do Ambrose'a.

Ale Becker nigdzie nie uciekał. Ambrose wziął Fern na ręce i zaniósł ją pod ścianę sklepu, przed którym wciąż leżał wywrócony rower z przednim kołem powoli obracającym się na wietrze, obojętny na dramat, który przed chwilą się obok niego rozegrał.

Fern miała zakrwawione gardło. Krew sączyła się jej również z otarcia na kości policzkowej. Prawe oko miała tak spuchnięte, że nie była w stanie go otworzyć. Ambrose posadził ją delikatnie przy ścianie budynku i obiecał, że zaraz wróci. Chwycił linkę rowerową, która zwisała z rynny i sięgnął do kieszeni po telefon, żeby zadzwonić pod numer alarmowy 911. Opowiedział spokojnie operatorce, co się wydarzyło, i związał Beckera Gartha za pomocą linki rowerowej Fern, na wypadek, gdyby ten odzyskał przytomność, zanim przyjedzie policja. Ambrose miał nadzieję, że tak się stanie — że Becker wkrótce się obudzi. Chciał, żeby Becker poczuł, jak to jest, być uwięzionym w ciemności, niezdolnym do wykonania ruchu i w pełni świadomym własnej bezradności. Tak właśnie musiał się czuć Bailey w liceum, gdy leżał w wywróconym wózku w ciemnej szatni i czekał na ratunek. I tak samo musiał się czuć, gdy po upadku do rowu melioracyjnego dotarło do niego, że za próbę uratowania przyjaciółki będzie musiał zapłacić własnym życiem.

Potem Ambrose wrócił do Fern, uklęknął przy niej i wziął ją na kolana, a następnie objął ją najczulej i najdelikatniej, jak potrafił. Po chwili poczuł, że sam zaczyna się trząść. Wtedy wyszeptał podziękowanie:

— Dziękuję, Paulie.

Rozdział 35.

Zaopiekować się Fern

Bal maturalny, rok 2002

Fern po raz setny przejechała palcami po linii dekoltu i wygładziła sukienkę, jakby ta w jakiś magiczny sposób pomarszczyła się w ciągu ostatnich czterech sekund.

— Hej, Bailey, mam szminkę na ustach? — wysyczała do kuzyna, szczerząc zęby w szerokim uśmiechu, żeby mu pokazać dwa białe rzędy doskonałych, prostych zębów, które kosztowały ją trzy lata chodzenia w aparacie ortodontycznym.

Bailey westchnął i pokręcił głową.

— Wszystko dobrze, Fern. Wyglądasz świetnie. Rozluźnij się.

Fern wzięła głęboki oddech i zaczęła nerwowo przygryzać wargę, którą dopiero co pokryła kolejną warstwą koralowoczerwonej szminki.

— Kurczę! Teraz to na pewno mam szminkę na ustach! — zajęczała cicho, żeby tylko Bailey ją usłyszał. — Zaraz wrócę, dobrze? Pójdę tylko na sekundę do toalety. Poradzisz sobie beze mnie?

Bailey podniósł brwi, jakby chciał powiedzieć: „Żartujesz sobie, kobieto?”

Nie minęło nawet pięć sekund od jej odejścia, a Bailey już przemierzał parkiet w kierunku grupki zapaśników. Zależało mu, żeby z nimi porozmawiać, od momentu, gdy przyjechał na bal razem z Fern.

Ambrose, Paulie i Grant przyszedli na bal bez towarzyszek. Bailey nie wiedział dlaczego. Gdyby on miał szansę zaprosić jakąś dziewczynę na bal, wziąć ją w ramiona, poczuć zapach jej włosów i stanąć na własnych nogach, żeby z nią zatańczyć, na pewno by nie pozwolił, żeby taka okazja przeszła mu koło nosa.

Beans i Jesse przyszedli z dziewczynami, ale te akurat były pochłonięte poważną rozmową na temat butów, włosów i sukienek — własnych i cudzych.

Piątka przyjaciół zauważyła Bailey'a, który jechał do nich z szaleńczą prędkością, omijając slalomem tancerzy na parkiecie, jakby miał jakąś misję do spełnienia. Przywitali go z uśmiechem. To byli dobrzy koledzy. Zawsze traktowali go uprzejmie, a on czuł się dobrze w

ich towarzystwie.

— Świetnie wyglądasz, Sheen — gwizdnął Grant.

Paulie wyprostował trochę muszkę Bailey'a, a Ambrose, który stał z tyłu, podszedł bliżej, żeby przyjrzeć się koledze.

— Chcesz dołączyć do naszego męskiego grona? — spytał Ambrose i przykucnął nieco, żeby Bailey nie musiał nadwyręzać karku, nawiązując z nim kontakt wzrokowy.

— Mów za siebie, koleś. Ja przyszedłem tutaj z cudowną Lydią — zaprotestował Beans, mierząc wzrokiem swoją towarzyszkę.

Lydia była bardzo ładna, ale ubierała się bardzo wyzywająco. Bailey pomyślał, że byłaby ładniejsza, gdyby miała w sobie trochę skromności Rity. Rita pokazywała tylko tyle swojego ciała, żeby mężczyzna mógł się domyślać, jak wspaniale musi wyglądać pod ubraniem. Lydia pokazywała tak dużo, że człowiek się zastanawiał, po co w ogóle się ubierała. Ale Beansowi to wyraźnie się podobało.

— Marley pięknie wygląda — Bailey skomplementował dziewczynę Jessego, a ten poruszył wymownie brwiami.

— Tak, Sheen. To prawda.

Sukienka Marley też dużo odsłaniała, ale nie była tak zmysłowa jak strój Rity czy Lydii, przez co wydawała się bardziej skromna. Marley przypominała trochę Fern, ale miała długie czarne włosy i egzotycznie skośne oczy oraz wystające kości policzkowe. Z Jessem byli parą już od dwóch lat i ładnie razem wyglądali.

— Przyjechałem na bal z Fern. — Bailey przeszedł od razu do rzeczy, bo nie chciał, żeby Fern zobaczyła go z chłopakami po powrocie z toalety.

Ambrose natychmiast się wyprostował, a Bailey poczuł ukłucie w sercu. Ambrose zachowywał się tak, jakby Fern była rosyjskim szpiegiem, który zmusił go do wydania jakichś narodowych tajemnic, a nie dziewczyną, która napisała do niego kilka miłosnych liścików, podpisując się czymś imieniem. Reakcja Ambrose'a sprawiła, że Bailey zaczął się zastanawiać, czy Ambrose faktycznie coś czuje do Fern. Ludzie nie złoścą się tak bardzo na coś, co jest im obojętne.

Bailey spojrział na Pauliego i Granta i przeszedł do rzeczy, licząc na to, że Ambrose też go usłyszy.

— Nie macie żadnych towarzyszek, więc może poprosilibyście ją do tańca? Fern zawsze się o mnie troszczy, ale byłoby miło, gdyby na balu maturalnym mogła zatańczyć z kimś innym niż z własnym kuzynem.

Ambrose cofnął się o kilka kroków, a potem odszedł bez słowa. Grant i Paulie popatrzyli za nim ze zdumieniem.

Beans wybuchnął śmiechem, a Jesse powoli zagwizdał, kręcąc głową.

— Dlaczego on zawsze tak się zachowuje, gdy ktoś wspomni o Fern? — zastanawiał się Grant, nie odrywając oczu od pleców Ambrose'a.

Bailey poczuł, że do twarzy napływa mu krew, a kołnierzyk koszuli nagle robi się zbyt ciasny. A nie należał do osób, które jest łatwo zawstydzić. Duma była luksusem, na który nie mógł sobie pozwolić, ale gwałtowna reakcja Ambrose'a mimo wszystko go zażenowała.

— O co chodzi? — zapytał zdziwiony Bailey.

— Wydaje mi się, że on coś czuje do Fern — powiedział Beans takim tonem, jakby to była najdziwniejsza rzecz na świecie.

Bailey rzucił Beansowi spojrzenie, które sprawiło, że ten zamilkł i odchrząknął, tłumiąc śmiech.

— Naprawdę byłbym wam wdzięczny, gdybyście z nią zatańczyli. Jeśli uważacie, że jesteście dla niej zbyt dobrzy, to zapomnijcie o tym. Wasza strata, na pewno nie jej — powiedział Bailey, a zażenowanie, które poczuł przed chwilą, zamieniło się w narastającą wściekłość.

— Słuchaj, Bailey, to żaden problem. Poproszę ją do tańca. — Grant poklepał go uspokajająco po ramieniu.

— Tak, ja też. Lubię Fern. Z przyjemnością z nią zatańczę — zgodził się Paulie, kiwając głową.

— Ja też. Uwielbiam Fern — dołączył Beans, a w jego oczach było widać rozbawienie.

Bailey zbył to milczeniem. Beans już taki był. Nic nie mógł na to poradzić.

— Wiesz, że zrobię dla ciebie wszystko, Sheen. Ale jeśli z nią zatańczę, domyśli się, że się umówiliśmy — powiedział Jesse z żalem. — Marley jest moją dziewczyną i wszyscy o tym wiedzą.

— W porządku, Jess. Masz rację. Nie chcę, żeby się domyśliła. —

Bailey odetchnął z ulgą.

— A co zamierzasz robić w czasie, gdy my zajmiemy się Fern? — zapytał zaczepnie Beans.

— Zatańczę z Ritą — odparł Bailey bez zastanowienia.

W dowód swoich umiejętności tancerskich Bailey zwinnie poruszył się kilka razy na wózku w przód i w tył, a czterech zapaśników wybuchło gromkim śmiechem. Fern właśnie wróciła z toalety i rozglądała się dookoła, szukając Bailey'a.

— Wy zajmijcie się Fern. A ja zajmę się Ritą — zawołał Bailey przez ramię.

— Zajmiemy się nią, nie martw się — zapewnił go Grant, machając mu na pożegnanie.

— Zajmiemy się nią — powtórzył za nim Paulie. — A ja zajmę się Ambrose'em. Nim też trzeba się zaopiekować.

— Czy mógłbym tutaj zostać? — zapytał Ambrose, odchrząkując niepewnie.

Trudno mu było zadać to pytanie. Ale nie mógł odejść. Nie teraz. Żadne z nich nie spało przez większość nocy, a świt miał nadejść już za godzinę. Elliott Young przejął stery w piekarni, a Joshua i Rachel Taylorowie przyjechali po córkę zaraz po jego telefonie. Minęły zaledwie dwa tygodnie od nocy, w której obudził ich inny nagły telefon. Wtedy jeszcze nie wiedzieli, co się stało Baileyowi. Po panice widocznej na ich twarzach i łzach ulgi i wdzięczności, które popłynęły z ich oczu, od razu można się było domyślić, że spodziewali się najgorszego.

Funkcjonariusze policji długo przepytывali Fern i Ambrose'a, a karetka zabrała Beckera Gartha do szpitala, gdzie przydzielono mu nadzór policyjny. Fern nie chciała jechać do szpitala, ale pozwoliła policjantom, żeby zrobili zdjęcia jej obrażeń. Była cała posiniaczona i podrapana. Kiedy rano się obudzi, na pewno będzie bardzo obolała. Ale teraz spała w swoim łóżku, a Ambrose stał przed drzwiami wejściowymi z ręką na klamce, prosząc Joshuę Taylora, żeby pozwolił mu zostać na noc.

— Nie chcę nigdzie iść. Za każdym razem, gdy zamknę oczy,

widzę tego skurczybyka, jak ją ciągnie przez pole... z całym szacunkiem, pastorze — przeprosił za użycie słowa „skurczybyk”, choć nie miał pojęcia, jakiego innego słowa mógłby użyć na opisanie Beckera Gartha.

— W porządku, Ambrosie. Mam dokładnie takie same odczucia — Joshua Taylor blado się uśmiechnął.

Pastor przyjrzał się uważnie twarzy Ambrose’a, a ten wiedział, że tym razem nie chodzi o jego blizny. To było spojrzenie ojca, który chciał być pewny intencji mężczyzny zakochanego w jego córce.

— Pościelę ci łóżko na dole — powiedział i odszedł od drzwi, zapraszając gestem Ambrose’a, aby udał się za nim.

Pastor szedł powoli, jakby w ciągu ostatniego tygodnia postarzał się o dziesięć lat, a Ambrose nagle sobie uświadomił, jak stary jest Joshua Taylor. Musiał być o jakieś dwadzieścia pięć lat starszy od Elliotta, czyli miał około siedemdziesiątki. Ambrose nigdy nie myślał o rodzicach Fern, nigdy tak naprawdę im się nie przyjrzał, tak samo jak nigdy nie przyjrzał się Fern aż do tamtej nocy nad jeziorem.

Rodzice Fern musieli być dość wiekowi, gdy się urodziła. Ciekawe, jak się czuli, gdy się dowiedzieli, że będą mieć córkę, choć przez tyle lat sądzili, że nie mogą mieć dzieci. To musiało wywrócić ich życie do góry nogami! Powitanie cudu na tym świecie z pewnością przyniosło im tak samo wielką radość, jak wielki musi być ból po utracie dziecka. Dzisiaj Joshua Taylor prawie utracił swój cud, a Ambrose doświadczył innego cudu.

Pastor wyjął z bieliźniarki czyste prześcieradło, poduszkę i stary różowy koc, a potem przeszedł do salonu i zaczął ścielić kanapę, jakby to robił już setki razy.

— Ja się tym zajmę, pastorze. Proszę. Poradzę sobie.

Ambrose pośpieszył, żeby pomóc pastorowi, ale ten tylko machnął ręką i starannie rozłożył prześcieradło na łóżku, a potem zgiął je na pół, żeby Ambrose mógł się w nie zawinąć jak w naleśnik.

— Proszę. Tu ci będzie wygodnie. Czasami, jak mam dużo spraw na głowie i nie chcę budzić Rachel, przychodzę tutaj. Przespałem wiele nocy na tej kanapie. Ty jesteś wyższy ode mnie, ale myślę, że jakoś się zmieścisz.

— Dziękuję, pastorze.

Joshua Taylor skinął głową i poklepał Ambrose'a po ramieniu. Odwrócił się, jakby chciał wyjść z pokoju, ale potem zatrzymał się i spojrzał na stary dywanik leżący u stóp kanapy, na której Ambrose miał spać tej nocy.

— Dziękuję ci, Ambrosie — odpowiedział, a jego głos się załamał pod nagłym przyływem emocji. — Często się martwiłem, że gdy Bailey umrze, Fern stanie się coś złego. Wiem, że to był nielogiczny strach, ale ich życia zawsze były mocno ze sobą splecione. Wiesz, że Angie i Rachel tego samego dnia dowiedziały się, że są w ciąży? Martwiłem się, że Bóg przysłał tutaj Fern dla jakiegoś konkretnego celu, że dał jej misję, a gdy ona już ją wypełni, to zabierze ją z powrotem.

— „Dał Pan i zabrał Pan”?

— Tak... coś w tym stylu.

— Zawsze nienawidziłem tego cytatu.

Joshua Taylor spojrzał na niego zdziwiony, ale mówił dalej.

— Dziś, kiedy zadzwoniłeś... jeszcze zanim się odezwałeś, już wiedziałem, że stało się coś złego. I przygotowałem się na wysłuchanie tej wiadomości. Nie powiedziałem o tym Rachel. Nie chciałem, żeby bała się razem ze mną. — Joshua spojrzał w górę na Ambrose'a, a jego duże brązowe oczy, tak podobne do oczu Fern, były pełne emocji.

— Dałeś mi nadzieję, Ambrosie. Może przywróciłeś mi trochę wiarę.

— Sobie też — przyznał Ambrose.

Joshua Taylor znów spojrzał na niego zdziwiony i tym razem poprosił o wyjaśnienie:

— Jak to?

— Nie usłyszałem jej wołania. Nie byłem w stanie go usłyszeć. Miałem włączone radio. I mikser. Poza tym mam dość kiepski słuch. — Ambrose uśmiechnął się sztywno.

Ale to nie był odpowiedni czas na żarty, więc z powrotem przybrał poważną minę.

— Usłyszałem Pauliego, mojego przyjaciela Pauliego. Pamięta pastor Paula Kimballa?

Joshua przytaknął potwierdzająco.

— Czuję się tak, jakby stał obok mnie i mówił mi prosto do ucha. Ostrzegł mnie. Kazał mi słuchać. Paulie zawsze kazał nam słuchać.

Usta Joshuy Taylora zaczęły drżeć. Przyłożył do nich dłoń, wyraźnie poruszony opowieścią Ambrose'a.

— Od czasu Iraku trudno jest mi... wierzyć... że po śmierci jest jeszcze coś. Albo nawet, że to obecne życie ma jakikolwiek sens. Rodzimy się, cierpimy, patrzymy, jak nasi najbliżsi cierpią, i umieramy. To wszystko wydawało mi się takie... takie bezsensowne. Takie okrutne. I ostateczne. — Ambrose zrobił pauzę, pozwalając, aby wspomnienie głosu Pauliego dodało mu otuchy do zakończenia tej wypowiedzi. — Ale po dzisiejszej nocy nie mogę już tak powiedzieć. Jest dużo rzeczy, których nie rozumiem... ale brak zrozumienia jest lepszy niż brak wiary.

Ambrose przerwał i dotknął palcami koniuszka nosa. Spojrzał na Joshuę Taylora, szukając potwierdzenia.

— Czy to w ogóle ma jakiś sens?

Joshua Taylor oparł rękę na krzesło, które stało obok niego, i ciężko na nim usiadł, jakby jego nogi nie były już w stanie udźwignąć jego ciała.

— Tak. Tak. To ma wielki sens — powiedział cicho, kiwając głową. — Wielki sens.

Ambrose też usiadł, a stara kanapa zapadła się pod ciężarem jego dużego ciała.

— Jesteś dobrym człowiekiem, Ambrosie. Moja córka cię kocha. Wiem to.

— Ja też ją kocham — powiedział Ambrose i nagle zamilkł.

— Ale? — zapytał pastor Taylor.

Lata wysłuchiwanie problemów ludzi wyczuliły go na sytuacje, w których ktoś powstrzymuje się przed powiedzeniem czegoś.

— Ale Fern lubi opiekować się ludźmi. Martwię się, że moja... moja... moja... — Ambrose nie mógł znaleźć właściwego słowa.

— Potrzeba? — podpowiedział mu delikatnie Joshua Taylor.

— Moja brzydka twarz — poprawił go gwałtownie Ambrose. — Martwię się, że przez moje obrażenia po wypadku Fern będzie chciała się mną opiekować. Nie jestem zbyt piękny, pastorze. Co będzie, gdy któregoś dnia Fern zobaczy mnie takim, jakim naprawdę jestem, i uzna,

że to, co do niej czuję, jej nie wystarcza?

— Twój tata kiedyś do mnie przyszedł, bardzo dawno temu. Martwił się o to samo. Myślał, że gdyby wyglądał inaczej, twoja mama by go nie zostawiła.

Ambrose poczuł silny przypływ współczucia dla swojego taty i jednocześnie wściekłość na kobietę, która go porzuciła dla bohatera komputerowej reklamy bielizny.

— Mogę ci powiedzieć to samo, co wtedy powiedziałem jemu? — zapytał łagodnie Joshua Taylor. — Czasami piękno albo jego brak utrudnia nam prawdziwe poznanie drugiego człowieka. Czy kochasz Fern dlatego, że jest piękna?

Ambrose kochał to, jak wyglądała Fern. Ale teraz zaczął się zastanawiać, czy uwielbia jej wygląd dlatego, że kocha jej śmiech, jej taniec, to, jak unosi się na wodzie i wygłasza filozoficzne uwagi na temat chmur. Wiedział, że kocha jej bezinteresowność, poczucie humoru i szczerość. Te wszystkie cechy sprawiały, że była dla niego piękna.

— Myślę, że jest wiele dziewczyn, które pod względem fizycznym są dużo piękniejsze niż Fern. Ale ty kochasz Fern.

— Kocham Fern — przyznał gorliwie Ambrose.

— W tym miasteczku jest wielu facetów, którzy mają większe potrzeby... i są brzydsi... niż ty, ale to ty jesteś pierwszym, którym zainteresowała się Fern. — Pastor Taylor zaśmiał się. — Jeśli wszystko sprowadza się do altruizmu, to dlaczego Fern nie znalazła sobie jakiegoś brzydkiego, zbłąkanego faceta, żeby się nim zaopiekować?

Ambrose zaśmiał się pod nosem i przez krótką chwilę Joshua Taylor patrzył na niego z czułością. Późna godzina i powiew śmierci nadały tej rozmowie surrealnego wymiaru, który skłonił obu mężczyzn do niezwyklej szczerości.

— Ambrosie, Fern widzi cię takim, jakim jesteś naprawdę. Dlatego cię kocha.

Rozdział 36.

Wyjechać na Uniwersytet Pensylwanii

Fern pomagała Ambrose'owi się pakować. Czowała się pokonana. To cierpienie ciągnęło się już od tygodnia. Trauma po śmierci Bailey'a i ataku Beckera zebrała swoje żniwo i teraz, gdy Ambrose wyjeżdżał, Fern zastanawiała się, jak to będzie, gdy obudzi się zupełnie sama po raz pierwszy w swoim życiu. Ambrose pomógł jej dojść do siebie po utracie Bailey'a. Kto jednak jej pomoże, gdy Ambrose też odejdzie?

Rozkładała i składała na nowo jego koszulki, rozwijała i zwijała skarpetki, nieświadomie przenosząc rzeczy, które położył w jednym miejscu, w inne, przez co Ambrose ciągle musiał czegoś szukać.

— Przepraszam — powiedziała po raz dziesiąty w ciągu ostatnich trzydziestu minut.

Odsunęła się od otwartych walizek, by nie wyrządzić jeszcze większych szkód, i zaczęła ścielić łóżko Ambrose'a, żeby czymś zająć ręce.

— Fern?

Fern dalej układała i wygładzała prześcieradło. Nawet nie spojrzała na Ambrose'a, gdy wypowiedział jej imię.

— Fern. Przestań. Zostaw to. Za kilka godzin i tak położę się spać i całe twoje układanie pójdzie na marne — powiedział Ambrose.

Fern nie mogła przestać. Musiała coś zrobić, czymś się zająć. Wyszła na korytarz w poszukiwaniu odkurzacza, żeby posprzątać pokój Ambrose'a. Elliota nie było — miał dyżur w piekarni. Tej ostatniej nocy przed wyjazdem Ambrose'a zastąpił syna na nocnej zmianie, więc w domu było cicho. Fern szybko znalazła odkurzacza, a także jakąś szmatkę i płyn do sprzątnia.

Krzątała się po coraz bardziej opustoszałym pokoju Ambrose'a, wciągając do odkurzacza koty z kurzu i wycierając każdą dostępną powierzchnię. Wreszcie Ambrose wziął głęboki oddech i zapiął ostatnią walizkę, po czym odwrócił się do niej i oparł dłonie na biodrach.

— Fern.

— Co? — odpowiedziała Fern, bacznie obserwując miejsce na ścianie, na którym farba wyglądała podejrzanie blado.

Chyba za mocno szorowała.

— Odłóż ten płyn i powoli się od niego odsuń — zarządził Ambrose.

Fern przewróciła oczami, ale przestała sprzątać. Wystraszyła się, że jej porządki mogą wyrządzić więcej szkody niż pożytku. Odstawiła płyn na biurko Ambrose'a.

— Szmatkę też — powiedział Ambrose.

Fern złożyła szmatkę i położyła ją obok pojemnika z płynem. A potem oparła ręce na biodrach, naśladowując jego pozycję.

— Ręce do góry, tak żebym je widział.

Fern podniosła ręce do góry, włożyła kciuki do uszu i zaczęła machać palcami. A potem zrobiła zeza, nadęła policzki i wystawiła język. Ambrose wybuchnął śmiechem i podniósł ją do góry, jakby miała pięć lat, po czym rzucił ją na swoje łóżko. Sam też padł na łóżko, przygniatając ją delikatnie swoim ciałem.

— Zawsze robisz miny. — Uśmiechnął się, przebiegając palcem wzdłuż grzbietu jej nosa, a potem w poprzek ust, aż do brody.

Uśmiech zniknął z jej twarzy, gdy jego palec dotknął jej ust, a desperacja, z którą tak bardzo walczyła, ogarnęła ją całkowicie.

— Zaraz... co to za mina? — zapytał łagodnie Ambrose, obserwując, jak uśmiech znika jej z twarzy.

— Z całych sił próbuję być odważna — powiedziała cicho Fern, zamykając oczy, aby uciec od jego badawczego spojrzenia. — Więc to jest moja odważna, smutna mina.

— Bardzo smutna jest ta twoja mina — westchnął Ambrose i krótko ją pocałował, a potem się odsunął.

A wtedy zobaczył, jak spod zamkniętych powiek Fern wypływają łzy. Fern zepchnęła go, walcząc z jego rękami, i pobiegła do drzwi, żeby jeszcze bardziej nie utrudniać mu tego wyjazdu. Wiedziała, że Ambrose musi wyjechać. Ale ona tak bardzo chciała, żeby z nią został.

— Fern! Przestań.

Ambrose przypomniał sobie tamtą noc nad jeziorem. Wtedy Fern też od niego uciekła, żeby nie widział, jak płacze. Ale tym razem ją wyprzedził; wyciągnął rękę i szybkim ruchem zatrzasnął drzwi, żeby nie mogła wyjść z pokoju. A potem mocno ją objął i przyciągnął do siebie.

Fern zwiesiła głowę i schowała twarz w dłoniach. Płakała.

— Już dobrze, kochanie, ciii... — powiedział Ambrose. — Nie wyjeżdżam na zawsze.

— Wiem. — Zapłakała, a Ambrose poczuł, jak Fern bierze głęboki oddech, żeby się uspokoić, odzyskać równowagę i powstrzymać łzy.

— Chciałam ci coś pokazać — powiedziała nagle, szybko wycierając policzki z łez i starając się zatrzeć wspomnienie swojego wybuchu rozpaczy.

Potem odwróciła się przodem do niego i zaczęła rozpinąć rząd białych guzików w swojej bluzce.

Ambrose poczuł, że robi mu się sucho w ustach. Wyobrażał sobie tę chwilę niezliczoną ilość razy, ale po ostatnich ciężkich przeżyciach oboje ograniczali się do flirtowania, jakby bali się zrobić krok dalej. Poza tym przez to, że oboje mieszkali ze swoimi rodzicami, trudno było im osiągnąć prywatność — a przynajmniej taki rodzaj prywatności, na którym mu zależało. Dlatego poskramiał swoją pasję, a pieszczoty ograniczał do kradzionych pocałunków, co z każdym dniem było dla niego coraz trudniejsze.

Ale Fern odpięła tylko pięć guzików i odsunęła bluzkę nad lewą pierś, odsłaniając koronkę stanika. Ambrose spojrzał na imię wypisane bardzo małymi literami i prostą czcionką, wytatuowane nad sercem Fern. *Bailey*.

Ambrose wyciągnął rękę i dotknął liter. Zauważył, że jej skóra zareagowała na jego dotyk gęsią skórą. Tatuaz był nowy, więc skóra wokół niego była delikatnie zaróżowiona, ale nie zraniona. Napis miał jakieś dwa centymetry i był małym hołdem dla wyjątkowego przyjaciela.

Fern nie rozumiała jego spojrzenia.

— Jak poszłam zrobić sobie ten tatuaz, to poczułam się jak prawdziwa twarda babka. Ale nie chciałam, żeby był duży. Zrobiłam to, bo chciałam... chciałam, żeby był blisko mnie. I uznałam, że to ja powinnam być osobą... która napisze jego imię na swoim sercu.

— Masz tatuaz i podbite oko, a ja właśnie zobaczyłem twój stanik. Idziesz na całość, Fern.

Ambrose lekko się z nią droczył, chociaż słabnący ślad po podbitym oku sprawiał, że dostawał szału za każdym razem, gdy na nią

patrzył.

— Powinnaś była mi powiedzieć. Pojechałbym z tobą — powiedział Ambrose, ściągając szarą koszulkę przez głowę, a wzrok Fern wyostrzył się tak samo jak przed chwilą jego wzrok.

— Wygląda na to, że oboje chcieliśmy się nawzajem zaskoczyć — dodał ciepło, gdy spojrzała mu w oczy.

Imiona stały w równym rzędzie, zupełnie jak białe groby na małym wzgórzu z tablicą pamiątkową. Nie udało się pochować Bailey'a razem z żołnierzami, ale był razem z nimi tutaj, a jego imię zajmowało ostatnią pozycję w rzędzie.

— Co to jest? — zapytała Fern, unosząc palce nad długim zielonym liściem paproci z delikatnymi listeczkami, które oplatały pięć imion.

— To paproć.

— Zrobiłaś sobie tatuaż... paproci? — dolna warga Fern znów zaczęła drżeć, a gdyby Ambrose nie był tak bardzo poruszony jej emocjami, prawdopodobnie zaśmiałyby się z jej dziewczęcej minki.

— Ale... to jest na zawsze — wyszeptała zdumiona.

— Tak. Jest. I ty też jesteś — powiedział powoli Ambrose, czekając, aż jej mózg przyswoi te słowa.

Spojrzała mu prosto w oczy, a na jej twarzy widać było mieszaninę skrajnych emocji — żalu, niedowierzania i euforii — które walczyły o dominację. Ambrose widział, że Fern chce mu wierzyć, ale nie był pewien, czy jej się to udało.

— Nie jestem Baileyem, Fern. I nie zamierzam go zastąpić. Byliście nierozłączni. To mnie trochę martwi, bo teraz przez długi czas będziesz miała w sercu dziurę wielkości Bailey'a... możliwe, że do końca życia. Wiem, o czym mówię. W zeszłym roku czułem się jak jeden z tych płatków śniegu, które kiedyś robiliśmy w szkole. Wiesz, taki płatek, który wycinasz z pozginanego kawałka papieru, i tniesz go tak długo, aż prawie cały papier odpadnie. Tak właśnie wyglądam, jak papierowy płatek śniegu. Każda dziura w tym płatku ma swoje imię. I nikt, ani ty, ani ja, nie wypełni dziur, które pozostawili po sobie inni ludzie. Jedyne, co możemy zrobić, to ratować siebie nawzajem przed wpadnięciem w te dziury, bo stamtąd nie ma już drogi powrotnej.

I kontynuował: — Potrzebuję cię, Fern. Nie chcę cię okłamywać. Potrzebuję cię. Ale nie w taki sam sposób, jak potrzebował cię Bailey. Potrzebuję cię, bo czuję ból, gdy nie jesteśmy razem. Potrzebuję cię, bo dajesz mi nadzieję. Dzięki tobie jestem szczęśliwy. Ale nie potrzebuję cię do tego, żebyś mnie goliła, czesała mi włosy ani wycierała syrop klonowy spod nosa.

W Fern natychmiast ożyło wspomnienie Bailey'a i tego, z jaką czułością się nim opiekowała.

Zamknęła oczy, żeby ukryć ból, i wybuchła płaczem, niezdolna do dalszego ukrywania emocji.

— Bailey tego potrzebował, Fern. A ty dawałaś mu to wszystko, bo go kochałaś. Myślisz, że ja cię też potrzebuję. Ale nie jesteś przekonana, czy cię Kocham. Więc próbujesz się mną opiekować.

— Czego ty ode mnie *chcesz*, Ambrose? — zapytała z twarzą schowaną w dłoniach.

Odsunął jej nadgarstki, żeby zobaczyć jej twarz w momencie, gdy wreszcie całkowicie się przed nią otworzy.

— Chcę twojego ciała. Chcę twoich ust. Chcę twoich rudych włosów w moich dłoniach. Chcę twojego śmiechu i twoich zabawnych min. Chcę twojej przyjaźni i inspirujących przemyśleń. Chcę Szekspira i powieści Amber Rose, i twoich wspomnień o Baileyu. I chcę, żebyś pojechała ze mną.

Fern opuściła ręce i choć jej policzki były wciąż mokre od łez, uśmiechała się, a zębami zagryzała dolną wargę. Zapłakane oczy i uśmiechnięte usta stanowiły wyjątkowo uroczą kombinację, więc Ambrose nachylił się do niej i uwolnił jej dolną wargę od zębów, delikatnie szczypiąc ją i całując. Ale potem się odsunął, chcąc dokończyć myśl.

— Ale raz już byłem w takiej sytuacji, że błagałem kogoś, kogo kochałem, żeby ze mną pojechał, chociaż oni tego nie chcieli, i wtedy ich straciłem.

Ambrose owinął kosmyk włosów Fern wokół palca i zmarszczył brwi, a jego usta wykrzywiły się w smutku.

— Chcesz, żebym pojechała z tobą na studia? — spytała Fern.

— Tak jakby.

— Tak jakby?

— Kocham cię, Fern. I chcę, żebyś została moją żoną.

— Naprawdę? — zapiszczała Fern.

— Tak. Nie ma nic lepszego niż Fern Taylor.

— Nie ma? — znów pisnęła Fern.

— Nie ma. — Ambrose zaśmiał się na widok jej miny, która wyrażała całkowite niedowierzenie. — A jeśli się zgodzisz zostać moją żoną, to przez resztę życia będę się starał cię uszczęśliwić, a gdy już nie będziesz mogła na mnie patrzeć, to obiecuję, że będę śpiewać.

Fern zaśmiała się, wydając z siebie mokry, czkający dźwięk.

— Tak czy nie? — zapytał Ambrose poważnie, chwytając ją za rękę, a to ostateczne pytanie zawisło między nimi w powietrzu.

— Tak.

Rozdział 37.

Ożenić się

Trybuny były pełne kibiców ubranych na biało i niebiesko, a Fern czuła się trochę zagubiona bez wózka inwalidzkiego, dla którego zawsze musiała szukać dobrego miejsca przy ławkach. Na szczęście mieli bardzo dobre miejsca, Ambrose o to zadbał. Po lewej stronie Fern siedział wujek Mike, a po prawej Elliott Young, za którym usadowiła się Jamie Kimball, mama Pauliego. Jamie od lat pracowała przy ladzie w piekarni, a Elliott w końcu zebrał się na odwagę, żeby zaprosić ją na randkę. Jak na razie wszystko szło bardzo dobrze. Kolejny szczęśliwy zbieg wydarzeń. Potrzebowali się nawzajem, ale co ważniejsze, zasługiwali na siebie.

To był ostatni pojedynek w tym sezonie dla drużyny Nittany Lions z Uniwersytetu Pensylwanii. Fern była tak zdenerwowana, że musiała usiąść na własnych dłoniach, żeby nie powrócić do złego nawyku obgryzania paznokci. Zawsze tak się czuła, gdy obserwowała Ambrose'a podczas walki, mimo że dużo częściej wygrywał niż przegrywał. Zastanawiała się, jak Mike Sheen był w stanie znosić te tortury rok po roku. Jeżeli kochasz swojego zapaśnika — a tak było w przypadku Fern — to oglądanie go podczas walki jest prawdziwą męczarnią.

Ambrose nie wygrał wszystkich swoich walk. Miał bardzo dobry rok, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę jego długą nieobecność na macie i ułomności, z którymi musiał sobie radzić. Fern kazała mu obiecać, że będzie dobrze się bawił, a on naprawdę starał się dotrzymać tej obietnicy. Nie próbował już być mistrzem wszechświata, Herkulesem ani Iron Manem. Był po prostu Ambrose'em Youngiem, synem Elliotta Younga, narzeczonym Fern Taylor. Fern wzięła głęboki oddech i postanowiła zastosować się do własnej rady. Była córką Joshuy i Rachel, kuzynką Bailey'a i kochanką Ambrose'a. I z nikim nie zamieniłaby się miejscami.

Kiedy Ambrose wyjechał na studia, nie pojechała z nim. Oboje wiedzieli, że na początku nie będzie to możliwe. Fern udało się wreszcie podpisać kontrakt na trzy książki ze znanym wydawnictwem romansów i musiała dotrzymać ustalonych terminów. Jej pierwsza powieść miała

zostać wydana na wiosnę. Ambrose czuł, że sam musi pokonać swoje demony — bez metaforycznej tarczy ani pomocników, którzy dotrzymywaliby mu towarzystwa.

Ambrose uczciwie przyznał, że się boi. Wiedział, że będzie musiał stawić czoła ciekawskim spojrzeniom, szeptom za plecami i wścibskim pytaniom, i to sprawiało mu dyskomfort. Ale miało też pozytywne strony. Uświadomił sobie, że pytania zadawane przez ludzi dadzą mu okazję do otwartego przedstawienia sprawy. Koledzy z drużyny zapaśniczej szybko przyzwyczaili się do jego wyglądu i przestali zauważać jego blizny. Tak jak Fern nigdy nie widziała wózka Baileya. I tak jak Ambrose widział Fern, od kiedy po raz pierwszy zobaczył w niej coś więcej niż twarz zwykłej małej osiemnastolatki.

Ambrose nie dostał żadnego stypendium, a główny trener drużyny zapaśniczej Uniwersytetu Pensylwanii niczego mu nie obiecywał. Powiedział tylko, że Ambrose może trenować razem z drużyną, a potem okaże się, co będzie dalej. Ambrose przyjechał na uczelnię w październiku, miesiąc przed wszystkimi innymi studentami. Ale już w ciągu kilku pierwszych tygodni zrobił wrażenie na trenerach uniwersyteckiej drużyny. Na pozostałych zawodnikach również.

Fern i Ambrose powrócili do pisania listów — były to długie e-maile pełne pytań „albo – albo?” — zarówno czułych, jak i dziwacznych, które skutecznie zmniejszały dzielącą ich odległość. Fern zawsze kończyła swoje listy swoim imieniem, które pisała wielkimi literami i pogrubioną czcionką, żeby Ambrose nie miał wątpliwości, kto jest ich nadawcą. Czytając te listy, śmiali się i płakali, i z utęsknieniem czekali na weekendy, podczas których jedno albo drugie robiło wycieczkę między Hannah Lake a Uniwersytetem Pensylwanii. A czasami spotykali się gdzieś pośrodku i na dwa dni zapominali o świecie, nie marnując ani sekundy, ponieważ sekundy zamieniały się w minuty, a oboje dobrze wiedzieli, że minuta to bardzo dużo — wystarczająco dużo, żeby stracić życie.

Kiedy Ambrose wybiegł na matę razem ze swoimi kolegami, serce Fern podskoczyło w piersi. Zaczęła intensywnie machać rękami, żeby Ambrose ich zobaczył. Szybko ich dostrzegł, bo już wcześniej wiedział, w której sekcji będą siedzieć. Uśmiechnął się swoim krzywym

uśmiechem, który tak uwielbiała. A potem pokazał język i zrobił zeza. Fern zrobiła taką samą minę, a on się zaśmiał.

Potem Ambrose potarł swoją pierś w miejscu, w którym miał wypisane imiona przyjaciół, a Fern poczuła silny przypływ emocji, i również dotknęła imienia, które miała wytatuowane nad sercem. Bailey na pewno chciałby tutaj być. Jeżeli Bóg istnieje i jest jakieś życie poza obecnym, to Bailey na pewno był tutaj z nimi — Fern nie miała co do tego żadnych wątpliwości. Siedział na podłodze i spisywał informacje na temat konkurencji, robił notatki i zapisywał nazwiska. Paulie, Jesse, Beans i Grant też tu byli: stali zgromadzeni wokół maty i patrzyli, jak ich najlepszy przyjaciel robi wszystko, co w jego mocy, żeby żyć dalej bez nich. Na pewno mu kibicowali, tak jak zawsze. Nawet Jesse.

Fern i Ambrose pobrali się latem 2006 roku. Mały kościółek, któremu Joshua i Rachel Taylor poświęcili całe swoje życie, był wypełniony po brzegi, a Rita była druhną Fern. Rita ułożyła sobie życie; wróciła do Hannah Lake, gdy tylko dowiedziała się, że Becker jest w więzieniu i czeka na proces, w którym miał być sądzony w trzech odrębnych sprawach.

Rita dostała rozwód i zaraz potem skupiła się na planowaniu ślubu Fern. Chciała, żeby ludzie wspominali go przez wiele następnych lat. I rzeczywiście przeszła samą siebie. Ślub był doskonały, magiczny i piękniejszy, niż Fern kiedykolwiek sobie wyobrażała.

Jednak kwiaty, jedzenie, tort, a nawet uroda panny młodej i dostoyny wygląd pana młodego nie były tym, co najbardziej poruszyło gości weselnych. Tamtego wieczoru wyraźnie było czuć coś w powietrzu. Coś uroczego i wyjątkowego, co sprawiło, że niejedna osoba stanęła na chwilę w miejscu i zapytała: „Czujesz to?”

Na wesele przybyła rodzina Granta, a także Marley i Jesse Junior. Ambrose, mając wsparcie Fern, w końcu odwiedził wszystkie rodziny poległych przyjaciół. Nie były to łatwe spotkania dla żadnej ze stron, ale dzięki nim rozpoczął się proces uzdrawiania. Jedynie Luisa O'Toole wciąż nie przebaczyła Ambrose'owi i nie otworzyła mu drzwi, gdy do niej przyjechał. Nie pojawiła się również na ślubie. Każdy inaczej

przeżywa żalobę, a Luisa potrzebowała więcej czasu, żeby pogodzić się ze swoją stratą. Jamie Kimball siedziała obok Elliotta, a ich złączone dłonie i czułe spojrzenia sugerowały, że niedługo w miasteczku będzie następny ślub.

Mały Ty rósł bardzo szybko. Czasami siadał na wózku Baileya i domagał się, żeby ktoś zabrał go na przejażdżkę. Ale podczas ślubu wózek Baileya był pusty. Postawiono go na końcu pierwszej ławy na honorowym miejscu. Kiedy Fern szła do ołtarza prowadzona przez swoją mamę, powiodła oczami do pustego wózka. Potem Ambrose wyszedł jej naprzeciw i wziął ją za rękę, a od tego momentu Fern nie widziała już niczego poza nim. Pastor Taylor przywitał swoją córkę pocałunkiem i położył dłoń na zabliznionym policzku mężczyzny, który obiecał ją kochać i być tylko z nią, dopóki śmierć ich nie rozłączy.

Kiedy młodzi złożyli przysięgę i pocałowali się tak namiętnie, że goście obecni w kościele zaczęli się zastanawiać, czy nowożeńcy dotrważą do końca wesela, Joshua Taylor łamiącym się głosem i ze łzami w oczach zachwycił się pięknem młodej pary, która tak wiele wycierpiała.

— Prawdziwe piękno, takie, które nie blaknie i nie umiera, wymaga czasu. Wymaga napięcia. Wymaga niewiarygodnej wytrwałości. To krople, które jedna po drugiej budują stalaktyt; to trzęsienia ziemi, które tworzą łańcuchy górskie; to fale uderzające nieustannie o brzeg, które łamią skały i wygładzają twarde krawędzie. A z tej gwałtowności, wrzawy, wściekłego wycia wiatru i szumu wody rodzi się coś lepszego, coś, co w innych okolicznościach nie mogłoby zaistnieć.

Po czym zakończył: — Dlatego trwamy. Mamy nadzieję, że istnieje jakiś cel. Wierzymy, że są rzeczy, których nie możemy zobaczyć. Czerpiemy naukę z każdej straty i wierzymy w potęgę miłości oraz w to, że każdy w nas ma w sobie potencjał do osiągnięcia piękna tak doskonałego, że nasze ciała nie będą w stanie go pomieścić.

Epilog

— ... a Herkules, który cierpiał ogromne katusze, błagał swoich przyjaciół, żeby rozpalili ogromny ogień, który sięgnie aż do nieba. A wtedy rzucił się w ten ogień, pragnąc zakończyć agonię trucizny, która sączyła się przez jego skórę. Potężny Zeus spojrział z wysokiej góry Olimp w dół na swojego syna, a widząc udrękę bohaterskiego potomka, zwrócił się do swojej mściwej żony: „Wystarczająco już się nacierpiał. Odkupił swoje winy”. Hera, patrząc w dół na Herkulesa, pożałowała go i zgodziła się z Zeusem, a następnie wysłała płonący rydwan z nieba, żeby zabrał Herkulesa do pozostałych bogów, gdzie nasz bohater żyje do dzisiaj — przeczytał cicho Ambrose i zamknął stanowczo książkę w nadziei na to, że nie będzie próśb o dalszy ciąg.

Ale przywitała go tylko cisza. Ambrose zaczął się zastanawiać, czy sześciolatek zasnął gdzieś pomiędzy dwunastą pracą a zakończeniem historii. Spojrział na małą twarzączkę otoczoną rudymi loczkami i zobaczył, że jego synek ma wciąż otwarte oczy. Wyraźnie się nad czymś zastanawiał.

— Tato, czy ty jesteś tak silny jak Herkules?

Ambrose odpowiedział mu uśmiechem, utulił swojego małego marzyciela i przykrył go do snu. Było już późno, pora spania już dawno minęła, a Fern była gdzieś w domu i planowała swoją następną historię. Ambrose bardzo chciał jej w tym przeszkodzić.

— Tato, czy ja mogę kiedyś zostać takim bohaterem jak Herkules?

— Nie musisz być Herkulesem, kochanie — odpowiedział

Ambrose. Wyłączył światło i zatrzymał się przy drzwiach. — Bohaterem można być na wiele sposobów.

— Pewnie masz rację. Dobranoc, tato!

— Dobranoc, Bailey.

Koniec

Podziękowania

Z każdą kolejną książką lista osób, którym chcę podziękować i wyrazić słowa uznania, znacząco rośnie. Przede wszystkim pragnę podziękować mojemu mężowi Travisowi, który jest zapaśnikiem. Jestem przekonana, że ten sport kształtuje dobry charakter u mężczyzn. Dziękuję Ci za wsparcie, T. I dziękuję, że umożliwiłeś mi bycie matką i pisarką.

Dziękuję moim dzieciom, Paulowi, Hannie, Claire i małemu Samowi. Wiem, że nie jest Wam łatwo, gdy mam głowę zaprzątniętą losami moich bohaterów. Dziękuję, że mimo to nadal mnie kochacie. Dziękuję też mojej dalszej rodzinie: Sutoriusom i Harmonom. Mamo i Tato, dziękuję, że pozwoliliście mi chować się w piwnicy i pisać, weekend za weekendem. Bardzo Was Kocham.

Szczególne podziękowania należą się Aaronowi Roosowi, kuzynowi mojego męża, który cierpi na dystrofię mięśniową Duchenne'a. Aaron właśnie skończył dwadzieścia cztery lata i jest w doskonałej formie! Dziękuję Ci, Aaronie, za dwoją szczerość, optymizm i za popołudnie, które ze mną spędziłeś. To dzięki Tobie Bailey stał się naprawdę żywą postacią. Rodzicom Aarona, Davidowi i Angie (Harmon) Roosom, chcę powiedzieć, że jestem głęboko poruszona Waszą historią i bardzo Was szanuję. Dziękuję za Waszą siłę i za przykład, jaki dajecie.

Ericowi Shepherdowi dziękuję za służbę w wojsku i za to, że opiekował się moim młodszym bratem w Iraku. Dziękuję, że pomogłeś mi zrozumieć, jak czują się żołnierze podczas misji, a także po powrocie do domu.

Dziękuję Andy'emu Espinozie, emerytowanemu funkcjonariuszowi policji, za to, że wyjaśnił mi procedury policyjne. Bardzo mi pomogłeś przy moich ostatnich dwóch książkach. Dziękuję!

Dziękuję blogerkom z *Cristina's Book Reviews* i *Vilma's Book Blog*! Vilmo i Cristino, jesteście moimi Thelmą i Louise. Dziękuję, że zaryzykowałyście razem ze mną i wypromowałyście *Making Faces* z takim entuzjazmem i klasą. Dziękuję również Jenny i Gitte z *Totally Booked Blog*: to dzięki Wam *Different Blue* znalazło się na szczycie.

Jestem Wam do zgonnie wdzięczna za to, że we mnie wierzycie i zawsze mówicie mi prawdę prosto w oczy.

Nie jestem w stanie wymienić tutaj wszystkich lojalnych czytelników i blogerów, ale wiecie, jak bardzo cenię Wasze wsparcie. Dziękuję Wam.

Dziękuję Janet Sutorius, Alice Landwehr, Shannon McPherson i Emmie Corcoran za to, że były moimi pierwszymi czytelniczkami; Karey White, pisarce i redaktorce nadzwyczajnej (sprawdźcie *My Own Mr. Darcy*) za to, że zredagowała *Making Faces*; Julie Titus, przyjaciółce i specjalistce od formatowania, za to, że zawsze znajdowała dla mnie czas; i mojemu agentowi Chrisowi Parkowi za to, że we mnie uwierzył i podjął ze mną współpracę.

I wreszcie na końcu chcę podziękować Ojcu w Niebiosach za to, że dzięki Niemu nawet brzydkie rzeczy są piękne.

O autorce



Amy Harmon już jako dziecko wiedziała, że chce zostać pisarką. Już wtedy dzieliła swój czas między pisanie piosenek a pisanie opowiadań. Dorastała w wiejskiej okolicy wśród pól z pszenicą. Ponieważ nie miała w domu telewizora, spędzała czas z książkami i rodzeństwem, dzięki czemu wyrobiła w sobie zdolność opowiadania ciekawych historii. Amy Harmon jest mówcą motywacyjnym, nauczycielką w szkole podstawowej i średniej, a także mamą nauczającą swoje dzieci w domu i członkiem chóru Saints Unified Voices działającego pod dyrekcją Gladys Knight, który jest laureatem nagrody Grammy. W 2007 roku wydała bluesową płytę o tematyce chrześcijańskiej zatytułowaną *What I Know*, którą można kupić na Amazonie oraz w sklepach z muzyką cyfrową. Jej dwie pierwsze książki, *Running Barefoot* i *Slow Dance in Purgatory*, są pełne humoru i ciepła, a każda historia rozgrywa się w szybkim tempie.

Więcej informacji na temat Amy Harmon i jej książek znajdziecie na:

stronie internetowej

(<http://www.authoramyharmon.com/>)

Facebooku

(<https://www.facebook.com/authoramyharmon?fref=ts>)

Goodreads

(http://www.goodreads.com/author/show/5829056.Amy_Harmon)

Twitterze

(https://twitter.com/aharmon_author)

Książki Amy Harmon:

Prawo Mojżesza

Pieśń Dawida

A Different Blue

Running Barefoot

Slow Dance in Purgatory

Prom Night in Purgatory

PROGRAM PARTNERSKI

GRUPY WYDAWNICZEJ HELION

- 
1. ZAREJESTRUJ SIĘ
 2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
 3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW
w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA WYDAWNICZA
 **Helion SA**

Spis treści

Prolog Rozdział 1. Zostać gwiazdą albo superbohaterem Rozdział 2. Mieć odwagę Rozdział 3. Przebrać się za kogoś Rozdział 4. Poznać Herkulesa Rozdział 5. Poskromić lwa Rozdział 6. Zobaczyć świat Rozdział 7. Zatańczyć z dziewczyną Rozdział 8. Porządnie się zabawić Rozdział 9. Być dobrym przyjacielem Rozdział 10. Zostać żołnierzem Rozdział 11. Dać nauczkę draniowi Rozdział 12. Zbudować kryjówkę Rozdział 13. Życ Rozdział 14. Rozwiązać zagadkę Rozdział 15. Zaprzyjaźnić się z potworem Rozdział 16. Pocałować Ritę Rozdział 17. Zająć twarde stanowisko Rozdział 18. Codziennie jeść naleśniki Rozdział 19. Ułożyć układankę z tysiąca elementów Rozdział 20. Kupić sobie zwierzaka Rozdział 21. Wspiąć się po linie Rozdział 22. Zrobić własne fajerwerki Rozdział 23. Znaleźć pozytywne strony Rozdział 24. Sprawić, żeby coś zniknęło Rozdział 25. Dryfować na jeziorze Hannah Rozdział 26. Wynaleźć wehikuł czasu Rozdział 27. Zrobić sobie tatuaż Rozdział 28. Zostać bohaterem Rozdział 29. Przejechać się radiowozem Rozdział 30. Dożyć do dwudziestego pierwszego roku życia Rozdział 31. Zawsze być wdzięcznym Rozdział 32. Walczyć w zapasach Rozdział 33. Nie bać się śmierci Rozdział 34. Złapać przestępcę Rozdział 35. Zaopiekować się Fern Rozdział 36. Wyjechać na Uniwersytet Pensylwanii Rozdział 37. Ożenić się Epilog Podziękowania O autorce

